



P O S Ą S I - E D Z K U

MIESZKAŃCY ULICY RÓŻANEJ SĄ JAK RODZINA – LUBIĄ SIĘ,
NIENAWIDZĄ, INTRYGUJĄ, PLOTKUJĄ, KOCHAJĄ,
POSZUKUJĄ AKCEPTACJI I SZCZĘŚCIA.

KASIA BULICZ-KASPRZAK

Uzasadnione wątpliwości



Prószyński i Ska



P O S Ą S I E D Z K U

KASIA BULICZ-KASPRZAK

Uzasadnione wątpliwości

Prószyński i S-ka

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© Susan O'Connor/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-674-0

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Mojemu kochanemu Ojcu

Mieszkańcy ulicy Różanej

Jezierscy

- Leokadia – seniorka rodu, jej mąż Konrad nie żyje od czterdziestu lat.
- Maria – córka Leokadii, stara panna, nauczycielka, pisze wiersze, od lat kocha się skrycie w Januszu Krupskim.
- Tadeusz – syn Leokadii, wdowiec, prowadzi kancelarię adwokacką, od jakiegoś czasu podkochuje się w Teresie Domańskiej.
- Olgierd – syn Tadeusza, były mąż Marty Krupskiej.
- Konrad – syn Tadeusza, mąż Karoliny.
- Karolina – żona Konrada, ambitna, lecz niezaradna matka dwóch chłopców.
- Kacper i Kuba – synowie Karoliny i Konrada.

Krupscy

- Janina – pięćdziesięcioletnia żona Janusza, nieszczęśliwa w małżeństwie, zdradzająca męża z Sewerynem Starskim.
- Janusz – policjant, do niedawna był częściowo sparaliżowany po wypadku, który spowodowała jego żona.
- Marta – córka Janiny i Janusza, rozwiodła się z Olgierdem, który ją skrzywdził; był jej miłością od dzieciństwa.
- Mateusz – syn Janiny i Janusza; skonfliktowany z ojcem, wyprowadził się z domu i realizuje się jako policjant.

Brzozowscy

- Michał – rozwodnik, układający sobie życie na nowo ze znacznie młodszą Agatą.
- Agata – szalona dwudziestoczterolatka, chce się ustatkować przy boku męża, w którym jest szaleńczo zakochana.
- Sylwia – była żona Michała, piękna i wybuchowa; jest w ciąży, rzecz w tym, że nikt nie wie, kto jest ojcem dziecka.
- Julka – córka Michała z poprzedniego małżeństwa z Sylwią, nastolatka; w imieniu przyjaciółki zemściła się na chłopaku, który ją obgadywał.

Pozostali

- Teresa Domańska – elegancka żona skorumpowanego polityka, nieradząca sobie w życiu, od kiedy jej mąż znalazł się w więzieniu.
- Seweryn Starski – stary kawaler, który większość życia spędził stłamszony przez matkę, w tajemnicy adoruje Janinę Krupską.
- Wanda Zdunkowska – wnuczka mieszkającego niegdyś w domu na skraju staruszka, który po śmierci żony stracił rozum; wyjechała z Rubinia robić karierę, wróciła jako alkoholiczka, straciwszy wszystko.
- Tomek Jabłoński – kierownik domu kultury, z którym Janina pragnie ożenić Martę.
- Adam Maciejewski – licealista, zakochany w Julce Brzozowskiej.
- Konstanty – kot, mieszkający razem z Sewerynem, wnikliwy, acz zblazowany obserwator stosunków międzyludzkich.
- Freddy – szczeniak, którego Michał sprowadził do domu, żeby zacieśnić związek z Agatą.
- Królik Oskar – tajna, niszcząca ogrody broń biologiczna Karoliny; okazał się ulubieńcem jej dzieci.



Rozdział pierwszy

Róża Summer Song

Róża Summer Song – krzaczasta odmiana, gęsto rozgałęziona, dorastająca do stu dwudziestu centymetrów, o wiotkich pędach. Kwitnie przez cały sezon i nie jest zbyt wymagająca, choć preferuje miejsca słoneczne. Nie lubi jesieni, kiedy to może ją dotknąć czarna plamistość liści. Kwiaty tej odmiany, zebrane w grona po pięć, sześć sztuk, mają wygląd charakterystyczny dla róż angielskich i bardzo ciekawy kolor spłowiałego pomarańcza. Pachną bananami. Wycinanie przekwitłych kwiatów motywuje roślinę do intensywnego kwitnienia i chroni pędy, mające tendencję do uginania się pod ciężarem.

Są takie daty, które lubimy, i takie, o jakich sama myśl jest nieprzyjemna. Maria Jezierska nie cierpiała pierwszego listopada. Wcześniej straciła ojca i choć pozostało jej kilka szczególnie wyraźnych wspomnień, reszta czasu spędzonego razem zatarła się i rozmasała, tworząc spore luki, które obdarzone szczególną wrażliwością i wyobraźnią dziecko szybko wypełniło. W taki sposób ów wymyślony ojciec stał się najlepszym przyjacielem, towarzyszem wspierającym Marysię przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku. Pierwszego listopada jednak był jej brutalnie odbierany przez matkę. Leokadia mówiła o nim jak o swojej własności, a przedstawiany przez nią wizerunek Konrada przypominał obraz Boga ze Starego Testamentu, nic tylko by się gniewał i karał. Marysia zaciskała zęby, żeby się nie rozplakać, i niecierpliwie czekała na wieczór, kiedy to mama zamykała się w swoim pokoju, by tam rozpaczać w samotności. Jedyne chwile słabości w życiu Leokadii to właśnie były owe wieczory w dniu Wszystkich Świętych. Szkoda, bo Maria była przekonana, że wolałaby mieć taką matkę jak ta kobieta, która szlochała w poduszkę.

Drugie miejsce na liście znienawidzonych dat zajmował pierwszy wrzeźnia. Maria od dziecka nie lubiła chodzić do szkoły. Nie dlatego, że nauka sprawiała jej problemy, wręcz przeciwnie, zawsze była sumienną uczennicą, lecz po prostu trudno jej było się odnaleźć w relacjach z innymi ludźmi. Przerażała ją ich ciekawość, bała się pytań i reakcji, jakie mogły wywołać odpowiedzi. Co oni o mnie myślą? – zastanawiała się w duchu, ale wolała nie odpowiadać sobie na to pytanie.

Gdyby miała wybór, nie zdecydowałaby się na zawód nauczyciela. Sprawy jednak potoczyły się tak, jak zwykle w życiu – nie po naszej myśli. Mama nie mogła sama utrzymać domu, a Tadeusz musiał studiować prawo, bo taka była rodzinna tradycja. Marysia musiała więc szybko zdobyć porządny, odpowiedni dla kobiety zawód. Gdyby była lepsza z matematyki, pewnie zostałaby księgową.

– Nie narzekaj – upomniała sama siebie. – Mogło być gorzej, mogłaś zostać pielęgniarką.

I uśmiechnęła się, a twarz odbita w lustrze odpowiedziała jej takim samym nieszczerym uśmiechem.

Maria jeszcze chwilę spędziła w łazience domu Wandy Zdunkowskiej, o którym wolała myśleć, że

jest ich domem. Obficie pokryła twarz kremem – podobno w ciągu jednej nocy miał on przywrócić skórze wygląd sprzed dekady. Oczywiście Marysia nie była tak naiwna, by w to uwierzyć, liczyła jednak, że jutro nie będzie wyglądała jak stara, smutna baba. Pieprzony pierwszy wrześnie, przeklęła w myślach nadchodzący dzień i pozwoliła, by drzwi łazienki zamknęły się z trzaskiem.

Potem leżała w swoim pokoju, gapiąc się w sufit. Myślała o tym, jak przez wszystkie poprzednie lata obecność Janiny czyniła łatwiejszym każdy dzień spędzony w pracy, każde wyjście do szkoły. Janina była przebojowa, pewna siebie i odznaczała się ową niezależnością, która pozwala być ponad to, „co ludzie o mnie pomyślą”. Maria lubiła, gdy Janina machnięciem ręki nadawała problemowi kategorię „bagatelny”. I nie tylko to. Lubiała jej śmiech, żarty, a nawet złośliwości, bo na tym chyba polega przyjaźń, by trwać z kimś pomimo jego wad, nie zaś dla zalet.

Myśli o przyjaciółce sprawiły, że Maria bardzo boleśnie uświadomiła sobie, jak bardzo brakuje jej Janiny. Tęskniła za nią, za ich porannymi kawami, za zażyłością, która łączyła obie przez te wszystkie lata. To głupie kochać Janusza, który nie był tego wart, a nie doceniać Janiny, która przez całe życie stanowiła dla Marii podporę. Jasne, Marysia sprzeniewierzyła się ich przyjaźni, ale w świetle wiedzy o Krupskim, którą teraz dysponowała, przewina wydawała się nieadekwatna do kary.

Oczywiście gdyby Marysia była inna, natychmiast pobiegłaby do przyjaciółki i podzieliła się z nią tymi przemyśleniami. Niestety, była sobą; odważne decyzje nie leżały w jej naturze.

Mateusz Krupski przez cały dzień systematycznie zapełniał swoje biurko dokumentami. W końcu ugięło się pod ich ciężarem, dając mu pretekst, by, zamiast wracać do domu, zostać w pracy i zająć się ich uporządkowaniem. Nie robił tego jednak. Siedział, gapiąc się przed siebie. Przez uchylone okno docierały do pokoju odgłosy ulicy: kroki, trzask zamykanych drzwi samochodu, strzępy rozmowy.

Z czasem wszystko ucichło, a popołudnie stało się późną nocą. Mateusz zapalił lampkę na biurku. Jej światło sprawiło, że poczuł się, jakby zamknięto go w kuli z żółtego szkła – świat wokół przestał istnieć. I bardzo dobrze, nigdy jeszcze bowiem nie wydawał się Mateuszowi tak niezrozumiały i nieprzyjazny. Rzeczywistość doskwierała mu fizycznie, jakby na gołe ciało włożył szatę z jutowego worka.

W takim stanie nie ma się ochoty na puste rozmowy, picie piwa i oglądanie telewizji. Mateusz dawał Konradowi do zrozumienia, że potrzebuje trochę przestrzeni, by po prostu posiedzieć w samotności, tamten był jednak impregnowany na delikatne aluzje. Dlatego Mateusz postanowił szukać samotności gdzie indziej. Znalazł ją w pracy, przy swoim biurku, po godzinach, gdy poza nim i oficerem dyżurnym, drzemającym w dyżurce, w budynku nie było nikogo innego.

Otworzył szufladę i zerknął na leżącą tam prośbę o przeniesienie do Rubinia. Leżała tam, choć powinna już powędrować na biurko przełożonego. Problem polegał na tym, że Mateusz nie był przekonany, czy tego właśnie chce. Nie miał pewności, czego właściwie chce. Coś z nim jest nie tak. Zdał sobie z tego sprawę, gdy na dworcu we Wrocławiu czekał na pociąg do Warszawy. Obserwował podróżnych i raz po raz zerkał na wskazówki zegara, które wcale się nie poruszały.

Zastanawiając się, czym by tu wypełnić czas, przypomniał sobie dziewczynę, którą poznał w pociągu. Mieszkała niedaleko. Zapukałby nieśmiało do drzwi. Trochę zły i jednocześnie bardzo rozczarowany wyrzuciłby jej, że nie zadzwoniła. Powiedziała by coś o tym, jak bardzo go zraniła. Zapytałaby, dlaczego bawiła się jego uczuciami. Ona patrzyłaby na niego z wściekłością, gdyż, nie oszukujmy się, po tym jak ją zostawił, musiała go znienawidzić, a następnie ze zdziwieniem, bo

przecież dzwoniła. Szybko wyjaśniliby sobie pomyłkę, a Mateusz błagałby o przebaczenie. Dostałby je okraszone cudownym seksem na zgodę. Może by nawet został na noc albo dwie?

Lecz kiedy tak myślał, nagle zdał sobie sprawę, jakie to głupie. Wcale nie chciał iść do łóżka z tamtą dziewczyną. Ani z żadną inną, bo to takie szczeniackie zachowanie, rażąca niedojrzałość, głupota, która zupełnie nie pasowała do kogoś, kto wie, kim był Wittgenstein.

Wtedy, na wrocławskim dworcu, Mateusz Krupski zaczął się zastanawiać nad swoim życiem. Niestety, im więcej myślał, tym bardziej czuł się nieszczęśliwy. Okazało się bowiem, że jedyne, czego pragnie, jest poza jego zasięgiem. W momencie, gdy to do niego dotarło, świat, który do tej pory wydawał się przyzwoity, okazał się całkowicie do dupy. Krótko mówiąc, Mateusz był nieszczęśliwy i nic na to nie mógł poradzić.

Konrad Jezierski spojrzął na zegarek. Pierwszy września zaczął się niespełna godzinę wcześniej, a Mateusza wciąż nie było. Ostatnio dużo czasu spędzał w pracy, jakoby mieli teraz więcej papierkowej roboty, podobno nowe wymogi unijne. Konrad ze zrozumieniem kiwał głową, udając, że wierzy we wszystko, gdy tak naprawdę rozpoznawał kłamstwo wszystkich mężczyzn, którzy nie chcą wracać do domu. Sam niezliczoną ilość razy wciskał to Karolinie i nawet teraz nie miał wyrzutów sumienia.

Każdy na jego miejscu zachowałby się tak samo. Karolina stała się nieznośna i uniemożliwiała mu jakiegokolwiek starania, krytykując wszystko, co robił przy dzieciach. Okazało się, że nawet głupiej pieluchy nie potrafił dobrze założyć, bo zawsze była albo ciut za ciasna, albo ciut za luźna. W końcu dał sobie spokój, zostawał w pracy po godzinach, a kiedy nocną ciszę przerywał płacz któregoś z chłopców, przykrywał głowę poduszką.

W tej chwili Konrad nie umiał określić, czy Karolina zmieniła się po ślubie, czy też zawsze taka była, tylko on, zafascynowany dziewczyną, tego nie zauważał. To zresztą nie było istotne, sprawą ważną stało się uporządkowanie wszystkiego, co zaszło.

Kiedy Mateusz powiedział, że rozmawiał z Tadeuszem, że tamten jest wściekły i pewnie długo jeszcze będzie, ale mimo to wszystkim się zajmie i Konrad może spokojnie wracać do domu, młody Jezierski zdał sobie sprawę, że wcale nie uciekł przed konsekwencjami, tylko przed własną żoną. Przed tym życiem, jakie z nią wiódł, okropnym, wypełnionym narzekaniem, gdzie stawiano mu wymagania, on zaś nie potrafił im sprostać. Odszedł od żony, która go nie doceniała. Powrót nie będzie łatwy. Dlatego odwlekał ów moment; udawał, że nie słyszy aluzji Mateusza, nadużywał jego przyjaźni i gościnności.

Problem polegał na tym, że tak samo jak nie chciał wracać, wrócić pragnął. Do ojca, synów i do niej. Gdyby tylko wiedział, jak to poukładać, żeby było dobrze.

Janina Krupska obudziła się zlnana potem. Spojrzała za okno, gdzie aksamitna ciemność nocy utulała Różaną do spokojnego snu, i pomyślała, jak bardzo niesprawiedliwe jest to, że inni mogą spokojnie spać. Od czasu, gdy położyła się kwadrans po jedenastej, spała może godzinę, bo najpierw przewracała się z boku na bok, później zaś ze snu wyrывał ją nagły niepokój. Przytomniejąc, tłumaczyła sobie, że nic się nie stało, to musiał być zły sen, a chwilę później słyszała w głowie: „masz raka”.

Mam raka, mówiła sobie w myślach, a serce zaczynało jej walić z przerażenia. Zrobią mi operację, wytną go, powtarzała jak mantrę, by się uspokoić. Bezskutecznie, wiedziała bowiem, że nawet jeśli

nie umrze w najbliższym czasie, z powodu małego guza w prawej piersi, to śmierć i tak nadejdzie. Trudno rozstać się z życiem, zwłaszcza gdy miało się w planach wreszcie zaznać szczęścia. To, jak bardzo roztrwonila swoje życie, jak bardzo złe decyzje podejmowała, strasznie denerwowało Janinę.

Najgorsze jednak było, że nie znalazła ani jednej osoby, z którą mogłaby o tym porozmawiać. Mąż tak dobrze czuł się u sąsiada, że ani myślał o powrocie do domu. Nie wyszumiał się za młodu i teraz cieszył się urokami kawalerskiego stanu. No, może nie do końca się cieszył. Uwagi Janiny nie umknął fakt, że między nim a Marią coś się popsło. To było do przewidzenia, nie pasowali do siebie. Błąd Janiny polegał na tym, że przed laty nie pozwoliła im przekonać się o tym, pewnie uniknęliby wielu rozczarowań. Nie, błąd polegał na tym, że nie dała sobie więcej czasu, by stwierdzić, czego tak naprawdę chce. Przecież tyle razy ścieżki Seweryna i Janiny biegły tuż obok siebie. Na pewno by się przecięły, gdyby trochę poczekała, zamiast uganiać się za Januszem.

Tak, teraz miała świadomość wszystkiego, co zrobiła źle. Niestety, zostało jej zbyt mało czasu, by to naprawić, co przerażało ją bardziej niż świadomość, że ma raka.

Wanda Zdunkowska obudziła się o trzeciej nad ranem. Spojrzała na zegarek i poczuła nieprzyjemny dreszcz na plecach. Gdy była mała i nie mogła zasnąć, straszono ją, że o trzeciej w nocy przyjdzie diabeł, bo to właśnie jego godzina, i zabierze niegrzeczną dziewczynkę do piekła. Szalenie edukacyjne, pomyślała. Trudno się dziwić, że po takich traumach stała się alkoholizką.

Przez chwilę leżała wpatrzona w sufit. W pokoju obok spała Marysia i Wandzie się wydawało, że słyszy równy oddech tamtej, anioła stróża, który zasnął na warcie, zmęczony własnymi problemami. Wanda ostatnio dużo myślała o tym, że błędem okazało się budzenie demonów przeszłości. Był taki moment przed powodzią, gdy jej się wydawało, że wszystko zmierza we właściwym kierunku, bo Maria nie tylko wydała poezje, ale miała również szansę związać się z Januszem i nadrobić stracony czas. Nawet Wanda, która odznaczała w kalendarzu kolejne dni bez picia, uważała tamten okres za całkiem przyjemny. Gdyby była sentymentalna, określiłaby go jako najlepszy w całym życiu. Na szczęście nie uważała się za sentymentalną, więc gdy wszystko zaczęło się walić, mogła ze spokojem powiedzieć, że należało się tego spodziewać.

Usiadła na łóżku i patrząc na swoje gołe stopy, zapytała samą siebie:

– I po coś tu wracała?

Szept nieprzyjemnie zaszeleścił w cichym pustym pokoju, nie odważyła się więc udzielić odpowiedzi. Pomyśl, by wrócić do domu i zapisać się na śmierć, nie byłby taki głupi, gdyby Wandzie wystarczyło odwagi, żeby go od razu zrealizować. Zamiast tego zaczęła naprawiać przeszłość. Jakby to było możliwe! Jak mawiają mądrzy ludzie, co się stało, to się nie odstanie. Nie i już.

Wstała i podeszła do szafy. Ostrożnie wysunęła szufladę i zanurzyła rękę w kłębowisku majtek. Opuszki palców natrafiły na zimną twardość szkła i chwilę później bursztynowy płyn spłynął Wandzie do gardła. Chuchnęła i pociągnęła jeszcze łyk. Poczekała na ten moment, gdy człowiek zaczyna się czuć jak piłka, z której upuszczono odrobinę powietrza, a wtedy ukryła butelkę z powrotem i wróciła do łóżka. Teraz będzie łatwiej i myśleć, i zasnąć. Wspomnienie ojca, odgradzonego od świata barierą niepamięci, już tak nie bolało, słowa: „Powinna pani wspomnieć lekarzowi, że w rodzinie wystąpił przypadek choroby Alzheimera”, nie mąciły snu.

Karolinę obudziło dziwne dudnienie. Namacała telefon na nocnym stoliku i wcisnęła klawisz, by włączyć wyświetlacz. Od jego jasności zapiekły oczy. Była czwarta nad ranem, więc od razu w jej

głowie zabrzmiała piosenka, którą dawno temu śpiewała przy ognisku „...może sen przyjdzie, może mnie odwiedzisz...”. Uśmiechnęła się, sen nie musiał przychodzić, był tu i trzymał Karolinę w ramionach tak mocno, bardzo mocno... Zamknęła oczy i już, już zasypiała, gdy znowu rozległ się odgłos, który przed chwilą wyrwał ją ze snu.

Zakłęła i wstała.

Idąc do pokoju chłopców, szurała kapciami, kiedyś mięciutkimi z puchatym różowym futerkiem, teraz zaś przypominającymi sierść foksteriera, który wytarzał się w błocie. Dawno powinna była kupić sobie nowe. Problem polegał na tym, że kapcie znajdowały się na ostatniej pozycji na liście rzeczy potrzebnych. W takim razie powinna je wyrzucić, lepiej chodzić boso. Zrobi to rano.

Pozwoliła, by myśli o obuwiu zaprzętnęły jej głowę, nie pozwalając dojść do głosu rozważaniom, który z chłopców kaszle i jaka jest tego przyczyna. Oczywiście dzieci czasem pokasłują, to normalny, zdrowy odruch. Oczyszczają w ten sposób drogi oddechowe...

Dotknęła główki Kacpra. Była przyjemnie chłodna. Podeszła do Kuby i położyła mu rękę na czole. Ciepła. Dotknęła główki ustami. Poczowała, jakby ktoś wbił jej w wargi tysiąc rozżarzonych szpileczek, a to wrażenie trwało, gdy szła do łazienki po termometr. Myślała o matce, która zawsze sprawdzała temperaturę, całując dziecko w czoło, a teraz była zbyt daleko, by się na coś przydać.

Karolina usiadła na brzegu dziecięcego łóżeczka i podciągnęła synka tak, by leżał jej na kolanach. Włożyła mu pod pachę termometr i czekała na moment, gdy aparat zasygnalizuje, że czas pomiaru minął. Przez chwilę z niedowierzaniem patrzyła na temperaturę i uznawszy, że coś poszło nie tak, powtórzyła pomiar. Nie chciało wyjść inaczej. Kuba miał trzydzieści dziewięć stopni. Jak to możliwe, jeszcze wieczorem biegał jak szalony. A jednak, przecież teraz czuła, jaki jest ciepły, widziała, jak kolejny atak kaszlu wstrząsa całym jego ciałkiem. Biedny mały króliczek, wczoraj taki wesoły, a dziś chory. To oczywiście wina Karoliny. Nie powinna była pozwalać na lody i chlapanie wodą. Powinna była zmienić mu koszulkę, kiedy się spocił. Dlaczego pomyślała, że nic mu nie będzie, bo przecież jest ciepło?

Ucałowała synka i zeszła do kuchni, by znaleźć coś przeciwgorączkowego. Rano zadzwoni do przychodni. Żeby tylko nie było to nic poważnego. I żeby Kacper się nie zaraził. Z jednym chorym dzieckiem jest ciężko, a co dopiero z dwójką. Kiedy zachorowali zeszłej zimy, przez tydzień nie wychodziła z domu, zajęta podawaniem leków i praniem przepoconej pościeli. Dobrze, że Konrad robił zakupy i biegał do apteki. A jak będzie teraz? Kto zajmie się dziećmi, gdy trzeba będzie pójść po lekarstwa, kupić chleb i masło? Do Karoliny dotarło, że do tej pory nie wiedziała wszystkiego o życiu samotnej matki i że być może, najgorsze wciąż przed nią.

– Nienawidzę cię, dupku – powiedziała do nieobecnego męża.

Do dziś nie zdawała sobie sprawy, jak głęboko i szczerze. Mogła znieść to, że jej nie kochał, że ich zostawił, że nie dał znaku życia. Jednak to, że zostawił własne dzieci, było niewybaczalne i Karolina postanowiła nigdy nie wybaczyć Konradowi.

Wróciła na górę i wlała Kubie do ust środek przeciwgorączkowy. Później wzięła go na ręce i przeniosła do swojego łóżka, by, czuwając nad synkiem, móc trochę się zdrzemnąć. Gładząc rozpaloną główkę Kubusia, myślała o tym, że nie poradzi sobie sama z wychowaniem chłopców, że potrzebuje pomocy.

Freddy obudził Agatę skomleniem o szóstej rano. Jeśli chce się skończyć z nieładnym nawykiem spania do południa, należy pozwolić, by mąż podarował ci szczeniaczka, potem zaś trzeba wyrzucić

tegoż męża ze swojego życia, ironizowała w myślach, wkładając dres. Chwilę później szła ścieżką wzdłuż rzeki.

Zawsze lubiła ów moment, gdy późne lato niepostrzeżenie zmienia się w złotą jesień, nad łąkami wiszą muślinowe mgły, a w złociste wiechy nawłoci wplątują się srebrne nitki babiego lata. Dlatego szła teraz przed siebie, ciesząc się pięknem otaczającego świata, spokojna, mimo że szczęście wymykało jej się z rąk. Powinna je chwycić, czekała jednak. Wiedziała dobrze, że między jej mężem a jego byłą żoną jest tyle żaru, co w zalanym wodą ognisku. I dlatego, nawet jeśli sprawy między tymi dwojgiem zajdą daleko, Michał ucieknie, jak tylko znajdzie się w sypialni, z której wieje arktycznym chłodem. A to dawało Agacie jeszcze trochę czasu, by mogła pobyć sama. Samotność okazała się strasznie fajna. Nie, samotność to złe określenie, bo przecież w życiu Agaty byli rodzice, do których ostatnio często dzwoniła, a także Marta, Teresa, zamierzająca wrócić za tydzień, góra dwa, jak tylko popsuje się pogoda, były przyjaciółki z Wrocławia, które obiecały wpaść na weekend, i wreszcie Freddy, budzący ją rano i wyciągający na spacer nad rzekę, gdzie było tak cicho i pięknie. Agata nie czuła się samotna, po prostu miała wakacje od bycia z mężczyzną.

Spływająca po umywalce kropla czarnej farby wyglądała jak łza namalowana na policzku arlekina. Julka patrzyła na nią przez chwilę, a później odkręciła kran. Po chwili w łazience znów było czysto. Jakby nic się nie wydarzyło. A jednak... Spojrzała w lustro i zawahała się chwilę, jakby nie mogła uwierzyć, że to jej własne odbicie.

Pomysł przyszedł jej do głowy kilka dni wcześniej. Od razu kupiła farbę, ale nie miała odwagi. Dziś w nocy nie mogła spać. Patrzyła w okno i myślała o tym, że w jej sercu również panuje noc. W końcu wstała, wyjęła z plecaka pudełko z farbą do włosów i poszła do łazienki.

Nawet nie zachowywała się specjalnie cicho, nie bała się, że obudzi matkę, bo ta spała twardo jak kamień. To chyba miało związek z ciążą, ale Julka nie pytała. Nie obchodziło jej nic, co dotyczyło Obcego – tak na własne potrzeby dziewczyna nazwała wrogą istotę rozwijającą się w łonie matki. Nienawidziła tego, co stało się z jej życiem. Jak chwytna fraza muzyczna, powracająca bez przerwy, tak Julce wracał przed oczy obraz sprzed czterech lat. Siedziała w swoim pokoju z Emilką, malowały paznokcie perłowym różem, który nie rzucał się w oczy nauczycielom, i rozmawiały o życiu. „Ja zdecydowanie jestem córeczką tatusia. Z mamą się po prostu przyjaźnimy”.

To było wspomnienie z innego świata, innego życia. Dziś ojciec miał nową żonę, podłą żonę, która całowała się z Mateuszem, a matka nosiła w brzuchu pamiątkę płomiennego romansu. A wszystko to uderzy w nią, Julkę. W szkole będą się z niej śmiali. Najchętniej już by tam nie wróciła, nie była jednak tak głupia, by nie wiedzieć, że edukacja to jedyna droga do wyrwania się z tej dziury.

Popatrzyła na dziewczynę w lustrze, tak inną od tej, jaką zawsze była. Tylko oczy zostały te same, jasne, takie jak u ojca, w oprawie ciemnych, długich rzęs. Jasne włosy, którymi obdarzyła Julkę natura, stały się teraz, za sprawą chemii, czarne, granatowoczarne, jeśli wierzyć temu, co napisano na opakowaniu.

Weszła do swojego pokoju i spojrzała z pogardą na białą bluzkę, którą matka dzień wcześniej wyprasowała.

– Czarny kolor, czarne dno, tak to widzę – powiedziała, wyciągając z szafy czarną, bawełnianą koszulkę. Przekaz był prosty: jest obrażona na cały świat, wkurwiona i z nikim nie będzie gadała. Mogą się śmiać za plecami, ale nikt nie odważy się do niej odezwać.

Najgorsze, że ona sama nie odważy się odezwać do nikogo. A tak bardzo potrzebowała z kimś

pogadać.

Kilka minut po ósmej Tadeusz Jezierski zszedł do kuchni, by napić się kawy z nowiutkiego ekspresu, który stanowił wkład Janusza w ich wspólne, znów kawalerskie życie. Nie musiał się śpieszyć, w kancelarii miał być dopiero o dziesiątej, mógł więc rozkoszować się napojem i jedną z owych rzadkich teraz chwil samotności.

Zaproponowanie Januszowi, by zatrzymał się u niego na kilka dni, było podobne do spontanicznej decyzji o przygarnięciu psa. Człowiek nie myśli, co będzie później, nawet nie próbuje sobie tego wyobrazić, bo serce mu krzyczy: „Zrób coś dobrego. Będzie fajnie!”. I ani się człęk spostrzeże, a jego ulubione miejsce na kanapie jest zajęte, a słodką samotność diabli wzięli.

Lista rzeczy, które go szczególnie irytowały w Januszu, była bardzo długa. Tamten zapełniał zlew brudnymi naczyniami, mylił środek do prania ręcznego z płynem do płukania tkanin, rzucał sweter na krzesło w kuchni, jakby szafa nie istniała, oglądał telewizję z włączonym głośno dźwiękiem, a potem zasypiał i chrapał. Były momenty, gdy Tadeusz miał na końcu języka słowo „wynocha”, bo wydawało mu się, że nie wytrzyma już z Krupskim ani minuty dłużej. Jednak w tej chwili był rad, że nie wyrzucił przyjaciela, bez niego przetrwanie tego, co wydarzyło się ostatnio, byłoby znacznie trudniejsze.

Próbował nie myśleć o Teresie, lecz bezskutecznie. Wraz z jej obrazem w głowie pojawiały się pytania. Dlaczego go nie kocha? Dlaczego nie docenia? Czy nie rozumie, że po śmierci żony Tadeusz nie związał się z nikim, bo czekał na taki moment, gdy on i Teresa będą mogli być razem? Jeśli nie siła uczucia, to powinna ją przekonać taka stałość. Czyż kobieta nie marzy, by być kochaną? Dlaczego więc nim wzgardziła? Nawet nie próbował sobie odpowiadać. To było zbyt trudne, zbyt bolesne.

Odstawił pusty kubek na kuchenny blat i podszedł do okna. W ogrodzie wciąż intensywnie kwitły róże, onętki, aksamitki i astry, a trawa była intensywnie zielona. Patrzył na to wszystko bez dumy, bez zachwyty, z zimą w sercu.

Sylwia Brzozowska trwała w zawieszeniu między jawą a snem, nie mogąc się zdecydować na żadne z nich. Gdyby córka nie trzasnęła drzwiami, Sylwia spałaby jeszcze. Skoro jednak się obudziła, może powinna wstać? Która to godzina? Wyciągnęła rękę po telefon, leżący na nocnej szafce. Przez moment nie dowierzała, dopiero po chwili z wolna budzący się umysł wyjaśnił, że dobrotliwa pani dyrektor zarządziła apel rozpoczynający rok szkolny na dziesiątą, by dać dzieciakom jeszcze ten jeden, ostatni dzień wakacji. Julka spokojnie mogła wyjść z domu trzy kwadranse po dziewiątej, zdąży.

A Sylwia nie. Powinna być w pracy godzinę temu. Pewnie, gdy budzik w telefonie zadzwonił, wyłączyła go, zamiast ustawić drzemkę.

– To się zdarzyło po raz ostatni – zapewniła siebie, idąc do łazienki.

Kiedy już minęły nudności, zaczęło się zmęczenie tak silne, jakby organizm chciał się wyłączyć. Sylwia czuła się jak niedźwiedź jesienią – nic, tylko obrastać tłuszczem i myśleć o spaniu.

Oplukała twarz zimną wodą, licząc na orzeźwienie, ale efekt nie był zadowalający. Sięgnęła po mleczko, by przetrzeć skórę, a gdy wyrzucała zużyty wacik, zauważyła w koszu opakowanie po farbie do włosów.

– Julka! Coś ty najlepszego zrobiła?

Przecież córka mogła powiedzieć, że chce zmiany. Sylwia zabrałaby ją do fryzjera, który

profesjonalnie dobrałby kolor. Takie domowe farbowanie wychodzi fatalnie, zwłaszcza gdy robi się je samemu, po raz pierwszy i w ciemnej łazience. Sylwia westchnęła, wyobrażając sobie córkę z jasnymi pasmami tam, gdzie zabrakło farby. Jeśli Julka wygląda jak zebra, to może mieć pretensje tylko do siebie.

Westchnęła ciężko i przysiadła na brzegu wanny. Nie potrafiła zrozumieć, co się ostatnio działo z tą dziewczyną. Córka, zawsze taka rozsądna, mądra, zachowywała się teraz jak rozdrażniona trzylatka. Kiedy Sylwia próbowała z nią rozmawiać, to albo milczała, albo wychodziła, trzaskając drzwiami, albo też krzyczała, jak bardzo wszystkich nienawidzi.

To rozumiało, że trudno jej się pogodzić z nową rzeczywistością. Nie jej jednej zresztą. Olgierd, przecież dorosły facet, wyparł się odpowiedzialności. Nawet Sylwia nie do końca wierzyła, że ponownie zostanie matką. Julce musiało być ciężko. Rozmowa jest jednak dużo lepszym pomysłem niż celowe oszpecenie się.

Żeby tylko nie wróciła z kolczykiem w nosie, pomyślała Sylwia, z trudem wbijając się w granatową spódnicę, która od lat wisiała w szafie, bo zawsze była sporo za luźna. Jak z nią rozmawiać? Czy w ogóle da się rozmawiać z młodym człowiekiem, który owinął się w złość i arogancję jak w kokon? Trzeba czekać.

Sylwia położyła rękę na brzuchu. Problem polegał na tym, że nie miała zbyt wiele czasu. Potrzebowała córki, bo ta była jej jedyną przyjaciółką. Wiedziała również, że Julka potrzebuje matki, bo bez dobrych z nią relacji trudno wchodzić w dorosłość.

Spojrzała na zegarek i znów zaklęła. Niedobrze przychodzić do pracy tuż przed przerwą śniadaniową. Dobrze chociaż, że nie będzie się musiała tłumaczyć przed szefową.

Janusz jeszcze raz poprawił dokumenty ułożone na biurku. Teraz teczki z aktami leżały równiutko na brzegu blatu. Przysunął do siebie klawiaturę i uderzając dwoma palcami, wpisał swój login i hasło. Nigdy się nie nauczył pisać szybko na komputerze, choć Janina nieraz proponowała, by poszedł na kurs. Wydawało mu się, że to niepotrzebne, przecież większość notatek służbowych sporządzał ręcznie.

Aż tu pewnego dnia pojawiły się komputery i przejęły władzę nad komisariatem. Wcześniej je ignorował, lecz gdy wrócił do pracy po wypadku, wylądował za biurkiem. I teraz musiał albo się przystosować, albo iść na emeryturę. Na to drugie nie bardzo miał ochotę. Wizja kolejnych dni spędzanych na sofie, z piwem w jednej ręce, a pilotem w drugiej, wydawała się Januszowi przerażająca. Nie tak sobie to wyobrażał.

Mniej więcej rok temu doszedł do wniosku, że już dłużej nie wytrzyma z Janiną. Optymiści mawiają, że w małżeństwie z czasem mijają uczucia i zostaje przyzwyczajenie. Janusz przez ponad trzydzieści lat nie zdołał jednak przywyknąć do swojej żony, a jej wady z każdym dniem irytowały go coraz bardziej. Próba odejścia skończyła się tym, że przez jakiś czas stał się jeszcze bardziej od niej uzależniony. Bywały wtedy chwile, gdy miał dość życia. Później, kiedy odzyskał zarówno władzę w nogach, jak i nadzieję, że wszystko jeszcze przed nim, wylała rzeka. Skoncentrowany na córce, zaniedbał Marysię, która ostatecznie dała mu kosza.

Może to i dobrze. A może źle, bo został sam, a to do niego nie pasowało. Był jednym z tych facetów, dla których rodzina wiele znaczy. Kochał dzieci. Cekał na wnuki; chciał się o nie troszczyć, by mieć szansę naprawienia błędów, które sam popełnił jako ojciec.

Na razie nie zapowiadało się na wnuki, widoków na związek też nie było. Januszowi musiał

wystarczyć Tadeusz i jego problemy. No i praca. Nawet jeśli to sprawa włamania do garażu. Niczego nie będzie lekceważył, wykaże się skrupulatnością i nauczy szybko pisać na komputerze. Potrzebował swojej pracy, tu czuł, że żyje.

O tym, że kobiety są jakieś inne, Tomek dowiedział się w pierwszej klasie szkoły podstawowej, kiedy to koleżanka, w którą rzucił śnieżką, zamiast oddać, rozryczała się i pobiegła ze skargą do nauczycielki. A przecież śnieg był miękki i na pewno jej nie zabolalo. Natomiast tyłek Tomka później zabolal, owszem, jego ojciec bowiem miał strasznie konserwatywne metody wychowawcze.

Ani wtedy, ani nigdy później Tomek nie zastanawiał się nad przyczyną takiego stanu rzeczy. Akceptował ową inność. Tylko czasem go wkurzała. Tak jak dziś, gdy zadzwoniła Karolina. Czy nie można po prostu powiedzieć: „Dziecko zachorowało, potrzebuję pomocy”? Nie! Muszą być podchody, przepaszanie, podchwytliwe pytania, czy aby nie przeszkadza. Przecież tyle razy powtarzał, że może na niego liczyć. Zwłaszcza jeśli chodzi o pomoc przy chłopcach.

Bez zwłoki ruszył na Różaną. Nie minął kwadrans od rozmowy, a już parkował pod domem Karoliny. Zastał ją w pokoju Kubu, szykowała malca na wizytę do lekarza.

– Pozwól, pomogę – powiedział, wyjmując jej z rąk bluzę.

Tomek nigdy wcześniej nie miał kontaktu z chorym dzieckiem. Zdziwił się, jak gorąca może być skóra, rozpalona gorączką. Wsuwał bezwładne rączki w rękawy bluzy i myślał, jak dzielnie mały wspinał się po drabinkach na placu zabaw. Jeszcze dwa dni temu tak wesoło się bawił. Wziął chłopca na ręce i mocno przytulił, by dodać otuchy bardziej sobie niż choremu.

– Będzie dobrze – zapewniał, niosąc go do samochodu.

Nie bardzo mu się podobało, że Karolina pojedzie do lekarza sama. Chciał tam z nią być.

– Poradzę sobie. Wolę, żebyś został w domu z Kacprem. Nie chcę go ciągnąć do przychodni, jedno chore dziecko wystarczy.

Wrócił do domu i robiąc sobie kawę w kuchni, raz po raz spoglądał na malca, który, owinięty w koc ze Spidermanem, oglądał bajkę w telewizji.

– Mogę się przyłączyć? – zapytał, a gdy dostał pozwolenie, umościł się na kanapie.

Nie mógł się skupić, w napięciu czekał na wiadomość od Karoliny. Wyciągał telefon i wpatrywał się w wyświetlacz, jakby samo to miało mu dostarczyć odpowiedzi na pytania, kłębiące się w głowie. Czy to coś poważnego? Może to tylko grypa? Ale czy przypadkiem grypa u dzieci nie jest poważną chorobą? Chyba tak, czytał kiedyś o powikłaniach. Tylko czy o tej porze choruje się na grypę? Z chorób znał jeszcze przeziębienie, zapalenie płuc i gruźlicę. Martwił się...

Wstał, wyszedł do kuchni i przyłożył głowę do zimnych drzwi lodówki. Uświadomił sobie, że kocha tę kobietę i jej synów. Problem w tym, że w ich życiu jest inny mężczyzna. Przyjdzie dzień, kiedy będzie musiał walczyć o tę rodzinę z Konradem.

Jeśli Karolina i chłopcy kochają jego, Tomka, choć w połowie tak mocno, jak on ich, wygra.

Kot Konstanty złapał się na tym, że ucieka przed współlokatorem. Choć powinien rozkoszować się ciepłą podłogą w salonie, położył się w sypialni pod łóżkiem, świadom, że Seweryn nie zajrzy tu aż do wieczora. Nigdy specjalnie za nim nie przepadał, ale z godnością znosił takie towarzystwo. Jeśli znasz swoją wartość, masz dystans do świata i potrafisz ignorować niedogodności, obecność w pobliżu głupka nie może ci zaszkodzić. Ponieważ Konstanty te i wiele innych przymiotów posiadał, przez długi czas ze stoickim spokojem znosił obecność współlokatora. Teraz jednak czuł, że

pokłady świętej cierpliwości się skończyły. Zadając sobie pytanie, dlaczego tak się stało, Konstanty znalazł dwie odpowiedzi. Pierwsza była taka, że Seweryn w irytujący sposób okazywał mu sympatię. Druga – nikt, zupełnie nikt nie jest w stanie wytrzymać takiego marudzenia.

A Seweryn marudził. Narzekał na swoje życie, które było do dupy, fakt. Narzekał również na samotność, czego już zrozumieć się nie dało. Przecież samotność jest najlepszym, co może się w życiu przydarzyć. To taki cudowny brak skrępowania więzami z innymi, którzy ustawicznie próbują ci narzucić własne poglądy. Samotność to wolność od odpowiedzialności za czyjeś uczucia. A przede wszystkim to rozkoszowanie się towarzystwem samego siebie, najlepszym z możliwych.

No tak. Jak na to popatrzeć z tej strony, towarzystwo współlokatora, które jest nie do wytrzymania dla innych, musi być nieznośne również dla niego. Nic dziwnego, że uwiera go samotność, bo ta jest zarezerwowana dla istot doskonałych, takich jak Konstanty.

Nie znaczy to jednak, że kot chciał być towarzyszem narzekającego człowieka.

Leokadia Jezierska jak zwykle obudziła się po szóstej, ale nie zamierzając wstawać, dopóki Marta nie wyjdzie z domu, pozwoliła sobie na drzemkę. Nigdy jeszcze nie spędziła całego ranka w łóżku i dziwnie się z tym czuła, miała jednak świadomość, że kłamstwo musi być wiarygodne. Nie mogła przecież wstać, krzątać się po ogrodzie, robić śniadania, a później ni z tego, ni z owego oświadczyć, że źle się czuje. Oczywiście Marta i tak by się przejęła, chodziło jednak o umiejętne budowanie napięcia. Od kilku dni Leokadia symulowała symptomy różnych słabości, właściwych jej wiekowi. Pytała o przedmioty, które leżały na widoku, pytała o dzień tygodnia, nie wyszła do ogrodu, tłumacząc, że jakoś nie ma ochoty, a dziś zamierzała odegrać zaśląbnięcie.

Oczywiście, że szkoda jej było Marty, która z niepokojem w oczach patrzyła na to wszystko coraz bardziej zmartwiona, są jednak w życiu sytuacje, gdy cel uświęca środki. Choć Marta nigdy się o tym nie dowie, cały ów spektakl odbywał się dla niej, by zrozumiała, jak niesprawiedliwie krótkie jest życie i jak ważne, by ów czas był szczęśliwy.

Dlaczego oni tak wszystko komplikują? – zastanawiała się Leokadia, wsuwając stopy w kapcie. Doprawdy nie ma nic smutniejszego, niż widzieć ludzi, którzy się kochają, są sobie potrzebni, a jednak się nie rozumieją. My z Konradem byliśmy zupełnie inni. Bo też życie było wtedy inne. To paradoksalne, ale łatwiej żyć w trudniejszej rzeczywistości.

W łazience umyła twarz wodą z mydłem. Skóra natychmiast zaprotestowała przeciw tej zbrodni, ale Leokadia nie potrafiła wyzbyć się nawyku i zmusić do używania nowoczesnych kosmetyków, mleczek i żeli, które kupowała Marysia.

– Twoja skóra będzie po nich bardziej jędrna – przekonywała córka, na co Leokadia odpowiadała, że tylko cud może przywrócić jędrność jej skórze.

Złośliwie dodawała także, że w wypadku Marii jest dokładnie tak samo. Wtedy tamta odwracała głowę. Nie potrafiła odpyskować, zbuntować się przeciw uszczypliwości matki.

– Czemu tak ją traktuję? – zapytała Leokadia własne odbicie w lustrze, ale nie odpowiedziała sobie.

Znała odpowiedź, w pewnym wieku człowiek robi się zbyt stary, by nie być wobec siebie szczerym, niechętnie jej jednak udzielała. Kochała córkę, czyż to nie najważniejsze?

Wróciła do pokoju i przysiadła na brzegu łóżka. Już to, że wciąż miała na sobie piżamę, sprawiało, że czuła się chora. Strach, co by było, gdyby naprawdę zaniemogła. Nie będzie o tym myśleć, lepiej skupić się na życiu. Nie można odchodzić, gdy ważne sprawy wciąż są nieuregulowane. Kiedy Marta

i Olgierd wróca do siebie, wreszcie szczęśliwi, Leokadia będzie mogła naprawdę odejść. Tymczasem musiała symulować chorobę, by ich do siebie ponownie zbliżyć.

Na stole panował bałagan. Oprócz dwóch brudnych kubków stał tam trzeci, wypełniony parującą kawą, leżały gazety, dokumenty, kalendarz, ulotki z pizzerii, kwity z pralni i brudna ścierka. Telefon też gdzieś tam był. Jego sygnał, wydobywający się spod stosu papierów, wydawał się coraz bardziej rozpaczliwy. Zamilknie za pięć sekund, cztery, trzy...

Cisza. I właśnie w tym momencie Michałowi udało się go zlokalizować. Spojrzał na wyświetlacz. Jedno nieodebrane połączenie z zastrzeżonego numeru. Zaklął i by wyładować złość, uderzył pięścią w stół, zbyt późno przypominając sobie, że choć Agata wielokrotnie o to prosiła, wciąż nie dokręcił rozchybotanej nogi. Kawa w kubku rozkołysała i część zalała dokumenty. Zerwał się, by je ratować, ale potracił przy tym stół. Kubek się przewrócił, kawa popłynęła prosto na spodnie Michała. Wtedy ponownie odezwał się telefon.

Rozmowa nie szła po jego myśli. Liczył, że uda mu się przekonać klienta i zdobędzie zlecenie. Skończyło się jednak na ogólnikach. Umówili się na spotkanie i Michał chciał myśleć, że to dobrze rokuje, jednak w głowie słyszał głos, mówiący: „Kolejna strata czasu”. Pilnie potrzebował jakiejś pracy, bo przeciągające się bezrobocie powodowało frustrację. Potrzebował również pieniędzy i domu, w którym mógłby wieść normalne życie.

Mieszkanie w biurze było rozwiązaniem tymczasowym, co dawało się już odczuć, zwłaszcza gdy zabrakło Agaty i owego kobiecego porządku, który wniosła w życie Michała. W całe życie, bo nie chodziło tylko o kwestię pozmywanych naczyń czy wyprasowanych koszul. Agata była jak drogowskaz, który już od momentu pierwszego spotkania wyznaczał Michałowi kierunek.

Co sprawiło, że nagle postanowił iść w przeciwną stronę? Sylwia. Jak zawsze Sylwia. Ta od początku stała się katalizatorem niewłaściwych wyborów i złych decyzji w jego życiu. Jedyną dobrą rzeczą, jakiej się w całym swoim pierwszym małżeństwie doszukał, był rozwód. A mimo to nie wyciągnął właściwych wniosków i ponownie zbliżył się do Sylwii. Zaopiekował się, zaangażował i co najgorsze, zaryzykował szczęście, które go ogarnęło, gdy związał się z Agatą. Dlaczego?

– Bo jesteś głupi i naiwny – odpowiedział sobie, jednocześnie próbując sprząć plamę ze spodni. Kiepsko mu szło. Tak jak wszystko ostatnio. – Idiota. Dureń skończony! – wymyślał sam sobie.

A jednak, choć czuł, że wina za to, że zaniedbał żonę, a także za to, co się stało w ich małżeństwie, leży po jego stronie, nie mógł wybaczyć Agacie braku cierpliwości, który pchnął ją w ramiona Mateusza. Gdyby chodziło o kogoś innego, może łatwiej byłoby to wybaczyć, ale młody Krupski...

Michał nie znał go dobrze, ot, z widzenia. Mijali się na ulicy w czasach, gdy tamten jeszcze mieszkał z rodzicami. Nigdy nie mówił „dzień dobry”, patrzył wilkiem, jarał papierosy jak stary szewc, a dziewczyny zmieniał jak rękawiczki. Traktował świat jak swoje królestwo, na wszystkich patrzył z góry i brał to, na co miał ochotę. Michał szczerze gówniarza nie lubił i bezinteresownie źle mu życzył. Nawet z pewnym zdziwieniem przyjął wiadomość, że Krupski poszedł do policji, bo spodziewał się, że tamten trafi do pierdła.

To, co kiedyś było niechęcią, zwykłym uprzedzeniem, dziś zamieniło się w nienawiść. A skoro tak bardzo nienawidził Mateusza, jakże miał wybaczyć Agacie?

– Głupia, jak mogłaś być tak głupia? – zapytałby ją o to, gdyby miał okazję. Niestety, Agata przeniosła się do Teresy, zostawiając go samego z jego myślami, złością i gniewem. I z samotnością,

która była nie do zniesienia.

Tak, w tym momencie Michał potrzebował wielu rzeczy – pracy, pieniędzy, współlnika i domu, ale najbardziej na świecie potrzebował swojej ukochanej żony.

Marta Krupska podziękowała rehabilitantce, wzięła torbę i wyszła z gabinetu na korytarz, gdzie usiadła na pierwszym wolnym krześle. Nie dlatego, że musiała odpocząć, ćwiczenia nie były męczące, po prostu chciała zatrzymać się na chwilę i uspokoić myśli, przypominające gromadę dzieci – gdy miała je na oku, siedziały grzecznie, ale jak tylko się odwróciła, zaczynały szaleć. Efekt stanowiły wyciągane z dna pamięci obrazy, dawno zapomniane uczucia, przebłęski podświadomości. O ile w życiu Marty panowała stagnacja, o tyle w jej umyśle był taki chaos, że z trudem dawała sobie z nim radę.

Przechodząca korytarzem pielęgniarka zapytała, czy wszystko w porządku.

– Tak, po prostu trochę się zmęczyłam – skłamała, z trudem zmuszając się do uśmiechu.

A później międlila w myślach słowo „w porządku”, jakby to był kawałek papieru, aż w końcu nic z niego nie zostało. No bo przecież nic nie jest w porządku.

Gdy człowiek prawdomówny skłamie, ludzie mu uwierzą, przyjmują bowiem, że jak zawsze jest szczerzy. Tak samo bywa z kłamcami. Jeśli ktoś ciągle oszukuje, to nawet jeśli raz powie prawdę, zostanie ona uznana za kłamstwo. Nie było więc winy Marty w tym, że nie wierzyła Olgierdowi. A jednak tak właśnie się czuła. I jeszcze to dołujące poczucie straty i pragnienie, by cofnąć czas do chwili, zanim wszystko się popsuło.

Najgorsze to, że tak bardzo chciała wierzyć Olgierdowi, a uwierzyła Sylwii. A przecież tamta wcale nie miała powodów, by być absolutnie szczerą wobec Marty, Olgierda czy Tomka. Jednak to jej, podłej manipulantce, Marta uwierzyła. A ów wybór przekreślił szczęście, którego mogła zaznać z Olgierdem. Teraz cierpiała, niewyobrażalnie wprost, bo nie ma nic gorszego, niż kochać kogoś nad życie i nie móc z nim być.

Nie. Jest coś gorszego. To skazująca na samotność świadomość, że już nigdy nikogo się nie pokocha w ten sposób.

Podniosła się z krzesła i powoli, wciąż lekko utykając, ruszyła do wyjścia.

Krzyki, dochodzące z ulicy, obudziły Olgierda. Spojrzał na zegarek – minęło już południe. Potarł skronie, głowę miał dziwnie ciężką. Wstał, przeciągnął się i podszedł do okna, by sprawdzić, co jest źródłem tych hałasów. Zobaczył grupę dzieciaków w biało-granatowych ubraniach. No tak, rok szkolny się zaczął. Dla dorosłego, bezdzietnego faceta pierwszy września jest najzwyklejszym dniem pracy. Dla dzieciaków oznacza on koniec wakacji, początek porannego wstawania i zakuwanie po nocach wiedzy, której nigdy nie wykorzystają. Trudno się dziwić, że krzyczą. Sam miał na to ochotę, gdy pomyślał, jak teraz wygląda jego życie.

Najróżniejsze emocje i pragnienia zaplątały się w cholerny węzeł gordyjski, a Olgierd, nie wiedząc czemu, chciał to wszystko rozsypać. Kusiło go, by idąc za przykładem Aleksandra Wielkiego, przeciąć supeł, jednak obiecał sobie, że nigdy więcej nie będzie dupkiem.

Dlatego też tkwił w Rubiniu, zamiast wyjechać i odciąć się od tego całego bajzlu z Sylwią i dzieckiem, którego rzekomo miał być ojcem. Słowa „ojciec” Olgierd nie lubił od dziecka, teraz stało się jeszcze bardziej zniechędzone, z powodu owej niepewności, jaką do niego dodawał za każdym razem, gdy myślał o dziecku Sylwii. Gdyby wiedział, że jest jego, zaakceptowałby ów fakt.

Poniósłby konsekwencje nie tylko finansowe; również emocjonalnie zainwestowałby w to, by być dobrym tatą (nie ojcem). Jeśli jednak dziecko nie jest jego?

Gdyby chodziło o Martę, nie miałyby to znaczenia. Powiedziałaby: „Okej, popełniłaś błąd, ale kocham cię tak mocno, że nie ma sposobu, bym również nie pokochał tego dziecka”. Niestety, w ciąży była kobieta, za którą Olgierd nie przepadał. Chciałby jej nienawidzić, ale przez ten krótki okres, gdy spotykali się wiosną, uważał, że jest fajna, zabawna i inteligentna, i tamte wspomnienia wciąż miały wpływ na jego obecne odczucia. Gdyby nie to, że obwinił Sylwię o zrujnowanie jego z takim trudem odbudowywanych relacji z Martą, może mógłby myśleć o niej z sympatią.

Niestety, stało się to, co się stało. Marta, jak zwykle, mu nie uwierzyła, wszystko się skończyło, a w brzuchu Sylwii rosło dziecko. Obie były przekonane, że to Olgierd jest ojcem, choć on sam uważał inaczej.

Wszedł do kuchni, by zrobić sobie kawę. Na stole stała opróżniona do połowy butelka johnniego walkera. Dziwne, miał wrażenie, że wczoraj to były tylko dwa kieliszki. Góra trzy. Powinien uważać. Picie nie jest dobrym wyjściem, gdy człowieka trapią kłopoty. Niczego nie rozwiązuje, w niczym nie pomaga i może tylko bardziej wszystko zagmatwać. A czego, jak czego, ale komplikacji Olgierd miał pod dostatkiem. Jedyne, o czym marzył, to wyjście na prostą.

Teresa zostawiła klucz od pokoju w recepcji i poszła nad morze. Trochę szkoda było wyjeżdżać, czuła jednak, że powoli nadchodzi czas powrotu do domu. Kiedy wyjeżdżała z Rubinia, myślała tylko, że to dobry pomysł. Po przyjeździe tutaj miała kryzys i pragnęła jak najszybciej wrócić. Dobrze, że tego nie zrobiła, bo teraz widziała, że ten wyjazd był prawdziwym błogosławieństwem.

Jest pewna mądrość w biblijnej sugestii, by udać się na pustynię, gdy trzeba przemyśleć ważne sprawy. W samotności i ciszy łatwiej zajrzeć w głąb swego serca. Szum fal zagłuszał jej płacz, wiatr unosił pełne wściekłości słowa, deszcz splukiwał łzy i w końcu w duszy Teresy nastał spokój, podobny do poranka. To spojrzenie z daleka na siebie, swoje małżeństwo i życie, sprawiło, że dokonała rozliczenia, oceniając, co naprawdę miało wartość i co powinna zachować, a o czym trzeba zapomnieć. Mimo że straciła Zbyszka, w jej życiu wciąż są ludzie, o których warto powalczyć. Janina, Maria i Wanda, Janusz, a przede wszystkim Agata, za którą Teresa bardzo już tęskniła.

Tęskniła też za swoim ogrodem, zanurzaniem palców w wilgotnej ziemi, podlewaniem, przycinaniem, za tym wszystkim, co jest związane z pielęgnowaniem roślin. To zadziwiające, jak proste czynności mogą nas uszczęśliwić. Teresa przypomniła sobie zasłyszaną kiedyś mądrość: „Chcesz być szczęśliwa przez tydzień, znajdź sobie męża. Chcesz być zawsze szczęśliwa, załóż ogród”. Uśmiechnęła się; czuła, że życie wciąż ma jej coś do zaoferowania. Nawet jeśli to tylko spokojne dni, i tak się cieszyła. Najważniejsze, że ma przyjaciół i nie jest samotna.

Teodor Marciniak nie był z siebie zadowolony. Wydawało się to dziwne, bo na ogół nie był zadowolony z innych. Tym razem jednak jego własna głupota sprawiła, że sam sobie musiał powiedzieć kilka gorzkich słów. No bo jak można popełnić tak głupi błąd? Teodor, pasjonat literatury, a poezji w szczególności, wiedział, że nie należy utożsamiać narratora z autorem, bowiem narrator jest to postać należąca do fikcji dzieła literackiego. Nie należy również stawiać znaku równości między podmiotem lirycznym a poetą, gdyż zawsze istnieje ryzyko, że ten się kreował, nałożył maskę czy też, jak to dosadnie nazwał Gombrowicz, gębę.

I mimo owej wiedzy Teodor dał się zwieść i oszukać. Uwierzył, że poetka jest równie delikatna,

wrażliwa i słodka, co jej ja liryczne. Rzeczywistość okazała się rozczarowująca – pięćdziesięcioletnia podfruwajka, która lata za jakimś nieoczytanym łachmytą w sandałach.

Najbardziej bolesne było jednak to, że on, Teodor, otworzył się przed nią, nie krył prawdy o sobie, pełen nadziei, że przeniosą tę znajomość na wyższy poziom. Przyszła nawet chwila, gdy myślał, że chyba mógłby się z Marią ożenić.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Trzeba patrzeć na świat pozytywnie, a z błędów wyciągać wnioski na przyszłość. Rozchwiane emocjonalnie poetki nie są dobrymi partnerkami życiowymi. A mądry mężczyzna, taki jak on, Teodor Marciniak, potrzebuje kobiety solidnej. I znajdzie ją. Bo życie w samotności jest smutne.



Rozdział drugi

Róża Falstaff

Róża Falstaff – wyszła spod ręki Davida Austina i jest ukoronowaniem jego poszukiwań idealnej czerwieni. Kwiaty tej odmiany to idealne rozety, duże, przeszło dziesięciocentymetrowe, składają się z ponad pięćdziesięciu płatków w kolorze karminowoczerwonym, wpadającym w purpurę, i pachną upojnie. Jest to niewątpliwie jedna z najpiękniejszych róż o czerwonych płatkach. Piękno kwiatów podkreślają ciemnozielone, matowe liście. Dodatkowe jej zalety to małe wymaganie (choć zaleca się ją sadzić w półcieniu, gdzie płatki nie blakną) i duża odporność na deszcz oraz upały.

Te kwiaty, które mi dałeś, powinny być kamienne.

– Czemu tak mówisz?

– Więdną, niedługo będę je musiała wyrzucić. – Na dowód przemijalności kwiatów Sylwia zebrała kilka płatków, które opadły na komodę, i wrzuciła je do szklanej misy z potpourri. – A to, co się stało, jest tak niewiarygodne, że boję się, by nie znikło wraz z kwiatami.

W jej figurze nie było jeszcze widać zmian spowodowanych ciążą, ale ruchy miała powolniejsze, bardziej ociężałe. Podeszła do kanapy i na niej usiadła

– Powiedz mi, Olgierd, dlaczego dałeś mi te kwiaty?

– Już ci mówiłem. Chciałem cię przeprosić. – Sięgnął po filiżankę kawy, którą Sylwia postawiła przed nim na początku wizyty. Napój wciąż był zbyt gorący.

– A tak naprawdę?

Czuł się tak, jakby próbował schować twarz za filiżanką, by bezpiecznie ukryty przed wzrokiem Sylwii mógł sformułować właściwą odpowiedź. Słowa miały znaczenie.

– Widzisz, przemyślałem kilka spraw. Spojrzałem w przeszłość i doszedłem do wniosku, że byłem dupkiem. To trochę przygnębiające, bo miałem o sobie lepsze mniemanie. Wiesz, czasem trzeba zrobić krok w tył, by móc ruszyć do przodu. Dlatego postanowiłem naprawić to, co jeszcze da się uratować.

Sylwia poprawiła poduszkę i sięgnęła po szklany kubek wypełniony płynem w kolorze sików.

– Rumianek – wyjaśniła. – Najlepszy przyjaciel ciężarnej.

Przez chwilę piła powoli, widać było, że nad czymś się zastanawia. Olgierd jej nie ponaglał, cieszył się z tej przerwy w rozmowie. Wodził wzrokiem po elegancko urządzonej salonie. Na tle bieli ścian i sprzętów barwne kwiaty, które jej przyniósł kilka dni wcześniej, robiły imponujące wrażenie. Były tak piękne i było ich tak dużo, że choć wściekła Sylwia nie wpuściła Olgierda do środka, przyjęła gałązkę oliwną. Powiedziała, że się odezwie, jak będzie gotowa. Poprzedniego wieczoru zadzwoniła i zapytała o plany Olgierda na nadchodzący dzień. Nie miał żadnych, więc ustalili, że odwiedzi ją wczesnym popołudniem.

– Wiesz, bo tak się zastanawiam... – Odstawiona na szklany blat szklanka brzdęknęła cicho. – Jak

wyglądają sprawy między tobą i Martą? Ją też będziesz przeproszał?

To akurat nie było zaskakujące pytanie, Olgierd się go spodziewał.

– Marta jest na mnie zła nie dlatego, że będę miał z tobą dziecko, ale dlatego, że jej nie powiedziałem. Nie pierwszy raz ją oszukałem i gdybyśmy byli razem, pewnie nie ostatni. Czasem, kiedy kogoś kochasz, to chcesz go chronić i wydaje ci się, że kłamstwo to dobry sposób. – Zamilkł na chwilę, by zapanować nad emocjami. Nie sądził, że mówienie o Marcie na głos będzie takie trudne. – No w każdym razie dała mi do zrozumienia, że ma dosyć i to koniec. Ja to akceptuję. Pytasz, czy zamierzam ją przeprosić? Tak, ale nie kwiatami i nie jutro. Na pewne sprawy potrzeba czasu.

– Czyli wciąż ją kochasz? – W głosie Sylwii zabrzmiały nuty zazdrości.

– A czy ty wciąż nie kochasz Michała? Nie tak jak dawniej, gdy byliście małżeństwem, tylko tak, nie wiem, sentymentalnie?

Zamiast odpowiedzieć, roześmiała się, oczyma dając znak, że jest trochę prawdy w jego słowach i ona się z tym zgadza. Potem poszła do kuchni po więcej rumianku dla siebie. Olgierd nie chciał kolejnej kawy.

– Może wody albo coli? – krzyknęła z kuchni.

Wybrał colę. Kusiło go, by poprosić, żeby Sylwia dodała nie tylko lód, ale również odrobinę wódki, jednak nie zrobił tego. Przyszły ojciec musi być człowiekiem odpowiedzialnym.

– A skoro już o moim byłym mężu mowa... – Sylwia poprawiła poduszki, nim usiadła na kanapie. – Jak wam się układa współpraca?

– Chwilowo się nie układa. Nie mamy zleceń, o co obwiniamy się wzajemnie, więc się unikamy, by nie doszło do rozlewu krwi.

Parsknęła śmiechem i w tym momencie wyglądała, jakby nie miała blisko czterdziestu lat, tylko szesnaście. Należała do tych kobiet, które zachowują na zawsze pewien rys dziewczęcości. Olgierd, jeśli chciał być sprawiedliwy, musiał przyznać, że jest bardzo ładna – delikatne rysy twarzy, wyraziste oczy i jasne włosy sprawiały, że wyglądała jak królewna z bajki dla dzieci.

– Michał ostatnio bardzo mi pomógł. Chciałabym mu się odwdzińczyć, rozejrzę się za czymś, ale musisz obiecać, że to zostanie między nami.

Obiecał i uznawszy, że żadne z nich nie ma już nic do powiedzenia, zaczął się zbierać do wyjścia. Sylwia odprowadziła go do drzwi. Widać było, że coś ją trapi, lecz nie chciał pytać. Może mu się tylko wydaje?

– Olgierd, jak to teraz jest z nami? – Jednak mu się nie wydawało.

– Czekamy na dziecko. Teraz ono jest najważniejsze. O reszcie będziemy myśleć później. Nie chcę, żebyśmy się śpieszyli. – Nie chciał powiedzieć nic, co zabrzmiałoby jak deklaracja. Słowa mają znaczenie. – Popełniliśmy ten błąd na początku i nic dobrego nie wynikło. Sorki, nie miałem na myśli dziecka.

Po przyjacielsku klepnęła go w ramię, by dać do zrozumienia, że nie rozumiała jego słów w taki sposób.

– Tak, lepiej, jeśli na razie skoncentrujemy się na dziecku. – Była jednak rozczarowana, nie wydawało mu się. – W przyszłym tygodniu mam wizytę u ginekologa, jeśli chcesz...

Zapewnił, że chce. Umówili się, a później jeszcze poprosił, by dzwoniła do niego za każdym razem, jak będzie potrzebowała pomocy. Zanim wyszedł, delikatnie pocałował ją w czubek głowy.

Ulica rzadko kiedy jest sceną ludzkich dramatów. Zwykle rozgrywają się one w domach, zasłonięte

przed wzrokiem wścibskich sąsiadów kuchennymi zazdrostkami, eleganckimi firanami w salonie czy żaluzjami w sypialni. Zdarza się wszakże, że coś przeniknie na zewnątrz i wtedy uważny obserwator ma szansę poznać prawdę, ukrywaną przed światem. Ale powiedzmy sobie szczerze: kto z nas ma dziś tyle czasu, by skupić się na szczegółach otaczającego świata? Skupieni na sobie, zbyt zajęci próbami uchwycenia życia, które i tak przecieka nam między palcami, małą uwagę zwracamy na to, co się dzieje po drugiej stronie ulicy. Może się jednak zdarzyć, że zatrzymamy się na moment i nie mając nic lepszego do roboty, zaczniemy się przyglądać życiu sąsiadów, by z drobiazgów, które uda się dostrzec, ułożyć całą historię.

Agata, choć wciąż się do tego przed sobą nie przyznawała, zaczynała się nudzić. Życie żony Michała nie było szczególnie ekscytujące, ale lubiła wspólne oglądanie telewizji, spacerowanie, gotowanie, rozmowy i seks. Po prostu lubiła towarzystwo męża, a gdy go zabrakło, uświadomiła sobie, jak długie potrafią być dni. Zabijała nudę pracą w ogrodzie i czytaniem książek. I często się zdarzało, że siedziała na tarasie, a ponieważ Różana była spokojną ulicą i niewiele się tu działo, młoda kobieta po prostu gapiała się przed siebie.

Czasem jednak udawało jej się dostrzec coś interesującego. Kilka dni temu Olgierd przyniósł Sylwii kwiaty. Choć kwiaty to za mało powiedziane, lepiej pasowałoby stwierdzenie, że dostarczył jej kwiaciarnię. Brzozowska przyjęła kwiaty, ale mężczyzny nie. Dziś zjawił się ponownie i tym razem został wpuszczony do środka. Ciekawe, dlaczego przyszedł? Przecież nie był ojcem dziecka, to Agata wiedziała. A właściwie taki wysnuła wniosek z tego, co mówili Michał i Marta i co sama widziała w domu kultury. Mogła się mylić, dziecko mogło zostać poczęte w zupełnie innym miejscu i czasie.

Lecz mogło również być tak, że Sylwia okłamała Olgierda, zmanipulowała go tak, jak manipulowała Michałem.

Ta okropna kobieta zupełnie nie liczyła się z uczuciami innych. Egoistka, tak skupiona na sobie, że zupełnie nie dostrzegała uczuć innych ludzi. Nawet własnego dziecka nie dostrzega. A Julkę ewidentnie coś trapiło. Gdzieś w połowie drogi między matką i jej gachem a ojcem, rujnującym swoje drugie małżeństwo, rozgrywał się wielki dramat małej dziewczynki.

Agata usłyszała niemy krzyk nastolatki, wyrażony radykalną zmianą image'u, i wiedziała, że ktoś powinien z tą dziewczyną porozmawiać. Powiedzieć jej, że pierwsza miłość boli najbardziej, ale złamane przez nią serce najkrócej się goi. Uzmysłować, że świat pełen jest facetów, niektórzy z nich są fajni, a inni to złamasy, i szkoda tracić czasu na myślenie o nich. Wyjaśnić, że w tym momencie związek z Mateuszem nie wydaje się najlepszym pomysłem, ponieważ Krupski to dojrzały mężczyzna, a Julka wciąż nie jest kobietą. Potrzebuje czasu, by dorosnąć, dojrzeć.

Źle jest wchodzić zbyt szybko w pewne relacje, Agata miała na ten temat sporo do powiedzenia, w końcu zaliczyła związek z Grzesiem. Związek, który nie wydawał się zły, dopóki się z niego nie wyplątała. Dopiero to jej uzmysłowiło, jak, starając się przypodobać partnerowi, nie była sobą. Gdyby nie Michał, możliwe, że dziś nadal byłaby z Grzegorzem, chodziła po górach w brzydkich butach i słuchała poezji śpiewanej w zimnym schronisku. Jak niewiele czasem brakuje, by nasze życie stało się koszmarem. I choć to, co działo się teraz w życiu Agaty, nie było może najszcześniejsze, przynajmniej czuła, że jest sobą.

Julka zaś sobą nie była. Rozpaczliwie szukała własnej tożsamości, nie wiedząc, że w jej wieku skłonność do egzaltacji jest normą. Ktoś powinien jej to uświadomić w szczerzej, życzliwej rozmowie. No ale tym kimś na pewno nie będzie ona, Agata.

– Chodź, Freddy, pójdziemy na spacer! – zawołała, zdejmując z wieszaka smycz. – Zbyt długo myślałam, muszę przewietrzyć głowę.

Pech chciał, że gdy wyszła na ulicę, stanęła oko w oko z pasierbicą. Zaskoczyło to Agatę; poczuła się zawstydzona, tak jakby została przyłapaną na swoich myślach. Burknęła więc „cześć” i zamierzała szybko uciec nad rzekę. Pewnie tak by się stało, gdyby Julka odpowiedziała, ale dziewczyna zignorowała macochę.

– Czy ty myślisz, gówniario, że nie masz obowiązku mówić mi „dzień dobry”? – zapytała Agata głosem podobnym do pisku metalu po szkle. Julka nie odpowiedziała. Stała naprzeciwko Agaty, okazując całą sobą, jak bardzo ma ją w dupie. – Zachowałeś się wrednie. Okłamałeś własnego ojca, żeby się na mnie zemścić. I teraz my oboje cierpimy, ponieważ twoje kłamstwo popsuło nasze relacje. Być może nigdy ich nie naprawimy i twój tatuś do końca życia będzie nieszczęśliwy. Tego dla niego chciałeś? Pewnie tak. Pewnie myślałeś, że skoro ty nie możesz być szczęśliwa, nikt inny nie ma do tego prawa.

Chciała jeszcze powiedzieć, jak wrednym bachorem jest Julka i jak bardzo przypomina w tym własną matkę, uświadomiła sobie jednak, że i tak zbyt się zagalopowała. Ominęła dziewczynę i prawie biegiem ruszyła ku rzece.

Trawa zarosła brzegi, ukrywając wszystkie rany, zadane przez powódź, i tylko martwe drzewa przypominały o wydarzeniach, które zmieniły początek lata w katastrofę. Jej skutki wciąż były odczuwalne, choć coraz mniej widoczne. Letnie deszcze zmyły błoto, słońce osuszyło ziemię, a nowe rośliny zastąpiły te zniszczone. Przyroda szybko doszła do siebie. Zupełnie inaczej niż ludzie. Dla nich powódź była jak katalizator powodujący, że popełniali błędy i komplikowali sobie życie.

Można było jednak słusznie podejrzewać, że przyczyną tego wszystkiego, co wydarzyło się ostatnio w życiu mieszkańców Różanej, nie jest powódź, tylko zwykła ludzka głupota.

– Julka, jak miło, wejdz – powiedziała Janina do stojącej w drzwiach dziewczyny, chociaż wcale nie uważała tej wizyty za miłą i zupełnie nie miała na nią ochoty.

Przeszły do kuchni, gdzie Krupska zajęła się przygotowywaniem herbaty, a nastolatka zaczęła się bujać na kuchennym taborecie.

Milczały, każda na swój sposób. Janina ze smutkiem, Julka tak jakoś buntowniczo. Dopiero gdy na stole pojawiły się kubki z herbatą i talerzyk czerstwych herbatników, gospodyni zdecydowała się zacząć rozmowę.

– Zmieniłaś kolor włosów, dość radykalnie.

Julka skinęła głową.

– Zrozumiałaś już, że to zły pomysł?

Dziewczyna rzuciła jej pytające spojrzenie.

– Ten kolor... zupełnie ci nie do twarzy. Jesteś młoda i to najlepszy czas na eksperymentowanie, ale jeśli ktoś ci powiedział, że świetnie wyglądasz, kłamał.

– Nikt mi nic takiego nie mówił – odezwała się tamta po raz pierwszy.

– Bo też mało z kim ostatnio rozmawiasz, prawda?

Janina nie zadała tego pytania, by usłyszeć odpowiedź. Chciała, by Julka zastanowiła się nad nim. Znała tę dziewczynę od lat, uważała ją za rozsądną i rezolutną i nie mogła pojąć, co wywołało taką zmianę. Tu nie chodziło tylko o kolor włosów. Jeszcze przed wakacjami Julka spędzała przerwy z koleżankami. Gadały wtedy jedna przez drugą, a gdy korytarzem przechodził ładny chłopiec,

udawały, że go nie widzą, ale ich głosy zmieniały się w piski, śmiech stawał się teatralny.

Czasem zdarzały im się drobne przestępstwa, papieros zapalony w szkolnej toalecie, wódka wypita podczas wycieczki szkolnej, nie było to jednak nic, co wykraczałoby poza kategorię zwykłych głupstw młodości. Nawet tę zmianę koloru włosów Janina tak by zakwalifikowała, gdyby nie szła za tym radykalna zmiana w zachowaniu dziewczyny; towarzyska Julka stała się nagle odludkiem, a śmiech zastąpiło ponure milczenie.

– Czasem dobrze z kimś porozmawiać. – Wygłoszona *ex cathedra* uwaga nie zabrzmiała jak dobra rada i pewnie dlatego od razu wywołała ostrą reakcję Julki.

– No nie wiem. Właśnie przed chwilą rozmawiałam z Agatą. Nazwała mnie podłą suką.

Być może Janina dałaby wiarę jej słowom, gdyby tyle lat nie pracowała w szkole. Dzieci oszukują w żywe oczy, manipulują faktami, mówią półprawdy. Kiedy są małe, robią to w sposób nieumiejętny i nie trzeba specjalisty, by się zorientować. Ale szybciej niż ułamków czy ortografii uczą się trudnej sztuki mówienia kłamstw tak, by brzmiały przekonująco.

Gdyby jednak w tej chwili Janina pokazała, że nie dała się zwieść, dziewczyna prawdopodobnie zamknęłaby się w sobie, a nie o to chodziło.

– To okropne. Twój ojciec powinien coś z tym zrobić.

– Oni się pokłócili. Agata mówi, że przeze mnie...

Janina jak gdyby nigdy nic sięgnęła po ciasteczko. Nie pamiętała, kiedy je kupiła, i zanim ugryzła, przyjrzała się uważnie, czy nie zobaczy na nim drobinek kurzu.

– Ale ja nie kłamałam. Powiedziałam ojcu, co widziałam, to wszystko. Agata nie miała prawa. Jak się jest czyjąś żoną, to się tego kogoś nie zdradza, prawda?

– Oczywiście – spokojnie odpowiedziała Janina, w duchu uśmiechając się do myśli, jak młoda i naiwna jest Julka.

Ta mała nic nie wie o życiu, małżeństwie i zdradzie. Czasem tylko zdrada umożliwia funkcjonowanie w roli czyjejś żony. Janina miała to przećwiczone. Budowanie szczęśliwej rodziny z kimś tak trudnym w pożyciu jak Janusz powodowało tak ogromny stres, że... czasem potrzebowała chwili odprężenia w zupełnie innym świecie i innej relacji. Teraz jedno i drugie się skończyło, nie warto było niczego rozpamiętywać. Nie było też słów, którymi można wyjaśnić Julce, że czasami grzech wcale nie jest tak grzeszny.

To, jak bardzo się zamyśliła, uświadomiło jej dopiero ponaglające chrząknięcie nastolatki.

– Wybacz, myślałam o tym, co powiedziałaś.

– Nie miała prawa. Dobrze zrobiłam, prawda?

Zrobiłaś najgorszą z możliwych rzeczy. Nikt nie powinien się wtrącać między małżonków, to się zawsze źle kończy. Dla wtrącającego się również, pomyślała. A na głos powiedziała:

– Rozumiem, co czujesz. Musi ci być teraz bardzo ciężko.

W oczach dziewczyny zakręciły się łzy.

– Najgorzej przez tę ciążę mamy. Niedługo wszyscy się dowiedzą. W szkole nie będę miała życia.

– Teraz rozumiem. Postanowiłaś uprzedzić atak i dlatego się wyalienowałaś. – Janina stwierdziła fakt. – To nie jest właściwa droga.

Co ty tam wiesz, mówiło spojrzenie Julki.

Zdziwiłabyś się, jak dużo, również spojrzeniem odpowiedziała Janina, a potem w milczeniu dopiły herbatę.

– Powinnam już iść. – Pierwsza odezwała się Julka.

Janina uznała, że nie będzie jej zatrzymywać. Poprosiła tylko, żeby dziewczyna zaglądała do niej, ilekroć poczuje potrzebę, by z kimś pogadać.

– Chciałam jeszcze o coś zapytać... – Nastolatka przystanęła w drzwiach, wyglądała jak jedna wielka dziecięca nieśmiałość. – Ten zabieg, o którym pani mówiła... To już był?

– W przyszłym tygodniu.

– A jest ktoś, kto z panią pójdzie? Bo jakby co, to ja chętnie.

Przytulając Julkę, Janina szybko starła z policzków łzy.

Chłodne powietrze wieczoru pachniało wilgotną ziemią i dojrzewającymi jabłkami. Zmierzch zaciemnił niebo, choć jeszcze niedawno o tej porze było jasno. To nie kalendarz, ale właśnie te minuty, które noce kradły dniom, uświadomiły Marcie, że jesień staje się faktem. Zanim zamknęła okno, by uchronić pokój przed wyziębieniem, popatrzyła na ogród. Przypominała sobie, jak wyglądał wiosną, gdy wkładała nasionka w nagą ziemię. Te małe jak paproszki, trudne do uchwycenia w palce, dały początek marchewkom, portulakom, goździkom i makom. Podłużne, podobne do drzazg, zamieniły się w aksamitki, okrągłe jak malutkie koraliki okazały się rzodkiewkami.

Nasiona były tak niepodobne do roślin, które z nich wyrosły, jak wiosenny ogród nie był podobny do tego wczesnojesiennego. Po połaciach brunatnej ziemi nie pozostało śladu. Wszędzie coś rośło, kwitło, czasem tylko wegetowało. Tam, gdzie kiedyś kwitły przebiśniegi, teraz kędzierzawymi głowami machały astry. Dumne cynie i dalej zastąpiły skromne bratki. Po pożółkłych łodygach kukurydzy, których nie wycięto dlatego, że musiały na nich dojrzeć kolby, by dać nasiona na przyszłoroczne plony, pięła się ozdobna dynia, a jej śmieszne, małe owoce przypominały afrykańskie instrumenty.

Marta zamknęła okno z poczuciem żalu, jakby traciła coś ważnego. Może to kwestia tego widoku, tak bajecznie kolorowego i tak spokojnego zarazem. Spoglądanie na ogród sprawiło, że na chwilę zapomniała o tym, co się dzieje w domu. A źle się działo. Leokadia wyraźnie podupadła na zdrowiu. Dużo czasu spędzała w łóżku, straciła apetyt. Najgorsze jednak, że nie miała już tej życiowej energii, która dotychczas z niej emanowała, pozwalając wszystkim myśleć, że Jezińska seniorka jest nieśmiertelna.

Marta weszła do kuchni. Na szafce stał ceramiczny czajniczek, w którym zaparzyła melisę. Czy minęło już dziesięć minut? Trudno stwierdzić; miała wrażenie, jakby wpatrywała się w ogród godzinami. Podniosła pokrywkę. Napar pachniał intensywnie, trochę słodczą, a trochę jesiennymi chwastami. Uznawszy, że jest gotowy, nalała go do zdjętego z ociekacza kubka i zaniósła do pokoju staruszki. Cichutko otworzyła drzwi i przez chwilę wpatrywała się w leżącą na łóżku... No właśnie kogo? Kim dla niej była Leokadia? Sąsiadką? Babcią? Przyjaciółką? Tak, ta ostatnia odpowiedź pasowała najlepiej.

– Nie śpię jeszcze – powiedziała słabym głosem tamta. Marta podeszła i postawiła kubek na nocnym stoliku. – Nie martw się, wszystko będzie w porządku.

Choć te słowa miały nieść pocieszenie, zabrzmiały, jakby zapowiadały przyjście śmierci tej nocy. Marta szepnęła „dobranoc” i wyszła z pokoju. Weszła do kuchni tylko po to, by nalać sobie melisy.

Usiadła na tarasie. Kubek parzył dłonie, chłód nocy przenikał przez cienką bluzę, łzy spływały po policzkach. Świat był piękny, a życie okropne.

Karolina zamknęła drzwiczki zmywarki. Niesamowite, ile naczyń mogą zabrudzić cztery osoby

w jedno popołudnie. W czasie, gdy maszyna wykonywała za nią najbardziej zniechęcającą przez gospodynie domowe czynność, Karolina zajęła się sprzątaniami tego wszystkiego, czego do zmywarki nie dało się już włożyć. Wytarła blaty, zamiotła podłogę, odstawiła na półki pojemniczki z przyprawami. Kiedy skończyła, rozejrzała się z satysfakcją. Zadziwiająco, jak schludnie było teraz w jej kuchni. Ostatnio w całym domu zrobiło się czysto. Może nie nieskazitelnie, przy dwójce dzieci to niewykonalne, ale po prostu czysto. Połamane kredki świecowe na kanapie, plamy z farbek na obrusie czy porzucane klocki należały do przeszłości. Podobnie jak resztki jedzenia, które, powrzucone za meble, stały się miejscem życia rodzinnego organizmów, znanych tylko mikrobiologom.

– Pomóc ci? – zapytał Tomek, wchodząc do kuchni.

– Właśnie skończyłam. Śpią już? Jak ty to robisz?

Uśmiechnął się w odpowiedzi i zaczął przygotowywać herbatę. Karolina zgasła górne światło; w kuchni zapanował przyjemny półmrok.

– Teraz widać, jak fajnie to wygląda – wyjaśniła, wskazując ogród.

Uległa namowom chłopców, by kupić do ogrodu lampy zasilane energią słoneczną. W dzień plastikowe kule wyglądały kiczowato, ale po zmierzchu plamy bladego światła nabierały uroku, sprawiając, że rośliny wokół wyglądały jak sprowadzone z zaczarowanego lasu.

Podniosła do ust kubek i z satysfakcją stwierdziła, że herbata smakuje idealnie. Od wielu lat słodziła półtorej łyżeczki. Konrad traktował to jak wydumaną fanaberię i sypał, jakby na złość, raz jedną, raz dwie łyżeczki cukru.

I po co mi takie myśli? – zapytała samą siebie. Chyba tylko po to, by popsuć sobie nastrój. Nie będę o nim myśleć ani teraz, ani jutro. A najchętniej nigdy. Zostawił mnie i dzieci, nigdy mu nie wybaczę, niech idzie w diabły.

– Wszystko w porządku? – zapytał Tomek.

– Jasne. Dlaczego pytasz?

– Wyglądasz na smutną.

– To tylko zmęczenie. Choroba dziecka potrafi dać w kość.

– Fakt. Ale świetnie sobie poradziliśmy. Widziałaś małego dziś po południu? Aż trudno uwierzyć, że jeszcze trzy dni temu gorączkował. Czytałem dziś chłopcom *Rozbójnika Rumcajsa* i tak sobie pomyślałem, że może w przyszły weekend zabralibyśmy ich na wycieczkę?

– Do Jiczina?

– Też możemy. – Tomek się roześmiał. – Chociaż myślałem o czymś bliżej. Może Świeradów? Chłopcy lubią góry?

Dotychczas jedyną górską wycieczkę zafundowała im Agata, gdy zarządziła ewakuację, pomyślała Karolina, a głośno powiedziała:

– Przekonamy się w przyszły weekend. Może by Adam do nas dołączył? Nie było go u nas od paru dni.

– Szkoła, koledzy.

– Dziewczyna?

– Nie wiem. Może. Zadzwoń do niego.

– Brzmi jak plan. – I podniosła się, by opróżnić zmywarkę, która uporała się już z brudnymi naczyniami.

– Siedź, ja to zrobię – zaproponował Tomek.

Nie posłuchała i razem wyjmowali naczynia, pomagając sobie i przeszkadzając jednocześnie. Gdy ich ręce przypadkowo się zetknęły, Karolina poczuła jakby ukłucie rozżarzoną igłą, tylko bardziej przyjemne niż bolesne. I ponieważ chciała to czuć i nie chciała jednocześnie, to zbliżała się do Tomka, to zaraz potem odsuwała. Chyba zauważył ten dziwny taniec, bo atmosfera w kuchni stała się gęsta jak budyń czekoladowy. Należało powiedzieć coś takiego, co sprawiłoby, że wszystko wróci do normy.

– Dziękuję, że mi pomogłeś. Mam na myśli nie tylko naczynia, ale też ogród i chłopców...

Tomek podszedł do Karoliny. Patrzył jej prosto w oczy.

– Wiesz, że dla ciebie i dla chłopców zrobiłbym wszystko. Wszystko!

Zdała sobie sprawę z tego, że jeśli chciała powrotu do normy, wybrała złe słowa.

– Co mam teraz powiedzieć? – zapytała bezradna.

– Nic, jeśli mnie nie kochasz.

– Kocham.

Tysiące rozżarzonych igieł wbiło się w ciało Karoliny, gdy Tomek ją przytulił. Przywarła do niego z całej siły. Czuła się, jakby witała kogoś bardzo drogiego, kto wrócił z dalekiej podróży.

– Później wyjdiesz, dobrze? Nie chcę mieszać chłopcom w głowach. – To były ostatnie słowa, które wypowiedziała, zanim została wiarołomną żoną.

– Pięćdziesiąt złotych? – Teresa ze zdziwieniem patrzyła na taksówkarza.

– Nocna taryfa.

– Ale żeby pięćdziesiąt złotych? Przecież z dworca tutaj to mały spacer.

– To trzeba było spacerować.

Z irytacją wyszarpnęła z portfela banknot i rzuciła nim w stronę kierowcy. Czuła ten rodzaj irytacji, który pojawia się w sytuacji, gdy człowiek wie, że jest oszukiwany, ale nic nie może z tym zrobić. Taksówkarz, który na dworcu usłużył jej walizkę w bagażniku, teraz nie raczył wysiąść. Teresa wyszarpnęła swój bagaż, a potem trzasnęła klapą tak, że zaszczekały psy na sąsiedniej ulicy.

– Spokojnie, paniusiu! – W głosie kierowcy słychać było, że gwałt dokonany na aucie zabolął również jego.

– Zjeżdżaj, złodzieju! – mruknęła Teresa, na tyle cicho, by nie mógł jej usłyszeć. Czuła, że musi mieć ostatnie słowo, chociaż nocna pyskówka z taksjarem była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

To był długi, męczący dzień. Jeden z tych, gdy wszystko idzie nie tak. Źle zapamiętała godzinę odjazdu autobusu i musiała czekać na następny w przenikliwym zimnie poranka. Pociągi albo się spóźniały, albo uciekały, współpasażerowie byli zbyt głośni, kawa na dworcu smakowała jak pomyje. Plan, który zakładał dotarcie do Rubinia późnym wieczorem, całkowicie się posypał. Po dwóch godzinach czekania na dworcu we Wrocławiu wreszcie wsiadła do pociągu, który przywiózł ją do celu. Na koniec popełniła błąd, biorąc taksówkę.

No ale na szczęście była już na miejscu. Zatrzymała się przed furtką. W wilgotnym powietrzu nocy zapachy nabierały intensywności. Doleciał do niej ożywczy aromat liści mięty i ażurowych baldachów kopru. Wąchając bazylię, macierzankę, oregano, wonie, które zwykły wypełniać kuchnię podczas gotowania, poczuła, że jest w domu, i to ją uszczęśliwiło.

Włożyła klucz do zamka i w tym momencie dom, który chwilę wcześniej wyglądał na pogrążony we śnie, ożył. Najpierw wypełniło go wściekłe psie ujadanie, chwilę później zapaliły się światła, a Agata zapytała głośno, co się stało i kto tam jest.

– Nie chciałam cię obudzić – wyjaśniła Teresa, gdy po długich powitaniach na progu została wreszcie wpuszczona do własnego domu.

– Gdybyś uprzedziła o swoim przyjeździe, wyjechałabym po ciebie. Mogłam nawet nad morze przyjechać. Ale nic nie powiedziałaś.

– Chciałam czuć, że jestem gotowa do powrotu.

– I jesteś?

– Teraz wiem tylko tyle, że dzień powrotu był okropny. Marzę, żeby się wykąpać i iść spać.

Agata cmoknęła Teresę w policzek, powiedziała, że jasne, ona też wraca do łóżka. Pies zwinął się w kłębek na legowisku w przedpokoju i dom pogrążył się w ciszy. Teresa przez chwilę zastanawiała się, co zrobić z walizką; w końcu uznała, że rozpakuje się rano, i poszła do łazienki.

Na półce pod lustrem stały inne kremy. Rumiankowe mydło, którego używała całe życie, zostało zastąpione różanym. Wiszący na haczyku ręcznik był wilgotny, a czystego nie mogła znaleźć. Gdyby nie ta nieudana podróż, z pewnością nie zwróciłyby uwagi na coś takiego. Ale teraz te wszystkie drobiazgi były jak kamyczki wpadające latem do sandałów, trochę uwierały i bardzo drażniły.

Kładąc się we własnym łóżku, pod swoją kołdrą, Teresa pomyślała, że sympatia dla kogoś nie przekłada się na ochotę do przebywania z nim pod jednym dachem. Miała nadzieję, że przyjaźń z Agatą przetrwa ciężką próbę wspólnego mieszkania.

Wandę obudziło uderzenie w okno. Brzmiało to tak, jakby ktoś rzucił kamieniem. Z trudem uniosła z poduszki ciężką głowę. Wyrzała, ale w szarości poranka nie zobaczyła nikogo. Ulica była cicha i pusta. Nad rzeką unosiły się mgły, podobne do przykurzonych kłaczek waty, w pośpiechu zdejmowanych z choinki tuż przed drugim lutego.

Wanda, pchnięta impulsem, postanowiła się przespacerować. To powinno jej dobrze zrobić. Dotleni się, szarość na policzkach zastąpią rumieńce. Wczoraj Maria zapytała, czy nic jej nie dolega. Lada moment się domyśli, a po co ją martwić jeszcze tym. Wystarczy ten cały kołowrót z Januszem, Janiną i tym dziwnym facetem, którego nazwiska Wanda nie pamiętała. Poza tym dwa kieliszki przed snem to jeszcze nie problem. W końcu od lat była alkoholiczką i świetnie wiedziała, co nim jest.

Włożyła dresowe spodnie, okryła się płaszczem i najciszej jak potrafiła, wysliznęła się z domu. Gdy szła po schodkach, jej uwagę przykuło coś, co leżało na trawniku. Kamień? Śmieć? Dopiero gdy podeszła bliżej, zorientowała się, że to ptak, sikorka. Końcówki ciemnych piórek opalizowały delikatnie. Nie żyła. Wanda schyliła się, by podnieść malutkie ciało. Ważyło tyle, co nic, czuła, jak tężeje w jej dłoniach. Zastanawiała się nad przyczyną tej nagłej, a niespodziewanej śmierci. Ptak umarł w locie? Podnosząc oczy ku niebu, zrozumiała. Zabił się, uderzając w okno.

Sikorka już całkiem zeszytniała i Wanda uświadomiła sobie, jak absurdalna była myśl, że ptak jakimś cudem ożyje. Chciała go wyrzucić, ale nie potrafiła. Czuła się odpowiedzialna za tę śmierć. Nie tylko. Odejście matki, babki, dziadka i nawet śmierć pamięci, która dotknęła ojca, wszystko to była wina jej, Wandy. Ciężar tego wydawał się niewyobrażalny.

– Muszę się napić. – Wróciła do domu po torebkę. W jakimś idiotycznym odruchu włożyła do niej martwego ptaka. Chciała, żeby ktoś jej towarzyszył, ktokolwiek, byle mieć złudne wrażenie, że nie jest na świecie sama.

Sprzedawczyni nie skomentowała jej zakupów. Widocznie należała do ludzi, którzy niczemu się nie dziwią. Nawet gdy kobieta w zapiętym pod szyję płaszczu, by ukryć, że wciąż ma na sobie górę od piżamy, przyszła nagle o szóstej rano, by kupić trzy butelki czystej wódki. A może tamta nic nie

mówiła, bo była zbyt leniwa, by zapytać o powód takiej sytuacji? Bez względu na wszystko jej milcząca obojętność okazała się błogosławieństwem. Gdyby bowiem ekspedientka się odezwała, to Wanda, tak bardzo łaknąca teraz kontaktu z innym człowiekiem, pewnie by pękła, załżała się łzami, wyznała, jak bardzo się boi choroby, starości i samotności. Dla obu byłaby to okropnie niezręczna sytuacja.

Wanda wyszła ze sklepu, nie mówiąc nawet „do widzenia”. Wsiadła do swojej srebrnej pandy i ruszyła. Nie miała żadnego planu. Wyjechała za miasto, skręciła w pierwszą polną drogę i zaparkowała tak, by z szosy trudno ją było zauważyć. Na siedzeniu pasażera położyła otwartą torebkę. Pióra ptaka straciły połysk. Gdy go podnosiła z trawnika, wyglądał jak żywa istota, która po prostu zasnęła. Teraz był już śmiercią. Dla Wandy nie miało to jednak znaczenia. Odkręciła pierwszą butelkę.

– Najlepiej upijać się wódką. Można powiedzieć, że łagodnie wpływa w człowieka. Zwłaszcza jeśli jest naprawdę dobra. Ta akurat jest ze średniej półki, ale nie będziemy przecież grymasić. Niesamowite. Przyszło ci do głowy, kiedy dziś rano się obudziłeś, że zaraz roztrzaskasz się o okno, a potem będziesz leżał w torebce starej alkoholiczki i słuchał jej marudzenia? W życiu! Myślałeś raczej, że może trochę poćwierkasz, polatasz, zjesz jakiegoś robaka, czy co tam zwykłeś jadać. A tu taka niespodzianka. Takie właśnie jest życie. Już od dawna mam go dosyć, ale nie potrafię z nim skończyć. Coś jak w toksycznym związku z facetem. – Pociągnęła z gwinta. Alkohol zaszczypał ją w gardle; lubiła to uczucie. – Nie powinno mnie to dziwić, wszystko w moim życiu było toksyczne. Matka, która nie potrafiła ochronić ani mnie, ani siebie, bo szła śladem mojej babki, kobiety zbyt słabej, by sprzeciwić się mężowi. Mój dziadek... On to dopiero był toksyczny! Jak opad po wybuchu bomby jądrowej. Jeśli coś żywego znalazło się w pobliżu, albo umierało, albo karłało. Uciekłam zbyt późno, już byłam zdeformowana w środku. Nie potrafiłam kochać ludzi, bo nie kochałam siebie. Wiesz, na Różanej baby pierdziela głupoty o kłątwie Leokadii, jak im się z chłopami nie układa. A ja ci powiem, że sami jesteśmy kłątwą dla siebie. Każdego dnia.

Krew, do której przeniknął alkohol, stała się jakby weselsza, krążyła w żyłach ciepłym, wartkim strumieniem i Wanda przestała czuć, że zmarzły jej stopy. Wciąż jednak nie była pijana, wciąż czuła ból życia. Pociągnęła kolejny łyk, chcąc jak najszybciej się znieczulić.

– Wiesz, co musisz robić, jeśli chcesz, by dziecko ponosiło w życiu porażki? Musisz mu każdego dnia powtarzać, że jest nic niewartym bękartem, że przez nie matka nie żyje, że jest źródłem problemów. Mój dziadek był w tym specjalistą. Wiedział, że mi się nie uda. Próbowałam mu udowodnić, że będzie inaczej, ale nie potrafiłam. Zatrął mnie tak, że każdy dzień przynosił klęskę za klęską. Nie potrafiłam się niczym cieszyć, niszczyłam wszystko, co w moim życiu było dobre. Kiedyś, kiedy jeszcze byłam mężatką i prowadziłam z mężem firmę, zarobiliśmy sto tysięcy. Praktycznie w jeden dzień. Pojechaliśmy świętować do restauracji i tam zauważyłam, że zgubiłam parasolkę. Miałam zepsuty cały wieczór, bo ciągle się zastanawiałam, gdzie może być. Zadzwoiłam nawet do taksówkarza, który nas wiozł. Rozumiesz? Sto tysięcy, a ja płacę za parasolkę, która kosztowała raptem pięćdziesiąt złotych. A wszystko dlatego, że w głowie miałam słowa dziadka: „Niczego nie potrafisz zrobić dobrze, nie pilnujesz swoich rzeczy, jesteś do niczego”. Wiesz, że jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię? Całe życie milczałam na ten temat. Uparcie milczałam. Wmawiałam sobie, że potrafię o tym zapomnieć. Głupia! To było trochę tak, jakby próbować zapomnieć, że się ma lewą rękę. Gdy zdałam sobie sprawę, że przeszłość jest częścią mnie, było już za późno. Straciłam męża, pieniądze, wszystko. I wciąż słyszę mojego dziadka, jak powtarza: „A nie

mówiłem”.

W butelce pozostał ostatni łyk. Wypiwszy go, Wanda nadal przez chwilę trzymała butelkę w ustach, by spłynęła jeszcze jedna, ta ostatnia kropla. Pac! Nie, przecież nie mogła tego słyszeć. Szum w uszach wszystko zagłuszał. Świat lekko się kołysał, jakby była na morzu.

– Morze możliwości. Wiesz, że możemy być, kim chcemy? Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś został baletnicą, muzykiem, aktorem. Jeśli wierzyć w reinkarnację, to wszystko przed tobą. Lubię cię i dobrze ci życzę. Choć sama nie chciałabym powtórki z życia. Może jest tak, że tam, po drugiej stronie, dostajemy dokładnie to, w co wierzymy. Nie, to też nie byłoby dla mnie dobre, bo ja wierzę tylko w piekło.

Otworzyła nową butelkę. Świat szumiał, kołysał się i falował coraz intensywniej.

– Najbardziej to mi szkoda Marysi. Chciałam jej pomóc i widzisz, kolejna klęska. Tak to ze mną jest. Powinnam z nią szczerze porozmawiać, przeprosić. Nie można ot, tak, zjawiać się i mieszać w cudzym życiu. Teraz powinno ci być głupio. Ty namieszałeś w moim. Gdybyś nie zjawił się dziś rano, byłabym w kuchni i zmywałabym naczynia po śniadaniu, szczęśliwa, że Marysia poszła już do pracy. A ty mi zafundowałeś zupełnie inny dzień. Urządź ci ładny pogrzeb, chcesz?

Po drugim łyku z drugiej butelki życie przestało doskwierać, odszedł ból, powoli znikła resztką świadomości. Znieczulenie zmieniło się w narkozę.

Michał był zadowolony. Obudził się z takim dziwnym, ulotnym wrażeniem, że ten dzień przyniesie zmianę. Będzie lepiej, zapewnił sam siebie przy śniadaniu, to jest pierwszy z lepszych dni. W końcu zła passa nie może trwać wiecznie. Dopił kawę, która dziś smakowała lepiej niż wczoraj. Ubrał się starannie i pojechał na spotkanie do Wałbrzycha. Kawał drogi, jeśli nic nie miałyby z tego wynikać. W innych okolicznościach pewnie by jeszcze przed wyjazdem liczył stracone pieniądze i czas. Ponieważ jednak obudził się w dobrym nastroju, uznał, że będzie nastawiony optymistycznie i potraktuje ten wyjazd jak wycieczkę. Jeśli starczy mu czasu, może obejrzy zamek w Bolkowie, kto wie?

Wchodzący na spotkanie Michał niczego nie oczekiwał, o nic nie miał zamiaru walczyć, nikogo nie chciał do siebie przekonywać. Był sobą – wyluzowanym facetem po czterdziestce, prowadzącym firmę informatyczną, która czasem przynosi dochody, a czasem nie. Chyba dało się wyczuć jego pozytywne nastawienie, bo lody od razu zostały przełamane i spotkanie przebiegło w nad wyraz miłej atmosferze.

Potencjalni klienci nie mówili, że się zastanowią, że zadzwonią. Zapytali, czy istnieje możliwość umówienia kolejnego spotkania, by mogli ustalić szczegóły i podpisać umowę. Podpisać! Potem przeleją zaliczkę, a dla Michała zacznie się praca. Żegnaj stagnacja, good bye, bezrobocie!

– Odbierz, Olgierd, no odbierz – prosił, wsiadając do samochodu, ale odpowiedzią były tylko regularne „piiiiiip”. W końcu włączyła się sekretarka. – Zadzwoń do mnie. Mamy robotę, fajnie to wygląda, będzie pan zadowolony.

Nie myślał już o zwiedzaniu zamków, chciał wrócić do domu i trochę poświętować. Kupi piwo, włączy kanał sportowy. Nie chciał myśleć o Agacie. To było zbyt skomplikowane i psuło nastrój, a Michał nade wszystko pragnął mieć dziś dobry humor. Zaczął pogwizdywać.

Dojeżdżał już do Rubinia. W polu widzenia ukazał się bukowy zagajnik. Pnie drzew, jak odlane z metalu, wyglądały zjawiskowo, zwłaszcza jesienią, gdy liście zmieniały kolor z zielonego na purpurowy.

Ograniczenie do pięćdziesięciu; spojrzął na prędkościomierz, jechał zbyt szybko. Dostosowując się do przepisów drogowych, zdjął nogę z gazu. Przyhamował i zakręt pokonał z grzeczną prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Mandat to kolejna rzecz, której chciał dziś uniknąć.

Miał dobre przeczucie. Na poboczu, tuż za zakrętem, stał wóz policyjny. Brzozowski jeszcze zwolnił. To jednak nie była kontrola, bo stał tam również ambulans. Dopiero gdy go minął, zobaczył rozbitą o drzewo srebrną pandę Agaty.

Zapisały hamulce. Ten dźwięk dotarł do Michała przytłumiony, jakby rozległ się spod wody. Podobnie zabrzmiał odgłos zatraskiwanych drzwi i kroków. Te, które stawiał Michał, były cichsze; policjant biegnący w jego stronę walił ciężkimi buciorami. I coś mówił. Wrażenie było podobne do tego, gdy w oglądanym filmie dźwięk rozjedzie się z obrazem. Michał widział tylko ruchy ust.

– Proszę tu się nie zatrzymywać. Proszę, żeby usunął pan pojazd z drogi. – Nareszcie usłyszał.

– Co się stało?

– Wypadek. Proszę odjechać. Powoduje pan zagrożenie w ruchu drogowym.

W tym momencie ku ambulansowi ruszył ratownik medyczny. Szedł powoli, a może Michałowi tylko się wydawało, że to powoli? Odblaski na jego koszulce mrugały w rytmie zmieniającego się światła na dachu policyjnego radiowozu. Brzozowski chciał podejść do tamtego, zapytać, usłyszeć, że nic się nie stało. Policjant zagroził mu drogę.

– Nie wolno. Proszę odjechać, bo dam panu mandat.

– Co się tu dzieje? – Drugi policjant przybył, by wesprzeć kolegę.

– Pan nie chce odjechać. – Pierwszy wyznał swoją bezradność wobec uporu Michała.

– Co się stało z kobietą, która prowadziła ten samochód? – spytał zniecierpliwiony Brzozowski.

– Skąd pan wie, że to była kobieta? – Prawie równocześnie z tym pytaniem pierwszego policjanta padło „zginęła” tego drugiego.

– To moja żona.

W tym momencie do Michała dotarło, co powiedział ten drugi. Zginęła? Agata zginęła?

– Żona?

I nagle zapadła ciemność.

Agata nie kryła radości z powrotu Teresy i okazywała to na wszystkie możliwe sposoby. Zachowywała się jak najciszej, żeby nie zbudzić śpiącej, poszła do piekarni po świeże bułki na śniadanie, zaplanowała, że na obiad przygotuje sałatkę z ziołami. Pachnący ogród jest bardzo praktyczny. I ładny, co obie zgodnie stwierdziły, gdy instalowały się na tarasie, gdzie zamierzały wypić kawę.

– Nie musisz mi tak nadskakiwać. – Teresa roześmiała się w odpowiedzi na pytanie, czy potrzebuje koca. – Sama mogę po niego pójść. W końcu jestem u siebie.

– Ostatnio opiekowałam się tylko Freddym, a on nie jest zbyt wymagający.

Agata spojrzała z wyrzutem na psa, co rozbawiło Teresę i skłoniło ją do stwierdzenia:

– Lubię cię.

– Ja też. Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłam.

– Chciałabym powiedzieć to samo, ale tak do końca nie byłaby to prawda. Ten wyjazd dobrze mi zrobił. Mogłam w samotności płakać, ile chciałam.

Agata już miała powiedzieć, że nie ma pretensji o ten brak tęsknoty, że współczuje i o ile to możliwe, stara się zrozumieć. Uznała jednak, że czasem słowa wyrażają mniej niż gest, i tylko

położyła rękę na ramieniu Teresy.

Na tarasie zapanowała cisza, jedynie podzwaniały łyżeczki, dźwięczały spodki. Freddy mruknął uroczo, przewracając się na drugi bok. Ze słodkiego szczeniaka przemieniał się w psiego nastolatka, który próbował wyznaczać granice i przeciw wszystkiemu się buntował. Im bardziej był krnąbrny, tym bardziej Agata go kochała. Chyba miała słabość do łobuzów.

– A jak twoje małżeństwo? – zapytała Teresa.

– Czy przyjechałaś po to, by psuć mi nastrój? Bez zmian. Chociaż nie. Wczoraj przypadkiem wpadłam na Julkę i wydarłam się na nią. Nazwałam ją kłamczuchą.

– Masz do niej pretensje?

– Do niej, do Michała, do Mateusza. A najbardziej do siebie. Po co mi było to grzebanie w przeszłości? Chciałam uratować małżeństwo Karoliny, a zniszczyłam własne.

Teresa odstawiła filiżankę. Popatrzyła ze smutkiem w oczach na Agatę i ta od razu wiedziała, że zaraz padną słowa mądre, ale tak ciężkie, jak worki z cementem.

– W przeciwieństwie do mojego, twój mąż żyje. I nie ma takiej winy, której nie moglibyście sobie wybaczyć, bo mieć siebie nawzajem i kochać się to najważniejsza rzecz na świecie.

Agata przyznała jej rację. Siedziały przez chwilę, każda zatopiona we własnych myślach. W końcu Teresa zdecydowała, że czas przerwać smutne rozmyślenia, i zapytała o prozę życia, czyli obiad.

– Planowałam sałatę, ale możemy też coś zamówić albo wyjść, albo...

– Zagłaszczesz mnie na śmierć już pierwszego dnia po powrocie. Sałata brzmi świetnie.

– To idź do kuchni kroić pomidory, a ja zerwę zioła.

Chwilę później Agata zatopiła ręce w gąszczu macierzanki, jednocześnie łaskoczącej drobnymi listeczkami i drapiącej pozbawionymi już fioletowych kwiatusków gałązkami. Zrywała bazylię, choć jej bujny wzrost zahamowały chłodne poranki. Skubała wyrastające z ziemi młode łądźki kopru, którym początek dały ziarna z dojrzałych w sierpniu baldachów. Wróciła zadowolona, machając bukietem z ziół, liści jarmużu i pietruszki naciowej.

– ...tak, już proszę... – Z salonu dobiegał głos Teresy. – Agatko! – Zabrzmiało to dziwnie nagłąco. – Przepraszam, dzwonił, więc odebrałam...

Agata wzruszyła ramionami, by pokazać, jak bardzo nic nie szkodzi. Wzięła od przyjaciółki telefon i podała jej rośliny.

– Słucham? – Wolną rękę wycierała o spodnie.

– Chciałam poinformować, że pani mąż, Michał Brzozowski, został przywieziony do nas, do szpitala, bo zasłabł.

– Czy to coś poważnego?

– To już lekarza pani zapyta. Ja dzwonię, bo ten pan z policji prosił. – Tamta kobieta rozłączyła się, zanim Agata zdążyła zasypać ją milionem pytań.

Teresa, wciąż trzymająca w ręku rośliny, stała na środku kuchni jak wielki znak zapytania.

– Michał jest w szpitalu.

– No to jedźmy natychmiast – poleciła, rzucając na blat kuchenny zielony bukiet. Agata kątem oka dostrzegła, że kilka gałązek jarmużu spadło na podłogę.

Jedyną nową informacją, jaką udało się zdobyć Agacie, było to, że Michał leży w sali trzysta osiem. Przy windzie natknęły się na ojca Marty.

– Janusz? – zdziwiła się Teresa.

Agata miała nadzieję, że nie zechcą prowadzić sąsiedzkiej pogawędki.

– Z Michałem wszystko dobrze. Byłem u niego przed chwilą. Zdarzył się wypadek...

– Miał wypadek? – zaniepokoiła się Agata.

– Nie on.

W tym momencie otworzyły się drzwi windy i Agata, która zmęczona nadmiarem enigmatycznych słów, chciała zdobyć konkretne informacje, wsiadła do niej szybko. Widziała wahanie na twarzy Teresy, więc wciąż nie naciskała guzika.

– Zaraz do ciebie przyjadę – powiedziała tamta, a chwilę później lekkie szarpnięcie poderwało windę.

Szpitalne korytarze zawsze są zbyt długie. I takie smutne, jakby wchłonęły wszystkie złe wiadomości, które na nich kiedykolwiek wypowiedziano.

Z drżącym sercem podeszła do drzwi. Zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do sali, gdzie stało sześć metalowych łóżek. Michał leżał na tym pod oknem. Był przytomny. Błady, ale przytomny.

– Agata! – Poderwał się z łóżka, zaczepiając o stojak kroplówki, do której był przypięty. Sekundy później tulili się do siebie i do tego stojaka też.

Michał szeptał, jak bardzo ją kocha, że jest jedyna i najważniejsza. Potem zagoniła go do łóżka, na którego brzegu przysiadła. Opowiadał o podróży do Wałbrzycha i srebrnej pandzie roztrzaskanej na drzewie.

– Byłem pewien, że to twój samochód.

– Bo to wyjątkowo rzadki model. Daj spokój, przecież nawet na naszej ulicy są dwie. Pani Zdunkowska, wiesz, ta, co wróciła po latach, też ma srebrną pandę.

– Nie zwróciłem uwagi.

– Na mało rzeczy zwracasz uwagę – wytknęła mu delikatnie. Teraz mogła, skoro nic mu nie było, tylko zwyczajnie zemdlał.

– Przepraszam. – Podniósł jej dłoń do ust, delikatnie pocałował, a później przytulił do policzka. – Ta sytuacja uświadomiła mi, jak bardzo cię kocham. Nie mogę żyć bez ciebie. Wybaczam wszystko, co zrobiłaś.

– Słucham? – Na pewno niewłaściwie zrozumiała jego słowa.

– Wybaczam ci tę sprawę z Mateuszem.

– Jaką sprawę? – zapytała, choć w głowie powtarzała sobie: Nie brnij w to, błagam, Agata, nie brnij.

– Zapomniemy o tym i będziemy żyć, jakby nic się nie stało.

Teraz już wyrwała mu rękę.

– No właśnie, nic się nie stało. Kompletnie nic. Rozmawiałam z nim w kawiarni, wiesz, w kawiarni, tam, gdzie ludzie chodzą na kawę, bo chciałam, żeby mi pokazał dokumenty dotyczące śmierci męża Leokadii. I tyle. Twoja córunia naopowiadała ci bzdur, a ty zaraz uwierzyłeś. Masz wobec mnie niczym nieuzasadnione podejrzenia. Jak listonosz przyjdzie i powie, że z nim spałam, to też mu uwierzysz? – zapytała, otwierając drzwi na korytarz.

– Wszystko w porządku? – zapytała Teresa, która właśnie zamierzała wejść do sali.

– Z Michałem tak, z naszym małżeństwem nie.

– Uspokój się – poprosiła przyjaciółka. Ale Agata nie miała zamiaru się uspokoić.

Maria energicznym krokiem przemierzała rubińskie ulice. Śpieszno jej było wrócić na Różaną. Niepokoiła się. To ciągle jeszcze nie było zdenerwowanie, ale brak wiadomości od Wandy sprawiał,

że najróżniejsze rzeczy przychodziły jej do głowy.

To, że przyjaciółki nie ma w domu, zauważyła rano, gdy zbierała się do pracy. Drzwi do pokoju Wandy były otwarte. Marii wydawało się to dziwne, ponieważ tamta należała do osób, które lubią rano dłużej pospać. Marysia szła do kuchni przekonana, że zastanie tam Zdunkowską. Pusto. Zaczęła więc rozglądać się po domu i nawoływać. Brak odpowiedzi. Gdy się zorientowała, że nie ma płaszcza ani torebki Wandy, uznała, że pewnie nagle poranna potrzeba wygoniła przyjaciółkę z domu. Może skończyła się kawa albo mleko, albo... Nie, to niemożliwe, picie to przeszłość. Stawiły temu czoło i zwycięsko wyszły z walki. Na wszelki wypadek postanowiła zadzwonić. Telefon Wandy odpowiedział ze stołu w kuchni pierwszymi taktami *Marsza tureckiego*.

Skoro zostawiła telefon, to na pewno daleko nie poszła. Zaraz wróci. Maria przez chwilę rozważała, czy nie zadzwonić do szkoły, że się spóźni, uznała jednak, że taki nadmiar troski jest zbędny. Napisała więc na kartce, by Wanda zadzwoniła do niej, gdy tylko przyjdzie do domu.

W czasie lekcji częściej niż uczniowie spoglądała na zegarek. Nie mogła się doczekać przerwy, by sprawdzić telefon. Nic. Ale może tamta nie zauważyła kartki albo zlekceważyła prośbę. To możliwe. Nie ma sensu wpadać w histerię. Potem się okaże, że jest zupełnie logiczne wyjaśnienie tego wszystkiego.

Na korytarzu Maria minęła Adama Maciejewskiego. Widywała go latem na Różanej i zauważyła, że się zmienił. Jednak dopiero w szkole, na tle szarych murów, wyraźnie można było zobaczyć, na czym polega różnica. Chłopak, wcześniej chodzący ze spuszczoną głową, teraz kroczył wyprostowany i nabrał męskiej krzepy. Przed wakacjami był blady, teraz zrobił się smagły. Wcześniej zawstydzony, dziś wyglądał jak ktoś pewny siebie. Jednak największa zmiana zaszła w oczach, bo Adam nie patrzył już na świat oczami dziecka. Biła z nich taka mądrość, jakby ten chłopak już wszystko przeżył. I mimo że się życzliwie uśmiechnął, Marii zrobiło się bardzo smutno.

Po ostatniej lekcji wpadła do pokoju nauczycielskiego tylko po to, by zostawić dziennik. Już na schodach wkładała wełniany żakiet, który nosiła zamiast kurtki w te jesienne dni, kiedy nie było jeszcze zimno.

– Ty się martwisz, a Wanda śpi na kanapie, ot, co – wytykała sama sobie, starając się opanować niepokój, który stawał się tym większy, im bliżej domu się znajdowała.

Wandy nie było. Dom wyglądał dokładnie tak, jak w chwili, gdy Maria rano go opuściła. I teraz było jasne, że coś się stało.

Oczywiście od razu zadzwoniła na policję, tylko po to, by się dowiedzieć, że minęło zbyt mało czasu i nie ma podstaw do wszczęcia poszukiwań osoby dorosłej. Może powinna powiedzieć, że są podstawy, bo Wanda boryka się z problemem alkoholowym. Nie chciała jednak przedstawiać przyjaciółki w złym świetle, zwłaszcza gdyby się okazało, że tamta zwyczajnie poszła... Tylko gdzie mogła pójść? Znow sięgnęła po telefon i odbyła trzy identyczne rozmowy.

– Jest może u ciebie Wanda?

– Nie. Czemu pytasz?

– Zostawiła telefon w domu. Tylko tyle, pa!

Nie było jej u Janiny, Leokadii ani u Seweryna. Do Teresy nie dzwoniła, widziała sąsiadkę w ogrodzie razem z Agatą. Nie wyglądało na to, by miały gościa. Może poszła do Sylwii albo do kogoś, kogo Maria nie знаła.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

Nareszcie, pomyślała Maria. Nie wzięła telefonu, zapomniała kluczy.

Ale to nie Wanda, tylko Janusz stał na progu. Nieważne, po co przyszedł, Maria już jakiś czas temu postanowiła, że nie będzie dla niego miła.

– Nie mam teraz czasu na rozmowy – rzuciła sucho. – Szukam Wandy.

– Ja właśnie w tej sprawie.

Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to podejrzenie, że przyjaciółkę i dawnego ukochanego połączył romans. To wydawało się absurdalne, ale możliwe. Raczej tak absurdalne, że śmieszne.

I gdy uśmiechnęła się do swoich myśli, twarz Janusza wykrzywiła się w grymasie. To uświadomiło Marii, że stało się coś złego.

– Co z Wandą?

– Miała wypadek...

– Coś poważnego? Jest w szpitalu?

– Nie żyje. – Odczekał chwilę, by te słowa dotarły do Marii, a potem powiedział: – Roztrzaskała się na drzewie. Badamy to, ale sprawa jest z tych prostych. Była pod wpływem alkoholu, straciła panowanie nad pojazdem, uderzyła w drzewo.

– Co też ty mówisz? Wanda już nie pije. Miała z tym kiedyś problem, ale pokonałyśmy to. Etap z pićm zostawiła za sobą.

– Przykro mi. – Janusz wykonał taki gest, jakby chciał ją objąć, więc Maria cofnęła się o krok w głąb domu. – Przykro mi, Marysiu, ale nigdy nie jest tak, by alkoholik miał ten etap za sobą. Jeśli chcesz, żebym z tobą posiedział...

Zaprzeciła ruchem głowy.

– Może kogoś przysłać?

– Poradzę sobie. – Chciała być sama. Czowała, że zawiodła, a jednocześnie że została oszukana. Musiała się wypłakać w samotności.

Mateusz wrócił do domu zmęczony. Miał ciężki dzień. I zbyt długi, mimo że jeszcze nie było siedemnastej. Do lodówki przymocowana była magnesem duża kartka: „Pojechałem do CH. Jak coś chcesz, to dzwoń. K.J.”. Nie chciał nic. Zerwał kartkę, zgniół ją i wrzucił do zielonego kosza na śmieci. Wstawił wodę i przesunął krzesło, by usiąść. Na krześle coś leżało. Mateusz przez chwilę przyglądał się kawałkowi kraciastej bawełny. Przeprowadziwszy dedukcję, której nie powstydziliby się Sherlock Holmes, wywnioskował, że to gacie Konrada.

Widocznie przyjaciel osiągnął kolejne stadium abnegacji. Zaczęła się od zalegania przed telewizorem z piwem, później było rozstanie z maszynką do golenia, teraz rozpoczął się etap „jestem flejtuchem i co mi zrobisz?”. Ciekawe, co będzie dalej i jak długo Mateusz zdoła jeszcze wytrzymać. Dlaczego Konrad nie słucha próśb ojca i nie wraca do domu?

Wziął kubek i poszedł do pokoju. Otworzył na oścież drzwi na balkon i okno. Na zewnątrz wciąż było ciepło, wrzesień zapowiadał się ładnie, może to dobra wróżba na nadchodzącą jesień? Nie ma nic gorszego niż wykonywanie czynności śledczych w terenie, gdy człowiekowi spływają na kark zimne krople deszczu. Krupski zapalił papierosa i podskoczył lekko, by usiąść na parapecie. Na balkonie, równie małym, co reszta mieszkania, nie było miejsca na postawienie wygodnego krzesła, a siadając na drewnianym zydelku, Mateusz czuł się idiotycznie. Z kubka unosiła się para, nad końcówką papierosa wił się dym, po zachodniej stronie nieba zbierały się pierzaste chmury. I było cicho, w taki szczególny, miejski sposób, gdy gwar ulicy i strzępy rozmów sąsiadów zlewają się w jeden szum. Jeśli wtedy przestaniesz zwracać na niego uwagę, czujesz się tak, jakby zapadła cisza.

Ciekawe, jak wygląda niebo nad głową?

W tym momencie odezwał się telefon. Jeśli to nie z roboty, nie odbiorę, postanowił Mateusz. Wyciągnął telefon z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Marta. Przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę telefoniczną.

– Rodzice mieli wypadek – rzuciła wtedy bez zbędnych ceregieli.

– Jakies szczegóły?

– Pracujesz w policji. Poznasz szczegóły szybciej niż ja.

Teraz nie chciał odbierać, ale to też mogło być coś złego.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nie. Wszystko w porządku. – Głos miała niepewny, jakby się wstydziła, że dzwoni. – A co u ciebie?

– Dobrze – odpowiedział bez przekonania.

Zapadła krępująca cisza. Posiadanie rodzeństwa to jednak bardzo skomplikowana sprawa, pomyślał Mateusz. Najchętniej by się rozłączył, ale czuł, że jego obowiązkiem jest słuchanie oddechu Marty i czekanie, aż siostra wyrzuci z siebie powód, dla którego dzwoniła.

– Pani Zdunkowska nie żyje.

– Nie przyjadę na pogrzeb, nie znałem jej zbyt dobrze...

– Nie o to chodzi – przerwała mu. – Nie dlatego dzwonię.

– A dlaczego?

– Jak się dowiedziałam, zrobiło mi się tak smutno. Leokadia choruje, martwię się o nią, bo jeśli... – nie chciała wymówić tego słowa – ...to będę jeszcze bardziej samotna.

– Czy wiesz, że naukowcy z Harvardu przeprowadzili badania, które wykazują, że odczuwanie samotności to choroba? Osoby nią dotknięte wysyłają specyficzne sygnały do ludzi ze swojego otoczenia, skłaniające do przesunięcia się na skraj sieci powiązań społecznych. Podobno najłatwiej zarazić się od sąsiada. Ty zamieszkałaś na Różanej i dotknęła cię epidemia samotności.

– Mógłbyś nie błaznować?

Chciał zapewnić, że to prawda, czytał artykuł na ten temat. Chciał również powiedzieć, że czuje się niezręcznie, gdy siostra się przed nim otwiera, bo nigdy nie byli sobie zbyt bliscy. Chciał wyznać, że sam jest samotny, a obecność Konrada jeszcze to uczucie pogłębia. Chciał, ale nie znalazł odpowiednich słów.

– Przykro mi z powodu tej pani. Musiała być sympatyczną osobą.

To zdanie mogłoby wylądować w poradniku „Jak skutecznie radzić sobie z żalem innych osób”. Marta widać też tak pomyślała, bo prychnęła rozżłoszczona.

– Nawet nie wiesz, o kogo chodzi. Jej rodzina mieszkała w tym domu na samym końcu ulicy, tuż nad rzeką. Wanda wyjechała, zanim się urodziliśmy. Ja pamiętam tylko jej dziadka, bo ciągle na nas krzyczał, kiedy bawiliśmy się na ulicy. Podobno był chory psychicznie. Wróciła wiosną. Pomogła wydać wiersze cioci Marysi. A teraz nie żyje. Była pijana i wjechała w drzewo.

Mateusz wiedział, o kogo chodziło, znał historię tej rodziny lepiej niż ktokolwiek inny.

– To smutne. – Starał się, by jego głos zabrzmiał możliwie najpoważniej.

– Nie miała męża ani dzieci. Nikogo. I tak sobie pomyślałam... że to smutne. – Głos Marty zadrżał, jakby miała się za chwilę rozpłakać. Do Mateusza zaczęło docierać, o co chodzi.

– Masz jeszcze całe życie przed sobą. Możesz sto razy wyjść za mąż i urodzić z tuzin dzieciaków. Zadekowałaś się na Różanej i postępujesz tak, jakby na świecie istniał tylko piękny Olo.

– Skończyłam z nim. Definitywnie.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie ma o czym – odrzekła, a po chwili opowiedziała, jak to sądziła, że Tomek jest ojcem dziecka Sylwii i dlatego z nim zerwała. A potem do Olgierda przyszło zdjęcie z USG i dała się podejść jak nastolatka. Uwierzyła, że ciąża Brzozowskiej to jego sprawka, zrobiła awanturę, rozstali się. Opowiedziała o wszystkim Agacie i wtedy się dowiedziała, że to jednak Tomek, no, w każdym razie z większym prawdopodobieństwem niż Olgierd. Więc chciała mu przebaczyć, ale pognął do Sylwii z największym na świecie bukietem kwiatów.

– A ty teraz żałujesz, że zabrakło ci wiary w niego?

– Winię Olgierda. Kiedy ktoś zawsze mówi prawdę, jego kłamstwo przechodzi niezauważone. A gdy ktoś ciągle kłamie, trudno mu zaufać. Wiem, że to już koniec, nie było nam pisane życie razem, pogodziłam się z tym, tylko że wciąż trochę boli.

– Wybacz, siostró, ale twoje słowa wprawiają mnie w osłupienie. – Specjalnie tak modulował głos, by się zorientowała, że żartuje. – Zaraz zaczniesz gadać o klątwie babuni Leokadii.

– Może coś w tym jest...

– Gównó w tym jest. To, że Leokadia pozwoliła, by prawda nie ujrzała światła dziennego, to jedno, a miłość czy szczęście to coś zupełnie innego. Twoja mentorka, zamiast uczyć cię sadzić kwiatki, powinna ci pokazać, jak walczyć o swoje. Chcesz Olgierda, to go sobie weź. Co ci w tym przeszkadza ciąża Sylwii? Swoją drogą, nie wiedziałem... – Nie musiał zachęcać Marty do mówienia. Opowiedziała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. – Wygadałaś się i teraz chyba ci lepiej, co?

Zapewniła, że lepiej, i po chwili wylewnych pożegnań się rozłączyła. Mateusz odłożył telefon na parapet. Herbata wystygła, papieros dawno zgasł, niebo pociemniało. Dowiedział się dziś wielu nieistotnych rzeczy, jak na przykład tego, że Sylwia Brzozowska jest w ciąży, a na liście potencjalnych ojców widnieją dwa nazwiska. Dowiedział się również czegoś bardzo istotnego – Agata odeszła od męża.



Rozdział trzeci

Róża Levander Dream

Róża Levander Dream – zaliczana jest do róż niebieskich i naprawdę godna polecenia ze względu na bardzo małe wymagania. Delikatna z wyglądu, jest niezwykle wytrzymała, a kwitnie nie dość, że nieprzerwanie, to jeszcze tak obficie, że praktycznie nie widać jej liści. Krzew rośnie szybko, jest gęsty, a dzięki pędom mającym tendencję do przewieszania się sprawdza się jako róża okrywowa. Kwiatostany liczą ponad dwadzieścia drobnych kwiatów, złożonych z płatków o sercowatym kształcie, skupionych wokół złotego oczka. Ich kolor, początkowo różowofioletowy, przy pełnym rozkwicie zmienia się w lawendowy. Ze względu na obfite kwitnienie róża ta stanowi ładne akwarelowe tło dla innych roślin. Należy uważać na jej kolce.

Konstanty pierwszy raz w życiu widział płaczącego człowieka. Cóż, o współlokatorze można by powiedzieć wiele złego, ale beksą nie był. Jednak przez kilka ostatnich dni, po wizycie tego grubego człowieka z domu po drugiej stronie ulicy, smutniał coraz bardziej i bardziej, a dziś zaczął płakać. Woda ciekła mu z oczu i wyglądało to tak intrygująco, że Konstanty podszedł bliżej.

– Chciałbyś mnie pocieszyć, co, kotku? – zapytał współlokator, jak zwykle źle odczytując intencje kota. – To tylko smutek. Wiesz, kiedy Wanda odeszła wiele lat temu, wiedziałem, że kiedyś wróci. Tym razem jest inaczej. Słowo „na zawsze” mnie przeraża.

Konstanty nie mógł zrozumieć, co straszego może być w jakimś słowie. To tylko dźwięk. Jeden z tych, których ludzie wydają zbyt wiele. Uznał jednak, że okazanie swego zrozumienia dla niestabilności emocjonalnej będzie w dobrym guście. Otarł się więc o nogi Seweryna, co miało znaczyć „weź się w garść”. Współlokator oczywiście opacznie to zrozumiał.

– Nawet ty uważasz, że to smutne – zaszlochał. – Kochałem ją. Kiedyś dawno naprawdę ją kochałem. Byliśmy tacy młodzi, tacy naiwni. A potem ona wyjechała, a ja zostałem ze złamanym sercem.

Konstanty położył się na podłodze. Zapowiadała się długa retrospekcja, a nic lepiej nie usypia niż monotony ludzki głos.

– Kiedy byliśmy młodzi, czasy były inne i ludzie inni. Dobra reputacja miała znaczenie. Dziadek Wandy bardzo dbał o to, co ludzie powiedzą. Dlatego, choć mieszkaliśmy z Wandą na jednej ulicy, nie wolno jej było bawić się ze mną. „To nie przystoi, żeby panienka zabawiała się z kawalerem” – mówił jej dziadek, ilekroć moja matka zapraszała Wandzię do nas. Zdarzało się jednak, że udało nam się spotkać nad rzeką. Lubiłem Wandę, choć nie była dobrym dzieckiem. Czasem bywała miła, a czasem złośliwa i okrutna. Opowiadała historie o swoim ojcu, który niedługo przyjedzie i ją zabierze. Gdy potem, zmartwiony, powtórzyłem to matce, pogłaskała mnie po głowie. „Nie martw się, nikt jej nie zabierze” – powiedziała. Później podsłuchałem rozmowę rodziców. Mówili, że ojciec Wandy umarł. Kiedy jej to powtórzyłem, rzuciła się na mnie z pięściami. Później zaczęliśmy

chodzić do szkoły i nasza dziecięca przyjaźń się skończyła. Ja znalazłem kolegów, Wanda mocno się zżyła z Marysią Jezierską. I tak to trwało, aż skończyliśmy szkołę podstawową. Dorastaliśmy, to był czas pierwszych miłości, bardzo romantycznych i takich sztubackich. Wanda się zmieniła. Już nie opowiadała o ojcu. W ogóle mówiła mało, niechętnie. I właśnie to sprawiło, że zakochałem się jak idiota. Inne dziewczęta wydawały mi się głupie, niedojrzałe, a milczenie Wandy wyrażało mądrość. Żebyś ty wiedział, kocio, o jakie romantyczne myśli ja ją posądzałem, wpatrując się w jej zacięte usta.

Nic nie mówiłem, ale moja matka się zorientowała. Poprosiła mnie o pomoc w ogrodzie i tak niby wrywała chwasty, niby wycinała zbędne rośliny, a naprawdę to próbowała mi otworzyć oczy. Mówiła, że Wanda nie jest dziewczyną dla mnie. Owszem, mama lubi ją bardzo i jak najlepiej jej życzy, ale jesteśmy młodzi, całe życie przed nami, a pierwsza miłość, choć najbardziej miesza w głowie, bywa również najmniej trwała. Byłem wściekły na matkę i tylko z szacunku jej nie odpysknałem. Ale zgodzić się na to, by dać sobie spokój z Wandą, nie zamierzałem. Wieczorem wezwał mnie ojciec, żył wtedy jeszcze. Powiedział, że pójdę na studia, pieniądze się znajdą. Pozwolił mi wybrać, jakie tylko zechcę, co też było ustępstwem z jego strony. Wszystko na nic, głowę miałem rozpaloną myślami o Wandzie.

Spotykaliśmy się nad rzeką. Ona milczała, ja mówiłem o miłości. „Chcę wyjechać, zaraz po maturze” – powiedziała. Wyjechać? Ale dokąd? Daleko. Najchętniej do Warszawy. Jak to wyjechać, zostawić rodziców, wszystko, co się kocha? „Ja niczego ani nikogo tu nie kocham” – odpowiedziała. Złamała mi serce tymi słowami. Na studiach szalałem. Szukałem łatwych dziewcząt, by szybciej zapomnieć. Później zmarł mój ojciec i wróciłem tutaj. Jeszcze tylko raz rozmawiałem z mamą o Wandzie. Chciałem wiedzieć, czy może dała znać, co z nią. „Dla wszystkich lepiej, że się tu nie pokazuje. A ty o niej zapomnij, to nie była dziewczyna dla ciebie”. „Już zapomniałem”. „To dobrze, bardzo dobrze. Ona nie powinna z nikim się wiązać, bo...”.

Konstanty czuł, że właśnie nadszedł ten moment, gdy odprężone ciało stoi na granicy snu i jawy, i wystarczy zamknąć powieki, by osunąć się w sen. Właśnie tak.

Teresa z trudem kryła irytację. Wszystko miało być inaczej. Gdy chodziła po plaży, wydawało jej się, że odnalazła w sobie niezmacony spokój i już nic tego nie zmieni. Zwłaszcza że z oddali Różana jawiła się idyllicznym miejscem.

Po powrocie okazało się, że każdego dnia, a właściwie co godzina, wewnętrzny spokój Teresy zostaje wystawiony na próbę. Głównie przez Agatę, która po prostu szarogęsiła się w domu. Nie można powiedzieć, żeby była nieporządna, ale zawsze robiła coś inaczej. Zmieniła płyn do mycia naczyń, wkładała kubki do szafki z filiżankami, zostawiała sweter na fotelu w salonie. Niby drobiazgi, jednak denerwujące i Teresa musiała zagryzać zęby, by nie pokazać, jak bardzo ją to wszystko irytuje. W końcu lubiła Agatę i dużo jej zawdzięczała. Gdyby tylko tamta zadała sobie trochę trudu i odwiesiła sweter na wieszak w przedpokoju...

Najmocniej zaburzyła wewnętrzny spokój Teresy wieść o śmierci Wandy. Znały się słabo, prawie wcale; odkąd tamta pojawiła się na Różanej, rozmawiały ze sobą może ze dwa razy. Gdy wpadły na siebie i głupio było minąć się tak bez słowa, odbyły zdawkową wymianę zdań o pogodzie, która tego dnia była ładna, a rok wcześniej fatalna, a może odwrotnie. Nie zmienia to jednak faktu, że należało iść na pogrzeb, bo szli wszyscy mieszkańcy Różanej, solidarni, świadomi, że tylko oni pochylą się nad trumną.

Gdyby to był jedynie przykry obowiązek, pewnie Teresa mniej by przeżywała całą tę sprawę. Jednak dla niej było to jak rozdrapywanie świeżo zabliznionej rany. Tak niedawno pochowała Zbyszka. Jego śmierć była ceną, którą przyszło im obojgu zapłacić za własną głupotę. Zbyt wysoką ceną. I teraz została sama, a jedyną szansę na uniknięcie samotności stanowiła przyjaźń z Agatą.

I jeszcze będzie musiała włożyć te same pantofle, co miesiąc temu, bo to jej jedyne wyjściowe czarne buty. Będzie patrzyła na ich noski, tak jak patrzyła wtedy, i wszystkie złe rzeczy będą jej się przypominać. Tak bardzo chciałyby nie iść.

W przedpokoju rozległ się przytłumiony dzwonek telefonu. Rozglądała się za nim nerwowo, nim sobie uświadomiła, że już wrzuciła aparat do torebki. Nastąpiły sekundy chaotycznych poszukiwań, gdy znajduje się krem do rąk, chusteczki, klucze i masę drobnych, ale za nic nie można wyczuć ręką telefonu. Wreszcie! Na szczęście wciąż dzwonił. Teresa odebrała i zdziwiła się, że telefonuje Michał. Pytał, czy może rozmawiać; nie chciał, żeby Agata wiedziała.

– Bierze prysznic – uspokoiła go Teresa. Na wszelki wypadek jednak wyszła na taras, skąd nawet strzępy rozmowy nie miały szans dolecieć do uszu młodej kobiety.

Michał prosił Teresę o pomoc. Kochał Agatę i nie mógł bez niej żyć. Był idiotą, ale to przez zazdrość. Kto nie popełnia głupstw z miłości? Chciałby pogodzić się z żoną, jednak Agata jest na niego zła i nie chce rozmawiać.

– Pomożesz mi?

Czy pomoże? Desperacko pragnęła pozbyć się tamtej z domu, wiedziała bowiem, że ich przyjaźń nie przetrwa wspólnego mieszkania. A ta przyjaźń była w obecnej chwili jedyną relacją międzyludzką, jaka została Teresie. Nie chciała być samotna, bała się tego.

– Po wizycie w szpitalu nie pozwoliła mi wymówić twojego imienia. Zraniłeś ją i jest bardzo na ciebie wściekła. Myślę, że nie byłaby taka zła, gdyby cię nie kochała. A ponieważ bardzo lubię Agatę, zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa. Daj mi tylko trochę czasu, a znów będziecie razem.

Wysłuchawszy wylewnych podziękowań Michała, rozłączyła się.

Czasem nawet najgorzej zapowiadający się dzień może się okazać niezły. Byłe przetrwać pogrzeb. Później porozmawia z Agatą. Przekona ją, by wróciła do męża. Znów będą zaprzyjaźnionymi sąsiadkami, które spędzają popołudnia na rozmowach o ogrodnictwie. Wszystko wróci do normy.

Maria weszła do pokoju Wandy i przysiadłszy na brzegu łóżka, wpatrywała się w palce u stóp. Tuż przy paluchu zrobiła się dziura, biała skóra kontrastowała z czernią rajstop. Zastanawiała się, czy powinna je zmienić, czy wystarczy posmarować mydłem i liczyć, że do końca uroczystości nieduża dziurka nie stanie się wielkim oczkiem, biegnącym wzdłuż nogi.

Po rozmowie z Januszem przeszukała dom. Znalazła alkohol, ukryty w najdziwniejszych miejscach. Nie były to skrytki aż tak przemyślane, by wcześniej ich nie znalazła, gdyby zaczęła szukać, ale nie robiła tego, bo myślała, że wtedy okazałaby Wandzie brak zaufania. Marii przypomniały się teraz, lata świetlne za późno, słowa psychologa, który w ich szkole prowadził warsztaty o narkomanii dla rodziców i nauczycieli. „Zwróćcie się do specjalisty – radził – bo bez odpowiedniego przygotowania nie dacie rady”. Mówił też, że zaufanie nie wyklucza kontroli. „Nie wystarczy kochać, trzeba to robić mądrze” – zakończył wytartym frazesem. Pewnie dlatego Maria zlekceważyła jego porady.

„Niczego nie potrafisz zrobić dobrze, co, autorko poezji erotycznej?” – usłyszała w głowie kpiący głos Leokadii. Maria kazała jej się zamknąć, choć wiedziała, że mama ma rację. Ona jest do niczego.

Pozwoliła, by Wanda się zabiła. A przecież Zdunkowska była dla niej szansą na niezależność. Co teraz będzie? Wróci do matki? Myśl o tym, że od rana do wieczora będzie musiała słuchać złośliwych uwag Leokadii, napawała Marię przerażeniem. Co prawda teraz, gdy mieszka tam Marta, dom rodzinny Jezierskich stał się miejscem, w którym już można wytrzymać, ale nie oszukujmy się, Marta nie zostanie na zawsze. Wcześniej czy później poukłada sobie życie i odejdzie, a opieka nad Leokadią znów stanie się sprawą Marii.

Westchnęła rozzalona. Życie trwało tak krótko, a ona nic z niego nie miała. Dlaczego tkwiła przy matce w błędnie pojętym poczuciu obowiązku? Powinna była uciec gdzieś daleko, może nawet za granicę, gdzie żyłaby dziko, bez zasad. Mogłaby uprawiać seks z mężczyznami o kłatkach piersiowych porośniętych czarnymi włosami, upijać się do nieprzytomności, tańczyć tak długo, aż cały świat zlałby się w barwną kulę. Wyobraziła sobie, jak siedzi w zadymionym barze. Ma rude, źle obcięte włosy, ubrana jest w czarną skórzaną mini i koszulkę sznurowaną na biuście. Siedzi na barowym stołku i pijąc ciepłą wódkę, czeka, aż barman zamknie interes, by mogli uprawiać seks na zapleczu. Nawet gdyby nie była szczęśliwa, wiodąc takie życie, przynajmniej czułaby się wolna. Okazuje się, że życie można zmarnować na różne sposoby, a ona, Maria, wybrała ten najmniej satysfakcjonujący.

Postanowiła, że jednak zmieni rajstopy. W końcu do pogrzebu było jeszcze sporo czasu. Przeszła do swojego pokoju i z szuflady starej szafki nocnej wyjęła nową parę. Były cienkie, śliskie, lekko połyskujące. Przez chwilę powiewała nimi jak flagą kobiecości. Idiotyczne, że chciała iść z dziurą, przecież to by jej odebrało pewność siebie. Ciągle by myślała, czy jest oczko, czy go nie ma. Wystarczy, że wciąż myślała o ptaku. I czy dobrze zrobiła.

Kiedy Janusz powiedział jej o wypadku, musiała się wyplakać. Przez ponad dwie godziny szlochała. W końcu zabrakło jej łez. Umyła twarz, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc, i ruszyła do kostnicy. To było okropne doświadczenie. Nie chodziło tylko o to miejsce, szare i zimne, śmierdzące środkami dezynfekcyjnymi. Ludzie, którzy tam pracowali, pozwolili, by ten chłód również nimi zawładnął. Nikt nie był miły dla Marii. A przecież nigdy wcześniej nie znalazła się w takiej sytuacji i nie wiedziała, co teraz zrobić. Gdyby nie pracownik zakładu pogrzebowego, nie dałaby sobie rady.

– Proszę przyjść jutro rano do naszej firmy, wszystkim się zajmiemy – powiedział, wręczając Marii wizytówkę.

Wyszła skołowana, trzymając w ręku torebkę Wandy. Nie potrafiła określić, jakim sposobem ta torebka trafiła w jej ręce. W domu przejrzała zawartość. Portfel, klucze od domu, butelka po syropie, wypełniona wiśniówką. Masa pogniecionych chusteczek higienicznych i paragonów sklepowych, a na samym dnie... martwy ptak. Maria zatrzęsała się z obrzydzenia, gdy zdała sobie sprawę, co wzięła do ręki. Skąd on się wziął? Może wpadł do samochodu podczas jazdy? Nie, to niemożliwe. A może Wanda znalazła zmarzniętego ptaka i wiozła go do weterynarza, gdy zdarzył się wypadek? Maria nigdy się tego nie dowie. W pierwszym odruchu chciała go wyrzucić, ale jakoś nie potrafiła. Zawinęła go w foliowy woreczek i włożyła z powrotem do torebki. Później włożyła tam również listy od ojca Wandy, kilka rodzinnych fotografii oraz stary obrazek ze świętą Tereską.

Wzięła ze sobą torebkę, gdy szła do zakładu pogrzebowego, kolejnego miejsca, w którym nigdy wcześniej nie była. W małej poczekalni stało kilka krzeseł pod ścianą, a także stolik z ulotkami, na ścianach wisiały jesienne pejzaże w chłodnych, stonowanych kolorach. Poproszono ją do gabinetu. Usiadła przy dużym, czarnym biurku i odpowiedziała na szereg pytań. Kim jest dla zmarłej? Dlaczego

nikt z rodziny? Ach, nie miała nikogo, to smutne. Czy życzy sobie pani nabożeństwa? Oczywiście, czasy się zmieniają, dlatego pytam. A trumna? Kwiaty? Jakies sugestie dotyczące stroju? Co napisać na klepsydrze? Ma pani jakieś życzenia?

– Czy mógłby pan to włożyć do trumny?

I teraz ciągle się zastanawiała, dlaczego to zrobiła. Powinna była zakopać ptaka w ogrodzie. Z drugiej strony, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, przecież nikt, poza nią, o tym nie wie.

– Cała ja – zganiła się, wrzucając podarte rajstopy do kosza. – Skupiam się na drobiazgach.

A może było tak, że skupianie się na drobnych sprawach pozwalało nie myśleć o tych ważnych. Takich jak choćby to, czy będzie mogła zostać w domu Wandy.

Agata cierpliwie znosiła przeciągające się przygotowania Teresy. Rozumiała, że pójście na ten pogrzeb jest dla przyjaciółki nieprzyjemnym obowiązkiem. Zasugerowała nawet, by tamta została w domu.

– Jak by to wyglądało, gdybym nie poszła? Muszę.

Agata nie przekonywała. Po prostu stała przy furtce, patrzyła na ogród i czekała, aż Teresa podejmie decyzję, czy lepszy jest granatowy żakiet czy może czarny sweter.

W tym momencie ze swojego domu wyszła Sylwia. Też wybierała się na pogrzeb, Agata poznała to po stroju. Patrzyła, jak pierwsza żona jej męża wsiada do samochodu. Cięża zaczynała już być widoczna. Po chwili rozległ się warkot, a właściwie rżenie silnika czy tego, co tam wydaje te dziwne odgłosy, gdy auto nie chce zapalić. Agata nie była specjalistką od mechaniki pojazdowej, wiedziała jednak dobrze, co za chwilę nastąpi. I nie myliła się. Wściekła Sylwia wysiadła z samochodu. Stała obok i patrzyła z takim wyrzutem, że gdyby miał choć odrobinę wstydu, od razu by zapalił.

To był moment, na który Agata czekała od jakiegoś czasu. Zgodnie z planem, ułożonym wraz z Martą jednego z ostatnich wakacyjnych dni, obie panie Brzozowskie, pierwsza i druga, miały się zaprzyjaźnić. Poznaj swojego wroga, a później pójdzie z górki, jak uczą podręczniki strategii. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, zwłaszcza gdy wróg nie jest idiotą, w tym wypadku idiotką. Gdyby Agata stanęła w drzwiach Sylwii z miseczką owoców, tamta od razu zwietrzyłaby podstęp. Potrzebna była naturalna sytuacja. Taka jak ta.

Z Karoliną byłoby łatwiej, myślała Agata, idąc w kierunku Sylwii. I na pewno lepiej bym sobie poradziła niż Marta. Jak można myśleć, że nowej dziewczynie byłego chłopaka wystarczy powiedzieć: „Zerwij z nim, on nie jest w porządku”, żeby ta zerwała. Machiavellim to Marta nie jest.

Na zaciekawione spojrzenie Sylwii odpowiedziała szerokim uśmiechem.

– Nie chce zapalić? – ni to zapytała, ni to stwierdziła Agata.

– Nie wiem, co się stało. Wczoraj wszystko było w porządku.

– Z samochodami jest jak z facetami – jednego dnia jest wszystko w porządku, a drugiego coś nie działa.

– Przy mnie Michał nie miał problemów.

– Chcesz być złośliwa, nie ma sprawy. – Agata uśmiechnęła się, by pokazać, że uwaga Sylwii nie zrobiła na niej wrażenia.

– Cóż, pójdę na cmentarz piechotą.

– To kawał drogi, w twoim stanie...

– Gdybyś nie wiedziała, cięża nie jest chorobą nóg.

– Nie będę z tym dyskutować, ty masz większą praktykę. Ale powiem ci jedno, bywałam na pogrzebach. Trzeba trochę postać i nawet dla nieciężarnych jest to męczące. Więc pozwól się podwieźć. Po prostu, po sąsiedzku.

Widać było, że Sylwia się waha. Agata na jej miejscu po prostu odpuściłaby imprezę, wróciła do domu i zaległa na kanapie. Tamtą jednak kierowały inne, szlachetne pobudki, które nakazywały towarzyszyć zmarłej sąsiadce w jej ostatniej drodze.

– Dobra, pojedę z wami. Poproszę Michała, by sprawdził, co z moim samochodem.

– Na twoim miejscu poprosiłabym Olgierda.

– A co, jesteś zazdrosna o Michała?

– Sylwia... – Głos Agaty brzmiał, jakby ta zwracała się do dziecka. – Przecież obie dobrze wiemy, że Michał kompletnie nie zna się na samochodach.

Uśmiech tamtej był wymuszony. Sylwia nie zamierzała rezygnować z prób wyprowadzenia rywalki z równowagi.

– Coś się między wami popsło ostatnio, prawda? – zagadnęła, gdy już były przy pandzie.

– Bo Michał zna się na kobietach równie dobrze, jak na samochodach.

Agata nie miała zamiaru dać się sprowokować. Niczego tak nie pragnęła, jak złapać Sylwię za włosy i szarpiąc, nawrzeszczyć na nią, że jest podłą intrygantką, rujnującą związki. I może kiedyś spełni to marzenie, ale nie dziś. Dziś jest tajną agentką, która ma się zaprzyjaźnić z wrogiem.

– Wiesz, co mówią? Mężowie są jak naleśniki, ten pierwszy zwykle się nie udaje. – Agata uśmiechnęła się, dumna z tej właśnie wymyślonej mądrości. – Obie wiemy, jaki jest Michał. Ma swoje dobre i złe strony. Chcesz, to go bierz, bo to najlepszy moment, właśnie przechodzimy kryzys, do którego się przyczyniłaś. A jak nie chcesz, to daruj sobie złościwości i pozwól nam sobie wszystko poukładać.

Agata zagrała szczerością i teraz z zainteresowaniem obserwowała twarz swojej poprzedniczki.

– Masz rację – powiedziała w końcu Sylwia. – Mężowie są jak naleśniki.

Roześmiały się obie. I nic więcej nie mówiły do chwili, gdy zjawiła się Teresa.

Teodor Marciniak długo się zastanawiał, czy powinien iść na pogrzeb. Z jednej strony należało oddać ostatnią posługę osobie, dzięki której ujrzała światło taka perła poezji. Z drugiej strony będzie tam autorka. W takiej sytuacji trudno uniknąć przykrych myśli. Teodor wciąż czuł się rozczarowany postawą Marii i trochę się bał spotkania. Co, jeśli w jakiś nachalny sposób będzie próbowała mu się narzucać? Nie chciał, właściwie nawet nie potrafił być niemiły w stosunku do kobiet. A jeśli będzie po swojemu grzeczny, może zostać źle zrozumiany. Tymczasem sprawy między Marią a nim są zamknięte, to przeszłość. Owszem, bolesna, niemniej przeszłość.

W końcu jednak postanowił iść. Będzie się trzymał z boku, tak by nie rzucać się w oczy. Ot, zwykły szary przechodzień, który zatrzymał się, by nad grobem tragicznie zmarłej rozważyć sprawy życia i śmierci.

Msza pogrzebowa, jak każda msza, ciągnęła się w nieskończoność. Zwłaszcza kazanie było długie i nudne, widać ksiądz, usatysfakcjonowany gratyfikacją, uznał, że trzeba ludziom dać to, za co zapłacili. Teodor nawet początkowo słuchał, przez grzeczność, w końcu jednak nie wytrzymał i pozwolił myślom płynąć swobodnie. Rozglądał się przy tym po cmentarnej kaplicy.

Maria siedziała w pierwszym rzędzie. Na szczęście towarzyszył jej brat, a nie ten abderyta w swetrze. Ta przyzwoitość i ślady po łzach trochę ułagodziły Teodora, ale tylko trochę. Rana

w sercu była zbyt głęboka, by ot tak wybaczyć.

Tuż za Marią siedziała jej matka, urocza starsza pani. Doprawdy szkoda, że córka nie odziedziczyła po niej charakteru. Pani Leokadii towarzyszyła młoda, bardzo ładna dziewczyna o smutnych oczach. Nie był to smutek spowodowany śmiercią Wandy, tylko raczej notoryczny smutek ciężko zranionego serca. Teodor rozpoznał w dziewczynie pokrewną duszę. Ciekawe, czy podobnie jak on uwielbia poezję?

Przyglądał się tak zgromadzonym, aż jego wzrok padł na kobietę w czarnym swetrze, która wydała mu się znajoma. W małych miejscowościach wrażenie, że nie widzimy kogoś po raz pierwszy, towarzyszy ludziom dość często i równie często bywa złudne. Teodor przeszukiwał zakamarki pamięci, mając nadzieję, że odnajdzie jakieś wspomnienia związane z tą kobietą. Bezskutecznie. Nękało go jednak uporczywe przekonanie, że już wcześniej gdzieś ją widział. Dlatego, gdy wychodzili z kaplicy, podszedł do kobiety.

– Moja godność Teodor Marciniak – przedstawił się.

– Teresa Domańska.

Domańska? Znał to nazwisko.

– Czy pani jest krewną Zbigniewa Domańskiego?

– Jestem... w zasadzie byłam jego żoną – oznajmiła chłodno.

– Przykro mi bardzo. Ceniłem pani męża. Nie znaliśmy się osobiście, inne kręgi, że tak pozwolę sobie to ująć. On się zajmował polityką, ja jestem skromnym przedsiębiorcą z lekką słabością do kultury, literatury zwłaszcza. Dużo robię, by wspierać czytelnictwo. Pani mąż też dużo dobrego zrobił.

Jego słowa jakby stopiły chłód Teresy Domańskiej. Uśmiechnęła się ciepło, przyjaźnie.

– Dziękuję, że pan tak mówi. Zbyszek ostatnio nie cieszył się najlepszą opinią.

Kradł jak każdy, tylko na swoje nieszczęście dał się złapać, pomyślał Teodor. Powstrzymał się jednak przed wypowiedzeniem tego głośno, miał bowiem wycucie chwili. Kobieta była smutna, rozżalona, pewnie się nasłuchiwała od ludzi, po co ją trzymać?

– Dobrze pani znała zmarłą? – zapytał, by zmienić temat.

– Słabo. Wyjechała, zanim z mężem zamieszkaliśmy na Różanej. Wróciła wiosną, ale bliższe relacje nawiązała tylko z Marysią Jezierską. Znały się z młodości. Nawet nie pamiętam, czy z nią rozmawiałam. Ostatnie miesiące to był dla mnie wyjątkowo trudny czas.

Skinął głową na znak, że rozumie. Zapadło milczenie, które przerwała Teresa.

– A pan?

Nie rozumiał, więc powtórzyła.

– Dobrze się znaliście?

– Prawdę powiedziawszy, wcale. Przyszedłem tu niejako z przyczyn służbowych. Jestem wydawcą lokalnej gazety. Pani Wanda odegrała znaczącą rolę przy wydaniu poezji Marii Jezierskiej, czym przyczyniła się do rozwoju lokalnej kultury. Nie mieliśmy do tej pory własnej poetki.

– Wstyd się przyznać, ale nie czytałam jeszcze poezji Marysi. Mam tomik, bardzo ładnie wydany, ale nie czytałam. Jakoś tak się złożyło.

– Ja czytałem i ze swojej strony serdecznie polecam. Bardzo dobra literatura.

– Kto by pomyślał, Maria wcale nie wygląda na osobę, która mogłaby pisać wiersze.

– Wiem coś o tym.

Zatrzymali się, bo i kondukt żałobny się zatrzymał. Teodor dostrzegł z żalem, że nie przyszło zbyt

wiele osób, pewnie tylko najbliżsi.

– Mało ludzi – zauważyła Teresa, jakby czytała w jego myślach. – Boję się, że u mnie będzie jeszcze mniej. Nie mieliśmy dzieci...

– Rozumiem, sam jestem w podobnej sytuacji. Rozwiedziony... Jakoś nie układa mi się z kobietami – wyznał zawstydzony.

– Może nie trafił pan...

– Teodor, proszę mi mówić Teodor.

– Może nie trafiłeś, Teodorze, na tę właściwą. – Poklepała go po ramieniu, jakby chciała dodać mu otuchy i zachęcić do dalszych poszukiwań.

Miła kobieta, pomyślał Teodor. Nie chciał się ostentacyjnie przyglądać, ale raz po raz rzucał jej ukradkowe spojrzenia. Ładna i kształty miała tak klasycznie kobiece, okrągłe biodra i spore piersi. Widać też było, że ma dobry gust i dba o siebie. Teodor lubił eleganckie kobiety i już, już miał ją zaprosić do kawiarni, gdy zdał sobie sprawę, że okoliczności nie są fortunne. Może nadarzy się inna okazja.

Pogrzeb się skończył, ludzie odchodzili od grobu. Można było dostrzec łączące ich więzi. Do Marii, opartej na ramieniu brata, podeszła Leokadia wraz z tą młodą dziewczyną, która towarzyszyła starszej pani w kaplicy. Zwolennik swetrów stał trochę z boku, pogrążony w rozmowie z mężczyzną w eleganckim garniturze. Dalej dwie kobiety, jedna młoda, pewnie nie miała jeszcze trzydziestu lat, i druga, zadbana, około czterdziestki, udawały, że się lubią. Gdy podszedł do nich bratanek Marii, młodsza pośpiesznie się pożegnała i ruszyła w stronę Teresy.

– To moja sąsiadka i przyjaciółka, Agata. Razem przyjechałyśmy, więc...

– Ależ oczywiście, nie będę pań zatrzymywał. – Ukłonił się grzecznie. Braku uprzejmości nie mógł sobie zarzucić.

– No to do zobaczenia – powiedziała tak, jakby miała pewność, że znowu się spotkają. A może to była propozycja? Może należało zapytać, czy mógłby ją odwiedzić? Wahał się o chwilę za długo, kobiety już odeszły, teraz głupio by wyglądało, gdyby nagle za nimi ruszył.

Nic to, znajdzie jakiś pretekst, by z nią się spotkać. Czy istnieje jakiś powód, dla którego dwoje samotnych ludzi nie miałyby się umówić na kawę?

Wandę pochowano w rodzinnym grobie. W alejce między starymi pomnikami mało było miejsca i kiedy Janusz się cofał, wpadł wprost na Seweryna. Przeprosił, a nie chcąc wyjść na gburę, zapytał sąsiada, co u niego słychać.

– Ogólnie dobrze, dziś trochę gorzej. Wiesz, kiedyś ją kochałem.

– Przykro mi.

– Nie ma powodu, stare dzieje. Tak stare, że robi mi się smutno, bo nagle uświadamiam sobie, że jestem już bez szans na zbudowanie czegokolwiek. Dużo czasu straciłem z... – Seweryn urwał gwałtownie. Jednak imię nie musiało paść, by Janusz wiedział, o kogo chodzi.

No i od razu konsternacja. Źle nie powiedzieć nic, ale tak zostawić tego bez komentarza też nie można.

– Nie myślę, bym zdołał wam wybaczyć.

StarSKI skinął głową. Sprawiał wrażenie apatycznego, jakby skurczonego i smutnego. Januszowi żal się go zrobiło. Biedak, dziś boleśniej niż kiedykolwiek uświadamiał sobie, że życie przeciekło mu między palcami. Krupski znał to uczucie. Pamiętał, jak niespełna rok temu obudził się w szpitalu

i usłyszał od lekarza: „Najważniejsze, że pan żyje”. A to życie nawet splunięcia nie było warte, choć posadził drzewo, wybudował dom i nawet spłodził syna. Janusz winił Janinę, dopóki nie zrozumiał, że sam ponosi odpowiedzialność za swoje wybory. Zadziwiające, jak wielu ludzi potrafi skutecznie zmarnować sobie życie.

– Jeśli nie chcesz być sam dziś wieczorem, to wpadnij do nas na piwo.

Widać było, że ta propozycja ucieszyła Seweryna, choć podziękował tylko skinieniem głowy. Na odchodnym Janusz klepnął go w plecy. Dobry ze mnie człowiek, pomyślał, bo w gruncie rzeczy nie powinienem być miły dla Starskiego. Po tym, co zrobił, mógłbym mu się nie kłaniać, a zapraszam go na piwo. Z drugiej jednak strony... Jak on to wtedy powiedział? „Sam ją pchnąłeś do zdrady”. Przywołanie tych słów było jak dotknięcie miejsca, gdzie w skórze tkwiła drzazga. Janusz wiedział, że usłyszał wtedy prawdę.

I chyba najwyższy czas spojrzeć tej prawdzie w oczy. Przez tyle lat był wobec Janiny nieszczerzy. Żyjąc z nią, wciąż rozmyślał o Marii i o tym, że życie mogłoby być inne. Nie należało tego robić. Trzeba było albo się rozwieść, albo pokochać własną żonę.

Leokadia przywołała Olgierda nagłym ruchem ręki.

– Zobaczę, o co jej chodzi – zwrócił się do Sylwii.

– Mam na ciebie czekać czy jechać z Agatą? – Choć zapytała uprzejmie, Olgierd widział na końcach jej zębów kropelki jadu. Gdyby Leokadia stała bliżej, ta zmija ukąsiłaby ją w szyję.

– Wróc z Agatą. Nie wiem, ile to zajmie – powiedział, a w myślach dodał: Ale wiem, jaką przyjemność sprawi ci jazda z żoną Michała. I cmoknąwszy Sylwię w policzek, ruszył ku babce.

– To doprawdy smutne, że ktoś musiał umrzeć, żebym zobaczyła swojego wnuka! – usłyszał na powitanie.

Uśmiechnął się, by pokazać, że żadne jej słowa nie są w stanie go zdenerwować, i spojrzał ukradkiem na Martę, która stała tuż obok, okazując absolutną obojętność. Mogłaby udać, że na niego nie patrzy, omiatać wzrokiem cmentarną dal. Jednak nie; patrzyła na niego w taki sposób, jakby był smuzką dymu unoszącą się nad dogasającym ogniskiem, czymś, co zniknie, gdy tylko wietrzyk zawieje. Naprawdę miałby ochotę powiedzieć Marcie, jak bardzo się myli. Tylko pewnie nie chciałyby słuchać.

– Kiepsko się ostatnio miewam – poinformowała go Leokadia. – W moim wieku to nic niezwykłego. Lada moment będziecie kłaść kwiaty na moim grobie.

– Przesadzasz. Wyglądasz kwitnąco.

– Wiesz, że nie lubię kłamców i lizusów? – ofuknęła go. – Zamiast prawić mi fałszywe komplementy, powinieneś się zmartwić i obiecać, że będziesz często do mnie zaglądał.

– Uważaj mnie za zmartwionego. Odwiedzę cię jutro.

– Czemu nie dziś?

– Obiecałem Sylwii, że sprawdzę, co z jej autem.

– Dorabiasz sobie jako mechanik samochodowy? Ach, nie. Po prostu z Michałem nie wyszło tak, jak planowała, i tylko popsuka mu drugie małżeństwo.

Olgierd w myśli policzył do dziesięciu, a potem powiedział spokojnie, że zupełnie nie wie, o co chodzi. Sylwia poprosiła o pomoc, to jej pomoże. Oczywiście Leokadia wykorzystała te słowa przeciw niemu.

– Skoro jesteś tak chętny do pomocy, to skopiesz mi ogródek. – I odeszła powoli, dostojnie wsparta

na ramieniu Marty.

Został sam nad grobem. Jakby był kimś najbliższym zmarłej, a nie człowiekiem, którego nic z nią nie łączyło. Przysiadł na sąsiednim pomniku i bezmyślnie wpatrywał się w imiona, nazwiska i daty, choć nic mu nie mówiły. Kilka alejek dalej był grób, który powinien odwiedzić, tak rzadko tam zaglądał. Ciekawe, czy przyjdzie w jego życiu moment, gdy wizyty na cmentarzu przestaną budzić tak gwałtowne emocje. Kiedy byli mali i przyprowadzał ich tu tata, Konrad zawsze płakał, choć przecież słabo pamiętał matkę. Olgierd zaciskał zęby, by pokazać ojcu, a może też mamie, jeśli go widziała, jak dzielnie potrafi to znieść. Nie był dzielny. Płakał w nocy, bo tęsknił. Czuł, że nie ma nikogo, kto by go kochał tak bardzo jak ona.

Gdy poszedł do liceum, zaczął się buntować przeciw ojcu. Wtedy to odmówił uczestniczenia we wspólnych wyprawach na cmentarz. Mówił, że skoro matka go zostawiła, on może zostawić ją. W czasie studiów się uspokoił, głównie za sprawą Marty. W końcu ktoś kochający go bezgranicznie wypełnił pustkę, która powstała, gdy mama umarła.

A teraz Marta znowu przestała być częścią jego życia, on sam zaś poczuł się bardzo zagubiony. Postanowienie, by nigdy więcej nie być dupkiem, nie było wystarczającą odpowiedzią na wszystkie nurtujące go pytania.

Telefon w kieszeni brzdęknął. Sylwia pytała, kiedy można się go spodziewać. Jak udało jej się sprawić, że pięć słów w SMS-ie zabrzmiało tak ponagłająco? Podniósł się niechętnie i ruszył ku bramie. Kwadrans później był na Różanej.

– Mówisz, że nie chciał zapalić? – zapytał, wchodząc. – Daj kluczyki.

– Samochód może poczekać. – Sylwia gestem zaprosiła go do salonu. – Chciałam z tobą porozmawiać.

No to rozmawiajmy. Grzecznie usiadł w fotelu i czekał, co ma mu do powiedzenia.

– Kiedy byłeś tu ostatnio, przeprosiłeś i powiedziałeś, że się zaangażujesz.

– W opiekę nad dzieckiem.

– Nie jestem idiotką, nie oczekuję, że zaangażujesz się w związek z jego matką.

Powiedziała to spokojnie, ale spokojna nie była. Trzeba bardziej uważać na słowa, nigdy nie wiadomo, co może rozżłościć kobietę.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Chcę przyjacielskich relacji i wzajemnego wsparcia. Nie chcę wojny. – Uśmiechnął się, by podkreślić swoje pokojowe zamiary.

Podziałało. Rzuciła przepaszające: „Wybacz, hormony”, i poszła do kuchni po sok. Nie było jej przez dłuższą chwilę, której widać potrzebowała, bo wróciła w zupełnie innym nastroju.

– Chciałam z tobą porozmawiać, bo widzisz, lekarz zalecił mi badania prenatalne. Mogę sobie schlebiać, mówiąc, że jestem młoda, ale trzydzieści cztery lata skończyłam jakiś czas temu i znajduję się już w grupie ryzyka. Oczywiście, jeśli okaże się, że coś jest nie tak...

– Wszystko jest w porządku – zapewnił. Czuł, że ona chce to usłyszeć.

– Tak, wiem. Te badania to, powiedzmy, tylko formalność.

– A nie zaszkodzą dziecku? Wiesz, jeśli wszystko jest w porządku, to po co je narażać?

– Robi się je z krwi matki. Bezinwazyjnie. Dopiero gdyby coś wykazały, można myśleć o punkcji. Ale do tego nie dojdzie.

– Ponieważ wszystko jest w porządku.

Popatrzyła na niego jak na skończonego idiotę.

– Nie. Bo nawet jeśli testy coś wykażą, ja się nie zdecyduję na aborcję. Urodzę to dziecko, nawet

jeśli miałyby być chore. To właśnie próbuję powiedzieć.

Cholernie słabo ci to wychodzi, pomyślał. Wstał z fotela i podszedł do Sylwii. Myślał, że po prostu położy jej rękę na ramieniu i po raz kolejny zapewni, że wszystko będzie dobrze. Kiedy jednak spojrział w jej oczy, zobaczył tam te wszystkie emocje, z którymi musiała się borykać. Dziecka jeszcze nie było, a ona już je kochała i drżała na myśl, że może je spotkać coś złego. Matka. Otworzył ramiona i pozwolił, by się w niego wtuliła.

– Powiedziałem, że będę cię wspierał, i to prawda. Bez względu na wszystko, jasne?

Zamiast odpowiedzieć, zaczęła płakać.

Tadeusz wracał spacerem do domu. Pogrzeb mocno go przygnębił. Znali się z Wandą od dziecka. Ani wtedy, ani później nie byli przyjaciółmi. Prawdę powiedziawszy, nawet jej nie lubił. Była dziwnym dzieckiem, milczącym i cichym, ale potrafiła zachować się wrednie. Często psuła zabawę, ostentacyjnie się obrażając. Biedna Marysia biegła wtedy za nią i przeproszała najpiękniej, jak umiała. Kiedy Wanda wyjechała, nikt po niej nie płakał. Tak jak teraz. Jeśli nawet komuś było smutno, tak jak w tej chwili Tadeuszowi, to dlatego, że śmierć skłania każdego do refleksji.

Bardziej niż kiedykolwiek czuł się samotny. Może nawet opuszczony. Najpierw opuścił go ojciec, zmuszając do przedwczesnego wejścia w dorosłość. Później odeszła Ewelina, zostawiając dwoje małych dzieci i obowiązki, o których nie miał pojęcia. Przypomniawszy sobie ranek, cztery dni po śmierci żony. Obudził się przekonany, że ona leży obok. Choć wiele tygodni przed śmiercią spędziła w szpitalu, Tadeusz każdego ranka budził się przekonany, że ona śpi obok. Prawdę mówiąc, do tej pory, choć teraz niezmiernie rzadko, zdarzały się takie poranki, gdy na granicy snu i jawy miał wrażenie, że żona jest przy nim. Pewnie by to minęło, gdyby zaprosił do swojego łóżka jakąś inną kobietę. Jednak to było zbyt skomplikowane, bo jedyna, której pragnął, miała męża. Wolał na nią czekać, niż wikłać się w związek bez miłości. I na tym czekaniu upłynęło mu wiele lat. Zbyt wiele, zważywszy, jak to wszystko się skończyło.

Tamten ranek, cztery dni po śmierci Eweliny, był szczególny. Tadeusz wracał do pracy, Olgierd do szkoły. Konradem, dla którego nie znaleziono miejsca w przedszkolu, miała się zająć babcia. Tadeusz wstał wtedy, ubrał się pośpiesznie, zszedł do kuchni i stanął oko w oko z nową rzeczywistością. Dotychczas, zastępując żonę w codziennych czynnościach, pocieszał się myślą, że to przejściowe. Nie szkodzi, że kanapki do szkoły źle zapakowane, gdy wróci Ewelina, będzie je ładnie zawijać. Nie szkodzi, że zgubiły się kapcie, gdy Ewelina wróci... Nie szkodzi, że koszula wymięta, a krawat źle zawiązany, gdy... I nagle nie można już było tak myśleć, wiadomo było bowiem, że ona nie wróci.

Wtedy życie Tadeusza rozpadło się na dwie części. Tę zwyczajną i tę, kiedy każdego dnia padało pytanie, jak by to było, gdyby żona nie umarła.

Musiał wracać przez miasto, od czasu powodzi spacer brzegiem rzeki był niemożliwy. Wezbrana rzeka zniszczyła ścieżkę, naniosiła błota i śmieci. Szkoda, lubił te spacer, pozwalały zatopić się we własnych myślach. Na ulicach trudno było nie spotkać kogoś znajomego. Ciągłe „dzień dobry” i „co słytać” wyrwały go z zamyślenia. Tym razem albo był zbyt zamyślony, albo wyjątkowo nie natknął się na nikogo znajomego, bo pierwsze „dzień dobry” usłyszał na Różanej. Nawet nie było skierowane do niego, ale wyrwało go z zamyślenia. Spojrzął w kierunku, skąd dobiegło, i się zatrzymał.

Na progu domu Konrada stała listonoszka i podawała przesyłkę młodemu mężczyźnie, który miał na sobie tylko szorty. Tadeusz widywał go wcześniej w ogrodzie Karoliny, nigdy jednak w stroju, który

sugerowałby... zadomowienie.

Kolejna sprawa, która nękała Jezierskiego seniora. Konrad. Nie ulegało wątpliwości, że okazał się dużo większą porażką wychowawczą niż Olgierd. Naprawienie błędów syna kosztowało Tadeusza nie tylko dużo pieniędzy, ale również zdrowia. Czuł, jak mocno ta sprawa zszarpała mu nerwy. A przecież to nie koniec, Konrad nie wrócił do domu. Po interwencji Mateusza odbierał telefony od ojca. Rozmowy były krótkie, zdawkowe i kończyły się za każdym razem, gdy Tadeusz poruszał kwestię powrotu. Wiedział jednak, że to sprawa przejściowa. Konrad potrzebował czasu, by sobie to wszystko w głowie poukładać.

Czy dla Karoliny to również sprawa przejściowa, czy uznała, że mąż już na zawsze zamieszkał z Mateuszem? Trzeba z nią porozmawiać, uświadomić, jak bliska jest popełnienia wielkiego błędu.

Tadeusz zatrzymał się przed swoją furką. Wsparł się na niej i patrząc na ogród, próbował zapanować nad emocjami. Zaczął myśleć o wszystkich tych pracach, które będzie musiał wykonać w najbliższych tygodniach. Jesień to nie tylko czas grabienia liści i sprzątania zwiędłych roślin. To również czas sadzenia. W garażu czekała skrzynka z cebulami tulipanów, które za dwa tygodnie muszą się znaleźć w ziemi. Trzeba też wybrać się do sklepu ogrodniczego i kupić ładne iglaki, które można by posadzić przy schodach prowadzących na taras. Wiosną Tadeusz zdecydował się na kupno nowej kosiarki do trawy. Do największych plusów tego zakupu należał koszt na trawę, okazało się jednak, że jest też pewien minus – nie dało się wykosić pasa trawy przy tarasowych schodach. Znudzony wyrównywaniem jej nożycami, Tadeusz zdecydował się posadzić tam rośliny. Myślał o hortensjach, w końcu jednak uznał, że iglaki będą lepsze – są zielone cały rok, będą więc stanowiły ładne tło dla bylin, które uprawiał w ogrodzie. Ich dobór nie był sprawą prostą. Niezmiernie łatwo osiągnąć nudną ścianę ciemnej zieleni. Rośliny, które w sklepie wydają się różnić kolorem, posadzone obok siebie zlewają się w zielony gąszcz. Trzeba też sprawdzić, jakie tempo wzrostu mają poszczególne gatunki. Inaczej za dwa, trzy lata można mieć efekt podobny do widoku Guliwera w krainie liliputów. Iglaki nie wyglądają ładnie posadzone w rzędach, ale tam, gdzie Tadeusz zamierzał je umieścić, nie było zbyt wiele miejsca na stworzenie ładnej, nieregularnej grupy. Będzie musiał skupić się na pokroju i kolorze krzaków. Posadzi między nimi berberys albo może różanecznik. Osłonięty od wiatru ścianą budynku, powinien dobrze się tu czuć.

– Zawsze się zastanawiam, jak ty to robisz, że te wszystkie chwasty tak ładnie u ciebie wyglądają – usłyszał za plecami głos Seweryna.

– Wszędzie ładnie wyglądają – odpowiedział, patrząc na złote pióropusze nawłoci pochylone nad morzem kolorowych dali.

– Nie u mnie.

– Tylko dlatego, że kolor nie pasuje. – Tadeusz przez chwilę się wahał, w końcu postawił na szczerłość i powiedział: – Zaprosiłbym cię, ale Janusz jest już pewnie w domu, a wolałbym uniknąć rozlewu krwi.

– Dziś mamy zawieszenie broni. To on powiedział, że bym do was wpadł.

Czuj się jak u siebie, Janusz, pomyślał Jezierski i puścił gościa przodem.

Usiedli przy stole w kuchni. Kiedy spotka się trzech facetów, z których żaden nie jest akurat w dobrym nastroju, jedyne, co może się wydarzyć, to milcząca popijawa. Tadeusz, zorientowawszy się, dokąd zmierzają sprawy, postanowił zagaić.

– W tym roku liście nie będą stanowić problemu. Kupiłem dmuchawę i jeśli chcesz, Seweryn, mogę ci pożyczyć.

– No, bo Seweryn lubi se czasem dmuchnąć – skomentował Janusz i Tadeuszowi przyszło do głowy, że rozmowa może nie jest najlepszym pomysłem.

Było już jednak za późno. Seweryn poczuł się urażony, a alkohol dodał mu odwagi.

– Dmuchać to, czego ty dmuchać nie chciałeś.

Jeziński się nie spodziewał, że Janusz potrafi tak szybko i sprawnie się poruszać. Ze zdziwieniem patrzył, jak przyjaciel jednym susem znalazł się przy Sewerynie i już podnosił go za kołnierz do góry.

– Ja ci dmuchnę! Nogami się nakryjesz, jak ci dmuchnę!

– Daj spokój. Sam go zaprosiłeś.

– I sam go wyrzucę.

– Daj spokój – łagodnie powtórzył Tadeusz. – Napijmy się kulturalnie.

Krupski puścił Seweryna, a ten poprawił koszulę i usiadł na swoim miejscu. Nalał sobie whisky do szklanki i wypił trzema łykami. Chyba nie nawykł, bo nieźle nim trzepnęło.

– Wiecie, to nie może tak być.

– O czym ty mówisz, Tadek, to już się stało. Od lat przyprawiał mi rogi. Powinienem go zabić.

Seweryn chciał coś powiedzieć, ale Tadeusz powstrzymał go gestem. Najwyższy czas przeprowadzić mediację między tymi dwoma.

– Słuchajcie, panowie, bo nie będę powtarzał. Od kobiety całe zło na świecie. Zawsze znajdzie się Pandora, co otworzy skrzynkę i sprowadzi na nas problemy. – Gdzieś w przesiąkniętym alkoholem mózgu Tadeusza pojawiła się myśl, że świetny z niego orator. – I dlatego my, faceci, powinniśmy się trzymać razem. Bo żaden z nas nie jest na tyle mądry, przebiegły i sprytny, by dać sobie radę z kobietą. Wszyscy trzej, jak tu siedzimy, padliśmy ich ofiarami. Janusz został zdradzony, mnie złamano serce, Seweryn też został oszukany. – Spojrzał z nadzieją na tamtego.

– Rzuciła mnie. Powiedziała, że to koniec.

– Każdy z nas cierpi. I zamiast się zjednoczyć w jakimś współodczuwaniu, skaczemy sobie do gardeł.

Skinęli głowami, dając do zrozumienia, że ma rację. Janusz polał od serca, podnieśli szklanki i stuknęli nimi. Tadeusz miał wrażenie, że atmosfera stała się nieco przyjemniejsza. Może sprawiła to jego płomienna przemowa, a może po prostu alkohol. A im mniej było go w butelce, a więcej w ich głowach, tym stawali się dla siebie życzliwsi. W końcu postanowili, że nie będą sobie wchodzić w drogę.

– Ale jak, skoro nie wiemy, która gdzie prowadzi? – dość trzeźwo jak na tak pijanego zauważył Starski.

– Ja na pewno do ogródka Teresy chodził już nie będę – wyznał Tadeusz.

– Powiedziałem Janinie, że z nami koniec. Muszę być konsekwentny... Jestem mężczyzną...

– Jeśli chodzi o Marię... – Janusz się zawahał. – Ten pociąg odjechał dawno temu.

No i co teraz? – zastanawiali się wszyscy trzej. I nagle ich olśniło. Będą ciągnąć zapałki! Los zadecyduje.

Tadeusz wyjął z szuflady pełne pudełko. Wyjął dwie i złamał jedną w połowie.

– Dwie? – zdziwił się Janusz.

– Maria.

Krótszą wyciągnął Seweryn i teraz on trzymał zapałki w kolejnym losowaniu. Teresa przypadła Januszowi. Wypili za losowanie, męski spryt i głupotę kobiet. Seweryn wyznał, że jest mu dużo lepiej. Duchowo, bo ogólnie to źle się czuje i musi się położyć. Tadeusz zaproponował kanapę

w salonie, ale Starski wzgardził luksusem i położył się na kuchennej podłodze. Janusz chrapał na stole, na obwisłej wardze załśniła kropelka śliny.

Tadeusz przez chwilę bawił się złamaną zapałką. Janina. Nie byłby zainteresowany, nawet gdyby trafili na bezludną wyspę. Na szczęście to tylko głupia zabawa pijanych facetów.

Karolina nie poszła na pogrzeb. Zdawała sobie sprawę, że jest jedyną mieszkanką Różanej, której nie było na uroczystości. Gdyby miała z kim zostawić chłopców, sprawa wyglądałaby inaczej, a nie chciała ich zabierać. Głównie dlatego, że spodziewała się tysięcy pytań o śmierć, niebo, Boga. Bała się, że może paść również to najtrudniejsze: „Czy tatuś też nie żyje?”. Chłopcy na różne sposoby racjonalizowali sobie nieobecność ojca. Byli zbyt mali, by zrozumieć, że Konrad potrzebuje przestrzeni i czasu na przemyślenia.

Prawdę powiedziawszy, Karolina też tego nie rozumiała. Przypominała sobie, że tuż po powodzi był taki moment, gdy z przerażeniem myślała, że mężowi mogło się coś stać. Prawda była taka, że teraz życzyłaby mu śmierci.

Tomek przyszedł, jak zwykle, po pracy. Gdy zjawił się w kuchni, jego uśmiech rozpromienił cały dom. Wspólnie zdawali sobie raport z całego dnia i nagle się okazało, że to, co wcześniej wydawało się nieistotne, nabiera znaczenia, a to, co irytowało, teraz śmieszy.

Dzwonek do drzwi przerwał im rozmowę.

– Twoja kolej, ja flirtowałem z listonoszką.

Karolina pogroziła Tomkowi palcem i poszła otworzyć. Na progu stała Marta.

– Pomyślałam, że może zajrzę do ciebie. Nie przeszkadzam?

Karolina stała, wahając się, czy być uprzejmą, czy też nie. Nie chodziło o niespodziewaną wizytę. Problemem była Marta, którą jeszcze niedawno coś z Tomkiem łączyło.

– Nie, skądże. Wejdz – powiedziała całkiem wbrew sobie i puściła ją przodem.

Na progu kuchni tamta stanęła. W jej „cześć” było słyhać, jak jest zaskoczona. Natomiast odpowiedź Tomka zabrzmiała całkiem naturalnie. Zapytał, czego Marta się napije. A po nastawieniu wody na herbatę zaproponował, że pobawi się z chłopakami w ogrodzie, żeby mogły spokojnie poplotkować.

– Nie przeszkadza ci to? – zapytała Karolina, gdy zostały same.

– Co?

– No Tomek.

– Nie. – Szczerze to nie zabrzmiało.

– Dużo mi pomógł, gdy zostałam sama z dziećmi.

Marta chrząknęła, tak jakby coś jej się przykleiło do podniebienia.

– Karolina, nie zostałam sama. My wszyscy byliśmy gotowi ci pomóc...

– Ty akurat mało byłaś zdatna do pomocy. Wiem, że nie masz doświadczenia. Poza tym trudno dogonić malucha, nawet gdy się nie ma nogi w gipsie.

Karolina uznała, że ucieczka w żart to dobry pomysł. Nie chciała wylewać żalów przed Martą ani nikim. Nie chciała mówić o tym, że ojciec, ciotka i babka męża zostawili ją samej sobie. Nikt nie zaproponował pomocy.

Marta w milczeniu bawiła się kubkiem. Obracała go w dłoniach i przechylała, co mocno irytowało Karolinę. Bała się, że lada moment herbata wyleje się na stół.

– Masz rację, gips był utrudnieniem, ale teraz go nie ma, więc gdybyś czegoś potrzebowała...

Karolina podziękowała jej wylewnie.

– Myślę jednak, że to nie będzie potrzebne – dodała. – Radzimy sobie.

Mina Marty wskazywała, że właściwie rozszyfrowała liczbę mnogą. Widać było również, że chce coś powiedzieć, ale się waha. W końcu dopiła herbatę i pożegnała się śpiesznie.

Karolina zdawała sobie sprawę, co by usłyszała, gdyby Marta się przemogła. Sama nie raz o tym myślała, ale sprawy nie wyglądały tak, jak to się mogło wydawać. To nie ona zostawiła męża. Gdyby Konrad nie uciekł, Tomek nie wszedłby do tego domu, nie zacząłby jej pomagać, a ona by się w nim nie zakochała.

A skoro już to się stało i nie ma odwrotu, może tylko zrobić następny krok. Musi się rozwieść z mężem.

Leokadia uważała, że bycie starym w dzisiejszych czasach jest trudniejsze niż sto lat wcześniej. I nie chodziło tu wcale o relacje międzyludzkie czy brak szacunku. Zdaniem Leokadii pod tym względem kiedyś i dziś mogło być podobnie i zależało to od konkretnego człowieka, jego rodziny i wychowania, które odebrał. No bo przecież gdyby dawniej nie było sukinsynów, to skąd wzięliby się ci obecni? Przecież ktoś musiał dać im przykład. Zawsze na świecie będą ludzie prawi i szlachetni, wychowujący dzieci na swoje podobieństwo. I zawsze trafią się chamy, wychowujące nowych chamów. Dlatego to wcale nie ludzie czynili dzisiejszą starość trudniejszą, ale technika.

Telewizor na przykład. Kiedyś wiadomo było, do czego służy każdy z sześciu przycisków. Dziś jest pilot i Leokadia z trudem opanowała używanie trzech podstawowych funkcji. Reszty guzików nie naciskała, bo po prostu czuła strach. Podobnie z telefonem. Kiedyś miał słuchawkę i tarczę z numerami. A dziś są komórki i trzeba zakładać okulary do czytania, jak się chce zadzwonić.

A największy problem jest wtedy, gdy chce się zadzwonić z cudzego telefonu. Leokadia w napięciu czekała, by za Martą zamknęły się drzwi łazienki. Kiedy usłyszała szum wody, zakradła się do pokoju dziewczyny. Może wystarczyło poprosić o numer? Może nawet by nie zapytała, do czego jest potrzebny? A gdyby jednak padło pytanie, można byłoby skłamać.

Leokadia z dwiema rzeczami nie miała w życiu kłopotu – z mówieniem prawdy i z kłamaniem. Na mówieniu prawdy oparła swoją życiową filozofię. Nie zjednało jej to sympatii, nie miała przyjaciół, ale ludzie ją szanowali. Zdarzają się jednak w życiu takie sytuacje, gdy trzeba skłamać. Nigdy jednak nie robiła tego ze strachu, nie kryła się też za kłamstwem i nie stosowała go dla własnej korzyści. Kłamała dla innych.

Ot, choćby teraz, gdy symulowała chorobę. Marta i Olgierd zaczną się o nią martwić, a to ich połączy. I może w końcu na tyle trwale, że ona, Leokadia, będzie mogła spokojnie umrzeć. Bo dopóki tych dwoje marnowało swoją szansę na szczęście, żadna siła nie ruszy jej z tego łez padołu.

Telefon leżał na stoliku. Leokadia poprawiła okulary. Lista połączeń nie była długa, jednak zeszywniałe palce nie radziły sobie dobrze z małutkimi przyciskami. Wreszcie! Sygnał wybierania... oby tylko odebrał.

– Cześć, siostro!

– To ja.

Cisza. Pewnie był zaskoczony.

– Z Martą wszystko w porządku?

– Oczywiście. Dzwonię, bo chciałam ci powiedzieć, pewnie nie wiesz, że Agata wyprowadziła się od męża.

– Dziękuję za informację, ale życie Agaty mnie nie interesuje.

Jasne! Widziałam ten brak zainteresowania w twoich oczach. Leokadia się uśmiechnęła.

– Jak sobie chcesz. Zrobiłeś dla mnie coś miłego, więc postanowiłam zrobić coś miłego dla ciebie.

Powiedział, że docenia, bardzo dziękuje, ale naprawdę nie jest zainteresowany, a teraz musi wracać do pracy. Pracy? O dziewiątej wieczorem? Biedny chłopak, pewnie nawet sam przed sobą się nie przyznaje, jak silne jest to uczucie. Byle nie zwlekał zbyt długo. Jeśli chce namieszać w życiu Agaty, to teraz trafił się najlepszy moment.

Zrobiłam, co mogłam, pomyślała Leokadia, odkładając telefon. Oczywiście będzie się zajmować tą sprawą w wolnym czasie. Bo priorytet stanowi szczęście Marty i Olgierda.



Rozdział czwarty

Róża Carnevale

Róża Carnevale to krzak o wysokości do dziewięćdziesięciu centymetrów, dobrze krzewiący się i o eleganckim pokroju. Pokryty jest gęsto ciemnozielonymi, błyszczącymi liśćmi. Kwitnie obficie, fundując rabacie prawdziwy festiwal barw, bowiem zebrane w kielichu kwiaty mają płatki, na których paski czerwieni, żółci i bieli mieszają się ze sobą w przeróżnych proporcjach. Efekt ten, zwłaszcza z pewnej odległości, jest zachwycający.

Nie powinnaś teraz być w szkole? – zapytała Janina Julkę, która stała w progu.

– Mogłabym o to samo zapytać. – Dziewczyna zrobiła krok do przodu, by wejść, choć zaproszenie nie padło.

Janina usunęła się niechętnie. Szukała słów, którymi mogłaby przekonać nastolatkę, by wróciła do szkoły. Niestety, Julka zauważyła torbę stojącą obok szafki z butami.

– Wiedziałam. A przecież mówiłam, że z panią pójdę.

– Nie ma takiej potrzeby. Powinnaś być w szkole, nie na wagarach.

– Uznajmy, że to szkoła życia.

Julka oparła się o szafkę tak, by znaleźć się między Janiną a torbą. Poprawiła przy tym włosy. Wyglądała na zadowoloną z fryzury, którą Janina zafundowała jej kilka dni temu, nie mogąc patrzeć na czarne strąki, nieudany efekt domowej koloryzacji.

Kiedy stało się jasne, że matka dziewczyny nie zamierza niczego z tym zrobić, Krupska sama zaprowadziła Julkę do fryzjera. Nie obyło się bez buntu, wiadomo, nastolatka. „Kochanie, rozumiem twoją potrzebę eksperymentowania i wyrażania siebie również przez fryzurę – tłumaczyła jej spokojnie Janina. – Farbuj, ścinaj, rób, co chcesz. Ale pamiętaj, że kobieta powinna dbać o urodę i ją podkreślać. A ty w tej chwili wyglądasz jak brudny mop”.

Te ostatnie słowa zadziałały. Po konsultacjach z fryzjerką uzadniały, że trochę włosów się zetnie, trochę wygoli, przywróci się im naturalny kolor, a kilka pasemek można ufarbować na różowo. Po tym zabiegu Julka znów wyglądała ładnie, trochę słodko, trochę zadziornie, już nie jak mała dziewczynka, tylko młodziutka kobieta.

Koleżanki muszą jej bardzo zazdrościć, jest śliczna, pomyślała Janina, patrząc z dumą na dziewczynę. Zamiast jej to powiedzieć, pozwoliła, by do głosu doszedł belfer, który, hodowany przez długie lata, stał się drugą naturą.

– Będziesz miała zaległości.

– Zdolna jestem, dam radę.

– Naprawdę nie ma potrzeby, żebyś tam ze mną szła. Poradzę sobie.

Julka skinęła głową, dając znak, że nie wątpi w samodzielność Janiny. Nic jednak nie wskazywało na to, by miała zamiar wyjść.

– Wrócisz do szkoły?

– Wychowawczyni mnie zwolniła. Powiedziałam jej, że bardzo boli mnie brzuch. Nagłe ozdrowienie mogłoby mnie zdemaskować.

– Nie powinnaś kłamać.

Dziewczyna wydeła wargi.

– I kto to mówi! Na którą ma pani być w szpitalu?

– Na dwunastą. Powinnam już wychodzić.

Julka sięgnęła po torbę.

Okazuje się, że mało jest tematów, na które chciałoby się rozmawiać, gdy idzie się na usunięcie guza. Milczenie przerwało dopiero pytanie dziewczyny, czy to będzie bolało. Janina odpowiedziała, że nie. Dostanie narkozę i przejdzie przez zabieg w błogiej nieświadomości, nic nie poczuje. Jednak prawda była taka, że jakiś czas temu zaczęła odczuwać ból. Nie fizyczny, ale psychiczny. Bolał ją fakt, że ma raka, pieszczotliwie nazywanego przez lekarza guzem, bo „to jeszcze nic nie wiadomo, histo-pato pokaze”.

Ból sprawiała jej myśli o własnym zdradzieckim ciele, które w tajemnicy wyhodowało zabójcę. Lista życiowych strat sprawiała jej cierpienie. A najgorsze, że to wszystko mogło się okazać początkiem.

Zabawne, poświęciłam całe życie dla rodziny, wszystkie plany, marzenia, nadzieje spaliłam w tym pieprzonym domowym ognisku, a teraz, gdy potrzebuję, by moi bliscy byli przy mnie, mają co innego do roboty. Córka opiekuje się wredną staruszką z przeciwka, syn stoi na straży porządku publicznego, a mąż woli mieszkać z sąsiadem. Gdybym umarła, nikt by nie zauważył. Pożegnaliby mnie tak, jak tę biedną Wandę, z obowiązku, nie z miłości.

– Wszystko w porządku? – spytała zatroskana Julka. – Tak smutno pani wygląda.

– Trochę się boję. – Tylko strachem mogła się podzielić z nastolatką, inne przykre myśli musiała zachować dla siebie.

Julka przytuliła się do niej spontanicznie, mocno, całą sobą i wyznała:

– Ja też się boję. Proszę mi obiecać, że pani nie umrze.

– Nie umrę.

Zabrzmiało to trochę patetycznie, ale tak szczerze, że przekonało nie tylko Julkę, ale i samą Janinę. Nagle zrobiło jej się raźniej. Przecież wszystko będzie dobrze. Wytną to cholerstwo, a ona jeszcze trochę pożyje.

Ten dobry nastrój trwał tylko chwilę, prysł jak bańka mydlana, gdy wchodziły do szpitala. Wróciły wspomnienia sprzed dwóch miesięcy – strach o Martę, godziny spędzone na szpitalnym korytarzu, nadzieja, że teraz wszystko się między nimi ułoży. Byłoby tak, gdyby nie zjawiała się Leokadia. Co z nią jest nie tak, że musi się mieszać do spraw Marty? Nie wystarczy, że własnej córce zmarnowała życie, musi to jeszcze zrobić córce Janiny?

Przed okienkiem rejestracji stały dwie osoby i uznała, że to dobry moment, by pożegnać się z Julką. Tamta chciała zostać, ale Janina przekonała ją, że to nie jest dobry pomysł.

– Przyjdź do mnie jutro.

Czekając na swoją kolejkę, patrzyła za odchodzącą dziewczyną. Taka ta Julka młoda, tak dziecięco niemądra, taka kochana. Nic jeszcze nie wie o życiu, dlatego wypełnia przyszłość nadziejami i marzeniami, które nigdy się nie spełnią. Janina widziała w niej siebie sprzed lat. Gdyby można było cofnąć czas...

Olgierd czuł się nie na miejscu. Rzeczywistość uwierała go niemal fizycznie. Gdyby ktoś go zapytał, czy woli być w świecie jak z powieści Lovecrafta czy tu, w poczekalni u ginekologa, bez wahania wybrałby to pierwsze. W tej chwili nie wyobrażał sobie straszniejszego miejsca na świecie.

Na niebieskich ścianach powieszono zdjęcia wielkich brzuchów z obrzydliwie wystającymi pępkiem. Dzieci z bezzębnymi uśmiechami spoglądały z okładek rozłożonych wszędzie magazynów dla młodych matek. I jeszcze dookoła te kobiety, patrzące na Olgierda jak na intruza, który ośmielił się wejść do ich tajnej bazy. Zaraz podejście do niego któraś z pielęgniarek i oznajmi, że za naruszenie przepisów zostanie rozstrzelany.

– Denerwujesz się? – zapytała Sylwia.

– Skądże. – Poprawił kołnierzyk koszuli, który nagle zaczął go strasznie uwierać.

– A ja trochę. Wiesz, Julka była wpadką i cała ta pierwsza ciąża wydawała się jednym wielkim wariactwem. Wtedy sobie obiecałam, że jeśli się zdecydujemy z Michałem na drugie dziecko, wszystko będzie zaplanowane i poukładane. No ale się nie zdecydowaliśmy. A kiedy pogodziłam się z myślą, że jestem matką jedynaczki, znowu zaliczam wpadkę i znowu jest wariactwo. Nawet gorsze, bo wtedy był ze mną Michał.

Olgierd nie rzucił się, by zapewniać, jak to teraz on jest przy niej. Rozumiał, na czym polega różnica między obecnością Michała wiele lat temu a nim siedzącym teraz w tej koszmarnej poczekalni.

Wreszcie otworzyły się drzwi gabinetu. Zapraszając Sylwią do środka, lekarka rzuciła na Olgierda pytające spojrzenie. Przeprosił wzrokiem, że tu jest.

Został sam i było mu z tym dobrze. Czy ja się za bardzo nie wikłam? – zapytał sam siebie. Miał ochotę wstać i wyjść, powstrzymywała go obietnica, którą złożył, przecież postanowił nie być więcej dupkiem. Zostanie z Sylwią tak długo, jak długo ona będzie tego potrzebowała.

– Olgierd, czy mogę cię na chwilę prosić? – Stała w drzwiach, uśmiechając się promiennie. Zdarzały się chwile, gdy nienazwanie jej piękną kobietą byłoby grzechem.

Wszedł niepewnie, jakby znów miał dziesięć lat i został wezwany do gabinetu dyrektora. Z wymuszonym uśmiechem usiadł grzecznie na wskazanym miejscu obok niej. Czuł, że wygląda jak idiota.

– To tylko kilka pytań do wywiadu rodzinnego – uspokajająco wyjaśniła lekarka. – Pani Sylwia nie znała odpowiedzi. Jak rozumiem, pan jest ojcem dziecka?

Olgierd czuł, jak na niego patrzą, jak oczekują tej prostej odpowiedzi. Powiedz, że tak, co ci zależy, zachęcił się w myślach.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Jak nie ty, to kto? – Były chwile, kiedy Sylwia wyglądała brzydtko.

– Proszę się nie denerwować. – Wyuczony uśmiech lekarki był zniewalająco słodki. – Zarówno kobiety, jak i mężczyźni różnie reagują w sytuacjach stresowych, a ciąża do takich właśnie należy. Rozumiem, że wieść o ciąży stanowiła dla pana duże zaskoczenie?

– Jeszcze jak.

– Olgierd! – syknęła Sylwia.

– Omal wtedy nie umarłem.

Spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że może umrzeć nawet teraz.

– Jeśli ma pan wątpliwości...

– Owszem, mam. Wybacz, Sylwia, ale raz mówisz, że to trzeci miesiąc, później piętnasty tydzień

i czwarty miesiąc. A z mojej arytmetyki wynika tylko tyle, że spaliśmy ze sobą słownie raz i było to na początku maja.

– A później na początku czerwca.

– Jakoś nie pamiętam.

– Mimowolnie staję się świadkiem spraw, które dotyczą tylko państwa – wtrąciła się lekarka. – Sugerowałabym, by je rozwiązać, zanim dziecko przyjdzie na świat. Może przy okazji badań prenatalnych, o których rozmawiałam wcześniej z panią Sylwią, zdecydują się państwo na ustalenie ojcostwa? Nie jest to tanie, ale rozwieje pana wątpliwości.

– Ależ z ciebie dupek – szepnęła Sylwia. A głośno dodała: – Jasne, możemy zrobić testy na ojcostwo.

Olgierd przecesał rękoma włosy, jakby to miało uspokoić myśli, które natrętnie pulsowały mu w głowie. Przecież mógł powiedzieć, że jest ojcem, i uniknęliby tej idiotycznej farsy. Gdyby Sylwia nie powiedziała mu o seksie w ciemni, uznaliby, że miał niewiarygodnego pecha i trafił do grona ludzi, których prezerwatywa nie zabezpieczyła przed nieplanowanym rodzicielstwem. Jednak głębokie przekonanie Sylwii, że byli ze sobą podczas wieczorku poetyckiego, stanowiło pożywkę dla jego wątpliwości. A może powinien przyznać się do tego, że nie chciał, by to było jego dziecko.

– Przepraszam, Sylwia. Przepraszam, pani doktor. Nie będziemy robić żadnych testów. To moje dziecko. Tylko... Nie dojrzałem do bycia ojcem i bronię się przed tym. Chyba czas dorosnąć.

– Tak myślę. – Sylwia popatrzyła na niego z pogardą.

Okej, zasłużył. Odpowiedział na pytania lekarki o choroby w rodzinie i wyszedł na korytarz. Chwilę później był już na ulicy. Jesienne powietrze go orzeźwiło. Ruszył w kierunku biura Michała. Nie uszedł nawet stu metrów, gdy odezwał się telefon. Sylwia? Zapytała, gdzie jest.

– Myślałem, że raczej nie chcesz, bym czekał.

– Zrobiłeś ze mnie idiotkę. I szczerze, mam żal. Nie roztrząsajmy teraz tego. Po prostu wróć. Spotkamy się w gabinecie zabiegowym.

Zadziwiająco trudno mu było ponownie wejść do budynku. Gabinet zabiegowy mieścił się na parterze, tuż za recepcją. Olgierd zapukał, a gdy rozległo się serdeczne „proszę”, wszedł.

Sylwia siedziała na kozetce. Przecierała wacikiem zgięcie w łokciu. Pielęgniarka wstawiała fiołki z krwią do stelaża. Uśmiechnęła się do Olgierda i dała mu znak, by usiadł w fotelu. Podeszła, poprosiła, by otworzył usta. Przeciągnęła wacikiem po wewnętrznej stronie policzka.

– Gotowe.

Olgierd spojrzał pytająco na Sylwię.

– Potrzebujemy twojego DNA – oznajmiła z uśmiechem i nie powiedziała nic więcej, dopóki nie znaleźli się na ulicy. – Będę potrzebowała sześciu tysięcy na test na ojcostwo.

– Przecież ustaliliśmy, że go nie robimy.

– Nie wydaje mi się. Pamiętam, że miałeś wątpliwości, a ja nie chcę, żebyś je miał. Nie zaangażujesz się i nie będziesz moim przyjacielem, dopóki będziesz myślał, że to nie twoje. Nie pozwolę, byś patrzył na mnie jak na puszczalską, a na moje dziecko jak na bękarta. I nie przepraszaj.

Nie zamierzał, ale nie musiała o tym wiedzieć. Odprowadził ją pod bank, a sam poszedł do biura. Czas zacząć zarabiać na alimenty. Albo na cokolwiek. Najważniejsze, że pozna prawdę.

Jak zwykle klucze ukryły się w fałdach podszewki na dnie torebki. Maria słyszała, jak pobrzękują. Oparła torbę na udzie, by łatwiej było ich szukać. Cholerne klucze, cholerna torebka i cholerny dom,

w którym nie ma Wandy. Maria powinna się wyprowadzić, nie była tu u siebie, a teraz nie była również gościem właścicielki. Bo jak ostatnia idiotka pozwoliłam, by wróciła do nałogu, wyrzucała sobie, który to już raz od śmierci Wandy, milionowy?

Otworzyła drzwi i weszła do przedpokoju, pachnącego mieszaniną woni farby, lakieru i brudnej, rzecznej wody. Za tydzień miała się zjawić ekipa, by przeprowadzić remont łazienki na parterze. Chyba trzeba zadzwonić i powiedzieć, że to nieaktualne.

Weszła do kuchni i nastawiła wodę. Wyjęła z puszki ostatnią torebkę herbaty. Wyprawa na zakupy jest nieunikniona. Mogła wstąpić do sklepu, gdy wracała z pracy, ale jakoś nie miała ochoty. Na nic nie miała ochoty. Brakowało jej Wandy.

Usłyszała samochód, który parkował przed furką. Pomyślała, że to może Janusz. Oczywiście nie było tak, że za nim tęskniła. Powinna mieć na tyle rozsądku, by przestać o nim myśleć dawno temu. Czasem ludzkie drogi się rozchodzą i trzeba się z tym pogodzić. Straciła tyle lat na rozpamiętywanie. Siedziała w kuchni Krupskich, patrzyła na Janinę, przygotowującą obiad, i widziała siebie.

To powinno być moje życie, byłabym taka szczęśliwa, myślała. Bzdury! Nie rozumiałby jej pasji, a ona jego pracy i wciąż wybuchałyby kłótnie. Ludzie szczęśliwi w związkach są tylko w marzeniach. Nawet w powieściach akcja się kończy, gdy zakochani wyznają sobie miłość, bo autor nie ma odwagi pokazać, co byłoby dalej.

To jednak nie Janusz. Z lekko przykurzonego ciemnego opla wysiadła młoda blondynka, ubrana w dżinsowe spodnie i ciemną tunikę w duże kwiaty, która miała tuszować nadwagę. Pewnym krokiem maszerowała do drzwi, a jej obfite piersi zdawały się falować. Maria nareszcie zrozumiała, dlaczego czasami mówi się na nie „balony”.

Rozległo się pukanie. Może to jakaś urzędniczka albo jedna z tych namolnych akwizytorek, pomyślała Maria, niechętnie odstawiając kubek z parującą herbatą, i ruszyła do drzwi.

– Powiem pani tylko jedno... – zaczęła blondynka, gdy zobaczyła, że drzwi się otwierają. – Nie uda się pani ten chytry plan wydziedziczenia nas. – Wycelowany w Marię tłusciutki palec przypominał serdelek. – Zajmowałam się dziadkiem mojego męża, spędzałam z nim wiele czasu również wtedy, gdy tracił pamięć. Wszystko mu się mieszało i po tysiąc razy opowiadał różne historie. Mówił mi, dlaczego się nie ożenił z pani mamą. Jeśli zgłosi pani roszczenia do spadku, zażądam badań genetycznych, a wtedy się okaże, że nie jest pani córką Józefa Grabowskiego.

– Nie jestem jego córką.

– Więc po co przyjeżdżała pani do Krakowa i go szukała?

– Nie byłam w Krakowie. – Aż wstyd się przyznać, ale jakoś się nie zdarzyło, nawet z wycieczką szkolną.

– Proszę nie kłamać. Była pani w zeszłym miesiącu. Zadzwoniła do mnie sąsiadka, a później dyrektorka z domu opieki. Zostawiła pani adres.

– To nie ja. – Maria uśmiechnęła się, ubawiona całą sytuacją. Tej kobiecie coś się pomieszało i bierze ją za oszustkę.

– Świetnie! – To słowo zostało powiedziane tonem pełnym złości. Blondynce zupełnie nie było do śmiechu. – Zaraz mi pani powie, że nie nazywa się Wanda Zdunkowska.

– Bo to prawda. Nie nazywam się Wanda Zdunkowska, tylko Maria Jezierska, a mój ojciec to Konrad Jezierski.

Mina blondynki była bezcenna.

– Ale ja dostałam ten adres... – Teraz mówiła już łagodniej. – Możliwe, że coś pomyliłam.

Przepraszam. Nie wie pani może, gdzie znajdę Wandę Zdunkowską?

– Na cmentarzu. Wanda zginęła tydzień temu. – Maria poczuła satysfakcję, wyobrażając sobie, jak tamtej jest głupio. – Proszę wejść. Napije się pani herbaty? – W tym momencie przypomniała sobie, że właśnie zaparzyła ostatnią torebkę. – To znaczy kawy albo wody. Herbaty nie mam.

Weszły do salonu. Tu również ściany były ładnie pomalowane, ale podłoga straszyla szarością betonu. Panele miały zostać położone dopiero po remoncie łazienki.

– Na początku lata przyszła powódź. Jesteśmy w trakcie remontu. To znaczy byliśmy. Sama teraz nie wiem, co i jak. Trudno mi się pozbierać.

– Przykro mi – bąknęła blondynka i przysiadła na brzegu wiekowego fotela, który jeszcze niedawno stał w pokoju na piętrze. Maria sama go zniosła, niedługo po tym, jak wyrzuciły wszystkie meble zalane przez wodę.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego szukała pani Wandy – zapytała, stawiając przed blondynką kubek z kawą i cukierniczkę.

– To już nieistotne.

Maria przesunęła swoje krzesło tak, by siedzieć na wprost tamtej.

– Może dla pani nie, dla mnie tak. – Zdziwiła ją własna determinacja.

Blondynka wsypała trzy łyżeczki cukru i energicznie zamieszała, siorbnęła mały łyżeczek i dosypała jeszcze trochę cukru. Maria zrozumiała, skąd ta obfitość kształtów nieznamomej. Jednocześnie przypomniała sobie poradę dietetyczną, którą w młodości otrzymała od własnej matki: „Nie chcesz być gruba, to nie żryj”.

– Wstyd mi teraz i jakoś tak głupio. Zdenerwowała mnie ta sytuacja. Jak się dowiedziałam, że pani Zdunkowska odwiedziła dziadka... Myślałam, że jej chodzi o mieszkanie, i mnie poniosło. Przepraszam.

– Tak pani to mówi, że nic nie rozumiem.

– A myśli pani, że ja rozumiem? Mieszkaliśmy z dziadkiem. Mój mąż bardzo go kochał, ja też go polubiłam, bo to był bardzo fajny, bardzo miły człowiek. Wiedzieliśmy, że jest chory, ma alzheimera, ale wydawało nam się, że damy radę. Pewnego dnia mąż wrócił do domu, a dziadek go nie poznał, wziął za złodzieja i uderzył laską. Ja byłam wtedy w ciąży...

Westchnęła głęboko i łyknęła kawę.

– Dziadek miewał lepsze i gorsze dni. Był gawędziarzem, godzinami mógł opowiadać o swoim dzieciństwie i młodości. Czasem całkiem odpływał w przeszłość. Często brał mnie za Irenkę. To była jego wielka miłość. Mówił wtedy do mnie z niesamowitą czułością: „Irenko, śliczności moje, a może byśmy poszli na tańce w sobotę? Ja tak lubię z tobą tańczyć, o całym świecie wtedy zapominam, tylko te oczka twoje modre widzę”. Tak mówił i to było zabawne. Zgadzałam się iść na te tańce, a on się uspokajał, siadał w fotelu, a po jakimś czasie wracał do terażniejszości. W miarę jak postępowała choroba, rosła w nim agresja i wracały złe wspomnienia. Kłócił się z tą Ireną, to znaczy ze mną. Mówił, że życie zmarnuje im obojgu, prosił, by z nim wyjechała, bo tak dalej być nie może. Naprawdę źle się zaczęło dziać, gdy mój brzuch stał się widoczny.

Zamilkła. Patrzyła przed siebie na niedawno pomalowaną ścianę. Niebo Toskanii – tak się nazywał ten kolor. Maria wybrała go ze względu na romantyczną nazwę i teraz wiedziała, że popełniła błąd. Był za ciemny, zbyt intensywny do tego wnętrza i przytłaczał.

– No i zdarzył się ten epizod z pobiciem Rafała, to znaczy mojego męża, i naprawdę zaczęłam się bać. Rozmawialiśmy z lekarzem i znajomą psycholog. No i koniec końców zdecydowaliśmy się

umieścić dziadka w domu opieki. Wiem, co pani sobie myśli, że jesteśmy straszni, że oddaliśmy go do jakiegoś podłego przytułku...

– Nie może pani wiedzieć, co myślę – Maria przerwała blondynce owo samobiczowanie. Kobieta spojrzała na nią zdziwiona. – Wiem, jak okropni potrafią być starsi ludzie – wyjaśniła. Myśl o tym, że sama nieraz miała ochotę oddać Leokadię do domu starców, zachowała dla siebie.

– To była najtrudniejsza decyzja w naszym życiu. Zwłaszcza dla Rafała, bo dziadek był dla niego jak ojciec. – Nieznajoma zamilkła.

Maria wiedziała, że ponaganie jej teraz byłoby niegrzeczne. Czekala, aż tamta będzie gotowa, by podjąć opowieść.

– On się tam zaaklimatyzował, polubił opiekunów. Czasem, gdy przyjeżdżaliśmy, był całkiem świadomy, czasem mniej. Ostatnio dziadkowi się znacznie pogorszyło... – Znowu westchnienie i łyk kawy, która pewnie już zupełnie ostygła.

– Ale ja wciąż nie rozumiem, co z pani dziadkiem ma wspólnego Wanda?

– Odwiedziła go w domu opieki. Powiedziała, że jest jego córką. Podobno niedawno się dowiedziała. Zostawiła swój adres z prośbą, by mój mąż się z nią skontaktował. Pomyślałam, chyba każdy by tak pomyślał, że chodzi tu o spadek po ojcu. Postanowiłam, że rozmówię się z panią Zdunkowską. Nie wiem, kto jej powiedział, że dziadek Józek był jej ojcem, ale on sam uważał inaczej.

Maria poprosiła, by kobieta zaczekała, a sama poszła na górę, do pokoju Wandy. Nie wchodziła tam od czasu śmierci przyjaciółki. Nie potrafiła. Niewiarygodne, jak czasem trudno przekroczyć próg. Zaciskając zęby, podeszła do komody i wyjęła plik listów.

Wróciła na dół i podała je blondynce.

– Znalazłam je, gdy robiłyśmy porządki po powodzi – wyjaśniła. – To było dla Wandy niesamowite przeżycie. Nie dostawała tych listów, gdy była dzieckiem. Pewnie szukała odpowiedzi i tak trafiła do pani dziadka. Domyślałam się tylko. Nic mi nie powiedziała, była skryta.

Okłamywała mnie, że wszystko w porządku, myślała, że wcale nie pije, że wyjeżdża na dwudniowy kurs radzenia sobie ze stresem pouzależnieniowym. Pewnie nawet nie ma czegoś takiego. Jakże ja byłam naiwna!

Blondynka odłożyła listy na stolik.

– Nie rozumiem, czemu on pisał te listy. Powiedział mi, że Wanda nie jest jego córką. To znaczy, powiedział to tamtej Irenie... Byliśmy u niego w czerwcu z synkiem. Mały skończył rok i zaczął chodzić. Rafał biegał z nim po trawniku, a ja siedziałam z dziadkiem. Najpierw mówił przytomnie, wypytywał o prawnuka, a później nagle zaczął mi robić wyrzuty. „Coś ty najlepszego zrobiła, Irena? Zmarnowałaś życie sobie, mnie, a teraz temu dziecku zmarnujesz. Ja wiem, że ona nie jest moja. Twój ojciec myślał, że prawdę ukryje? Dziś wiemy ja i Konrad, jutro pół miasta się dowie. Nam trzeba wyjechać dla jej dobra. Stary zmarnował życie tobie, zmarnuje i jej”. Ciągłe to powtarzał, a taki był przy tym smutny...

Maria nie była w stanie zrozumieć niczego z tego, co usłyszała. Wiedziała jedno: Wanda wyruszyła na poszukiwanie prawdy o sobie, a nie po spadek. Wbrew temu, co sądziła ta gruba kobieta, świat nie jest pełen pazernych bestii. Zdarzają się dobrzy ludzie, mili i szczerzy, tacy, co to ostatnią koszulę zdejmą i oddadzą potrzebującemu. Wanda nie była aż taką altruistką, ale też nie należała do tych, co sięgnęliby po cudzą własność. Zwłaszcza ostatnio, gdy nawet na swoich rzeczach zupełnie jej nie zależało.

Biedna Wanda. Takie smutne miała życie, a jeszcze ta baba przyjeżdża tutaj i wygaduje jakieś głupoty, których jej nagadał chory na alzheimera dziadek. Dobrze, że Wandzia nie musi tego słuchać.

– Z naszej rozmowy wynika, że Wanda, umierając, nie pozostawiła spadkobierców.

Maria z satysfakcją obserwowała tamtą, która najpierw tylko usłyszała te słowa. Potem jednak zaczęła je rozumieć. Widok jej twarzy, pełnej bezgranicznego żalu, usatysfakcjonował Marię. Chłodno zasugerowała, że czas już się żegnać.

Potem długo stała i patrzyła na ulicę. Nijak nie potrafiła złożyć tych fragmentów w jedną historię. Może nawet nie powinna próbować, przecież to nie jej przeszłość. Wanda zabrała swoje tajemnice do grobu i niech tak zostanie.

– Dlaczego ja jej włożyłam tego ptaka do trumny? – spytała samą siebie Maria.

Teresa dopijała kawę, patrząc na ogród. Przez tyle lat pozostawał praktycznie niezmienny. Zeszłej jesieni stała tu, gdzie teraz stoi, i patrzyła na róże, wciąż obficie kwitnące, na dalie, których kwiaty zawsze przywodziły jej na myśl gwiazdy, na ostatnie astry i cynie. To była też pora zimowitów, jakby utkanych z niezwyklej przędzy, których różowe kielichy unosiły do góry nieproporcjonalnie cieniutkie łodyżki.

W tym roku było inaczej. Woda dokonała spustoszeń i Teresa musiała je jakoś połatać. Cebule i kłacza, które zgniły w zbyt mokrej ziemi, zastąpiła ziołami. Tam, gdzie powinny wznosić swoje dumne głowy dalie, teraz chwiał się kościsty koper. Kolory zostały zastąpione przez zapachy i w letnie wieczory przyjemnie było siedzieć na tarasie i z zamkniętymi oczami chłonać wonie mięty, lawendy, bazylii i rozmarynu.

Teraz część ziół, wysuszona i zamknięta w słoiczkach, oczekiwała, by uczestniczyć w kulinarnych eksperymentach Agaty. Te, które zostały na grządkach, wegetowały w cieniu złocistych, białych i fioletowych chryzantem, posadzonych przez Teresę kilka dni temu. Od dziecka je lubiła; zakwitwały jakby na przekór nadchodzącej zimie, często lekceważąc nawet pierwszy śnieg, który spadał na ich aksamitne płatki.

Niestety, Zbyszek miał bardzo mocno zakorzenione przekonanie, że to kwiaty cmentarne. Uważał, że sadzenie ich w ogrodzie przynosi pecha. Teresa wyśmiewała ów ciemnogród, tłumacząc, że w każdym ogrodzie przy Różanej na początku jesieni zakwitają chryzantemy. Mąż nie dawał się przekonać, w końcu skapitulowała i nie sadiła ich aż do teraz. Bo już nie ma Zbyszka...

Odstawiła kubek. Pójdzie popracować. To właśnie najfajniejsze w ogrodzie, że zawsze jest coś do zrobienia. Zajęcie rąk czymś pożytecznym pozwoli oderwać się od smutnych myśli. Taki ładny wrześnieowy dzień, nic, tylko chwycić za motykę, sekator i pazurki. Na początek przyjrzy się alei miniaturowych róż, które razem z Agatą posadziły wzdłuż ogrodzenia. Pamiętała swoje zaskoczenie, gdy tamta zaczęła je wypakowywać z bagażnika i z uśmiechem oznajmiła, że była promocja.

– Niektóre nie wyglądają najlepiej, ale może uda nam się je reanimować. Nie mogłam znieść myśli, że wylądują na śmietniku.

Teresa tylko skinęła głową, przypominając sobie, że właśnie od miniaturowej róży, która wciąż kwitła w gazonie na tarasie, zaczęła się jej przyjaźń z Agatą.

Dwie roślinki nie przeżyły. Pozostałe trzydzieści trzy miały się jednak całkiem dobrze i cieszyły oczy swoich opiekunek małutkimi różowymi, żółtymi, białymi i czerwonymi kwiatuskami. Lada chwila trzeba będzie je przykryć chochołami ze słomy i świerkowych gałęzi. Jeśli zima okaże się łagodna, nie wyrządzi różyczkom szkody.

Teresa pochyliła się nad grządką. Chwast, zwany zimowym, pokrywał ziemię zielonym dywanem. Jedynym sposobem radzenia sobie z nim była walka wręcz. Trzeba było wyrywać, wyrywać i wyrywać, bo rósł szybko i rozsiewał się jak szalony.

Freddy, który do tej pory leżał przed furtką, czekając na powrót Agaty z zakupów, teraz podniósł łeb zaintrygowany. To, co robiła Teresa, nie bardzo mu się podobało. Jak psi James Bond przemknął wzdłuż grządki chryzantem, by potajemnie wykopać kość, którą między nimi ukrył.

– Nie wolno! – Miała nadzieję, że w jej głosie słyhać było naganę, ale zabrzmiał w nim śmiech. Teresa miała słabość i do Agaty, i do jej pupila.

– To ja przepraszam – usłyszała za sobą.

Odwróciła się. Przy furtce stał mężczyzna, którego poznała na pogrzebie Wandy. Rękę trzymał na klamce, a zmieszanie na jego twarzy wyglądało bardzo zabawnie.

– To nie do pana. Krzyczałam na psa. – Głową wskazała winowajcę o pysku czarnym od grudek ziemi.

Mężczyzna odetchnął z wyraźną ulgą.

– Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, w tych jakże smutnych okolicznościach, zdaje mi się, że umówiliśmy się na kawę. A dziś taki ładny dzień, więc pomyślałem... Ale może źle pomyślałem i narzucam się pani?

– Ależ skąd! – Zabrzmiało to grzecznie, ale nieszczerze.

– Po prostu zajrzę innym razem. – Nieznajomy zrobił krok do tyłu.

Przez moment Teresa była skłonna pozwolić mu odejść. No bo przecież masz tyle naglających zajęć, że nie możesz wypić kawy z uprzejmym mężczyzną, zakpiła z siebie w myślach. Udawanie, że pielienie ogrodu jest sprawą niecierpiącą zwłoki, było jawnym oszustwem. Ryzykuje, że zmarnuje popołudnie, a niepilnowany Freddy doszczętnie zniszczy grządkę chryzantem. Kiedyś świadomość tego zatrzymałaby Teresę w domu. Dziś wiedziała, że to tylko nieistotne drobiazgi.

– Proszę zaczekać. – Zaprosić go? Nie. Lada chwila wróci Agata i gotowa nie wiadomo co sobie pomyśleć. A to przecież tylko kawa pita z... Jak on ma na imię? – Umyję ręce i możemy iść.

Rozpromienił się cały.

Dobrze jest czasem pozwolić mówić innej osobie. Teresa wtuliła się w fotel, patrzyła przez okno i słuchała historii Teodora. Czasem używał swojego imienia w opowieści, co pozwoliło mózgowi Teresy wyłączyć ten irytujący tryb szukania go w zakamarkach pamięci. Zrelaksowana podziwiała złowieszcze górskie masywy, ciemnozielone od świerków. Jechali do Świeradowa, bo Teodor uznał, że kawiarnia w Rubiniu nie jest wystarczająco fajnym miejscem.

– Jak już mam pić kawę w towarzystwie pięknej kobiety, to winszowałbym sobie, by działo się to w bardziej romantycznych okolicznościach przyrody. Usiądziemy gdzieś na tarasiku i będziemy podziwiać. Jak to mówią, jesienią góry są najszersze.

W kawiarni nie było ani tłoczno, ani pusto, tak w sam raz, by dobrze się tu poczuć. Pachniało pomarańczami, cynamonem i świeżo zaparzoną kawą. Wybrali stolik przy oknie, z widokiem na Izery. Drzewa liściaste powoli szykowały się do zmiany barw. Jeszcze moment, a ciemną zieleń zastąpi żółć, czerwień i brąz. Wprawne oko już dziś mogło dostrzec drobne zmiany na liściach. Dzieje się tak, bo wszystko, z czego są one zbudowane, jest cenne dla drzewa, a zatem szkoda, by się zimą zmarnowało. Lepiej zmagazynować to w pniu, tam, gdzie mróz nie dotrze. Wiosną bogate w energię soki ruszą w górę, by do każdej gałązki dostarczyć składniki potrzebne do budowy nowych liści i znów wszystko się zazieleni. I tak rok za rokiem kręci się koło życia.

– Posmutniałaś.

– Nie. Tylko się zamyśliłam. Jesień idzie.

– Nie ma się czego wstydzić. Też mam romantyczną duszę. Zwłaszcza poezja nastraja mnie nostalgicznie. Czytujesz?

– Raczej nie.

– No cóż, do tego trzeba pewnego wyrobienia. Tylko ustawiczne czytanie pomaga nam utrzymać wrażliwość niezbędną do właściwego odbioru dzieła literackiego.

Teresa nie była pewna, czy Teodor nie wytyka jej właśnie, że zaniechała trudu obcowania z poezją. Na pewno mu się nie przyzna, że porzuciła rozkosze intelektualne dla Nory Roberts.

– Od dawna jesteś rozwiedziony? – Czasem bezpiecznie jest zmienić temat. Po co psuć takie przyjemne popołudnie.

– Od zbyt dawna. Jakoś mi się nie układa z kobietami. Nie wiem dlaczego. Jestem facet niegłupi, zaradny, niebiedny. A tu co związek, to katastrofa. Ostatni... – Machnął ręką. – Ostatnio to nawet... E, nie ma o czym mówić. A tu człowiek zaczyna się starzeć i samotność doskwiera.

– Nam się ze Zbyszkiem udawało. Przez lata uszczęśliwialiśmy siebie nawzajem. I nagle wszystko się popsuło. – Poczła łyzy cisnące się do oczu. – Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli zamówię lampkę wina?

Budynek sądu w Rubiniu liczył sobie prawie sto pięćdziesiąt lat. Gdyby Sprawiedliwość mogła zobaczyć miejsce, w którym przyszło jej urzędować, z całą pewnością byłaby bardzo zadowolona. Gmach stojący przy ulicy Gabriela Narutowicza, wcześniej Marcelego Nowotki, a jeszcze wcześniej Belinstrasse, był bardzo ładny. Czerwona cegła, z której został wzniesiony, kontrastowała z białymi framugami dużych, strzelistych okien, a w ich szybach odbijało się rubińskie niebo. Od ulicy gmach oddzielał pas zieleni. Rósł tu rozłożysty platan, o szarobeżowej, łuszczącej się korze, dwa czerwone buki i klon. Pod drzewami, ogrodzone kamiennym murkiem, pigwy i irgi splotły się w kolczastych uściskach. Stały tu dwie ławeczki, zwykle okupowane przez tych, którzy mieli niebawem coś załatwiać w gmachu sądu. Na jednej z nich usiadła Karolina, by złapać oddech przed wejściem do budynku i sprawdzić, czy w żółtej teczce są wszystkie dokumenty, których potrzebowała.

Ponieważ nie wiedziała, co należy zrobić, by się rozwieść, początkowo zamierzała prosić o radę Martę, doszła jednak do wniosku, że wtajemniczenie byłej przyjaciółki to nie najlepszy pomysł. Zwłaszcza gdy istnieje internet, skarbnica wiedzy wszelakiej. Czterdzieści minut wystarczyło, by Karolina stała się specjalistką od rozplątywania świętego wężła małżeńskiego.

Teraz miała swoją wiedzę teoretyczną wykorzystać w praktyce. A to nie było łatwe, przede wszystkim dlatego, że się bała. Wychodzenie za mąż wydawało się dużo łatwiejsze. Nawet jeśli w głowie rozbrzmiewają trudne pytania, można je skutecznie zagłuszyć myślami o sukni, butach, rękawiczkach i kolczykach. Wesele jest jak studniówka, tylko dużo lepsze, bo po pierwsze, wolno pić, a po drugie, jest się najważniejszą osobą tego wieczoru, a żadna z pozostałych kobiet nie ma tak odlotowej sukienki. Nic dziwnego więc, że samo mówienie „tak” staje się nieznaczącym elementem formalnym.

Teraz nie będzie sukienki, a kwestie formalne znajdą się na pierwszym planie. Alkohol pojawi się dużo później, gdy, już po wszystkim, trzeba będzie czymś zmyć gorycz, którą zostawi rozwód.

Być może to właśnie na rozprawie po raz pierwszy od powodzi zobaczy męża. To też ją przerażało. Co mu powie? Co on powie jej? Mimo że to Konrad był winien wiarołomstwa Karoliny, nie czuła

się dobrze z tym, co zrobiła. Robiła.

Najgorsza jednak była kwestia dzieci. Jak im to wszystko wytłumaczyć? Co prawda rozsądek podpowiadał, że to nie powinno być trudniejsze od tłumaczenia, co się stało z tatą, jednak na każdą myśl o pozbawianiu chłopców ojca serce Karoliny wzdrygało się oburzone.

Nie ma co zwlekać i rozmyślać. Gdyby Konradowi zależało na chłopcach, byłby teraz z nimi. Jego postępowanie świadczy o tym, że nie kocha ani dzieci, ani ich matki.

Wstała i pewnym krokiem ruszyła ku wejściu. Stała w holu i sprawdziła, gdzie składa się wnioski rozwodowe. Pokój sto dwa, pierwsze piętro. Zrób to, powiedziała sobie i ruszyła po schodach. Jednak nie dane jej było wejść do pomieszczenia, gdzie miała zostawić zawartość żółtej teczki. Na swoje nieszczęście pod drzwiami pokoju wpadła na teścia.

Tadeusz Jezierski nie był idiotą. Spojrzył na synową, na miejsce, do którego zmierzała, i już wiedział. A mimo to zapytał:

– Karolina, co ty tu robisz?

Zbyt późno przyszła jej do głowy myśl o tym, że powinna przedstawić jakąś wiarygodnie brzmiącą historię, choćby o Agacie, która sama nie ma odwagi. Jak jakieś durne, nastoletnie ciele odpowiedziała, że nic, i pozwoliła, by Tadeusz przejął inicjatywę.

– Wyjdziemy może na zewnątrz i porozmawiamy. – Chwycił ją za łokieć tak, by mieć kontrolę, i wyprowadził z budynku. – Oszalałaś, dziewczyno? Co ty najlepszego chcesz zrobić? W naszej rodzinie nigdy nie było rozwodów. Małżeństwo to dla nas świętość. Ja rozumiem, że czujesz się zagubiona i zdezorientowana, ale pomyśl, przez co przechodzi Konrad. Musisz mu dać czas.

Gdyby Karolina tak bardzo nie bała się teścia, pewnie przypomniaby mu o niedawnym rozwodzie Olgierda i stwierdziła, że Konrad miał już wystarczająco dużo czasu.

– Widzisz, moja droga – ciągnął Tadeusz – rodzina jest wartością największą. Należy o nią dbać i ją szanować. Tobie to nie bardzo wychodzi. Nie myślisz o mężu, tylko o sobie. Zachowujesz się egoistycznie i wpuszczasz do domu mojego syna obcego mężczyznę. Myślisz, że nie widzę, co się dzieje? Przymknąłem na to oko, pomyślałem, chce się odegrać na Konradzie, pozwólmy jej. Gdy staną naprzeciwko siebie, powiedzą: ty zrobiłaś coś głupiego, ja zrobiłam coś głupiego, czas wybaczyć, zapomnieć i iść dalej. Dla dobra dzieci i nas samych. Tymczasem ty postanawiasz posunąć się krok dalej.

W czasie tej przemowy Karolina czuła się jak posadzona na ławie oskarżonych. Czekala, by Tadeusz wnioskował o najwyższy wymiar kary.

– Nie pozwolę ci zniszczyć tego małżeństwa. Wrócisz teraz do domu i o wszystkim zapomnisz. Odprawisz tego gacha i będziesz czekać na powrót męża.

Co się stanie, jeśli tego nie zrobię? – zapytała w myśli.

– A jeśli nie... Cóż, pamiętaj, że nie zadziera się z prawnikami. Chyba nie chcesz stracić praw rodzicielskich, co?

Karolinie momentalnie zaschło w ustach, a serce załomotało gwałtownie. Wystarczyło jej sił tylko na to, by skinąć głową. Nie rozumiała, jak udało jej się utrzymać na nogach, by, gdy Tadeusz już odszedł, dojść do ławki. Opadła na nią ciężko. Nawet nie miała odwagi się rozplakać.

Dzieci to wcale niełatwe wyzwanie. Bywają lepsze momenty, na ogół jednak jest trudno. Czy, gdy brat bije brata po głowie łopatką, należy interweniować z umoralniającą przemową, potępiającą zastosowanie argumentu siły, czy też udawać, że nic się nie widzi, by w tygłach kryzysów powstała

szczerą braterską miłość? Zanim Tomek odpowiedział sobie na to pytanie, Kuba oddał Kacprowi traktor, o który toczyli spór, i poszedł na huśtawkę. Może teraz, gdy obaj wyglądali na smutnych, należy do nich podejść? A może nie? Porozmawia o tym z Karoliną, gdy ta wróci. Może ona ma jakieś patenty, które ułatwią mu podejmowanie właściwych decyzji wychowawczych.

Spojrzał na zegarek. Powinna już być. Poprosiła, by zajął się chłopcami, bo musiała załatwić coś na mieście. „Za maks godzinę będę z powrotem” – tak powiedziała. A tymczasem druga zbliżała się do końca, a Karoliny wciąż nie było. Nie, żeby mu jakoś ciążyła opieka nad malcami, bo było fajnie. Siedział na słońcu, pił sok, czytał powieść mistrza grozy, którego niezmiennie wielbił od czasów, gdy w liceum przeczytał *Carrie*, i od czasu do czasu patrzył na bawiących się chłopców.

Pewnie weszła do sklepu z ciuchami i straciła poczucie czasu, wytłumaczył sobie. W końcu to nic złego, należy jej się. Przy dwójce dzieci nie ma ani chwili dla siebie. I pochylił się nad książką.

Z zaczytania wyrwały go dochodzące z domu odgłosy kroków. Spojrzał na piaskownicę, ale chłopcy zgodnie napełniali piachem przyczepę traktora. Czyli że Karolina już wróciła. Odłożył książkę i ruszył do kuchni.

Nie było jej tam. Przecież się nie przesłyszał, ktoś chodził po domu.

– Karolina? – Brak odpowiedzi. W salonie nikogo nie było. W sypialni też. Zajrzał do łazienki. – Co się stało? – zapytał zaniepokojony tym, co zobaczył. Zapłakana Karolina siedziała oparta plecami o wannę.

– Musisz iść – powiedziała, szlochając.

– No przecież tak cię nie zostawię. Powiesz mi, co się stało?

– Ty nic nie rozumiesz. Musisz już iść.

– Zgadzam się, że nic nie rozumiem. I nigdzie się nie ruszę, jeśli mi nie wytłumaczysz.

Usiadł obok, by pokazać, że będzie go można wyprosić tylko siłą.

– Nie możemy już się spotykać. – Podała mu żółtą teczkę. Pozew rozwodowy. Cóż, nie spodziewał się tego. – Chciałam, ale nie mogę.

– Uświadomiłaś sobie, że wciąż kochasz Konrada? – Ludzie, jak to boli!

– Powiedzmy, że mi uświadomiono. Będzie lepiej, jeśli przestaniemy się widywać.

Dobrze, że te kafelki są zimne. Szkoda, że nie ma tu wiadra z lodowatą wodą, aby można było włożyć do niego płonącą głowę.

– Dla kogo lepiej, dla tego lepiej. Dla mnie gorzej.

– Przepraszam, Tomek, nie chciałam cię skrzywdzić. – To było szczere. – Po prostu nie mogę odejść od męża.

Odwrócił się tak, by widzieć jej twarz.

– Bo wciąż go kochasz?

– Nie bądź głupi. Nie wydaje mi się, że kiedykolwiek tak naprawdę kochałam Konrada.

To o co tu chodzi? Patrzył na nią uważnie, jakby z jej twarzy mógł wyczytać odpowiedzi, których Karolina nie chciała udzielić.

– A mnie kochasz?

Jej wargi poruszyły się w bezgłośnym „tak”, z oczu popłynęły łzy.

– Nie oczekuję, że się rozwiedziesz. Jeśli nie jesteś gotowa, możesz tego nie robić. Możesz tego nigdy nie zrobić, jeśli chcesz znać moje zdanie. Nie zależy mi na obrączce i ceremonii, tylko na tym, by z tobą być.

Myślał, że te słowa ją pocieszą, ale zaczęła płakać jeszcze gwałtowniej. Przygarnął ją do siebie,

bo kiedy kobieta płacze, męskie ramię jest ważniejsze niż chusteczki.

– No, nie płacz, kotku. Co się dzieje?

– Też chcę z tobą być – wychlipała.

– To dobrze.

– Wcale nie. Powiedział, że jeśli z tobą nie zerwę i będę próbowała się rozwieść, zabierze mi dzieci.

– Konrad tak ci powiedział?

– Jego ojciec. Tadeusz. On jest prawnikiem i wszystko może.

A więc zabawa się skończyła i nadszedł ten moment, gdy nikt nie będzie miał pretensji, jeśli każde odejdzie w swoją stronę. Odpowiedzialność i zaangażowanie stanęły na progu. Można je wpuścić, a potem zamknąć drzwi i iść szukać swojego szczęścia gdzie indziej. Gdzieś, gdzie nie będzie wojny o cudze dzieci w sądzie. Można wstać, powiedzieć, że daje się trochę czasu na przemyślenie, i wyjść, ze świadomością, jaką decyzję ona podejmie.

Można, jeśli jest się fiutem. Tomek się za takiego nie uważał. Może sobie pochlebiał, ale sądził, że jest porządnym facetem. Takim, który nie boi się odpowiedzialności i nie ucieka przed zaangażowaniem.

– Kocham cię, wiesz o tym. Kocham ciebie i twoich chłopców. Jesteście dla mnie drożsi od wszystkiego na świecie. Nie pozwolę, by ktoś mi was odebrał.

– Tadeusz powiedział...

– W zasadzie to mam gdzieś, co on powiedział. Dla mnie istotne jest to, czy ty mnie kochasz i chcesz ze mną być?

Karolina skinęła głową.

– Skoro tak, nic innego się nie liczy. Zadzwońię do znajomego, zapytam, jak to rozegrać na naszą korzyść. Tadeusz Jeziński nie jest jedynym prawnikiem na świecie. A teraz się umyj. No, chyba że chcesz wystraszyć chłopców. – Przytulił ją i wyszedł z łazienki.

W lodówce znalazł puszkę piwa. Idealne, by schłodzić emocje. Jak brzmiało to zdanie z *Ojca chrzestnego*, które oznaczało początek mafijnej wojny? „Mężczyźni idą na materace”.

Marta przekonywała samą siebie, że z nogą, która była złamana, jest już wszystko w porządku. Można opierać się na niej całym ciężarem ciała i nie pęknie jak zapałka. Mimo to wciąż lekko utykała, bo irracjonalny strach kazał jej oszczędzać nogę. To wszystko dzieje się w twoim mózgu, mówiła sobie. Tam tkwi lęk przed chodzeniem, a także przed tym, że nikogo nie pokochasz tak, jak Olka. Zracjonalizowanie pomoże ci się uporać z jednym i drugim.

A może na początek uporać się z grządką warzywną? Trzeba zebrać plony. Nawet jeśli pogoda oszukuje, że to wciąż lato, w ogrodzie jest już jesień. Nie ma śladu po ogórkach, ich zeschnięte łodygi Leokadia uprzątnęła pod koniec sierpnia, gdy stało się jasne, że nie będzie już ani jednego korniszona. Podobnie cebula wypełniła już swoją złocistością skrzynki; na grządce, którą zajmowała, zostały tylko pojedyncze, szerniałe łuski. Ostatnie strąki wisiały na krzakach papryki, a marchew straciła swoje zielone pióropusze. Za kilka dni trzeba będzie ją wykopać, a także pietruszkę i buraczki.

Dzisiejszy dzień miał należeć do dyń. Pomarańczowe, żółte i zielone, duże i małe, jadalne i ozdobne, leżały w różnych miejscach ogrodu i grzały swoje pękate brzuchy w promieniach słońca. Marta, patrząc na nie, myślała o słojach z zalewą octową, o rozgrzewającej zupie i złocistych

muffinach. Kiedy mieszkała we Wrocławiu, lubiła kupować warzywa w hali targowej, teraz jednak przekonała się, że nie ma nic przyjemniejszego niż hodowanie ich we własnym ogródku. Takie marchewki na przykład. Wkładała do ziemi malutkie nasionka, a później przerywała roślinki – usuwając niektóre z podobnych do zielonego włosa marchewek, robiła więcej miejsca tym, które zostawały. Na początku lata chrupała już młodziutkie warzywa, twarde i soczyste. Teraz nie dało się ich jeść ze skórką, a soczystość zachował tylko rdzeń, ale w dalszym ciągu były to jej marchewki. Sama, no, może z małą pomocą Leokadii, je wyhodowała, co przynosiło niesamowitą satysfakcję.

Schyliła się, by podnieść największą z dyń, ale ta okazała się niewiarygodnie ciężka. Marta sapnęła, stęknęła i zrezygnowała. „Zasadziła babcia dynię w ogrodzie” – powiedziała do siebie. Cóż, czasem tak bywa, że z niektórymi rzeczami w pojedynkę człowiek sobie nie poradzi. Trzeba poprosić o pomoc. Tylko kogo? Na pewno nie Leokadię, staruszka sama potrzebuje pomocy, zwłaszcza teraz, gdy niedomaga.

Marta westchnęła. Martwiła się o babcię Olgierda, bo szczerze ją lubiła. Leokadia potrafiła być wredna, nie dogadywała się z własnymi dziećmi i obsesyjnie chciała wszystko kontrolować, jednak posiadała ogromną wiedzę o życiu, co czyniło z niej wspaniałą przyjaciółkę. „Nie życie nas unieszczęśliwia, tylko sami sobie to robimy” – powiedziała ostatnio i Marta nie mogła się z nią nie zgodzić. Może ta choroba to nic poważnego? Pustka, która zostanie w sercu po Leokadii, będzie nie do wypełnienia.

Agata pewnie nie odmówiłaby pomocy, ale Marta widziała ją z Sylwią. Realizacja planu „Poznajmy prawdę” nie była łatwa. Spojrzała na dom Karoliny. Samochód Tomka stał na podjeździe. No cóż, kiepsko się spisała. Należało powiedzieć; „Cześć, Karolina. Zerwałam z Tomkiem, bo byłam przekonana, że uprawiał seks z Sylwią w ciemni fotograficznej domu kultury. To w jego stylu, lubi takie miejsca. Jednak pani primo voto Brzozowska twierdzi, że to dziecko Olka. Dlatego z nim zerwałam, choć wciąż go kocham. Wtedy Agata uświadomiła mi, że to na pewno nie był mój były mąż. To znaczy, w kwestii ciemni, bo w kwestii ojcostwa nie wiadomo. Skoro więc to nie Olgierd znajdował się w ciemni, to kto? Proces poszlakowy, który przeprowadziłyśmy z Agatą, wskazuje na Tomka. Pogadaj z nim, zanim zbyt mocno się zaangażujesz”. Tak powinna była powiedzieć, zamiast w milczeniu pić herbatę. Złamane serce Karoliny to będzie jej, Marty, wina.

Ponownie spojrzała na leżącą u swych stóp dynię. Złocista kula wcale nie wyglądała na taką ciężką. Marta uznała, że spróbuje jeszcze raz, ale skutek był taki jak poprzednio. Przypomniała sobie lekcje wufu i rzuty piłką lekarską, z czego była naprawdę kiepska. Świetna w biegach i skokach zupełnie nie radziła sobie ze skórzanym worem, wypełnionym... no właśnie, czym? Metalowymi kulami? I ten strach, że grawitacja zadziała przeciw Marcie i piłka uderzy ją w głowę.

– Widzisz, w szkole też się o siebie bałaś, a jakoś skończyłaś ją w jednym kawałku. Noga też wytrzyma codzienne używanie. Im prędzej na niej staniesz, im prędzej zaczniesz normalnie chodzić, tym szybciej wrócisz do biegania. A z tą dynią upora się tylko facet.

Tak się składało, że przy Różanej mieszkał tylko jeden mężczyzna, do którego Marta mogła się zwrócić z prośbą o pomoc. Był to jej ojciec.

Mijając dom rodziców, odruchowo zajrzała do ogródka. Astry, aksamitki, złocienie i wrzosa tworzyły niebiesko-żółty kobierzec. Obficie kwitły też róże. W zależności od gatunku miały kwiaty bladożółte, złociste i pomarańczowe. Marta rozejrzała się uważnie, pewna, że matka wykorzystuje pogodne popołudnie, by porządkować swoje rabatki. Nigdzie jednak nie dostrzegła Janiny. Pewnie jest w domu, może właśnie szykuje sobie popołudniową kawę „z jednej płaskiej łyżeczki, żeby nie

było problemów z zaśnieciem, z cukrem i mlekiem”. Matka, mimo że uporządkowana, potrafiła być elastyczna i dostosować się do reszty domowników we wszystkim, z wyjątkiem kawy, pitej o siedemnastej. Mogło się palić i walić, siadała zimą w kuchni, latem na tarasie, wyciągała książkę i delectowała się ulubionym napojem.

Powinam z nią porozmawiać, pomyślała Marta. Nie tak ogólnikowo, jak robimy to teraz. Powinam z nią szczerze porozmawiać. O Sylwii, Olku, o mnie.

Pchnięta nagłym impulsem ruszyła ku drzwiom wejściowym. Nie pukała – w końcu to był jej dom – tylko od razu nacisnęła klamkę. Zamknięte. Nikogo nie ma. Poczowała ukłucie żalu, magiczny moment minął, wiedziała, że ochota na szczerą rozmowę z matką nie powróci zbyt prędko.

Chwilę później stała pod drzwiami Tadeusza Jezierskiego. Nie przepadała za teściem. Nie był to miły facet. Niby powinna być już zaimpregnowana, bo przez całe życie otaczali ją niemili mężczyźni – brat, ojciec, mąż. Tylko że w wypadku tych trzech była w stanie zrozumieć, z czego wynika ich opryskliwość. Mateusz nie znosił siostry, bo była ulubienicą ojca. Janusz kochał córkę, nie potrafił jednak tego okazać, w dodatku praca odciskała na nim swoje piętno. A Olgierd był jak obdarzony wolną wolą wrzód na tyłku. Wszyscy wkurzali Martę, ale kochała ich i nauczyła się z nimi żyć.

Tadeusz Jezierski to była zupełnie inna historia. Chłodny, zdystansowany i zamknięty w sobie, kiedy z nim rozmawiała, czuła się, jakby miała pięć lat, bo właśnie tak ją traktował.

Na szczęście to ojciec otworzył. Marta już miała powiedzieć, po co przyszła, gdy zdała sobie sprawę, że jeszcze niedawno ojciec jeździł na wózku, bo po wypadku doznał urazu kręgosłupa. Idealny pomocnik do przenoszenia ciężarów, ależ ze mnie idiotka, urągała sobie w myślach, a na pytanie, co ją sprowadza, odpowiedziała, że wpadła pogadać.

– Na pewno? – Ojciec wiedział, że został okłamany, i dawał jej szansę, by powiedziała prawdę.

– Pracowałam w ogrodzie, myślałam o różnych rzeczach i tak spontanicznie przyszłam tutaj. – Postanowiła brnąć w kłamstwo. Podobno wystarczająco długo powtarzane staje się prawdą. – Mało ze sobą rozmawiamy.

Przyznał jej rację i zaprosił Martę do środka.

– Tadeusz jest? – zapytała.

– Mówił, że dziś późno wróci. Czemu pytasz?

Wzruszenie ramion było według niej wyczerpującą odpowiedzią, ojciec jednak postanowił je zwerbalizować.

– Nie przepadasz za nim, a to w sumie w porządku gość. Trudny, ale w porządku.

– Skomplikowana sytuacja z Olkiem rzutuje na moje relacje z innymi ludźmi. We Wrocławiu po rozwodzie zostałam sama, bo wszyscy nasi znajomi byli tak naprawdę jego znajomymi. Tu wszyscy sąsiedzi to jego rodzina.

– Nie może być aż tak źle, skoro mieszkasz u Leokadii. Chcesz piwa?

Odpowiedziała twierdząco, zanim sobie przypomniała, że właściwie to nie pije, zdrowy styl życia, sport... Machnęła na to ręką, gdy ojciec postawił przed nią puszkę. Napój nie był tak gorzki, jak we wspomnieniach Marty. Jak dawno temu ostatnio piła piwo? Pewnie na studiach. Zdziwiło ją przyjemne orzeźwienie, które wywołało.

– Ona wciąż ma nadzieję, że Olek i ja będziemy razem.

Janusz spojrział na nią pytająco.

– Leokadia. Do niedawna też liczyłam, że stanie się cud i znowu będziemy razem. Ale Olek spotyka się z Sylwią, więc postanowiłam dać sobie spokój.

– Mieszkanie z jego babcią ma ci w tym pomóc?

Niezwykle trafne pytanie. Marta poczuła, że jest jej głupio.

– Nie bardzo mam się gdzie podziąć. Nie chciałam wracać do domu, bo wiedziałam, że matka będzie powtarzać: „A nie mówiłam?”, chociaż kiedyś uwielbiała Olgierda.

Uśmiech ojca był jak piwo – lekko gorzki.

– Należało się spodziewać ochłodzenia ich stosunków, gdy dzwoniło się do matki tylko po to, by narzekać na męża.

Marta wykonała szklanką ruch, który miał wyrażać, że owszem, teraz już wie, ale kiedyś była głupia, nie wiedziała, z kim rozmawiać, no i liczyła, że matka podzieli się z nią doświadczeniem w kwestii budowania szczęśliwego związku.

– Poza tym Leokadia choruje i nie mogę jej teraz zostawić. Gdyby Marysia wróciła do domu, to co innego, ale ona chyba nie ma takiego zamiaru.

Westchnienie ojca wystarczyło za odpowiedź. Nie miał pojęcia, jakie są plany Marii. Marta chciała wykonać jakiś gest wyrażający wsparcie. Obydwoje byli w podobnej sytuacji, komplikacje w życiu uczuciowym to jedna z gorszych rzeczy, które spotykają człowieka. Nie zdobyła się, by wstać, podejść do ojca i go objąć, choć byłoby to najlepsze.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Marta patrzyła na ogród. Podobał jej się zielony trawnik wokół jabłoni i okalające go rabaty, przypominające wiechcie polnych kwiatów. Wiedziała, jak wiele trudu włożył ogrodnik w stworzenie tej rustykalnej kompozycji, tak by wyglądała na lekką i chaotyczną. Trzeba na to niesamowitej wiedzy i wyobraźni, nic tam nie było dziełem przypadku, miejsce każdego kwiatka, każdej gałązki zostało dokładnie przemyślane.

– Wiesz, co jest najgorsze? Ciągle mam do kogoś żal, a później sobie uświadamiam, że to nie jego wina, tylko moja. Chciałam stworzyć taki związek jak twój i mamy, bo uznałam, że jest idealny. Ja go tak widziałam. Nie zadałam sobie trudu, by przyjrzeć się wam uważnie. Z Olkiem też tak było, że dostrzegałam, co chciałam.

– A teraz?

– Teraz widuję go w cudzym ogródku i to cholernie boli.

Ojciec nie miał problemów z tym, by wyrazić wsparcie. Podszedł do Marty i przytulił ją, jakby była małą dziewczynką. Wcisnęła twarz w zmechacony sweter, który pachniał tatą, domem, pościelą z łóżka rodziców, niedzielnym porankiem, wyprawą do kina, wycieczką samochodową, całym jej dzieciństwem. Poczowała się słaba i zagubiona, miała wrażenie, że właśnie oblała jakiś cholernie ważny egzamin. Nic, tylko płakać.

Płakała długo. Ojciec nic nie mówił, po prostu głaskał ją po głowie. Gdy powiedziała, że już jej lepiej, poszedł szukać chusteczek. Miał mokrą plamę na piersi, ale mu to nie przeszkadzało.

– Skoro wciąż mi zależy, powinnam walczyć o Olka, prawda?

Janusz wzruszył ramionami. Nie był specjalistą od spraw damsko-męskich.

– Tak sobie myślę – zaczął, sięgając do lodówki po kolejne piwo – że często wpadamy w pułapkę rutyny. Słyszałaś o tej sprawie z Olsztyna? Młoda dziewczyna została zamordowana we własnym mieszkaniu. W większości przypadków morderca to ktoś z najbliższego otoczenia ofiary. Prowadzący śledztwo podejrzewali jej chłopaka. Brak było jednak mocnych dowodów. Sprawa się ciągnęła i ciągnęła. Aż do zespołu dołączył nowy śledczy. Przejrzał jeszcze raz cały materiał dowodowy. Coś mu się nie spodobało w zeznaniu jednego z sąsiadów. Wiesz, przepytuje się wszystkich, może ktoś coś widział. No i ten facet od razu wyskoczył z alibi. Wszyscy odpowiadali, że nic nie widzieli, a ten

jeden, że go nie było, bo w czasie, gdy popełniono morderstwo, był tu i tu, robił to i to. No i ten śledczy postanowił się temu przyjrzeć. Okazało się, że tamten miał obsesję na punkcie dziewczyny, a kiedy go odtrąciła, nie wytrzymał...

– Czy chcesz mi zasugerować, że zabicie Olka byłoby dobrym pomysłem? Są chwile, kiedy mam na to ochotę. – Marta się uśmiechnęła, by podkreślić, że to tylko żart.

– Chcę ci powiedzieć, że rutyna nie prowadzi do niczego dobrego. Nie miej mi za złe tego, co powiem, może cię urażę, ale widzę wasz związek jako pasmo twoich wyrzeczeń. Dla Olka zrezygnowałaś ze sportu, dla Olka wypalałaś się w pracy, która nie sprawiała ci satysfakcji, dla Olka chciałaś stworzyć superrodzinę, a na koniec wskoczyłaś dla niego do wody. On zaś skoncentrował się na tym, żeby cię wkurwiać. Może przydałaby się odmiana?

– A jeśli się nie uda? – Próbowwała ukryć, jak bardzo poruszyło ją spostrzeżenie ojca. Prawda boli, to fakt.

Janusz dopił piwo, zgniótł puszkę i wrzucił ją do kosza na odpady do recyklingu. Marta uśmiechnęła się na wspomnienie ojca, który nawet swojego talerza nie odstawiał do zlewu, oczekując, że mama sprzątnie.

– I tak nie jesteście teraz razem. Już straciłaś to, co kochasz.

Racja. Tam, gdzie zawodzą tradycyjne metody, należy sięgnąć po niekonwencjonalne rozwiązania.

– Tak naprawdę przyszedłam, żeby cię poprosić o pomoc przy dyniach, ale przypomniałam sobie o twoim kręgosłupie.

– Czuję, że coś kręcisz.

– Myślisz, że sama z siebie nie przyszedłabym pogadać?

– Znam cię trzydzieści lat, policjantem jestem dłużej. Widzę, kiedy przychodzisz pogadać, a kiedy w sprawie dyń. Chodźmy. – Wskazał na drzwi.

Kiedy mijali swój dom, ojciec powiedział:

– To, co powiedziałaś o żalu, że niby masz go do kogoś, ale tak naprawdę to żal do siebie. Znam to. Dlatego byłem tak wściekły na matkę o Starskiego. Tyle lat łapałem oszustów, złodziei i morderców, a wywiodła mnie w pole własna żona. Złość na nią tak naprawdę jest złością na siebie.

– Kiedy szłam do ciebie, przysłała mi ochota, żeby porozmawiać z mamą – wyznała Marta – ale gdzieś wyszła.

I chyba nie wróciła, bo dom pogrążony był w ciszy, w żadnym z okien nie paliło się światło. Nie widać było nawet błękitnej poświaty telewizora. Patrzenie na dom, który nie tętnił rodzinnym życiem, wywoływało smutek. We wszystkich innych coś się działo, a tu tak martwo.

– Myślisz, że wszystko w porządku?

– Oczywiście.

Marta wytłumaczyła sobie, że matka jest dorosła i nie musi się nikomu tłumaczyć ze swej nieobecności. Nie mogła jednak się ruszyć sprzed furtki.

– Zadzwoń do niej – zaproponował ojciec, a kiedy po raz trzeci odezwała się poczta głosowa, zaoferował, że zajrzy do środka. Marta miała wątpliwości, ale jego stwierdzenie: „to przecież nasz dom”, je rozwiało.

Preteksty. Wszyscy wciąż ich szukamy, można by pomyśleć, że na tym właśnie polega życie. Trzeba znaleźć pretekst, by nie iść do szkoły, i kolejny, by nie pójść na randkę z brzydką dziewczyną. Czasem trzeba się nagłówekować, czasem pomaga nam los.

– Moja popularność w rodzinie rośnie – powiedział Mateusz, gdy podniósł słuchawkę. – Niedawno dzwoniła do mnie Marta, dziś ty. Czemu zawdzięczam twoje zainteresowanie?

Ojciec kazał mu nie błaznować. W prostych, żołnierskich słowach streścił przebieg popołudnia. Odwiedziła go Marta, martwiła się o mamę, więc zajrzeli do domu. Wpisane do terminarza słowo „zabieg” przykuło ich uwagę. Sprawdzili. Okazało się, że matka leży w szpitalu, bo miała operację usunięcia guza. Ojciec pojechał do szpitala, ale nie wpuścili go na oddział i tylko rozmawiał z lekarzem.

– Powiedział, że wszystko w porządku, nie ma czym się martwić. Mama czuje się dobrze.

– Dlaczego nic nam nie mówiła?

– Gdybyś tego nie zauważył, twoja matka jest kobietą, a one są dziwne.

Mateusz się roześmiał.

– Przyjechać?

– Nie ma potrzeby. Marta i ja wszystkim się zajmiemy.

– Informuj mnie na bieżąco – poprosił i odłożył słuchawkę. I myślał. Długo myślał o tym, że los ma momenty, kiedy wyciąga do człowieka pomocną dłoń. Od tyłu dni bezskutecznie szukał pretekstu, by pojechać do Rubinia choć na kilka godzin, ale nic rozsądnego i wiarygodnego nie przychodziło mu do głowy. Aż tu nagle dzwoni ojciec i choć sam o tym nie wie, rozwiązuje problem Mateusza.

Poprosi któregoś z chłopaków, by zamienił się z nim na dyżury. Dwa dni wystarczą. Odwiedzi matkę i może przypadkiem... Może chociaż zobaczy Agatę, to wystarczy.

Michał uważnie przeczytał umowę jeszcze raz i z satysfakcją podał ją Olgierdowi. Ogrom pracy przed nimi, fakt, jeszcze nigdy nie realizowali tak dużego projektu, ale również nie inkasowali tak dużego wynagrodzenia. Już sama zaliczka cieszyła trzema wesołymi zerami po dziewiątce, wyglądającej jak uśmiech.

– Wiesz, co najbardziej lubię w pieniądzach? To, że rozwiązują większość problemów. Musimy to uczcić. Tylko znajdę jakieś czyste szklanki. – Michał otworzył szafkę nad zlewem. – Straszny tu chlew, odkąd Agata się wyprowadziła. Też tak masz?

– Nie. Sam zmywam.

Jasne, zmywasz, pierzesz i prasujesz skarpetki – chciał odpowiedzieć Michał na jawną złośliwość Olgierda, uznał jednak, że to nie jest właściwa droga, i dlatego zapytał:

– Chodzi o Sylwię?

Wydawało się, że Olgierd nie rozumie pytania, bo rzucił to swoje nieprzyjemne spojrzenie spode łba. Michał już miał pośpieszyć z wyjaśnieniami, gdy tamten odrzekł:

– Nie, nie chodzi o Sylwię.

– Bo zachowujesz się, jakbyś był na mnie wściekły, więc pomyślałem, że jesteś zazdrosny. Okazywałem jej wsparcie, bo była samotna, tylko tyle. Teraz, kiedy między wami znowu w porządku...

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, nie jestem na ciebie wściekły, po drugie, nic nie jest w porządku.

Szklanki, które Michał postawił na stole, wcale nie wyglądały na świeżo umyte. Nieważne, w końcu nie będą ich podziwiał, tylko z nich pić.

– Czyli nic do mnie nie masz?

– Między nami w porzo.

Michał zaproponował toast za projekt, współpracę i przyjaźń. Co do tego ostatniego nie był

przekonany, ale postanowił nie drążyć. Jezierski był kompetentny, miał dobre pomysły i nie odwalał fuszerki, co czyniło go dobrym współpracownikiem. Należało mieć nadzieję, że starczy mu zdrowego rozsądku, by problemów z życia osobistego nie przenosić na grunt zawodowy.

A swoją drogą, myślał Michał, powtórnie polewając, Sylwia ma tendencję do stwarzania problemów w moim życiu. Czasem jest tak, jakbym się z nią nigdy nie rozwiódł. Dobrze chociaż, że uporządkowała swoje relacje z Olkiem. Jak zostaną mamą i tatą, przestaną zwracać uwagę na ludzi wokół i zajmą się własnym życiem.

Trochę im zazdrościł tego wspólnego życia. Sprawy między nim a Agatą nie wyglądały najlepiej. Cokolwiek by zrobił, wychodził na palanta. A przecież nim nie był. Kochał żonę jak nikogo na świecie. Wszystko by dla niej uczynił. Chciał z nią mieszkać, zasypiać w jednym łóżku i jeść przy jednym stole. Patrzeć, jak tarnosi psa, pije poranną kawę, szuka drugiej skarpetki. Chciał z nią rozmawiać o sprawach ważnych i błahych.

Niestety, Agata wciąż była zła, teraz jeszcze bardziej niż przedtem, a to uniemożliwiało Michałowi codzienne udowadnianie miłości do żony. Co powiedzieć, by mi przebaczyła? Ciekawe, co zrobił Olgierd?

Podniósł wzrok znad szklanki, by zapytać, ale współnika nie było. Michał nie zauważył, że tamten wyszedł. Spojrzał na zegarek. Druga w nocy. Późno, nic dziwnego, że poszedł. Czas na rozmyślaniach upłynął niepostrzeżenie.

Sprzątnął pustą butelkę ze stołu. Podpisaną przez obydwu umowę schował do szafki z dokumentami.

Zasypiając, wciąż myślał o Agacie.

Są rozmowy, które trzeba odbyć, nawet jeśli nie ma się na nie ochoty. Bez względu na to, jak bardzo Julka będzie się opierać, Sylwia musiała z nią porozmawiać. Po to przez tyle lat budowała przyjacielskie relacje z córką, by w chwilach próby obydwie dawały sobie nawzajem wsparcie. To właśnie zamierzała powiedzieć. Nie o włosach, choć dwie znaczące metamorfozy w ciągu kilku dni nie uszły matczynej uwagi. Nie o Mateuszu, tym sukinsynu, którego zatłukłaby na śmierć. Nawet nie o dziecku, mimo że jego delikatne ruchy wprawiały Sylwię w euforię. Chciała porozmawiać o nich: o matce i córce, które się kochają i są sobie potrzebne. Zwłaszcza teraz, gdy obydwoma władają hormony.

Prawdę mówiąc, Sylwia zapomniała, jak to jest, gdy masz naście lat, pryszczki na twarzy i huśtawkę nastrojów. Cięża odświeżyła te wspomnienia, na szczęście bez pryszczki. Jednego dnia budziła się w euforii, świat był kochany, ludzie szczerzy i byle drobiazg wywoływał radość. Następnego martwiła się, wszystko szło nie tak, a łzy płynęły strumieniami. Próby zrozumienia tych mechanizmów były bezcelowe, hormony to chaos, ludzki umysł ich nie ogarnie. Trzeba kochać i cierpliwie czekać na koniec. U Sylwii to jeszcze pięć miesięcy, ile u Julki, nie wiadomo.

Wspięła się po schodach i delikatnie zapukała do pokoju córki. Nie usłyszała odpowiedzi, ale postanowiła wejść nieproszona.

Julka leżała na łóżku. Odgrodziła się od świata zewnętrznego muzyką, która przez słuchawki sączyła się bezpośrednio do jej uszu. Drgnęła, gdy matka położyła rękę na jej udzie.

– Co ty tu robisz?

– Możemy chwilę porozmawiać?

– No nie bardzo, nie widzisz, że jestem zajęta?

Cierpliwości – jak to łatwo powiedzieć.

– Wiem. Nie chciałabym ci przeszkadzać. Ostatnio trochę się między nami pokomplikowało. Nie podoba mi się to, bo cię kocham.

– Tobie zawsze coś się nie podoba.

Tak właśnie działa słuch wybiórczy. Czy jeśli powie, że Julka jest niesprawiedliwa, zostanie zrozumiana? Żadnych słów z „nie”, niczego, co wyglądałoby na krytykę. Czy rozmawiać z nią jak z dzieckiem czy jak z dorosłą? Może wystarczy, jeśli będzie szczerą.

– Kiedy się dowiedziałam o ciąży, byłam przerażona. Nie wiedziałam, co mam robić, bo już od jakiegoś czasu czułam się zagubiona. Wiele lat byłam żoną Michała, we trójkę stanowiliśmy rodzinę. Kochałam was do szaleństwa, niemal obsesyjnie, i wszystko, co robiłam, to z myślą o waszym szczęściu. Wydawało mi się, że idziemy z Michałem tą samą drogą. Patrzyłam przed siebie i nie zauważyłam, że od jakiegoś czasu jestem sama. Przepraszam, brnę w jakieś durne metafory, to ze zdenerwowania. Chciałabym, żebyś zrozumiała, że nie szukam winnych. Obydwoje nawaliliśmy i coś fajnego się rozpadło. Michał znalazł sobie kogoś innego i było mu łatwiej. Ja zostałam sama z wyzwaniem, którym dotąd stawialiśmy czoło we dwojkę. I ze stygmatem prawie czterdziestoletniej rozwódki. Niby czasy dziś inne, niby życie zaczyna się po czterdziestce, ale nie oszukujmy się, kobiecie w moim wieku trudniej ułożyć sobie życie na nowo. Związałam się z Olkiem raczej z desperacji niż z miłości. Chciałam udowodnić wszystkim, a zwłaszcza byłemu, swoją wartość.

I nagle uświadomiłam sobie, że nie dostałam okresu. Już to przerabiałam i wiem, jak bardzo mam przerabane. Tylko że wtedy mogłam liczyć na wsparcie rodziny i ukochanego, a teraz... Moje uczucia do Olka są niejednoznaczne i czułam, że on też tak ma. Podobnie jak ja nie zaprowadził porządku w swoich emocjach wobec tej najbliższej osoby. To nas połączyło, ale czy to dobry fundament do budowania nowego związku – wątpię. A tu ciąża...

Kiedy się dowiedziałas, zaproponowałaś aborcję. To wydaje się takie proste rozwiązanie, nie ma dziecka, nie ma problemu. Nieprawda. Zabieg nie cofa czasu, nie wymazuje wspomnień. Ja wiem, jak to jest, gdy malutka rączka łapie cię za palec, i jak to jest tulić w ramionach dziecko. Tak w gruncie rzeczy to z twojego powodu zdecydowałam się urodzić. Myślałam: „Julka jest taka piękna, taka dobra i mądra, to drugie dziecko też na pewno takie będzie”. Kocham cię ponad wszystko i dlatego zapragnęłam po raz drugi doświadczyć tego cudu, który wniosłaś w moje życie. Ty sprawiłaś, że moje macierzyństwo stało się najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że chciałam to przeżyć po raz drugi. Nie planowałam tego, ale skoro już się stało, dlaczego się tym nie cieszyć?

Wiem, że ci trudno. Wredni ludzie będą dokuczać, pytać, czy to twoje, mówić, że takie staruchy nie powinny zaliczać wpadek. Ale bądźmy szczerzy, ci wredni zawsze znajdą powód, by dokuczać. Czy zamiast myśleć o nich, nie lepiej skupić się na tym, co fajne? Wizyty w sklepach z zabawkami będą teraz koniecznością.

A jeśli się martwisz, że w jakiś sposób obarczę cię opieką, to obiecuję, że nic takiego się nie stanie. Nawet jeśli nie będę wyrabiać, to nie oszukujmy się, stać mnie na niańkę. Jeżeli zechcesz pomóc mi przy dziecku, to super, ale nie będę miała pretensji, jeśli się nie zaangażujesz.

I nic się nie zmienia w moich uczuciach. Nie zmniejszy się miłość do ciebie. Znalazłam dla tego dziecka nową miłość w sercu. Bo z miłością nie jest tak, że aby dać jednemu, trzeba odebrać innemu. Serce jest jak studnia. Każdego, kto przychodzi, możesz z niej napoić. Zobaczysz, kiedy to dziecko się urodzi, i w twoim sercu znajdzie się miłość do niego.

Sylwia podniosła rękę Julki i położyła na swoim brzuchu. Chciała, by córka uzmysłowiła sobie, że jest tam mały człowiek, z którym już do końca życia obie będą związane. Bała się, że Julka wyszarpienie rękę, ale dziewczyna nie zrobiła tego. Siedziały tak do momentu, gdy Sylwia dłużej nie mogła powstrzymać łez. Przytuliła się do córki i płakała.

Julka delikatnie zmierzwiła jej włosy.

– Nie płacz – poprosiła.

– Nie mogę. Nie mogę znieść tego, że się na mnie złościsz.

– Nie jestem zła na ciebie. Jestem zła na wszystko.

– Przecież możemy o tym porozmawiać. Zawsze rozmawialiśmy.

Milczenie. Choć palce Julki wciąż tkwiły we włosach Sylwii, więc może to nie była cisza przed burzą.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. – Zostało to powiedziane wyjątkowo spokojnie.

– W ogóle czy tylko na niektóre tematy?

– Boję się, że jeśli zaczniemy rozmawiać, wcześniej czy później dojdziemy do tego, o czym nie chcę mówić.

– Mateusz?

– No widzisz. – I Julka zabrała rękę.

Sylwia się podniosła, by móc patrzeć na córkę.

– Jesteś moim dzieckiem. Chciałam cię chronić.

– Są rzeczy, przed którymi mnie nie obronisz.

– Nawet kiedy będę umierała, nie przestanę próbować cię chronić.

W tym momencie twarz Julki się zmieniła. W ułamku sekundy gniew i wrogość zastąpiła rozpacz i dziewczyna wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Sylwia próbowała ją uspokoić, lecz bezskutecznie. Co takiego było w słowach, które wypowiedziała, że spowodowały tak gwałtowną reakcję? Próbowała wyciągnąć to z córki, ale tamta zbyt gwałtownie płakała. W końcu Sylwią olśniło.

– To tylko ciąża. Wszystko ze mną w porządku. Nie umieram.

– Ty nie. Pani Janina.

Popłynęła kolejna fala łez, jednak teraz, gdy przygniatający serce ciężar został zrzucony, widać było, że płacz przynosi ulgę. Sylwia położyła się obok córki, podłożyła jej ramię pod głowę i przytuliła. Miała nieodpartą chęć zapewnić, że wszystko będzie dobrze, wiedziała jednak, że takiego kłamstwa Julka nie chce słuchać.



Rozdział piąty

Róża Conrad Ferdinand Meyer

Różę Conrad Ferdinand Meyer wyhodował w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku Franz Hemen Muller. Ponieważ był amatorem, miał trudności ze znalezieniem szkółki zainteresowanej uprawą jego odmiany. Po fiasku poszukiwań w Niemczech udał się do hodowców szwajcarskich. Jeden z nich zainteresował się różą, rozpoczął jej masową uprawę i nadał imię na cześć szwajcarskiego pisarza, prekursora dwudziestowiecznej powieści psychologicznej.

Sam krzew, o silnym wzroście do wysokości dwóch metrów, ma cierniste czerwone łodygi, skąpo pokryte skórzastymi liśćmi i prawdę powiedziawszy, odznacza się dość brzydkim pokrojem. Natomiast kwiaty są niezwyklej urody. Klasyczne w kształcie, o płatkach różowych ze srebrnym połyskiem i cudownym zapachu. Dawniej z tych płatków przygotowywano wodę do przemywania twarzy. Dziś gatunek ten, podobnie jak róża konfiturowa, jest poszukiwany przez amatorów przetworów z róż.

W katalogowym opisie z tysiąc dziewięćset drugiego roku znajduje się taka opinia Petera Lamberte'a: „Ta odmiana jest jedną z najpiękniejszych, jakie w swoim życiu widziałem”. I pomyśleć, że gdyby hodowcy zabrakło uporu, współczesne ogrody byłyby jej pozbawione.

Teresa spojrzała na wyświetlacz telefonu. Teodor. Odrzuciła połączenie, bo wciąż nie wiedziała, co miałaby powiedzieć. Poranek następnego dnia po ich wyprawie na kawę był najbardziej żenujący w całym jej życiu.

Jeszcze w kawiarni zamówiła wino, w nadziei, że dzięki temu poczuje się lepiej. Powinna pomyśleć o Wandzie, jej przykład pokazywał, że alkohol nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem.

– Kiedy byliśmy młodzi, brak dzieci wydawał się dobrym pomysłem. Wcale nie było tak, że mi ich brakowało. Przyzwyczaiałam się do mojej codzienności i gdy wszystko w życiu biegło tym samym torem, było mi dobrze. Czułam się szczęśliwa. Miałam męża, o którego dbałam, piękny dom i ogród. Bywaliśmy u znajomych i na różnych imprezach towarzyskich. A potem Zbyszek zrobił coś głupiego i zostawił mnie samą.

Zaczerwieniła się na wspomnienie tego, co robiła. Ona, Teresa Domańska, kradła.

– Przepraszam – powiedziała. – Wydawało mi się, że już opłakałam męża.

– Może nad nim się już wyplakałaś, a teraz płaczesz nad sobą? Nie wstydź się, ja też tak czasem mam. Człowiek uświadamia sobie, że nic nie ma wartości, gdy jest sam. Co mi z pieniędzy, skoro nie mam ich na kogo wydawać?

Teresa poczuła, jak łza odrywa jej się od rzes, opada na policzek i po nim spływa. Chciała ją zetrzeć, ale Teodor był szybszy. Ciepłe, szorstkie palce musnęły jej twarz.

– Zepsułam ci popołudnie. Nie tak to planowałeś.

Teodor machnął ręką. Siedzieli w milczeniu. Teresa sączyła wino. Ostatni łyk i nie będzie powodu, by tkwić tu dłużej. Odwiezie ją do domu i rozstaną się, udając, że nie było tej chwili słabości. Agata zapyta, co się stało, i nie będzie chciała uwierzyć w zapewnienia, że wszystko w porządku. Do

Teresy jednocześnie dotarły dwie rzeczy; uświadomiła sobie, jak wiele dla niej znaczy ta przyjaźń, i – paradoksalnie – jak bardzo nie chce teraz widzieć Agaty.

– Myślisz, że jest tu jakiś hotel, gdzie mogłabym przenocować? Wolałabym nie wracać dziś do domu. Wszystko tam przypomina mi Zbyszka.

Teodor skinął głową. Chwilę później byli na ulicy.

– Przejdziemy się? – To była propozycja, nie pytanie. Teresa oparła się na jego ramieniu i szli urokliwymi ulicami uzdrowiska.

Recepcjonista wyszczerzył zęby w wyuczonym uśmiechu. Jego koszula porażała nienaganną bielą.

– Potrzebujemy pokoju na jedną noc. Moja przyjaciółka źle się czuje.

Uśmiech nawet na ułamek sekundy nie zniknął z jego ust. Oczy wpatrywały się w monitor z takim natężeniem, jakby wyświetlały się tam prawdy objawione.

– Oczywiście. Mamy wolne pokoje. Życzą sobie państwo...

– Z dużym łóżkiem. – Teresa wyprzedziła pytanie.

Uśmiech pozostał niezmienny, grzeczny, choć zdawała sobie sprawę z tego, jakie myśli za nim się kryją. Nic podobnego. Wysłała już do Agaty SMS, że wróci rano, że koleżanka ze studiów, że niespodziewanie. Jeszcze raz przeprosi Teodora, a potem weźmie długi prysznic i będzie spać w łóżku, w którym spało tysiące ludzi przed nią. Możliwe, że ktoś z nich był w podobnej sytuacji, a może nie. Myśli o tych ludziach pozwolą jej zasnąć, a rano poprosi Agatę, by po nią przyjechała. Wtedy też wyzna prawdę, powie, że strasznie się rozkleiła i chciała popłakać w samotności.

Recepcjonista położył na blacie plastikową kartę. Teodor wyciągnął z portfela swoją, połyskliwie złocistą.

– Zapłacę rano. – Teresa próbowała go powstrzymać.

– Mowy nie ma. Czuję się winien, bo popsulem ci humor, więc pozwól mi to zrobić.

Recepcjonista zamarł w bezruchu; dopiero gdy Teresa skinęła głową, wziął od Teodora kartę.

Na lewo od recepcji był bar, kusząco mroczny, wypełniony spokojną muzyką.

– Mogę ci postawić drinka? – zapytała Teodora.

Popatrzył na nią wyraźnie zdezorientowany, ale się zgodził. Dopiero kiedy usiedli przy barze i zamówił colę, zdała sobie sprawę, jak głupia była jej propozycja. Wszystko jest głupie. On, z tymi dziwacznie wyszukany mi manierami, próbujący ukryć wystającą z butów słomę, i ona, upadła first lady, inteligentka w pierwszym pokoleniu. I jacy są żałośni, pięćdziesięciolatekowie w uzdrowskim barze, udający, że nie zmarnowali sobie życia, bo jeszcze kilka lat przed nimi.

– Odprowadzę cię do pokoju – zaproponował Teodor i podtrzymał Teresę, gdy schodziła z barowego stołka, co tylko ją zdenerwowało.

Nie była pijana. Nikt nie jest pijany po dwóch kieliszkach wina. Nie chwiała się, nie zataczała. Widziała świat na tyle wyraźnie, by zauważyć plamę z ziemi na kolanie spodni. Myślała, że jej smutek rozpuści się w winie, tymczasem tylko nasycił się czerwienią.

Karta piknęła i drzwi się otworzyły. Teodor wszedł także. Jak na komendę usiedli na brzegu podwójnego łóżka, przykrytego ciemnobrązową narzutą. Teresa przeciągnęła po niej ręką, na opuszkach zostało wrażenie lepkości, jak wtedy, gdy się dotknie świeżo nakremowanej twarzy. Ta myśl wywołała w Teresie pragnienie, by przytulić się do innego człowieka. Nie chodziło o Teodora. Gdyby ktoś ją zapytał, wolałaby przytulić się do Zbyszka. Albo do Janusza Krupskiego. Był taki moment, kiedy sądziła, że jest między nimi chemia, która mogłaby się przerodzić w coś więcej. Teraz, gdy patrzyła na sąsiada, ogarniał ją żal, ten sam, który czujemy, gdy wbiegamy na peron tuż po

odjeździe pociągu.

W hotelowym pokoju z dużym łóżkiem był z nią Teodor i to do niego się przytuliła. Świadomość, że jest w ramionach mężczyzny po raz pierwszy od ponad dwóch lat, sprawiła, że Teresa wybuchnęła płaczem i nie mogła się opanować. Szlochała, a Teodor delikatnie gładził ją po włosach. Zdziwiła ją ta delikatność jego dużych, niezgrabnych dłoni. Odsunęła się, by sięgnąć po chusteczkę, a jego ręce zawisły w powietrzu, jakby nie wiedział, co ma z nimi zrobić. Przypomniała sobie jego minę, gdy zatrzymał się przy furtce. Uśmiechnęła się, ale tylko na ułamek sekundy, gdyż dostrzegła plamę z tuszu na jego koszuli.

– Pobrudziłam cię. – Próbowала oczyścić koszulę chusteczką.

– Daj spokój.

– To droga koszula.

– A co mi z koszuli?

A co mi z życia?, zapytała sama siebie Teresa. To ostatnia szansa, by iść do łóżka z mężczyzną, a ona się powstrzymuje. Bo co? Bo ma dwadzieścia lat i jeszcze wszystko przed nią? Położyła dłoń Teodora na swoim biuście, tak jednoznacznie, by nie miał wątpliwości, czego ona chce. A czując jego wahanie, zaczęła rozpinać mu koszulę.

Nie był przystojny ani nawet interesujący, chyba z powodu nosa, nieproporcjonalnie dużego w stosunku do reszty twarzy, i zbyt małych oczu. Łysiał, zakola odsłaniały białą, nienaturalnie cienką skórę. Ale włosy na głowie zachowały swój naturalny kolor, z rzadka tylko widać w nich było nitki siwizny. Odwrotnie rzecz się miała z włosami na klatce piersiowej. A może zawsze były takie – srebrzyste, poskręcane jak wiórki metalu. Zaciekawiona Teresa przeciągnęła dłonią po tej męskiej piersi. Zbyszek prawie wcale nie był obrośnięty.

Bała się, że jeśli Teodor coś powie, zabraknie jej odwagi. Przeprosi, poprawi włosy, ucieknie do łazienki, gdzie zaczeka, aż on wyjdzie. Dlatego pocałowała go, żeby się nie odezwał.

Było dziwnie, niezdarnie, a gdyby nie wielka czułość, którą sobie okazywali, wszystko to okazałoby się absolutnie niesatysfakcjonujące.

Obudziło ją uczucie okropnego zażenowania. Siedziała na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę, słuchając pochrapywania Teodora i czekając, aż rano stanie się faktem. Miała ochotę wyjść, wrócić jakoś do domu, uznała jednak, że wyglądałoby to idiotycznie. Sama chciała. I wcale nie żałowała, po prostu było jej głupio. Pozwoliła odwieźć się na Różaną i dała Teodorowi swój numer, ale teraz nie odbierała telefonów. No bo co miała mu powiedzieć?

Będąc już w domu, wciąż myślała o tym, co się wydarzyło. Wsypała łyżeczkę melisy do zaparzacza i z gorącym kubkiem w dłoniach wyszła na taras. Siedziała tam Agata, ale pogrążona w lekturze jakiegoś opasłego tomiska, zdawała się nie zauważać ani Teresy, ani Freddy'ego, który rzucał na swoją panią błagalne spojrzenia. Nie lubił teraz leżeć na tarasie, było mu zimno.

Telefon, pozostawiony w kuchni, znów się odezwał.

– Unikanie rozmowy nie jest rozwiązaniem problemu – odezwała się Agata.

– Kiedy nie ma o czym rozmawiać.

– Możesz mu chociażby powiedzieć, że pójście do łóżka było głupotą i potrzebujesz trochę czasu, by wymazać z pamięci to traumatyczne wspomnienie.

Zapiekle ją policzki, jakby ktoś przyłożył do nich płonąca pochodnię.

– Skąd... skąd coś takiego przyszło ci do głowy? Nic...

– Nie mam pięciu lat.

Wcześniej Teresa była zażenowana tym, co zrobiła; teraz, gdy zdała sobie sprawę, że Agata wie, zrobiło jej się okropnie, okropnie wstyd.

– Możemy o tym nie rozmawiać? – poprosiła. – Jest mi niewyobrażalnie głupio.

Nagle zamknięcie książki było znakiem, że prośba nie zostanie wysłuchana. Teresa zerknęła na okładkę i zobaczyła tytuł: *Powstanie '44*. Nie podejrzewała Agaty o zainteresowanie historią.

– Ty też nie masz pięciu lat. Możesz się spotykać z mężczyznami i chodzić z nimi do łóżka.

– Nie planowałam tego.

– Wiem, jak to jest, czasem po prostu tak się dzieje. Nie ma powodu, by robić sobie wyrzuty.

– Jak nie ma?! Przecież Zbyszek dopiero co umarł.

– I myślisz, że potrzebuje twojej wierności w drodze na inny świat? To tylko seks. Chyba że... – Agata urwała i popatrzyła na nią z łobuzerskim uśmiechem.

– No co?

– Chyba że ci się podobało i dlatego czujesz się winna.

Teresa, czując na sobie jej spojrzenie, skupiła się na tym, by wyglądać na spokojną i obojętną. Przeniosła wzrok na ogród. Teraz każdego dnia mniej było błękitu i zieleni, dominowała żółć, czerwień i brąz. Niedługo zostanie tylko ten ostatni, w szerokiej gamie odcieni, niestety, głównie smutnych. Brązowa ziemia, kora drzew i butwiejące liście – tak będzie wyglądał świat. Czasem uda się dostrzec czerwony owoc róży albo głogu i będzie on jak klejnot, dopóki nie wydziobią go ptaki.

Łyknęła melisy. Była dość słaba, bo zanim napar zdążył naciągnąć, woda ostygła. Z zazdrością spojrzała na termiczny kubek Agaty. Też musi sobie taki sprawić, by móc pić na dworze gorące napoje nawet w zimne dni.

– Masz rację, czuję się winna. Ale nie dlatego, że mi się podobało.

– Znaczą kiepsko było?

Powinna poinformować przyjaciółkę, że nie będzie z nią roztrząsać swojego życia intymnego. Powinna, ale zamiast tego powiedziała:

– Nie. Był czuły. Chodzi o to, że czuję się zagubiona.

Agata spojrzała wymownie w stronę kuchni.

– Podejrzewam, że on też. Miej chociaż na tyle przyzwoitości, by powiedzieć mu o swoich uczuciach. Wystarczy SMS. „Sprawy potoczyły się zbyt szybko. Potrzebuję to przemyśleć. Daj mi czas do przyszłego poniedziałku”. I bez emotikonek! – Wstała. – Nawet telefon ci przyniosę. Tak po drodze, bo właśnie wychodzę do pani Brzozowskiej.

Teresa poczuła się zaintrygowana, bo po co Agata miałaby odwiedzać Sylwię. Zaprzyjaźniły się?

– Raczej nie. Spotykamy się, by wspólnie psioczyć na Michała. Świetnie nam to robi.

– Zamiast go obgadywać, powinnaś się z nim pogodzić – zasugerowała Teresa. – On cię naprawdę kocha.

– Wiem! – Agata wskazała na swój dom. Budowlańcy uwijali się przy nim jak pszczoły. Powinni skończyć lada dzień. – Już nie jestem na niego zła i nawet tęsknię. I też go kocham. Ale źle mnie potraktował. Nawet słowa nie powiedziałam, kiedy on zajmował się Sylwią. A gdy ja poszłam na kawę z Mateuszem, zrobił z tego aferę. Lekcja pokory mu się przyda. Na przyszłość zastanowi się, zanim oskarży mnie o cudzołóstwo.

I poszła, odprowadzana tęsknym spojrzeniem Freddy'ego. Teresa przywołała psa i przez chwilę gładziła jego aksamitny pyszczek.

– Oni niedługo się pogodzą i wrócicie do domu. Zostanę sama, tak jak chciałam. I wiesz, zaczyna

do mnie docierać, że to może nie być fajne. Powiem szczerze, twoja pani nie jest idealną współlokatorką, a ty jesteś po prostu okropny. Myślisz, że nie wiem o spaniu na kanapie? Ustaliliśmy, że nie wolno ci tam wchodzić, a co rano znajduję sierść. Ale to tylko kanapa, co mi po niej, skoro was nie będzie? Siądę sobie i będę podziwiała ten piękny mebel? I tak sobie myślę, tylko nie mów nic Agacie, że może wpuszczenie do swojego życia Teodora nie jest głupim pomysłem? Nie wygląda na jakoś specjalnie wykształconego i na dodatek ten jego wyszukany sposób wyrażania strasznie mnie śmieszy, ale nie po tym będziemy go oceniać. Mam wrażenie, że to dobry człowiek. No co, zadzwonimy i poprosimy, żeby nas odwiedził?

Przez otwarte okno wpadało chłodne powietrze. Jesień. Janina zawsze uważała, że zaliczanie września do letnich miesięcy to jakaś astronomiczna bzdura. To, że dwudziestego trzeciego kończy się kalendarzowe lato, jest słabym argumentem. Wystarczy przecież spojrzeć w okno, by przytoczyć dziesiątki silniejszych, świadczących przeciwko temu. Żółte liście, strugi deszczu na szybach, nasiona, w które rośliny pośpiesznie zmieniają swoje kwiaty, sówki i wiewiórki uwijające się jak w ukropie, by zrobić zapasy, bandy sikorek obsiadające czerniałe głowy słoneczników – tego nie zobaczy się latem.

Była jeszcze jedna rzecz, która według Janiny przesądzała o jesiennym charakterze września. Latem życie w ogrodzie buzowało. Nie trzeba było wiele, by ukwiecić rabatki. Floksy, rozchodniki, jastruny, przetaczniki, krwawniki, ostróżki, szałwie, orliki, aksamitki i róże kwitły jak szalone. Teraz, gdy zostawały nawłocie, astry, wrzosy i chryzantemy, trzeba było nie lada wyobraźni, by zakryć ziemię kwiatowym kobiercem. A wystarczy kilka chłodnych dni – czy jedna noc z przymrozkiem, nic niezwykłego we wrześniu – by i te rośliny zrezygnowały. Można sadzić hortensje, kasztanowce i tawuły japońskie, w nadziei, że ukwiecą ogród jesienią, ale stanie się tak tylko przy sprzyjającej pogodzie. Zimne deszcze to dla roślin znak, że czas iść spać.

Albo umierać. Dotknęła miejsca, w którym opatrunek udawał pierś. Po zabiegu lekarz powiedział, że wycięli trochę więcej, bo mieli wątpliwości, że zawsze może się zdecydować na zabieg kosmetyczny, przywracający kształt, w końcu jest młoda, a niektóre kobiety z próżności powiększają sobie biust, więc nic nie stoi na przeszkodzie... Chyba chciał tchnąć w nią optymizm, ale się nie udało.

Operacja Janinę zmęczyła, przez całe popołudnie i noc na przemian zasypiała i budziła się z ciężkiego, mulistego snu. Dopiero nad ranem przyszedł sen zdrowy i krzepiący, brutalnie przerwany przez pielęgniarkę z termometrem. Później był obchód i najgorsze śniadanie, jakie w życiu jadła. Przedpołudnie spędziła, gapiąc się w sufit i rozmyślając o szpitalu. Z perspektywy korytarza, na którym siedzi rodzina, oczekując informacji o kimś bliskim, wszystko wygląda zupełnie inaczej niż z łóżka. Na korytarzu człowiek bardziej się boi, ale ma też większą nadzieję. Leżenie wywołuje apatię.

Minuty do obiadu ciągnęły się niemiłosiernie. Janina liczyła, że zje co nieco, ale obrzydzenie, które poczuła na widok dostarczonego posiłku, było silniejsze niż głód. Zupa, jarzynowa tylko z nazwy, straszyla kolorem. Podobnie jak potrawka z kurczaka; jeden kęs rozgotowanego mięsa wystarczył, by się przekonać, że szpitalne jedzenie nie zmieniło się od czasów, gdy Janina urodziła Mateusza. Tak, to było okropne przeżycie. Nie dość, że sam poród okazał się trudny, bo chłopiec ważył całe pięć kilo, to synek jeszcze dostał żółtaczkę i spędził na oddziale dziewięć dni. Wtedy po dwóch dniach przekonała się do szpitalnego wikt, choć zupa mleczna przypominała budyń, a herbata nie była ani

gorzka, ani słodka. Cóż, to dowód, że młody człowiek szybciej się dostosowuje.

Szkoda, że nie poprosiłam Julki, by wpadła z pomarańczami, pomyślała i udała, że nie widzi pełnego wyrzutu spojrzenia salowej, zabierającej nietknięty talerz.

Potem znowu się zdrzemnęła. Przyśniło jej się, że Janusz kładzie na stoliku nocnym karton soku pomarańczowego. A podobno człowiek zaczyna śnić o jedzeniu dopiero po trzech dniach głodu.

– Jak się czujesz?

To nie sen.

– Co ty tu robisz?

– Chciałaś wykiwać starego psa? Przeprowadziliśmy z Martą małe śledztwo. Dlaczego nic nie powiedziałaś? – Nie ukrywał, że ma do niej żal.

– Nie wiem. Chyba nie chciałam was martwić – skłamała.

– Cała ty. Zawsze najpierw myślisz o innych, na końcu o sobie.

Na szczęście uwierzył. Nie będzie musiała słuchać wyrzutów ani się tłumaczyć.

– Najmądrzejsze to nie było. Ustalmy, że na przyszłość informujesz nas o takich sprawach.

Skinęła głową.

– Przynieśliśmy sok i drożdżówki z tej piekarni, co lubisz, ale może czegoś jeszcze ci potrzeba?

Marta poszła do kiosku po gazety, mogą zadzwonić.

– Wszystko mam, dziękuję.

Zapadło milczenie. Poduszka wydawała się twarda, Janina chciała ją jakoś poprawić i uniosła się na łóżku. Janusz rzucił się, by pomóc, i przytrzymując ją jedną ręką, drugą poprawił pościel. Wciąż trzymał żonę, gdy zapytał:

– Dlaczego nie powiedziałaś?

Czyli nie uwierzył.

– A dlaczego miałam ci mówić? Masz swoje życie.

Roześmiał się tak szczerze, jakby opowiedziała mu świetny dowcip.

– Nie powiedziałaś, bo chciałaś mnie ukarać za to, że wyprowadziłem się do Tadka?

Nie myślała tak, ale kiedy zapytał, odpowiedź mogła być tylko twierdząca.

– Nie ma sensu teraz o tym rozmawiać, jesteś osłabiona i w ogóle. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że zawsze będziesz w moim życiu. Jesteś matką moich dzieci, spędziliśmy ze sobą szmat czasu. Bywało źle, ale na ogół żyło nam się razem dobrze.

– Skoro było tak dobrze, to dlaczego odszedłeś?

Milczał, lecz po jego minie poznała, że zamierzał odpowiedzieć, szukał właściwych słów. Gdy je znalazł, twarz mu się rozjaśniła i już, już miał otworzyć usta, gdy do sali weszła Marta, zamieniając pytanie Janiny w wyrzut wobec męża.

Popołudnie, które spędzili we trójkę, wypełniało głównie milczenie. Rozmowy były krótkie, zdawkowe, jak to w szpitalu.

Minęły obowiązkowe trzy dni od zabiegu i Janina została wypisana. Janusz od rana czekał, by zawieźć ją do domu. Marta zrobiła obiad i usiedli razem przy stole.

To było wczoraj. Dziś rano Janinę obudziła krzątanina w kuchni, stukanie szafek, szum wody i warczenie młynka do kawy. Przyjemnie być we własnym domu, a jeszcze lepiej, jak jest ktoś, kto się o wszystko troszczy.

W towarzystwie córki wypila poranną kawę i zjadła śniadanie. Później Marta wyszła do Leokadii. Podobno starsza pani nie czuła się najlepiej. Marta rozważała, czy nie poprosić Marii, by wróciła do

domu. Janina nie skomentowała tego, choć jej zdaniem powrót córki marnotrawnej tylko przyspieszyłby agonię.

Teraz siedziała w salonie i przez otwarte okno patrzyła na ogród. Gdy usłyszała kroki, była pewna, że to Marta albo Janusz, i nawet się nie odwróciła.

– Ładnie to tak straszyć własnego syna?

Mateusz? Mateusz!

*Wszystkie nasze puste słowa,
Wszystkie nasze martwe ptaki
Cała miłość pordzewiała...*

Maria patrzyła na kartkę, wsłuchiwała się w siebie w oczekiwaniu na ostatni wers. I nic, pustka. Znowu pustka. Wena, która jest zdradliwą kochanką, porzuciła poetkę wiele dni temu. Jak bolesna jest niemoc twórcza, wie tylko ten, kto jej doświadczył. Kiedy można przelać emocje na papier, wszystko jest dobrze, ale gdy nie mają tego ujścia, zaczynają się jątrzyć i na duszy powstaje okropny, bolesny wrzód.

Owszem, wcześniej Marii zdarzało się nie pisać przez kilka dni, ale zwykle powodem był brak czasu. Tego zawsze brakuje. A przecież musiała pisać. Poezja była jedynym, co jej zostało.

– Skup się i zajrzyj w głąb serca. Wszystkie nasze puste słowa...

W tym momencie ktoś załomotał do drzwi. Maria zakłęta pod nosem, zła, że jej przerwano. Wcale nie była ciekawa, kto to.

Widząc na progu Martę, odetchnęła z ulgą. Obawiała się, że krewna Wandy powróci, by podjąć jednak walkę o majątek, bo kto wrednemu zabroni? Może w świetle przepisów wnuk domniemanego ojca Wandy miał większe prawo do jej domu niż ona, Maria? Powinna zapytać brata, jak to jest, nie chciała przecież kłopotów.

– Możemy chwilę porozmawiać, ciociu?

– Wejdz. Jak się czujesz, jak noga? Przepraszam za bałagan, robiłyśmy remont...

Marta szepnęła, że jej przykro, i pewnie tak było, niestety, w ten powierzchowny sposób. Nie znała Wandy, nie mieszkała z nią od wiosny, nie pomagała w trudnych chwilach. No i to nie Marta zawiodła, nie jej niedopatrzenie doprowadziło do wypadku, więc nie mogła nic wiedzieć o tym, jak naprawdę przykro może być człowiekowi.

– Wejdzmy do kuchni, zrobię herbatę.

Bez względu na to, z czym tamta przyszła, Maria nie chciała z nią rozmawiać w salonie. Wspomnienie blondynki wywoływało niepokój. Kuchnia była przyjaźniejszym miejscem. Maria wstawiła wodę, przygotowała kubki i zapytała, co sprowadza gościa.

– Leokadia źle się czuje.

– U niej to permanentne. Odkąd znam moją matkę, źle się czuje.

– Myślę, że tym razem to coś poważnego.

Żebyś ty, dziecko, wiedziała, ile razy miałam nadzieję, że to coś poważnego, pomyślała Maria.

– Była u lekarza? – zapytała.

Przecząca odpowiedź potwierdziła jej przypuszczenie, że to symulacja.

– Mówi, że jest beznadziejnie i nie ma sensu kłopotać lekarza. Przekonywałam, bezskutecznie. Jest uparta.

– Co ty nie powiesz? – Maria pozwoliła sobie na ironię.

– Pomyślałam, że może...

– ...ją przekonam? To nic nie da. Jestem ostatnią osobą, która mogłaby wpłynąć na matkę. Już prędzej Tadeusz, z nim porozmawiaj.

Marta założyła kosmyk włosów za ucho. Zawsze tak robiła, gdy była zdenerwowana. Maria pamiętała ten ruch jeszcze z czasów, gdy siedząca przed nią młoda kobieta była małą dziewczynką i chodziła do szkoły.

– Dobrze, sama z nim porozmawiam. W końcu to nasza matka.

– Nie tylko o to chodzi. Bardzo lubię Leokadię i poświęcę jej tyle czasu, ile będzie trzeba, ale teraz, gdy mama jest chora, chciałabym i nią trochę się zająć. – Marta bezradnie rozłożyła ręce. – Potrzebuje pomocy.

Maria zauważyła nieobecność przyjaciółki. Gdy zapytała o powód dyrektorę, dowiedziała się, że Janina ma zwolnienie do końca tygodnia. Jezierska nie pytała o powód, bo założyła, że to zwykłe przeziębienie, może zapalenie krtani czy angina, nic poważnego. Mina Marty sugerowała, że należy zapytać, co się stało.

– Jak to, rak? – Maria nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Mama znalazła guz w piersi. W poniedziałek miała zabieg. Fizycznie czuje się lepiej niż psychicznie.

Marii brakowało słów. Podeszła, żeby przytulić Martę. Bardziej siebie niż ją zapewniała, że wszystko będzie dobrze.

– Zajmij się mamą, a mnie zostaw Leokadię. I tak chciałam do niej zajrzeć, mamy kilka spraw do omówienia.

Patrząc za odchodzącą Martą, która wciąż lekko utykała, Maria pomyślała, że wolałaby, żeby nie przychodziły do niej więcej żadne młode kobiety, które burzyły jej wewnętrzny spokój.

Aldona Tarach patrzyła z żalem na różę, którą trzymała w rękach. To był przepiękny kwiat o cudownie aksamitnych płatkach, tak idealnych, jakby wycinał je urodzony perfekcjonista. I ten kolor najśłodsze, najsubtelniejsze rózu. Szkoda, że już zwiędła i trzeba ją wyrzucić. Tak to już jest z kwiatami – ich piękno krótko nas cieszy. Bywają ludzie sentymentalni, którzy mówią, że nie lubią kwiatów ciętych, bo nie chcą patrzeć na ich umieranie. To głupota, sugeruje, że w śmierci może być coś naganego. Cały świat ciągle umiera – rośliny, zwierzęta, ludzie. Nie ma co się wzruszać kilkoma opadłymi płatkami.

Spojrzała na ulicę – pusto, jak to przed południem. W interesie też mały ruch, bo żadne popularne imieniny dziś nie przypadały, więc pewnie nie ma co liczyć na więcej niż trzy, cztery wiązanek. Rano sprzedała ładny storczyk i kartkę urodzinową. Kwiaty doniczkowe idą lepiej niż cięte. Zapewne dlatego, że ludzie lubią dawać praktyczne prezenty. To smutne, bo nawet najpiękniejszemu storczykowi daleko do romantycznego uroku bukietu, a jeśli się właściwie skomponuje wiązanek, może być dziełem sztuki.

Ten, który Aldona ułoży dziś wieczorem, na pewno taki będzie. Poświęciła więcej czasu niż zwykle, by wyszukać na giełdzie odpowiednie rośliny do kompozycji. Przyjemnie było, tak dla odmiany, zostać tam dłużej. Gdy samej prowadzi się interes, czasem nie wystarcza czasu na małe przyjemności, do jakich należało spacerowanie pośród pojemników wypełnionych kwiatami. Pamiętała ich nazwy jak imiona bliskich przyjaciół, znała szlaki, którymi tutaj przywędrowały

prawie z całej Europy.

Gdy zamknie kwiaciarnię, siądzie na zapleczu i ułoży rośliny tak, że młoda kobieta, która zamówiła wiązanek ślubną, aż westchnie z zachwytu i przez wiele, wiele lat, może przez całe życie, będzie wspominała swój bukiet.

Do tego czasu zostało jeszcze kilka godzin, które można było wypełnić czytaniem albo rozwiązywaniem krzyżówek. Tak bywa. Tuż przed Dniem Nauczyciela drzwi się nie będą zamykały, a dziś pustki.

Wtem dojrzała na ulicy znajomą sukienkę w kolorze chabrów. Czyżby Joaśka zamierzała wypełnić plotkami to nudne popołudnie?

– Sprawa życia i śmierci, musisz mi pomóc! – zawołała przyjaciółka, wchodząc do kwiaciarni. – Pomożesz?

– A powiesz, w czym?

– Ale obiecaj, że się zgodzisz, plissss.

Są ludzie, którzy czynią nas bezbronniymi, wszystko potrafią wymusić, bo wiedzą o naszej wobec nich uległości. Tak było z Aldoną i Joaśką. Poznały się wiele lat wcześniej, gdy razem rozpoczęły pracę w urzędzie miasta. Dla obu była to pierwsza praca, obie były świeżo upieczonymi mężatkami, obie marzyły o dzieciach i ładnych meblach do kuchni. Gdy kilka lat później Aldona odchodziła z pracy, by rozkręcić własny biznes, najbardziej się bała, że nie będzie widywać przyjaciółki, bo przez ten czas zdążyły się mocno zżyć ze sobą. Jednak los im sprzyjał. Nic dziwnego, taka przyjaźń trafia się raz na milion.

– No powiesz mi wreszcie?

– Wiesz, że w tym roku jestem w komisji konkursu na najpiękniejszy ogród Różanej? Pan Henryk, Grażynka i ja. Umówiliśmy się, że dziś wpadniemy i zobaczymy, jak tam wygląda. Ale Grażynka zadzwoniła, że ona nie może i żeby przełożyć oględziny na przyszły tydzień. Ja wtedy mam wyjazd na konferencję do Warszawy, a potem to już nie będzie czego oceniać. I tak pomyślałam, że ty pójdziesz za Grażynką. W końcu znasz się na kwiatach.

Słowotoki przyjaciółki nigdy nie przestawały Aldony zadziwiać. I zachwycać.

– No nie wiem...

Natychmiast została skarcona spojrzeniem „Hej, przecież obiecałaś”.

– No dobra. Tylko będę musiała tu wrócić, mam ułożyć wiązanek ślubną.

– Fajnie. Jak będę wychodziła za męża, też u ciebie zamówię bukiet.

Gdy przyjechali na Różaną, niebo zasnuły chmury, podobne do dymu z palonych chwastów, a chłód przesyconego wilgocią powietrza dawał się we znaki.

– Myślałam, że powódź zniszczyła tę ulicę – powiedziała Aldona, wysiadając z samochodu pana Henryka.

– To niesamowite, jak szybko mieszkańcy wszystko tu uporządkowali. Myślę, że ma to związek z miłością. Kochają swoje ogrody. To od której strony zaczynamy, moje panie? – odezwał się pan Henryk.

Aldona nigdy nie była na Różanej. Owszem, słyszała o pięknych ogrodach i nieraz myślała, że warto by się tu wybrać, ale jakoś się nie składało. Tak to czasem bywa. Pojechała obejrzeć rosaria w Chorzowie, Dreźnie i Berlinie, a nie znalazła chwili, by pójść na drugi koniec miasta. Może to dlatego, że uważała opowieści o Różanej za mocno przesadzone. Jakkolwiek by na to patrzeć, przydomowe grządki nie mogły być ogrodami Semiramidy.

I rzeczywiście nie były. Jednak różnica, w przeciwieństwie do tego, co myślała Aldona, wydawała się niewielka. Stojąc u szczytu Różanej, tuż za skrzyżowaniem z Wałbrzyską, widziało się połyskujące wody Młynówki i wyścielający drogę do niej kobierzec kwiatów.

– Szkoda, że nie widziałaś tego latem – powiedziała Joaśka. – Chodź, przyjrzymy im się z bliska.

Aldona próbowała wyrazić zachwyt, jednak jej zasób słów okazał się zbyt mały. Zamilkła więc i tylko chłonęła czarujące piękno roślin, wyeksponowane przez pełnych pasji ogrodników.

Ze wszystkich ogrodów najbardziej podobał jej się ten z białymi roślinami. Rzędy białych chryzantem różnych odmian, różniących się od siebie wielkością kwiatów, oplecione były warkoczem z wrzosów, zimowitów i róż. Nad nimi pochylały swoje delikatne gałązki krzaki śnieguliczki, obsypane białymi kulkami owoców. Bliżej domu kilka hortensji potrząsało podobnymi do marakasów kwiatostanami, czemu, jakby z uwagą, przyglądała się jodła górska i świerk srebrzysty.

– Tutaj woda narobiła największych szkód. – Henryk wskazał na ogród zarośnięty ziołami, miniaturowymi różami i daliami w najróżniejszych kolorach. – A proszę, wygląda, jakby nie było powodzi.

– Nie przesadzaj – upomniała go Joaśka i pokazała Aldonie ciąg segmentów po drugiej stronie ulicy. – Tam nie uporali się z remontem domu, o ogrodzie nawet nie ma co mówić. A szkoda, właścicielka miała wyobraźnię. No, to by było na tyle, możemy wracać.

– A tam? – Aldona wskazała na ostatnią posesję. Smutny dom stał na skraju ulicy, jakby nie chciał do niej należeć.

– Przez lata nikt tam nie mieszkał. Właścicielka przyjechała w tym roku, chyba tylko po to, by przeżyć powódź. Strasznie to teraz wygląda. Już lepiej było, jak stał taki zarośnięty krzakami.

Aldona zrobiła kilka kroków w stronę domu. Miała wrażenie, jakby coś ją łączyło z tym miejscem. Nie tylko z domem, ale z całą ulicą. Tak tu było cudownie, tak sielsko i spokojnie. Ludzie, którzy tutaj mieszkają, muszą być bardzo szczęśliwi. Wyobraziła sobie, że sadyzi tu kwiaty, by później patrzeć na nie z tarasu, gdzie można pić kawę i rozwiązywać krzyżówki.

I wtedy dostrzegła, że rusztowanie zasłania wiszące na środkowym segmencie wielkie ogłoszenie. Jeden róg opadał nieprzymocowany, ale i tak wiadomo było, że jest tam napisane: „Segmenty na sprzedaż. Bezpośrednio u dewelopera. Tanio”.

Może wieczorem porozmawia z mężem. Teraz, kiedy synowa jest w ciąży, zakładanie, że młodzi wkrótce pójdą na swoje, wydawało się zbyt optymistyczne. Mieszkanie Tarachów w kamienicy miało ponad sto metrów kwadratowych, jednak żadna przestrzeń nie będzie odpowiednio duża dla dwóch niechętnych się kobiet. Należałoby znaleźć sensowne rozwiązanie, zanim dziecko przyjdzie na świat.

Agata przechyliła kieliszek i ostatnia kropla czerwonego wina spłynęła jej na język. Nie przepadała za alkoholem, zwłaszcza za winem i zwłaszcza czerwonym, ale picie w towarzystwie Sylwii, która tego robić nie mogła, sprawiało pani Brzozowskiej numer dwa małą sadystyczną przyjemność.

– Może dolać?

– Nie, dzięki, będę się już zbierać.

– Miło, że wpadłaś.

Tak, jasne.

– Też się cieszę, fajnie, że zakopałyśmy topór wojenny.

W tym momencie do salonu weszła Julka. Wbiła w Agatę wzrok zimny jak sztylet wyjęty z zamrażarki, odwróciła się na pięcie i wyszła ostentacyjnie, a później trzasnęła drzwiami w głębi domu.

– Twoja córka mnie nie lubi – zauważyła Agata, odstawiając kieliszek.

Sylwia poprawiła się w fotelu.

– Dziwisz się? Zabrałaś jej ojca.

Akurat o ojca tu chodzi, pomyślała Agata, a głośno oświadczyła:

– Nikomu nikogo nie zabierałam. – Co było szczerą prawdą.

– Mieliśmy z Michałem mały kryzys, z którego wyszlibyśmy, gdybyś się nie wmieszała.

– Pewnie masz rację, że to był kryzys i mieliście szansę go pokonać. Tylko nie mieszaj mnie do rozpadu waszego związku. Gdyby Michał, kiedy go poznałam, powiedział mi: „Wiesz, mam cudowną córeczkę i śliczną żonę, którą bardzo kocham, tylko akurat przechodzimy mały kryzys”, to zapewniam cię, że nie pozwoliłabym, żeby ściągnął mi majtki.

– Mam ci uwierzyć?

– A myślisz, że dziewczyna rozmyślnie będzie się łądowała w związek z facetem po przejściach? Zwłaszcza gdy jest atrakcyjna, wykształcona i na tyle młoda, że jeszcze co najmniej przez dekadę nie musi się martwić swoim staropanieństwem? Nie jestem głupia, wiem, jakie konsekwencje niesie za sobą związek z żonatym mężczyzną, i świadomie nigdy nie wlaźłabym w to gówno. Niestety, kiedy się dowiedziałam, było za późno. Zakochałam się w Michale, a człowiek w tym stanie przestaje mieć altruistyczne nastawienie.

Sylwia z uśmiechem poprawiła sobie poduszkę za plecami, by podkreślić, jak bardzo jest w ciąży. Drażnienie Agaty swoim stanem sprawiało jej małą sadystyczną przyjemność.

– Ładna przemowa, choć mnie nie przekonała.

– Wcale się nie dziwię. Sądziś ludzi własną miarą.

– Co masz na myśli?

– Olgierda, Michała.

Sylwia wyglądała jak jeżozwierz, któremu ktoś nadepnął na odcisk. Godne znoszenie krytyki musiało jej przychodzić z trudem.

– Jak spotkałam Olka, był bardziej wolny niż Michał, kiedy poszłaś z nim do łóżka.

– Różnica polega na tym, że ja o tobie nie wiedziałam. Ty natomiast wiesz, że jest Marta i że jestem ja.

Sylwia uderzyła się w czoło, gestem człowieka, który doznaje nagłego olśnienia.

– Tak się cały czas zastanawiałam, o co w tym wszystkim chodzi. Nie znosisz mnie, a tu nagle taka manifestacja serdeczności, spotkania, herbatka, wino. Przyszedłaś na przeszpiegi do obozu wroga, co?

Agacie nie pozostało nic innego, jak grać w otwarte karty.

– Michał jest cudownym facetem. To dobry, wrażliwy człowiek i bardzo go kocham. Chciałabym, żeby nasze małżeństwo było udane, mam z nim dom i psa, chcę mieć dzieci. Ale to się nie uda, jeśli za każdym razem, gdy zaczniesz odgrywać damę w opałach, on porzuci wszystko, by pędzić ci na pomoc, przekonany, że to jego obowiązek, że ma wobec ciebie jakieś zobowiązania. Było między nami idealnie, ale wmieszałaś się i proszę, nie mieszkamy razem. Pomyślałam więc; wybadam Sylwię, zobaczę, dokąd to zmierza, bo nie odpowiada mi związek, w którym mój mąż jest dyspozycyjny wobec innej kobiety.

– Doceniam, że jesteś szczerą. Łatwo ci to nie przyszło. Dlatego ja też nie będę kłamać. Zdarzył się

taki moment latem, gdy było mi bardzo trudno, a jedyne wsparcie dostałam od Michała. Pomyślałam wtedy, że można cofnąć czas. Julka, Michał, ja i to maleństwo moglibyśmy być rodziną jak z obrazka.

Agata miała nadzieję, że jej uśmiech nie wygląda zbyt sztucznie. W myślach wyzywała Sylwię od najgorszych suk, nie mogła się przed tym powstrzymać.

– Byłam skołowana, wiadomość o ciąży mnie zaskoczyła, reakcja Olgierda jeszcze bardziej. A Michał znalazł się w pobliżu i, jak sama mówiłaś, to dobry człowiek.

– No i? – ponagliła ją Agata.

– I nic. Doszłam do wniosku, że oboje jesteśmy już w różnych miejscach życia, nie ma dla nas powrotu do przeszłości. Uporałam się z problemami, teraz nie potrzebuję niczyjej pomocy. Jestem dużą, zaradną dziewczynką. Wkrótce będę jeszcze większa. – Poklepała się po brzuchu.

– Można uznać to za obietnicę, że się więcej Michała czepiać nie będziesz? – Agata popatrzyła jej w oczy, by uchwycić nawet najdrobniejsze drgnienie powieki, wskazujące na kłamstwo.

– Można. Jeśli będę potrzebowała pomocy, poproszę ciebie. Pasuje?

Nie pasowało, ale mimo to Agata skinęła głową. Sylwia i tak nie poprosi. A jeśli złamie właśnie złożoną obietnicę, zostanie rozszarpana na strzępy.

– To dobrze. – Tamta uśmiechnęła się szczerze i ładnie. – Ty pogodzisz się z Michałem, ja mam Olka... Chyba że do tego też masz zastrzeżenia?

Oczywiście, że Agata miała co do tego zastrzeżenia. Przede wszystkim dlatego, że nie posądzała Olgierda Jezierskiego o bycie sprawcą ciąży, którą demonstrowała Sylwia. Również dlatego, że wiedziała, jak bardzo Marta kocha swojego byłego męża i jak mogliby być szczęśliwi, gdyby ludzie i los nie rzucali im kłód pod nogi.

Są sytuacje, w których należy mówić prawdę, i takie, gdy szczerść nie przynosi nic dobrego. Dlatego Agata wzruszyła ramionami i obojętnie zapytała:

– Niby dlaczego?

– Przyjaźnisz się z Martą.

– I to daje mi prawo wtrącać się do waszego trójkąta? Nie sędzę. Przyszłam tutaj, żeby walczyć o swojego męża. Jeśli Marta zechce swojego, sama ci go odbierze.

Sylwia roześmiała się perliście. Od razu wiadomo było, że to sztuczny śmiech, normalnie rozbawieni ludzie kwiczą jak świnki morskie.

– Sam do mnie przyszedł i teraz nikt mi go nie zabierze.

Agata знаła po rosyjsku tylko dwa słowa. Przywołała je teraz, bo idealnie pasowały do sytuacji. *Paziwiom, uwidim.*

Janusz zastanawiał się, czy nie wziąć kilku dni wolnego, ale i Janina, i Marta przekonały go, że to nie będzie potrzebne. Może i słusznie. Snułby się po domu, własnym i niewłasnym, próbując udawać, że sytuacja go nie przerasta.

Jak w piosence „Nic nie może przecież wiecznie trwać, co zesłał los, trzeba będzie stracić”. Janusz nie chciał zrezygnować z wolności, którą rozkoszował się przez ostatnie cztery miesiące, czuł jednak, że jego obowiązkiem jest wspierać żonę.

Cała Janina, pomyślał z przekąsem, zawsze znajdzie sposób, by mnie przy sobie zatrzymać. Jedna ciąża, druga ciąża, mój wypadek, jej rak.

Z kieszeni dżinsów wyjął klucze i wszedł do domu Tadeusza. Właściciela miało nie być do późna, co normalnie oznaczałoby wspaniałe popołudnie spędzone z piwem i kanałem sportowym. Tyle że

teraz już nie było normalnie.

Wziął szybki prysznic, by zmyć z siebie zapach komendy. To taka specyficzna mieszanka wilgotnej woni starych murów, przepoconych męskich ciał, mundurów i prochu. Janinie ten zapach przeszkadzał; mówiła, że Janusz śmierdzi, choć nie było to zgodne z prawdą.

Wytarł się szybko i niestaránie, podkoszulek przylgął do wilgotnych pleców. Janusz rzucił tęskne spojrzenie na dresy, przewieszane przez oparcie krzesła. Trzeba się ubrać jakoś w miarę, żeby pokazać, że mu zależy. Ta myśl go zaskoczyła.

Na czym zależy? – zapytał sam siebie. Na Janinie? No przecież nie.

Nie będzie o tym teraz myślał. Po prostu do niej pójdzie, posiedzi trochę, pogadają o niczym. Może zostanie na kolacji, a może nie. Wróci do domu i pójdzie spać. I tak przez kolejne dni, dopóki nie będzie wiadomo, co dalej z jego żoną. Jeśli się okaże, że wszystko w porządku, jego wsparcie przestanie być potrzebne. Jeśli nie... Cóż, wtedy będzie się zastanawiał.

Zapukał przez grzeczność. Nie uważał, że to miejsce przestało do niego należeć tylko dlatego, że mieszkał teraz w sąsiednim domu. Gdyby doszło do rozwodu, należałoby na sprzedaż domu i podział pieniędzy, by oboje mogli sobie kupić małe mieszkania. Janina pewnie by protestowała, ale przecież nie miała pieniędzy, by spłacić męża, i aspekt praktyczny by przeważał. Janusz układał sobie nawet w głowie przemowy, podczas których rozsądnie przekonywał żonę do sprzedaży domu. A później przestał. Nie myślał już o rozwodzie, bo drzwi, za którymi kryła się jego przyszłość, te z napisem „Maria”, zatrzaśnięto mu przed nosem. Czy żałował? Bardziej było mu żal tego, co stało się w przeszłości. Zawsze tak jest. Widząc, co przyniosły nasze wybory, marzymy, by cofnąć czas i dokonać innych, ale czas, jak rzeka, płynie tylko w jedną stronę i nie da się go zawrócić. Pozostaje tylko oglądać się za siebie i powtarzać: „Ludzie, jaki ja byłem głupi”.

Oczywiście można wyciągnąć wnioski, by ustrzec się przed błędami w przyszłości, pod warunkiem że ma się jakąś przed sobą. Janusz boleśnie czuł, że do tego, co mu pozostało, bardziej pasują określenia „egzystencja” i „wegetacja” niż „życie”.

Janina siedziała w kuchni, której remont był ostatnią rzeczą, jaką zrobili wspólnie.

– Napijesz się kawy? – zapytała.

Odpowiedział, że tak, ale sam może sobie zrobić.

– No przecież nie jestem obłożnie chora, to tylko drobny zabieg. W dalszym ciągu słodzisz?

Dziwne pytanie, jakby nie widzieli się tysiące lat, a minęło trochę ponad sto dni od czasu, gdy się wyprowadził.

Janusz usiadł na kuchennym stołku i patrzył, jak Janina krzątała się po kuchni. W ruchach żony zawsze była dziwna gwałtowność, wyglądało to tak, jakby chciała kogoś uderzyć, a ona tylko sięgała po kubek.

– Mateusz przyjechał. Minąłeś się z nim. Poszedł do Tadeusza, chce z nim porozmawiać o Konradzie.

– Młody Jeziński nie zamierza wracać?

– Nie pytałam. Chyba powinien, bo niedługo nie będzie miał do czego.

Postawiła przed nim kubek i usiadła po przeciwnej stronie stołu. Tego, który był ich pierwszym meblem i wędrował z nimi po wynajętych mieszkaniach, zawsze zbyt duży, by łatwo dało się go wnieść po schodach. Czasem nie mieścił się w wąskich kuchniach, a wtedy stawiali go w pokoju, który od razu wydawał się o połowę mniejszy. Mimo to nie potrafili się z nim rozstać, bo przypominał wieczór, gdy znaleźli go na strychu u dziadków Janiny i zakochali się w nim na zabój.

Janusz spędził trzy dni na zdrapywaniu starych warstw farby, a poranione opuszki palców goiły się przez dwa tygodnie. Warto było. Stół okazał się piękny. A teraz stał się jeszcze ważniejszy, bo nacięcia, rysy i zadrapania stanowiły zapis historii ich rodziny – Mateusz rysujący kosmitów, Marta i jej pierwsze próby kulinarne, Janina poprawiająca klasówki – wszystko tu było. Janusz pociągnął ręką po blacie dziwnie wzruszony.

– Biedna dziewczyna.

– Szkoda ci jej? – Janina nie kryła zdziwienia.

– Nie lubię Konrada. Tadeusz to dobry przyjaciel, ale ojcem był kiepskim. Jego synowie... nie mam o nich najlepszego zdania. Krzywdzą kobiety, z którymi są. Nie będziesz przeczyć.

– Nie, nie będę. Tak sobie myślę, że ci chłopcy wcześniej stracili właściwy wzorzec rodziny, bo przecież Tadeusz był dobrym mężem. Ewelina była z nim bardzo szczęśliwa.

– Trzydzieści lat temu ty też byłaś ze mną szczęśliwa. A potem to się zmieniło.

Janina w milczeniu opuściła głowę. Janusz nie mógł się powstrzymać i spojrział na piersi żony. Był ciekaw, czy nastąpiła zmiana. Niestety, luźna bluza nie pozwalała zaspokoić ciekawości. Gdyby nie fakt, że zdawał sobie sprawę, jak została przyjęta jego prośba o pokazanie blizny, poprosiłby.

– Widzisz, Janusz, kiedy wychodziłam za ciebie, miałam wizję naszego szczęścia. Całe życie starałam się ją realizować i nie możesz mi zarzucić, że byłam złą żoną i matką. Problem polegał na tym, że biorąc ślub z tobą, jednocześnie poślubiłam instytucję. Nie spodziewałam się tego i ta sytuacja niejedną raz mnie przerosła. Jeśli zamierzasz robić mi wymówki, to nie musisz dopijać tej kawy.

Poczuł się winien, bo właśnie chciał jej robić wymówki.

– Przepraszam. Chodziło mi o to, że za młodu wszyscy byliśmy szczęśliwi i teraz trudno dociec, czy Tadeusz rzeczywiście był dobrym mężem.

Janina przez chwilę taksowała go spojrzeniem.

– Z tego, co ostatnio usłyszałam, wynikało, że nie byłeś szczęśliwy. Nigdy. – W jej głosie słychać było złość, ale nie tylko; brzmiało w nim również ogromne rozżalenie.

– Posłuchaj, Janka, to nie tak.

– A jak?

No właśnie, jak? Znow przesunął ręką po blacie. Jakby chciał odkurzyć wspomnienia. Przypomniał mu się dzień, gdy Marta po raz pierwszy usiadła do odrabiania lekcji i wielki kleks z jej pióra spadł na blat. „Nic się nie stało, przeszlifuję i nie będzie znaku” – powiedział wtedy. Nigdy tego nie zrobił, a plama z czasem wyblakła, ale pamiętał, że wieczorem, kiedy kładli się spać, żona podziękowała mu, że nie nakrzyczał na córkę. „Bałam się, że to zrobisz i zniechęcisz ją do nauki. Chciałabym, żeby dobrze się uczyła”. Przytuliła się do niego, jej włosy łaskotały go w policzek. Jakież to było miłe, ciepłe wspomnienie. A po nim przyszło inne. Wszyscy czworo siedzą w kuchni i zaśmiewają się do łez z czegoś, co opowiedział Mateusz. „Ciasno by mi było, tak powiedziała” – powtarza syn i wszyscy znow wybuchają śmiechem. A potem nagle są z Janiną sami, bo dzieci na koloniach, ciepło dnia wciąż wypełnia dom, otworzyli więc wszystkie okna, siedzą w ciemnościach, piją piwo i rozmawiają o tym, jakimi dziećmi byli.

– Było mnóstwo dobrych rzeczy w naszym życiu.

– Wiem. To tylko ty wolisz pamiętać same złe.

– Chcesz się kłócić? – Bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Możemy się pokłócić, ale nie o to mi chodzi. Posłuchaj... mąż mnie zostawił, sama odprawiłam

kochanka, mam raka... to wszystko skłania do przemyśleń. Moje są takie, że nie byłam złą żoną i nie pozwolę sobie tego wmówić. Jeśli czułeś się nieszczęśliwy, możesz mieć pretensje tylko do siebie, bo ja robiłam co w mojej mocy, żeby stworzyć ci spokojny, szczęśliwy dom. To wcale nie było łatwe. Zostawałam sama w najtrudniejszych chwilach, bo ty musiałeś być w pracy, bo miałeś służbę, bo jeden idiota zabił innego i należało czynić sprawiedliwość. Nigdy się nie skarżyłam, wiedziałam, że to twoja praca, że przynosi ci satysfakcję, choć psychicznie rujnuje. Jasne, miałam chwile słabości i niech rzucają we mnie kamieniami ci, co nigdy nie zgrzeszyli, nie ty. Bo twoja wina jest większa. Ja się łajdaczyłam, ale nigdy nie przestałam cię kochać. Ty natomiast nigdy mnie nie kochałeś, a to jest gorsze świństwo. – Po jej policzku spłynęła łza i spadła na stół.

Janusz przetrwał słowa Janiny. W kubku został ostatni łyk kawy, przemieszany z fusami, nie warto było go wypić.

– Nigdy nie byłem zły na ciebie, że mnie zdradziłaś. Myślę, że mi się należało. Wkurzało mnie tylko, że niczego nie zauważyłem.

Wytarła oczy grzbietem dłoni i poprawiła włosy.

– Nikt nie zasługuje na to, by go zdradzać. Myślę, że tak dobrze się kryłam, bo wiedziałam, że jeśli się dowiesz, będziesz bardzo zraniony. A tego nie chciałam. Z drugiej strony czułam się samotna, opuszczona i potrzebowałam kogoś, kto okazałby mi choć odrobinę zainteresowania.

– Seweryn był dla ciebie dobry?

– Bardzo. – Uśmiechnęła się czule, a rozżarzona szpila ukłuła Janusza prosto w serce.

– Może powinnaś do niego wrócić?

– Nie, to już skończone.

– Może...

– Nie! – prawie wykrzyknęła, bardzo stanowczo. I po chwili, już spokojniej, dodała: – To, co było między nami, w dużej mierze opierało się na seksie, a teraz, kiedy nie jestem... pełnowartościowa, myślę, że to może być problem.

– Chcesz powiedzieć, że nie porozmawiasz z Sewerynem, bo nie masz jednej piersi?

– Delikatnie tego nie ująłeś, ale tak, sądzę, że dla niego może to być problem.

– A jeśli się mylisz? Mnie to nie przeszkadza.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Sprawdź mnie. – I, nie spuszczać z niej wzroku, odsunął się od stołu, jakby chciał zrobić jej miejsce na kolanach. Janina zaczerwieniła się nawet na karku.

– Sugerujesz...

– Jesteśmy małżeństwem od wielu lat, dzieci nie ma, więc dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać tego wieczoru dla wspólnej przyjemności?

– A co będzie później?

– Później przekonasz się, że przywiązywałaś zbyt dużą wagę do czegoś bez znaczenia, więc pójdziesz do Seweryna i opowiesz mu o swoich obawach. A jeśli nie będziesz miała odwagi, ja do niego pójde. Nie oszukujmy się, jestem, jaki jestem. Nie potrafię dać ci wsparcia, nigdy nie będę taki, jak byś tego oczekiwała. Miłość do Marii... To nie wyglądało tak, jak ci się zdaje. Przecież bywała w tym domu, a ja nie wodziłem za nią rozmarzonym wzrokiem, czasem nawet jej nie zauważałem. To była taka moja projekcja, że z inną kobietą mógłbym być lepszy, bardziej czuły. Prawda jest taka, że z Marią byłbym dokładnie tym samym sukinkotem. I masz rację, byłaś świetną żoną, nikt inny nie wytrzymałby ze mną tak długo. To co, chcesz rozwiązać swoje obawy?

– ...i Kidżej powiedział...

– Konrad. – Poprawianie młodego Krupskiego zaczynało już irytować Tadeusza.

Chłopak popatrzył na niego tym swoim aroganckim spojrzeniem młodego boga.

– Konrad powiedział, że nie ma zamiaru wracać. Tak to mniej więcej wygląda – skończył swoją opowieść i zaczął się bujać na krześle dla petentów.

Tadeusza zaskoczyła wizyta Mateusza. Miał już wychodzić do domu, gdy tamten stanął na progu kancelarii i zapytał, czy mogliby porozmawiać. Oczywiście, jak to młody Krupski, nawet nie czekał na odpowiedź, tylko od razu usiadł i zaczął mówić o tym, jak Konrad spędza wolny czas.

– Mnie to waletowanie Kidżeja zupełnie nie przeszkadza. Tylko że to mój najlepszy przyjaciel. Martwię się o niego. Nie chcę, żeby się stoczył.

– A myślisz, że ja chcę?

Na dwoje babka wróżyła – mówiła mina Krupskiego. Co za irytujący smarkacz! Ojciec powinien był go wychowywać w szacunku dla starszych i nauczyć pokory. No cóż, jego ojcem jest Janusz, po nim trudno się spodziewać oszałamiających sukcesów wychowawczych.

– Nie chcę – rozwiął wątpliwości Mateusza. – Chcę jak najlepiej dla swojego syna i jego rodziny.

– Czy powinien powiedzieć o Karolinie? Wcześniej czy później Konrad i tak się dowie, a lepiej, żeby tę nieprzyjemną wieść przekazał mu przyjaciel. Niektórzy ludzie lubią zrzucać winę za złe wieści na posłańców. – Jeśli Konrad szybko się tu nie pojawi, jego rodzina może stać się przeszłością. Karolina przygruchała sobie jakiegoś kutafona. Nosi się z zamiarem złożenia pozwu rozwodowego. Rozmawiałem z nią, powstrzymałem przed tym nierozsądnym krokiem, ale sam rozumiesz. Jeśli doszłoby do konfrontacji w sądzie, zachowanie Konrada postawiłoby go w złym świetle. Mogłyby być problemy z uzyskaniem wyłącznego prawa do opieki nad dziećmi.

Krupski prychnął, jakby się zakrztusił okruszkiem.

– To faktycznie źle wygląda. Na czym, jak na czym, ale na wyłącznej opiece nad dziećmi Konradowi bardzo zależy.

– Ty kpisz?

– Gdzieżbym śmiał.

Durny szczeniak. Chętnie powiedziałby mu kilka chłodnych słów, okraszonych dydaktyzmem, powstrzymywała go tylko myśl o synu. W tym dupku, który siedział naprzeciwko Tadeusza i szczyrzył zęby w bezczelnym uśmiechu, Konrad miał lojalnego przyjaciela. Można tego nie rozumieć, trzeba uszanować.

– W tym tygodniu mam ważną rozprawę, ale w przyszłym uda mi się wygospodarować kilka wolnych dni. Przyjechałbym wtedy do was, pogadałbym z synem. Co o tym sądzisz?

– To dobry pomysł. Uważam, że nie byłoby głupie, gdyby miał pan dla Kidżeja, przepraszam, dla Konrada, jakąś konkretną propozycję. On potrzebuje jakiejś roboty.

– Zastanowię się – odparł Tadeusz, zdziwiony rozsądną uwagą Krupskiego. – Dam ci znać przed przyjazdem.

Tamten skinął głową, wstał, w drzwiach rzucił: „No to nara”, i wyszedł, zostawiając Tadeusza zmartwionego i sfrustrowanego. Jak to mówią? Małe dzieci mały kłopot, duże dzieci masakra. Głupota Konrada słono go kosztowała. I gdyby chodziło tylko o pieniądze. Durnota syna popsuła stosunki Tadeusza z Teresą. Tyle lat ją kochał i marzył, że kiedyś będą razem. A teraz nim gardziła. Nawet nie odpowiadała na powitanie. To bolało, bo wciąż ją kochał. W końcu uczucia to nie grypa, nie przechodzą ot tak.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Mateusz? Jeszcze za mało bezczelności zmanifestował?

– Wlazł.

W drzwiach stanęła Maria.

– Przepraszam, gorszy dzień. Co cię sprowadza?

– Chciałam porozmawiać, w domu cię nie zastałam, pomyślałam, że tutaj cię znajdę. Elegancko – powiedziała, rozglądając się dookoła. – Chyba pierwszy raz tu jestem.

Tadeusz poprosił, by usiadła. Zapytał, czy czegoś się napije, ale odmówiła. Sam miał ochotę na odrobinę koniaku, który stał w szafce pod oknem, uznał jednak, że poczeka z tym do wyjścia siostry.

– Przyszłam do ciebie po poradę prawną. Wiesz, zamieszkanie z Wandą było jedną z najlepszych rzeczy, jakie mnie spotkały. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo brakuje mi powietrza. Wiesz, jaka jest mama.

Skinął głową, bo zdawał sobie sprawę, że wszystkie cechy, które on cenił w matce – apodyktyczność, upór i stanowczość – mogły utrudniać życie wrażliwej Marysi.

– Wanda zginęła. Z tego, co wiem, nie miała nikogo. Z mężem się rozwiodła, na dzieci się nie zdecydowali. Latem wyjechała, by spotkać się z ojcem. Kilka dni temu przyjechała jakaś kobieta, szukała Wandy. Chciała ją poinformować, że Józef... jakiś tam Józef, którego Wanda uważała za swojego ojca, nie jest nim. Ta kobieta oświadczyła, że kiedyś, w rozmowie z nią, zaprzeczył swojemu ojcostwu. Wzięła mnie za Wandę i zagroziła, że jeśli zechcę, to znaczy jeżeli Wanda zechce dochodzić swoich praw spadkowych, zażąda badań genetycznych.

Całe szczęście, że to on, Tadeusz, postanowił podtrzymać tradycje prawnicze. Z Marii orator był słaby.

– Gdyby Wanda żyła, doradziłbym, żeby zrobić te badania i w oparciu o nie wnieść sprawę o podział majątku po ojcu, jeśli oczywiście nie było testamentu. Ale skoro Wanda nie żyje, to nieaktualne.

Siostra popatrzyła na niego spojrzeniem, które nauczycielka rzuca uczniowi gadającemu głupoty.

– Przecież ja nie mówię o sytuacji Wandy, tylko o swojej. Nie rozumiesz?

Oczywiście, że nie rozumiał. Zrobiła zboląłą minę i jeszcze raz od początku zaczęła tłumaczyć, kto był, a kto nie był czyim ojcem, kto dziedziczy, kto nie i po kim. Po dwudziestu minutach w końcu pojął zawiłą sytuację spadkową.

– Jeśli ta niby krewna wnieśli sprawę spadkową, będziesz mogła wystąpić przeciwko niej z powództwa cywilnego. Podejrzenie próby wyłudzenia mogłoby załatwić sprawę, tak sądzę. Sąd zażądałby badań genetycznych i to pewnie zakończyłoby tę sytuację. Wątpię jednak, czy ci ludzie zdecydują się na taki krok. Wszak to miecz obosieczny. Tak oni mogą mieć prawo do majątku Wandy, jak i ona do ich.

– Ale przecież Wanda nie żyje.

– To, że nie wiemy nic o jej krewnych, nie znaczy, że ich nie ma.

– Czy ja... Ja raczej nie mam żadnych praw? Chociaż do mieszkania tam?

– Wątpię, byście zawarły jakieś umowy, prawda? W tej sytuacji jesteś dzikim lokatorem. Ewentualny spadkobierca może cię obarczyć kosztami wynajmu chociażby.

– A moja inwestycja w remont?

– Przykro mi. Przyjrzę się temu, wydaje mi się jednak, że najrozsądniej będzie, jeśli wrócisz do domu. W innym wypadku kłopoty to tylko kwestia czasu.

Maria siedziała w milczeniu, międląc rąbek żakietu. Widać było, że nad czymś się zastanawia. Biedna Marysia, zawsze wikła się w niefortunne sytuacje.

– Wiesz, bracie, ta sprawa ze spadkiem Wandy skłoniła mnie do pewnych przemyśleń. Mama zmusiła mnie, żebym poszła do pracy, bo nie stać jej było na studia dla dwojga dzieci. Przez wiele lat dokładałam się do gospodarstwa, utrzymywałam nasz rodzinny dom, zajmowałam się mamą. Ty w tym czasie dorobiłeś się pięknej willi i tej eleganckiej kancelarii. Nigdy nawet nie zapytałeś, czy mamy za co kupić węgiel na zimę, a wiesz, że mama uwielbia, żeby było ciepło. Podejrzewam jednak, że gdy mama odejdzie, nie będziesz miał nic przeciwko odziedziczeniu połowy jej majątku. Dopuszczam nawet taką sytuację, że mama spisze testament czyniący ciebie jedynym spadkobiercą. Bo to ty jesteś jej ukochanym synem. Czasem czuję się tak, jakbyś był jej jedynym dzieckiem. Nawet nie wiesz, jak to boli, kiedy przez całe życie starasz się zadowolić matkę, robisz wszystko, by usłyszeć choć jedno dobre słowo, ale na próżno. I jeszcze te wszystkie chwile, gdy na widok tego drugiego dziecka oczy matki błyszczą z radości.

Maria sięgnęła po torebkę, którą z braku lepszego miejsca położyła na biurku. Wyjęła chusteczkę i wytarła oczy.

– Teraz mama zachorowała – kontynuowała – i wydaje się to naturalne, że ja się nią zajmę. I właśnie przyszło mi do głowy pytanie: dlaczego? Kiedy twoje dzieci były małe, nie wymagałam od ciebie zaangażowania ani żadnej pomocy finansowej. Ale teraz masz tyle samo wolnego czasu, co ja. Moim zdaniem to najlepszy moment, byś odplacił mamie za jej wielką miłość. No i spłacił te wszystkie długi wdzięczności, które zaciągnąłeś wobec mnie.

Czy kobiety nie po to rodzą córki, by te służyły im wsparciem i opieką? Jest nawet takie powiedzenie: syn dla świata, córka dla rodziców. Obowiązkiem Marii jest zajmowanie się matką. Tadeusz spojrzał na siostrę. W jej oczach była tylko determinacja.

– Marysiu, jak ty sobie wyobrażasz to, że teraz ja będę się zajmował mamą? Przecież nie potrafię.
– To nic trudnego. Parzysz herbatę, smarujesz kolana maścią przeciwreumatyczną, jesteś chłopcem na posyłki.

– Ale to ty jesteś córką, to twój obowiązek.
– Wiesz, ja też tak myślałam. Przez pięćdziesiąt lat. Zrezygnowałam z własnego życia, aby służyć Jej Królewskiej Mości. A teraz jestem stara, nie mam męża ani dzieci, nawet nadziei nie mam. I wiesz, czego jeszcze nie mam? Poczucia obowiązku.

Tadeuszowi wydawało się, że przewycięży determinację siostry, gdy odwoła się do jej sumienia. Niestety, Maria teraz wyglądała na jeszcze bardziej zdecydowaną, by trwać przy swoim. Jedyne, co mu w tej sytuacji pozostawało, to zagrać na zwłokę.

– Dobrze. Na spokojnie zastanowimy się, jak to zorganizować. Wpadnę do mamy i z nią porozmawiam. Zapytam, jaki układ bardziej by jej pasował.

– Jej zdanie mnie nie interesuje. – Maria weszła mu w słowo. – Powiedziałam, że nie wrócę do mamy, a to znaczy, że nie wrócę. Poświęciłam jej pięćdziesiąt lat i nawet nie usłyszałam „dziękuję”. Teraz ty się poświęcaj.

Wstała, wzięła torebkę i już miała ruszyć do drzwi, gdy jakaś myśl ją zatrzymała.
– Chcę, żebyś mi kupił mieszkanie. Kawalerka wystarczy. Tak sobie przekalkulowałam, że ta część spadku po ojcu, która mi się należy, i po mamie, no i to wszystko, co włożyłam w dom, jak w nim mieszkałam... Nie możesz zaprzeczyć, że to uczciwy układ. Ja zostanę wynagrodzona za swoje poświęcenie, a ty dostaniesz willę na Różanej i naszą kochaną mamusię.

– Po cholere mi willa?

– Myśl przyszłościowo. W przeciwieństwie do mnie masz dzieci i wnuki. Pójdę już.

Wyszła, zostawiając go z mętlikiem i chaosem w głowie. I złością, którą czuł fizycznie całym sobą. Bardziej niż hojnie nalał sobie koniaku do kieliszka. Wypił, znów nalał, wypił i jeszcze raz, aż w butelce pokazało się dno. Wtedy usiadł w fotelu i patrząc przed siebie, czekał na alkoholowe otepienie, bo nie miał siły myśleć o wszystkim naraz. Nad częścią spraw zastanowi się jutro, inne będą musiały poczekać.

Wrześniowego, chylącego się ku wieczorowi popołudnia nie można było nazwać ciepłym. W wilgotnym powietrzu czuło się już nie tylko jesień, lecz również zimę. Poranny przymrozek za tydzień, góra dwa, stanie się faktem. Lato odeszło, zabierając ze sobą upały i ciepłe noce.

Na szczęście robiło się już szaro i Marta miała nadzieję, że w słabnym świetle dnia gęsia skórka pokrywająca jej ręce nie jest widoczna. Marzyła, by wejść do domu i zanurzyć złodowaciałe pośladki w wannie z gorącą wodą. Dżinsowa mini nie była strojem stosownym do pogody, nie pasowała również do sytuacji. W ogrodzie lepiej pracować w wygodnych spodniach. Wiadomo jednak, że pierwszym wrogiem seksownego wyglądu jest właśnie wygoda.

– Nie zimno ci, babciu? – zwróciła się do Leokadii, która siedziała nieopodal w wiklinowym fotelu.

– Ciepło mi od samego patrzenia na was. Oluś, ale ty głębiej wbijaj tę łopatę.

Marta spojrzała na swojego eks. Jej było zimno, jemu na pewno nie. Pot strumieniem lał mu się po twarzy.

– Olgierd nie umie tego dobrze robić. Powinien przerzucać ziemię tak, żeby kompost znalazł się pod spodem. Inaczej jaki jest sens nawożenia? Może powinnam mu pokazać?

W odpowiedzi usłyszała wściekłe prychnięcie. Trudno się dziwić, z całej tej sytuacji zadowolona była tylko Leokadia. Kiedy rano poinformowała Martę, że Olek wpadnie pomóc w ogrodzie, ta od razu wiedziała, że to element planu babci, która chciała zwaśnionych małżonków ponownie do siebie zbliżyć. Marta udawała niezadowoloną i kilkakrotnie podkreśliła, że nie ma ochoty widzieć się z podłym zdrajcą. Oczywiście mówiła tak dlatego, że gdyby Leokadia poznała prawdziwe uczucia byłej żony swojego wnuka, natychmiast podzieliłaby się tą wiedzą z Olgierdem. A wtedy pomysł, oparty na słowach Janusza, pozostałby tylko pomysłem.

Ojciec miał rację, stwierdziła Marta w duchu. Zawsze byłam dla Olka jak taka faszzerowana kacuszka, która pojawiała się na stole, zanim on zdążył sobie uświadomić, że jest głodny. Teraz ukochany eksmąż musi się przekonać, jak bardzo mnie pragnie, a później walczyć, by mnie zdobyć.

Dlatego, choć wcale nie było ciepło, do pracy w ogrodzie włożyła spódniczkę, która nie zasłaniała jej cudownie długich, wysportowanych nóg. Gdyby nie to, że po złamaniu wciąż czuła się niepewnie, dodałaby obcasy, ale trampki też były fajne. Ładne trampki potrafią mentalnie cofnąć kobietę w czasie o dekadę, a jak się czujesz młodsza, to i młodziej wyglądasz. A do tego wszystkiego blezer z dekoltem, który pozwalał naocznie się przekonać, że Marta ma na sobie stanik i że jest on czarny, koronkowy i nieprzyzwoicie seksowny.

– Nie ma co się złościć – skomentowała owo prychnięcie Marta. – Trzeba się pogodzić z faktem, że nie o wszystkim masz pojęcie. Co w tym złego, że ja się znam na ogrodnictwie, a ty nie.

– No to pokaż, jak się znasz. – I podał jej łopatę.

Zacisnęła zęby i wzięła się do roboty. Miała wprawę, a wysiłek fizyczny nigdy nie był dla niej

problemem. Na przekopanie grządkki potrzebowała połowy tego czasu, co Olgierd.

– Widzisz – nie kryła satysfakcji – tak się to robi.

Prawie wyrwał jej łopatę z ręki. Marta wiedziała, że kusilo go, by jakąś uszczypliwą uwagą skłonić ją do dalszej pracy. Olek nigdy nie był z tych fizycznych. Kochał kanapę i telewizor. Gdyby miał inną przemianę materii, gdyby był łakomy, lubił słodczye albo piwo, szybko przemieniłby się w spaślaka z wielkim brzuchem, przypominającym przenośną lodówkę.

Ponieważ nic nie powiedział, Marta postanowiła, że weźmie na siebie ciężar podtrzymywania konwersacji.

– Czy to znak naszych czasów, że kobiety lepiej sobie ze wszystkim radzą, czy zawsze tak było? – zapytała Leokadię.

– Moim zdaniem zawsze. Tylko teraz mówi się o tym otwarcie, a kiedyś oficjalnie głośzono, że to na mężczyznę spada odpowiedzialność za rodzinę.

– Totalna bzdura. Kobieta troszczy się o dom, dzieci, rodzinę i jeszcze o męża.

– Jak nie jesteśmy potrzebni, to w ogóle z nas zrezygnujcie – wtrącił się Olgierd na swoją zgubę, bo zatruta strzałka już leciała w jego kierunku.

– Ja z ciebie zrezygnowałam i bardzo to sobie chwale. Nie muszę teraz myśleć, z kim się łajdaczysz i na ile bękartów przyjdzie mi łożyc.

– Nie przesadzaj.

– Choć jestem ogrodniczką, dziś nie przesadam, tylko kopię. – Roześmiała się, szczerze ubawiona własnym żartem.

Olgierd tego nie skomentował, ale po zajadłości, z jaką wbijał łopatę w ziemię, widać było, że jest naprawdę rozdrażniony.

Udając, że chce się przyjrzeć postępom w pracy, Marta podeszła tak blisko, jak tylko było to możliwe. Zapewniła tym Olgierdowi możliwość podziwiania swoich nóg. Pewnie czuł też zapach jej perfum, bo, bądźmy szczerzy, nie skropiła się nimi oszczędnie.

– Jedno mnie zastanawia, kiedy stałaś się taką feministką?

– Kiedy zrozumiałam, że nie mogę na tobie polegać.

– I co teraz, spalisz stanik?

– Dlaczego miałabym niszczyć taki ładny biustonosz? Zwłaszcza gdy mam jeszcze w planach spotkanie.

– O, czyżby randka?

– Zwykłam nazywać rzeczy po imieniu. Gdyby to miała być randka, tobym tak powiedziała. To po prostu spotkanie.

Marta spojrzała ukradkiem na Leokadię. Ciekawe, co staruszka myśli. Nie sposób wyczytać tego z pogodnej, uśmiechniętej twarzy. Przejrzałaś mnie, że jesteś taka spokojna? Jeśli tak, to proszę cię, babciu, nie wydaj mnie. Nie powiedz Olkowi, jak bardzo go kocham i jak mi zależy. Widzisz, zakochaliśmy się w sobie jako bardzo młodzi ludzie i razem wyruszyliśmy w dorosłość, nieświadomi, że to naprawdę trudna podróż, a my byliśmy do niej w ogóle nieprzygotowani.

Czasem jest tak, że trudności wzmacniają związki, a czasem odwrotnie. My nie potrafiliśmy sobie poradzić z problemami inaczej, niż winiąc to drugie za kłopoty, które zrzucało na nas życie. Powinniśmy byli się wspierać, lecz jakoś nam to umknęło i popsuliśmy coś, co było najwspanialszą rzeczą w naszym życiu.

Ale to wciąż jest do naprawienia. Kocham Olka, a on kocha mnie. Nie Sylwię, tylko właśnie mnie.

I dlatego nasze długo i szczęśliwie nadal jest możliwe. Praca w twoim ogrodzie nauczyła mnie, że wszystko się zmienia. Patrzyłam na rośliny, jak rosną i stają się silne, widziałam, jak walczą o potrzebne im do życia światło. Mój mąż jest moim światłem. A ja już przestałam być wątłą siewką, jestem silną, dojrzałą kobietą. Przyjechałam tu słaba i zagubiona, pokonana przez życie, a ty, każąc mi pracować w ogrodzie, tak naprawdę kazałaś pracować nad samą sobą.

Wzmocniłam się fizycznie i psychicznie. Przy pieleniu chwastów zrozumiałam, co jest naprawdę ważne. Patrząc z poziomu ogródka na świat, zrozumiałam jego mechanizmy. Natura nauczyła mnie, że pokora nie zawsze jest słabością. Dowiedziałam się, że spokój wokół człowieka wlewa się do jego serca i pozwala opanować emocje. Teraz jestem lepszą wersją siebie, bo dojrzałam, tak jak dynie i pomidory. Dlatego bardzo cię proszę, kochana babciu Leokadio, porzuć swój sprytny plan, nie mów Olgierdowi o moich uczuciach. Niech trwa w niepewności, niech się przekona, jak bardzo mu zależy. Wtedy przyjdzie moment, gdy poukładamy sprawy między nami. Na razie pozwól mi być dla niego okrutną.

– Możesz się przesunąć? – Olgierd wyrwał Martę z zamyślenia.

Zrobiła to bez słowa. Czasem lepiej nic nie powiedzieć, niż pozwolić, by ton głosu zdradził stan ducha. Podeszła do Leokadii i upewniła się, że koc szczelnie okrywa kolana staruszki.

– Na pewno nie marzniesz? Może powinnaś iść do domu?

– Lubię na was patrzeć, jesteście śliczną parą.

– Niewątpliwie jesteśmy śliczni. Parą nie jesteśmy.

– Mów, co chcesz, ja wiem swoje.

No i gdzie twoja kobieca intuicja? Nie słyszałaś, o co prosiłam?

– Olgierd, może dotrzymasz babci towarzystwa przy wieczornej herbacie? Ja zaraz wychodzę i nie chcę, żeby siedziała w ogrodzie. Jest zimno, a ona od jakiegoś czasu choruje. W ogóle nie powinna wychodzić, ale to uparciuch.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Nie szkodzi, ja jutro to zrobię. Ty i tak nie masz pojęcia.

Jego męska duma toczyła zaciętą walkę z bólem pleców. Marta świetnie rozumiała byłego męża. Sama przez to przechodziła dawno, bardzo dawno temu, w czasach, gdy myślała, że rozwód jest dobrym rozwiązaniem. Po pierwszej przygodzie z kopaniem przez tydzień bolały ją plecy.

W tym momencie przed bramą zatrzymał się samochód. Wszyscy troje popatrzyli w tamtym kierunku.

– Michał? – zdziwił się Olgierd. – Pewnie do mnie.

– Raczej nie. Jestem z nim umówiona.

Mina byłego – bezcenna.

– Jak to? – zapytał Olgierd, gdy już opanował bezwład dolnej szczęki.

– Potrzebuję porady dotyczącej zakładania strony internetowej i inne takie tam... reklamy, banery.

– Mogłaś zapytać mnie.

– No właśnie nie mogłam.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła ku furtce, kołysząc biodrami tak mocno, jak tylko mogła. Zanim cmoknęła Brzozowskiego w policzek, upewniła się, że Olek to widzi. Potem opadła na fotel obok kierowcy, zadowolona z siebie i z Agaty, która wpadła na ten pomysł.

– Nieważne, z kim cię zobaczy, jeśli mu zależy, będzie zazdrosny – tłumaczyła Brzozowska numer dwa. – Nie możesz się spotkać z Tomkiem, a nikogo innego nie mamy pod ręką. Michał jest za głupi,

by zrozumieć, że jest pionkiem. I to w dwóch rozgrywkach. Ty użyjesz go, by wkurzyć Olka. Ja wykorzystam wasze spotkanie jako argument dla siebie.

I tym sposobem Marta jechała z Michałem do jakiegoś fajnego miejsca, gdzie będą mogli spokojnie omówić jej pomysł na własny biznes. Marzyła o siłowni albo klubie, ale na to potrzebne były fundusze, których jeszcze nie miała. Zanim biznesplan się wykrystalizuje, postanowiła zostać trenerem personalnym i sparingpartnerem. I zamierzała ogłosić to światu za pomocą strony internetowej, fanpage'a i innych narzędzi internetowych, o których nie miała pojęcia. Na szczęście Michał miał i był tak miły, że zechciał jej pomóc.

Naburmuszony Olgierd miotał się bez sensu po ogrodzie, czyniąc więcej szkody niż pożytku. Leokadia patrzyła na to z rosnącą irytacją. W końcu kazała mu zanieść skrzynki z jabłkami do garażu i iść do domu.

Trudno uwierzyć, że praktyczna jabłoń jest krewną róży. Należą do tej samej rodziny różowatych. Obie zaczynały swoją karierę jako niepozorne krzewy o niewielkich, bladoróżowych kwiatach i cierpkich w smaku owocach. Jabłonie, które swoją drogę rozpoczęły nad Morzem Czarnym, wędrując na północ, przystosowywały się do nowych warunków klimatycznych. Jednym z nowych zmutowanych gatunków było drzewo o szorstkiej korze i jadalnych owocach. Okazało się, że roślina ze słonecznego południa pokochała północne chłody tak bardzo, że potrzebowała prawie tysiąca mroźnych godzin, by w kolejnym sezonie wegetacyjnym zakwitnąć i owocować. Wergiliusz w czwartej *Georgice* opisuje pewnego starca, który cieszy się najwcześniejszymi jesiennymi jabłkami, mimo że wieją ostre północne wiatry. Wielki rzymski poeta nie znał się zupełnie na ogrodnictwie, nie wiedział, że jabłoń potrzebuje tych wiatrów i owocuje na terenach niedostępnych dla innych, poza maliną moroszką, owoców.

Tym, co łączy do dziś róże i jabłonie, jest szczepienie. Wyhodowana z pestki jabłoń jest nieprzewidywalna i zawsze się degeneruje. Obie rośliny odniosły niebywały sukces, obie urosły do rangi królewskich, obie uwieczniono w literaturze.

– „Jak jabłoń wśród drzew leśnych, tak ukochany mój wśród młodzieńców” – powtórzyła półgłosem Leokadia za królem Salomonem.

– Co mówiłaś?

– Że możesz już iść do domu, kochany. I nie zapomnij wpaść pojutrze, będziemy cię jeszcze potrzebowały.

– Marta mnie nie potrzebuje.

– To prawda. I nie można jej za to winić. Będiesz miał dziecko z inną.

Olgierd burknął coś pod nosem. Nie wyglądał na uszczęśliwionego tym, że zostanie ojcem.

– Wiesz, być ojcem to jedno, a wiązać się z matką dziecka – coś zupełnie innego. Za dziecko musisz być odpowiedzialny, powinieneś poświęcać mu uwagę, kochać je i wspierać. Jeśli chodzi o jego matkę, to jeśli jej nie kochasz, wystarczy samo wsparcie.

– Pójdę już – rzucił Olgierd i ruszył w kierunku furtki.

– Nie ma sensu, byś wiązał się z kimś tylko dlatego, że czujesz się winien. Niczego dobrego to nie przyniesie ani tobie, ani dziecku, ani Sylwii.

Leokadia nie wiedziała, czy usłyszał, miała nadzieję, że tak. Chciała, by przemyślał swoje zachowanie, zanim zrobi coś głupiego i nieodwracalnego zarazem.

Weszła do kuchni i wstawiła wodę. Ciekawe, jak długo potrwa to spotkanie Marty. O ile w ciągu

dnia jej nieobecność nie przeszkadzała starszej pani, o tyle wieczorem lubiła mieć dziewczynę blisko.

Gdy odezwał się dzwonek do drzwi, w pierwszej chwili była przekonana, że zobaczy na progu swoją pomocnicę, która z pośpiechu zapomniała kluczy i teraz przeprosza promiennym uśmiechem.

– Dobry wieczór! – W drzwiach stał młody Krupski. – Mogę wejść?

– Pięćdziesiąt lat temu uszczęśliwiłbyś mnie tym pytaniem. Dziś mogę powiedzieć, że pomyliłeś domy.

– Gdybym miał być kobietą, chciałbym być taki jak pani.

– Fatalny wybór. Wejdz, skoro już przyszedłeś. – Wpuszczając Mateusza do środka, pomyślała, jak bardzo go lubi. – Zwykle to Marta robi wieczorem herbatę, ale dziś wyszła. Możesz ją zastąpić?

Bez słowa podszedł do kuchenki, wyłączył czajnik, który jak wściekły wyrzucał z siebie kłęby pary, otworzył szafkę nad zlewem w poszukiwaniu kubków i zajrzał do stojącej na blacie puszkę, przekonany, że znajdzie tam herbatę. Rozczarowany spojrzął pytająco na Leokadię. Wskazała mu dolną szafkę. Chwilę później kuchnię wypełnił aromat earl greya.

– Gdzie moja siostra? – zapytał Mateusz, stawiając herbatę na stole.

– Umówiła się z Michałem.

– Powinienem się cieszyć?

– To nic nieznaczące spotkanie. Moim zdaniem chce wzbudzić zazdrość w Olgierdzie, a Brzozowski akurat był pod ręką. Jest na tyle głupi, by nie zauważyć, jak jest wykorzystywany. Wydaje mi się – dodała po chwili zastanowienia – że właśnie na tym polega jego problem. Kobiety nim manipulują, a on tego nie widzi i dlatego popada w kłopoty.

– Marta nie wydaje mi się kobietą o makiawelicznym charakterze.

– To znaczy, że słabo ją znasz.

Mateusz objął kubek. Miał dłonie, które sprawiały wrażenie silnych i delikatnych zarazem. Leokadia pomyślała, że jej mąż miał podobne. Uwielbiała na nie patrzeć, zwłaszcza gdy Konrad siadał na parapecie, by wypalić papierosa, błędząc myślami nie wiadomo gdzie, a palce, jakby uwolnione spod władzy świadomości, odgrywały własne przedstawienie.

– Tu, w Rubiniu, herbata smakuje zupełnie inaczej. To mówi pani – zmienił temat – że w Marolu znów kłopoty?

– Marolu? – Leokadia nie rozumiała.

– Marol, skrót od Marta i Olgierd. Mówiliśmy tak na nich wieki temu, kiedy byli nierozłączni. Taka szczeniacka moda, żeby nadawać parze jakieś wspólne imię.

– To wy bylibyście Agamat.

– Za milion lat, w świecie, którego nigdy nie będzie, można by tak nas nazywać.

Ileż zabrzmiało w tych słowach smutku! Biedny chłopczyzna, aż żal na niego patrzeć.

– Od ciebie zależy, czy to będzie za milion lat czy teraz. Jesteśmy panami własnego życia.

Spojrzenie Mateusza przepełnione było gorzką ironią.

– Gdybym był panem swojego życia, tobym się w niej nie zakochał.

– Dlatego powiedziałam „życia”, nie „serca”. Widzisz, teraz, kiedy relacje między Agatą i Michałem są napięte, jest właściwy moment, by wszystko poskładać, jak należy. Oni się pokłócili z powodu Sylwii. To cwana jaszczurka, chciała sobie przygruchać swojego byłego. Trudno się temu dziwić, w jej sytuacji...

Pytająco uniósł brwi, więc Leokadia pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Jest w ciąży. Podobno to dziecko Olgierda.

– O to poszło w lecie! Dziwna ta moja siostra, skoro chce go z powrotem.

– Mnie to cieszy. Ona powinna być z Olgierdem, ty z Agatą, a Michał z Sylwią. To układ idealny.

Mateusz nie skomentował. Podniósł się, wstawił kubki do zlewu, a po chwili wahania zaczął je myć. Jakby chciał szumem wody odgrodzić się od słów Leokadii. Rozumiała go i siedziała w milczeniu. Nie ukrywała sama przed sobą, że oczekiwała podziękowania, kilku ciepłych słów w rodzaju: „Sprytnie to pani wymyśliła”.

– Pójdę już – usłyszała zamiast tego. Wyszedł, nim zdążyła go zatrzymać.

Zdaniem Konstantego jesień to najgorsza pora roku. Nie miałby nic przeciwko temu, by wykreślono ją z kalendarza. Jednego dnia byłoby upalne lato z nagrzanym słońcem tarasem, drugiego ciepłutki kaloryfer i ta fajna, miękka biel za oknem. Niestety, ktoś, kto nie lubi kotów, wymyślił okres przejściowy z zimnymi porankami i całą masą wilgoci.

A jakby mała jej było w powietrzu, pojawiała się ostatnio na twarzy współlokatora. Każdego dnia woda płynęła mu z oczu. A to oznaczało ckliwe historie, których Konstanty musiał wysłuchiwać. Seweryn dużo mówił o tym, że matka utrudniała mu związki z kobietami. No i po co się teraz mazać, trzeba było jej nie słuchać. Konstanty taką miał w życiu zasadę, że nikogo nie słuchał, i świetnie mu się układało. Wiadomo jednak, że co innego on, kot, a co innego durny współlokator.

Dziś też padło dużo skarg na los zły i niesprawiedliwy i dużo było patrzenia w okna domu po przeciwnej stronie ulicy.

– Ten Janusz to jednak podły gnój jest. Pije z człowiekiem jak przyjaciel, a tylko czeka, żeby wbić nóż w plecy. „Poukładajmy sobie sprawy z kobietami, żeby jeden drugiemu w drogę nie wchodził, ciągnijmy zapałki”, tak mówił. Myślałem wtedy, że tak będzie, a prawda jest taka, że dałem się oszukać. Janusz sprytnie to wykombinował. Wiedział przecież, że Tadeusz jest zainteresowany Janiną równie mocno, co zimą w Gwatemali. W ten sposób sprytny pan Krupski otworzył sobie furtkę do ogródka żony, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał. Siedzą sobie teraz w kuchni, herbatkę piją, Janina się pewnie śmieje. Ładny jest ten jej śmiech, taki dziewczęcy. Janina w ogóle jest bardzo ładna, a ja... ja bardzo za nią tęsknię. Chociaż powiedziałem, że to koniec, to wcale nie chcę, żeby tak było. Kocham ją.

Konstanty ziewnął. Ckliwe sentymentalizmy. Czy nie lepiej, zamiast gapić się w okno i marudzić, pójść tam i dać rywalowi po mordzie?

– Wiesz, co ci powiem, kocie? Nie będę tak stał i patrzył. Idę, dam mu w mordę.

To się Konstantemu spodobało. Podobno w każdym z kocich żywotów jest jedna rzecz, którą warto zobaczyć. To było właśnie to. Kot wymknął się za współlokatorem.

Wpadł na nią, gdy tylko zamknął furtkę od ogrodu Leokadii. Jakby dziewczyna na niego czekała, chociaż równie dobrze mógł to być przypadek.

– Cześć, Julka. Fajna fryzura.

Odpowiedziała „Dziękuję” i stała niewzruszenie, jakby oczekując od niego jakiegoś znaku.

– Mama mówiła, co dla niej zrobiłaś, to było miłe. Wpadniesz do niej jutro? Ucieszy się.

– Zabrała mnie do fryzjera.

– Przejdziemy się?

I ruszył powoli w górę ulicy, ku skrzyżowaniu z Wałbrzyską, tak odruchowo, bo nie chciał

spacerować po Różanej. Po chwili wahania Julka ruszyła za nim. W wieczornym mroku drogę przeciął im Seweryn Starski, tak czymś zaaferowany, że nie odpowiedział na uprzejme: „Dobry wieczór”.

– Dlaczego przyjechałeś? – odważyła się zapytać Julka.

– Przecież wiesz. Moja mama jest chora.

– Martwię się o nią.

– Niepotrzebnie. To twarda sztuka. Wyjdzie z tego. – Tak naprawdę sam też się martwił. Matka kochała go bezwarunkowo, a myśl, że ta dająca życiową siłę miłość odeszłaby wraz z nią, była zasmucająca. – A poza tym, że martwisz się o moją mamę, to co robisz? – W ostatniej chwili ugryzł się w język, by nie zapytać: „Co w szkole?”.

– Nic ciekawego.

Tu rozmowa się urwała. W milczeniu szli podmiejską ulicą. Bursztynowe światło latarni wisiało tuż nad ich głowami. W oddali czekały psy. Czasem minął ich samochód, raz rowerzysta, żadnego pieszego nie spotkali.

Mateusz kilka razy ukradkowo spojrzął na dziewczynę. Wciąż miała w sobie tyle z dziecka, choć stała na progu dorosłości. Prawdopodobnie był jej pierwszą miłością, wyśnionym królewiczem na białym koniu. Trudne zadanie, a on mu nie sprostał. Tłumaczenie, że nie wiedział, nie usprawiedliwiało sukinyństwa. Nie mógł powiedzieć: „Przepraszam, że zламаłem ci serce”, choć to byłoby miłe. Sam chętnie usłyszałby takie słowa. Nagle Julka stała mu się niewiarygodnie bliska, siostra w cierpieniu.

– Wiesz, gdybyś była starsza...

– Jestem już prawie dorosła.

– Nie mówię o pełnoletności. Chodzi mi o ten rodzaj dorosłości, który uczyni z ciebie dojrzałą kobietę. Taką pewną siebie, mądrą, niezależną. Nie chcę, żebyś rosła w moim cieniu.

– Przecież mógłbyś na mnie poczekać.

– Nie mógłbym.

Przystanęła. Znajdowali się już spory kawałek od Różanej, w miejscu, gdzie droga na rynek krzyżowała się z ulicą prowadzącą do miejskiego parku. Było tu dużo jaśniej niż na Wałbrzyskiej, bo z okien domów sączyło się dodatkowe światło. Julka przyglądała się badawczo Mateuszowi, a on wiedział, że nie ujdzie jej uwagi najlżejsze drgnienie powieki.

– Kochasz Agatę?

– Nie. – Kłamstwo przyszło mu tak łatwo, jak wbicie noża w miękkie masło. – Co też ci przyszło do głowy?

– Widziałam was razem.

– Agata prosiła, żebym pomógł jej w jednej policyjnej sprawie.

– Jakiej? – W oczach Julki rozblęły iskielki ciekawości.

W pierwszej chwili chciał ją zbyć, na szczęście uświadomił sobie, jak to zostanie zinterpretowane. Jedno kłamstwo podważy wiarygodność wszystkiego, co do tej pory powiedział.

– Po ulicy krąży plotka, że mąż Leokadii umarł w niewyjaśnionych okolicznościach. My wszyscy z Różanej traktujemy to jak tutejszą legendę. Ale Agata nie jest stąd i ta historia ją zaciekaowała. Chciała dotrzeć do akt tamtej sprawy. Poprosiła mojego ojca, ale on miał inne zajęcia.

Czasem kula o włos omija serce, czasem trafia w sam środek. Zawsze jednak los daje nam szansę jej uniknięcia, pomyślał Mateusz.

– No i jak było naprawdę?

– Nic niezwykłego. Budował dom. Pracował na pięttrze, schodząc, spadł z drabiny.

– A co na to Agata?

– Powiedziała „dziękuję” i poszła do domu. Nie dzieliła się ze mną refleksjami, więc nie wiem, czy ją to usatysfakcjonowało. Zawsze możesz zapytać.

Julka wzdrygnęła się na tę propozycję.

– Raczej nie. Nie lubimy się.

– To naturalne. Nie słyszałem jeszcze bajki, w której pasierbica i macocha by się lubiły. Wydaje mi się nawet, choć mogę się mylić, nie jestem specjalistą od bajek, że macocha zawsze musi być zła. – Zdziwił go ów potok własnych słów. Może chciał ukryć zmieszanie, a może przyjemnie było mówić o Agacie w jakikolwiek sposób.

– To życie, nie bajka.

– Zasmuca mnie twoja postawa. Chcesz iść na rynek?

Chciała, więc zaproponował, by ścigali się do fontanny, i nie czekając na odpowiedź, rzucił się biegiem przed siebie. Ciszę wieczoru wypełnił ciężki łomot jego butów. Julka znów potrzebowała chwili, by dołączyć. Biegając, ciężko sapała. Zwolnił i dał jej wygrać.

– Mama nie będzie miała nic przeciwko temu, że włóczysz się po nocy?

Z miny dziewczyny poznał, że Sylwia albo czepia się o wszystko, albo nie czepia się wcale.

– Problemy komunikacyjne, co? – spytał, a Julka skinęła głową. – Chcesz o tym pogadać?

– Nie ma o czym. Zrzucam to na hormony. Ja dojrzewam, ona jest w ciąży.

– Słyszałem.

– Z Olgierdem.

– To też słyszałem. W sumie to fajna sytuacja. Mąż mojej siostry będzie ojcem twojego brata albo siostry. Staniemy się rodziną. Jeśli chcesz, mogę być twoim starszym bratem.

Nie chciała. Pragnęła czegoś innego, a skoro nie mogła tego dostać, wzgardziła substytutem. Mateusz w pełni ją rozumiał. Też nie chciałby usłyszeć od Agaty: „Zostańmy przyjaciółmi, dobrze?”.

Siedzieli w ciszy, w samym sercu zasypiającego miasta. Jesienny wieczór stał się nocą, zimną nocą.

– Wracamy, nim zamarznie. – Zdjął kurtkę i położył ją na szczupłych ramionach Julki. – Ciężka trochę, co?

– Fajna. – Pogładziła czarną skórę.

– Też ją lubię. I ciebie lubię. Tylko nie w taki sposób, jak byś sobie życzyła. – Nie odpowiedziała. Szli wolno, Mateusz w myśli liczył okna, w których zgasło światło. – Znajdziesz sobie fajnego chłopaka w swoim wieku. Później następnego. Nie trwaj nigdy na siłę w nieudanym związku. Jeśli facet okaże się palantem, to natychmiast uciekaj, okej?

– Wszyscy moi rówieśnicy są palantami, więc nie mam najmniejszego zamiaru wiązać się z żadnym.

– Ani jeden nie jest fajny?

– Ani jeden.

– W takim razie wybacz staremu ramolowi durną poradę. Skup się na nauce, mądre dziewczyny mają lepiej w życiu.

Skinęła głową. Stali teraz naprzeciwko domu Brzozowskich. Mateusz widział, jak bardzo Julka nie chce się z nim rozstać.

– Możesz ją zatrzymać. Kurtkę możesz zatrzymać. – Zaprzeczyła ruchem głowy, ale widać było, że się waha. – Fajnie w niej wyglądasz. Jeszcze te włosy. Taka młoda buntowniczką. – Położył ręce na jej ramionach i popatrzył w oczy. – Uważam, że jesteś śliczną dziewczyną. Gdybyśmy byli w jednym wieku, uganiałbym się za tobą jak szalony. Ale jesteś ode mnie dziesięć lat młodsza, a to stanowi przeszkodę.

– Nie dla mnie.

– Dla ciebie nie, dla mnie tak. Może spotkamy się znowu, za dziesięć lat, i wtedy pomyślisz, że jestem starym ramolem.

– Wcale nie.

– Jeśli wcale nie, to zaproszę cię na randkę.

– Może się zdarzyć, że będę wtedy mężatką. – W jej głosie słyhać było pewną zadziorność.

– W takiej sytuacji będę musiał poprosić twojego męża o zgodę. Powiem, że obiecałaś mi to wiele lat wcześniej, w pewną jesienną noc, gdy rozmawialiśmy o życiu i miłości. A teraz już idź, twoja mama wystarczająco mocno mnie nienawidzi i ma rację.

Odeszła niechętnie. Przystanęła na ganku, obejrzała się jeszcze. Mateusz wiedział, że przez kilka dni będzie cierpiała i długo nie rozstanie się z jego kurtką, a każde słowo, które padło dzisiejszej nocy, odbije się w jej głowie tysięcznym echem. Miał jednak nadzieję, że dziewczyna zachowa go w pamięci jako miłe wspomnienie pierwszego porywu serca, a nie dupka, który tylko ją zranił.

Stał przed domem Julki jeszcze długo potem, jak zgasły wszystkie światła. Z zamyślenia wyrwał go pies, łaszący mu się do nóg.

– Freddy, gdzie jesteś? – zawołała Agata.



Rozdział szósty

Róża White Lycorice

Róża White Lycorice jest krzakiem o pokroju wyprostowanym i dobrze się krzewiącym. Liście mają piękny ciemnozielony kolor i stanowią kontrastowe tło dla jasnych płatków. Kwiaty mają kolor jasnożółty z tendencją do przechodzenia z czasem w biały. Nie są duże, mają do dziesięciu centymetrów średnicy i składają się z ponad pięćdziesięciu płatków. Forma kwiatu jest klasyczna. Róża ta charakteryzuje się ponadczasową elegancją, jest też odporna na mróz i choroby. Zachwyca nie tylko wyglądem, ale również wyjątkowym zapachem lukrecji, który wypełnia cały ogród.

Pięć minut stanowiło różnicę. A wszystko, jak zwykle, przez Janusza. Gdyby pozmywał po śniadaniu, Tadeusz nie musiałby tego robić. Wyszedłby z domu odpowiednio wcześniej i nie natknąłby się na Teresę, która, wesola jak szczygiełek, wysiadała z samochodu. Za kierownicą siedział mężczyzna, którego Jezierski kojarzył z widzenia, a nie znał z nazwiska.

Dlaczego o ósmej rano kobieta wysiada z samochodu mężczyzny? Odpowiedzi może być wiele, ale prawidłowa jest tylko jedna.

– Suka – warknął pod nosem Jezierski.

W głowie mu się nie mieściło, że ta sama Teresa, która wzgardziła jego uczuciem, szczerym i czystym, teraz szlaja się z jakimś łajzą.

Samochód odjechał, ale Teresa wciąż stała na ulicy. Oceniała, jak z tej perspektywy wygląda ogród. Impuls, który należało pohamować, pchnął Tadeusza w jej stronę.

– Dzień dobry! – Powitanie nigdy jeszcze nie zawierało tak wielu złych życzeń.

– Witaj. Piękny dzień się zapowiada, prawda?

W pogodzie prawdopodobnie tak. Przed kilkoma dniami ciemne chmury zasnuły niebo. Zrobiło się chłodno, szaro, a siąpiący bez przerwy deszcz zniechęcał do wychodzenia z domu. Tej nocy jednak wiatr przegonił chmury i rano powitał świat czystym, błękitnym niebem. Słońce, choć wciąż jeszcze blade, zapowiadało, że wysuszy świat, by ludzie mogli się cieszyć tymi wszystkimi barwami, które przyniosła ze sobą jesień.

Prawdopodobnie nie będzie to piękny dzień w życiu Tadeusza. Jednak na tak postawione pytanie odparł, że owszem, co bardzo go cieszy, bo chciałby poświęcić popołudnie na pracę w ogrodzie.

– My z Agatą nie mamy wiele pracy. Po pierwszych przymrozkach sprzątniemy rośliny i tyle. Ten rok nie był zbyt szczęśliwy dla mojego ogrodu.

– Uważam, że nieźle sobie poradziłaś. Trudno uwierzyć, że trzy miesiące temu stała tu woda.

– Musiałam się nauczyć dobrze sobie radzić.

– Wiem, widziałem.

Teresa spąsowiała.

– To nie twoja sprawa. – I gwałtownie pchnęła furtkę.

– Przepraszam. Nie miałem na myśli twojego przyjaciela. Chodziło mi o to, że dobrze sobie radziłaś, jak nie było Zbyszka.

Odwróciła się i popatrzyła na Tadeusza wzrokiem pełnym nienawiści.

– Musiałam sobie radzić, kiedy mój mąż przez swoją głupotę trafił do więzienia, a jego przyjaciel postanowił to wykorzystać dla własnych celów. Ktoś, kto ma krew Zbyszka na rękach, nie powinien oceniać tego, jak się prowadzę. – Odwróciła się i prawie pobiegła do domu.

Jeziński został sam ze swoją złością. Uderzenie pięścią w ogrodzenie okazało się złym pomysłem, bo strat materialnych nie spowodował, tylko zdarł sobie skórę z kłykci. Rozmasowując obolałą dłoń, złorzeczył Teresie i jej przydupasowi, który zostanie obity, gdy tylko on, Tadeusz, się dowie, kim tamten jest. Obmyślanie zemsty przyniosło mu ulgę, ale tylko na chwilę. Gdy mijał dom synowej, z garażu wyjeżdżał samochód nienależący do Karoliny. Co jest z tymi babami? Wstydu nie mają? Pewnie nie. Po Karolinie to można się nawet było spodziewać czegoś takiego. Tadeusz nigdy nie lubił tego dziewczyska. Zawróciła Konradowi w głowie tak, że żadne rozsądne argumenty do niego nie przemawiały. Nic dziwnego, że w końcu od niej uciekł. Była okropna i nieposłuszna, przecież Tadeusz wyraźnie zabronił jej spotykać się z gachem. A może to i dobrze. Cudzołóstwo źle wygląda w życiu, a jeszcze gorzej w sądzie.

No ale szlajająca się po nocach Teresa, tego się nie spodziewał. Tyle lat hołubił ją w swoim sercu. Tyle czasu poświęcił myśleniu o niej. Gdy tymczasem...

– Suka! – powtórzył. – Zapłacisz mi za to. Ty i ten twój amant!

– Czy nareszcie powiesz, o co ci chodzi, czy będziesz tak na mnie warczał przez kolejny tydzień? – zapytał Michał.

– Czepiasz się. – Olgierd nawet nie oderwał wzroku od monitora.

Siedzieli w biurze, jak co rano od ponad tygodnia, i pracowali nad zleceniem, które miało przesądzić o losie ich firmy.

– Uważasz, że się czepiam? I może tylko mi się wydaje, że warczysz, zamiast ze mną rozmawiać? – Pytania skierowane były do pleców współnika.

– Bo tak jest – warknął Olgierd.

Michał kaszlnął, jakby usiłował się pozbyć irytacji zalegającej w jego drogach oddechowych.

– Słuchaj, stary, to duży projekt, duża kasa. Może wiele zmienić w naszym życiu zawodowym, może nie będziemy już lokalną firmą informatyczną, tylko czymś więcej, czymś na większą skalę. To wymaga zaangażowania i współpracy. No a ty nie współpracujesz. Więc może przemysł swoje zachowanie i jeśli nie chcesz tu być, droga wolna. Oczywiście nie dam sobie rady sam, będę musiał kogoś znaleźć, ale też wolę wiedzieć wcześniej.

Olgierd gwałtownie obrócił się w fotelu, kółka pisnęły na podłodze, jakby zadano im fizyczny ból.

– O co ci chodzi?

– Nie, nie, mój drogi! To ty coś do mnie masz. Może to w końcu z siebie wyrzucisz i zajmiemy się naprawdę istotnymi sprawami.

W tym, jak patrzyli sobie w oczy, było coś rodem z westernów – owo napięcie, niepokój, próba przewidzenia ruchu przeciwnika; oczekiwanie, który pierwszy sięgnie po rewolwer. Michał był przekonany, że granica cienka jak włos dzieli ich od tego, by zaczęli się okładać pięściami.

– Widujesz się z Martą, a to mi się nie podoba – wycedził Olgierd.

Brzozowski poczuł się jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Nie będzie mordobicia,

a powód wściekłości Olgierda jest błahy i absurdalny.

– Pomagam jej ze stroną internetową, nie ma w tym nic złego.

– A możesz jej nie pomagać?

– Poprosiła mnie...

– A ja cię proszę, żebyś tego nie robił. Nie spotykaj się z nią więcej.

Ależ ja powoli kojarzę, w myśli wyrzucał sobie Michał. On jest zazdrosny!

– Marta przyszła do mnie jako klientka i tak ją traktuję. Nic osobistego. Jeśli ci to przeszkadza, nie ma sprawy, zadzwonię i powiem, żeby znalazła sobie kogoś innego. Tylko... – Michał się zawahał, ale chęć, by dobrze doradzić, była silniejsza. – To twoja była żona, rozeszliście się. Ty układasz sobie życie z kimś innym, ona też pewnie niedługo kogoś sobie znajdzie. Lepiej odpuść. Skup się na tym, co ważne, na pracy, dziecku, które ci się niedługo urodzi. Tak na marginesie, matką twojego dziecka będzie moja była i ja z tego powodu jakoś scen nie robię.

Spojrzenie Olgierda uświadomiło Brzozowskiemu, że dobre rady powinien zachować dla siebie.

– Jak sobie chcesz. Zadzwonię do Marty wieczorem i powiem, że mam dużo innej roboty, więc nie będę jej już pomagał. Czy to cię satysfakcjonuje?

– W pełni.

– Super. W takim razie bierzmy się do pracy, termin goni.

Michał odwrócił się w stronę swojego monitora, zadowolony, że w końcu udało mu się oczyścić atmosferę.

A swoją drogą idiota z tego Olgierda. Dobry specjalista, ale idiota. Nie wie, że w życiu trzeba dokonywać wyborów. Nie można stać jedną nogą tu, drugą tam, bo jak się grunt pod nogami ruszy, upadek gwarantowany. Na ziemi trzeba stać pewnie obiema nogami, to zapewnia stabilność. I szczęście. Odpowiedź na pytanie, dlaczego Olgierdowi się nie układa, jest więc prosta. I gdyby tylko spróbował nad tym pomyśleć, doszedłby do tych samych wniosków, co Michał. Owszem, trudno wyrzucić byłą z głowy i serca, bo to przecież część naszej przeszłości, a tym samym nas, ale trzeba tak zrobić. Michał odciął się od Sylwii, co zagwarantowało mu udany związek z Agatą. Owszem, trochę im się ostatnio skomplikowało, ale dojdą z tym wszystkim do ładu, głównie dlatego, że w przeciwieństwie do Olgierda, on, Michał, nie miota się między dwiema kobietami. Kocha Agatę i będzie o nią walczył.

A Olgierd, jeśli ma choć trochę oleju w głowie, powinien walczyć o Sylwię.

Choć nic nie zapowiadało przymrozków, Leokadia uparła się, że to właściwy dzień, by przenieść pelargonie do garażu. Oświetlały go podłużne okna, umieszczone tuż pod sufitem, poniżej których zamontowano szerokie półki. To właśnie tam należało poustawiać doniczki, by rośliny miały dużo światła.

– Nie wolno ich ruszać, a podlewa się słabo, aż do marca, wtedy je przesadzimy. Oczywiście jeśli dożyją, bo jak nie, los tych roślin będzie mi obojętny.

– Czemu mówisz takie rzeczy? – spytała Marta. – Jeżeli gorzej się czujesz, powinniśmy pójść do lekarza.

– Nie słyszałam jeszcze o lekarzu, który by uleczył chorego ze starości. Przesuń te doniczki bliżej okna.

To nie było łatwe. Leokadia zdawała się nie pamiętać, że jej pomocnica niedawno leżała w gipsie i dziś dla Marty wspinięcie się na palce było jak sztuka chodzenia na szrudłach. W końcu jednak

udało jej się właściwie ustawić doniczki.

– Skończone – sapnęła.

Usatysfakcjonowana Leokadia skinęła głową i natychmiast straciła zainteresowanie kwiatami. Teraz jej uwagę przykuły plony, zebrane w garażu.

Pod ścianą stał kupiony od chłopca worek kartofli. Marta pamiętała, jak wiosną wsadzała spore ziemniaki do dołków w ziemi. Była to wczesna odmiana, dzięki której już na początku lata mogły się cieszyć młodymi ziemniakami z masłem i koperkiem. Jednak zebrany plon nie wystarczyłby na całą zimę, dlatego Leokadia postanowiła uzupełnić zapasy. Długo chodziła po targu, z miną eksperta od pyrologii zaglądając do worków. W końcu się zdecydowała i sympatyczny wąsaty sprzedawca dostarczył im worek wprost do domu.

I tylko kartofle musiały kupić, wszystko inne stanowiło efekt ciężkiej pracy ich obu. W zasadzie ciężkiej pracy Marty, bo to ona siała i wrywała chwasty. A później zbierała plony. Dzięki niej złote kule cebuli wypełniały dwie drewniane skrzynki, a po ścianie, podobne egzotycznym węzom, widać było trzy warkocze czosnku. To Marta napełniła skrzynki marchewkami, pietruszkami i selerami, to ona podwiązywała pomidory, by ciężkie owoce nie połamały delikatnych gałązek. Ona zebrała koper, który został ususzony na słońcu, a potem starannie zamknięty w słoikach. Nawet do owoców, zamienionych w dżemy, powidła i soki, przyłożyła rękę.

Tylko dyni nie pozanosila do garażu. Nie dała rady, były zbyt ciężkie.

– Może upiekłabym ciasto dyniowe? – zaproponowała teraz.

Leokadia z entuzjazmem przyjęła jej pomysł.

Marta przez chwilę przyglądała się warzywom, które zajmowały cały blat drewnianego stołu, wspartego na koziołkach. Nie myślała nigdy, że można tak polubić któreś z nich nie dlatego, że jest smaczne, tylko dlatego, że jest tak łatwe i wdzięczne w uprawie. A przy tym tak ślicznie wygląda.

Leokadia, nie mniejsza amatorka dyni, opowiedziała Marcie, że warzywo to, choć spokrewnione z pochodzącymi z Indii melonem i ogórkiem, trafiło do Europy dzięki Kolumbowi. Pół wieku po jego wyprawie przywieziono dynie do Europy, jednak nie zrobiły na kontynencie takiej kariery, jak ziemniaki czy pomidory. A przecież w Ameryce Południowej były jedną z najstarszych roślin uprawianych w ogrodach i stanowiły, wraz z kukurydzą, podstawę wyżywienia Inków.

Dynię jedli przybyli do Massachusetts Ojcowie Pielgrzymi w czasie pierwszego Święta Dziękczynienia, bo właśnie dzięki niej udało im się przetrwać pierwszy rok na nowej ziemi.

Marta, która wcześniej kojarzyła dynię z pomarańczową ozdobą na amerykańskie Halloween, dowiedziała się, że istnieją odmiany zielone, żółte i pasiaste, a nazwy niektórych odmian, Uchiki, Butter-cup, Early Butternut, brzmią zabawnie.

– Wszystko obrodziło tego lata, prawda? – Leokadia również przyglądała się skrzynkom, beczkom i słojom. – Bardzo udane lato.

Marta pomyślała, że jednak nie. Nie udało jej się zrealizować planu, który obmyśliła wczesną wiosną, niedługo po tym, jak wróciła na Różaną. Jak to miało być? Najpierw małe wakacje od życia, by sobie wszystko poukładać i uporządkować. Potem, silniejsza i mądrzejsza, miała ruszyć do przodu w nowe życie. Już od początku nie trzymała się tego planu tak ściśle, jak powinna. Najpierw pozwoliła, by matka zaczęła się wtrącać. Zgoda na pracę w szkole była jak rzucenie ziarna w żyzną glebę – puszczenie korzeni murowane. Jakby tego było mało, aerobik w domu kultury!

A romans z Tomkiem, czy z tego wszystkiego nie był największą głupotą? Pchanie się w związek, gdy dopiero uciekło się z innego, zamiana jednego Casanovy na drugiego, to wszystko sprawiło, że

Marta nie najlepiej o sobie myślała. Czuła, że gdyby trzymała się pierwotnego planu, pobyła w domu miesiąc czy dwa, odpoczęła, a potem wróciła do Wrocławia, ten cały węzeł by się nie zaplątał. To wszystko jej, Marty, wina.

Olgierd, którego kochała dziś bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, tkwił przy Sylwii, jakby stał się jej rycerzem. Co mu strzeliło do głowy – nie wiadomo, przecież przekonywał Martę, że to nie on odmienił stan pierwszej pani Brzozowskiej. Tomek, który był najbardziej podejrzany w sprawie o ojcostwo, prawie zamieszkał u Karoliny, zajmując jeszcze ciepłe miejsce Konrada. Ten ostatni zaś ukrył się przed światem u Mateusza, świadom, że kochający go nade wszystko przyjaciel nie pozwoli, by Kidzejowi stała się krzywda. A wszystko to dlatego, że Marta nie potrafiła być konsekwentna. To lato nie powinno było się zdarzyć.

Wyobraziła sobie Olgierda, spacerującego po Różanej z wózkiem. I spodziewającą się trzeciego dziecka, samotną Karolinę, którą Konrad zostawił, Tomek zaś, bojąc się ciężaru zobowiązań, dał nogę gdzieś, gdzie alimenty nie będą problemem. A ona, Marta, będzie pielęgnowała ogródek Leokadii, patrząc na to wszystko z poczuciem winy.

Powinna była trzymać się planu. Jeśli nie pierwszego, to przynajmniej tego drugiego, który zakładał odpuszczenie Olgierdowi wszystkich win. Tyle razy kłamał, a ona mu wierzyła, dlaczego więc teraz nie mogła uwierzyć, gdy dla odmiany mówił prawdę? A nawet jeśli to jego dziecko, czy to naprawdę taki problem? Dzieciak bywałby u nich w co drugi weekend i tyle. Jedyna mądrość, jaką wyciągnęła z tej sytuacji Marta, brzmiała: działaj, dopiero gdy emocje opadną. Bo teraz było jej absolutnie obojętne, czy Olek jest ojcem czy nie.

Był też trzeci plan, który zakładał odzyskanie Olgierda. Problem polegał na tym, iż nie zadziałał. Spotkała się z Michałem tyle razy, że aż zabrakło jej pretekstów, a ukochanemu nawet powieka nie drgnęła.

Gdyby Leokadia nie chorowała, Marta wróciłaby do pierwszego planu; uznałaby, że były to najgorsze wakacje w życiu, spakowałaby walizkę i wyjechała. Tylko że czuła się odpowiedzialna za babkę byłego męża. No i mamy nie mogła zostawić. Może nie dogadują się zbyt dobrze, ale to przecież mama. Żadna kobieta na świecie nie będzie kochała Marty tak mocno, nie będzie się tak bardzo o nią troszczyła, jak matka, więc trzeba o nią zadbać. A że przy okazji będzie się cierpieć, to nic. To nic.

– Życie jest niesprawiedliwe.

– Mnie to mówisz? – zapytała z gorzkim uśmiechem Leokadia.

Kiedy jesteś ponadpięćdziesięcioletnią kobietą, kiedy zmarszczki na twojej twarzy przestają być tylko mimiczne, kiedy zaczynasz zapominać, czym różni się menstruacja od owulacji, i na dodatek nie masz piersi, bo znalazłaś w niej guzek, więc wycięli ci go z przyległościami, wtedy spełnienie marzenia z młodości cieszy, jak nigdy nic nie cieszyło wcześniej.

I właśnie dlatego Janina, która wypoczywała na tarasie, ciesząc się jesiennym ogrodem, raz po raz wracała myślami do tego wieczoru, gdy Janusz siedział w jej kuchni i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów rozmawiali jak przyjaciele. Więcej nawet, rozmawiali jak małżonkowie, którzy się lubią i szanują.

Janusz, choć wiele można by mu zarzucić, był dobrym człowiekiem. Zawsze troszczył się o żonę i dzieci. Robił wszystko, by jego praca nie rzutowała na ich życie rodzinne. Nie udawało mu się, ale starania rekompensowały wszystko. Zresztą, czy jest możliwe, by skutecznie oddzielić życie rodzinne

od zawodowego? Janinie też się to nie udało, a ilekroć łapała się na tym, że mówi do własnych dzieci jak do uczniów w klasie, ogarniało ją zażenowanie. Nic więc dziwnego, że Janusz czasem rozmawiał z nią, jakby prowadził przesłuchanie.

Zresztą to wszystko nieważne. Na początku było dobrze, potem różnie, na koniec źle. Teraz jest tak, jak powinno być między dwojgiem ludzi, którzy znają się od trzydziestu lat i już wybaczyli sobie wszystkie winy. Taka dobra relacja emocjonalnie, dojrzała i bez podtekstów. Choć mało brakowało... Zachichotała jak nastolatka. Naprawdę była gotowa na seks z Januszem. Nie dlatego, że go kochała, i nie dlatego, że jest jego żoną. Chciała kochać się z nim we własnej kuchni, tak jak obca kobieta kocha się z nieznanym mężczyzną – czysty seks, bez emocjonalnych dodatków. Chciała się sprawdzić, tylko tyle. A Janusz ją do tego zachęcał. Odsunął się od stołu, by mogła usiąść mu na kolanach. Podchodząc, wyobrażała sobie, że są w tanim barze, że powiedziała mu właśnie, że ma raka, a on na to, że też jest tu przejazdem. Zaczęli się całować. Janina zdrętwiała, gdy położył jej ręce na piersiach, ale na Januszu wydawało się to nie robić wrażenia. To znaczy zrobiło wrażenie takie, jak powinno, więc wszystko było w porządku.

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Zostań tu, spławię tego kogoś – powiedział Janusz, pośpiesznie dosuwając zamek przy spodniach.

Janina stała na środku kuchni, starając się nie myśleć o tym, co było przed chwilą, by nie włączył jej się cenzor, który zabroniłby tej głupiej zabawy. Nagle zdała sobie sprawę, że odgłosy dochodzące z przedpokoju nie brzmią jak uprzejme spławianie natręta. Raczej jak...

Bójka! W przedpokoju Janusz i Seweryn splekli się w uścisku, który na pewno miłosny nie był. Szarpali się, popychali i próbowali sobie wzajemnie dokopać. Janusz był mocniej zbudowany i silniejszy, ale Seweryn bardziej zajadły. Każdy jego ruch napędzała wściekłość.

W tamtej chwili Janina zrozumiała, co znaczy określenie: „stać jak słup soli”. Pomysły na to, co może zrobić lub powiedzieć, wydawały się idiotyczne. Przecież nie zapyta, co się dzieje, to widać. Nie rzuci się też między tych dwóch, bo to równie rozsądne, jak próba rozdzielenia gryzących się psów. Psie awantury najlepiej uspokoić wodą. Czy powinna chlusnąć wodą na walczących w przedpokoju mężczyzn? Wrócić do kuchni po kubek? Biec do łazienki po wiadro?

Seweryn położył kres jej rozmyślaniom. Wyplątał się z morderczego uścisku Janusza, odskoczył i wyprowadził piękny cios prosto w twarz przeciwnika. Uderzony kwiknął, zachwiał się i osunął po ścianie na podłogę. Seweryn rozmasował dłoń, wbił w Janinę mordercze spojrzenie, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

Janusz jęczał, a jego policzek puchł.

– Chodź do kuchni, przyłożę ci lód.

– Ależ mi przypierdzielił. A tak mikro wygląda!

– Pozory. Pokaż, nie trzeba szyć?

– Daj ten lód i jakiegoś kielicha. Do wesela się zagoi.

Janina postawiła na blacie kieliszek, a po chwili zastanowienia wyjęła drugi. Przypomniała sobie jednak, jak skończyła się przygoda z winem i kąpielą, i schowała kieliszek z powrotem. Czy w kieliszku wódki jest więcej alkoholu niż w butelce wina? Uznała jednak, że coś relaksującego dobrze jej zrobi. Nalała wódki dla nich obojga.

– O co poszło? – zapytała.

W tym, jak jej mąż wyciągnął rękę po kieliszek, było coś z gestu żebraka. Albo tak go bolało, albo ma problem. Jego twarz przypominała jabłko, które zamiast na miękkim trawniku spadło na kamienistą

alejkę. Zdecydowanie nie był alkoholikiem.

Wypili, on szybko, ona powoli, krztusząc się mocnym alkoholem.

– Jak to, o co poszło, wiesz przecież.

– No skąd.

Popatrzył na nią, jakby chciał sprawdzić, czy żartuje.

– Naprawdę, Janusz, nie mam pojęcia.

– O ciebie mu poszło. – Nadstawił kieliszek, żeby nalała kolejną porcję. – Jakby mnie tak cholernie morda nie bolała, tobym się z tego śmiał, bo to zabawne. No wyobraź sobie, co powiem jutro w pracy, jak mnie kumple zapytają, co się stało. Drobiazg, odpowiem, kochanek żony mnie sprął, bo jest zazdrosny.

– O mnie się biliście?

– Jeśli mam być szczery, ja tylko się broniłem. Ależ ma skurczybyk ciężką łapę. Muszę się położyć.

Janina rzuciła się, by przygotować mu wygodne miejsce na kanapie, lecz Janusz odmówił.

– Wrócę do domu. Tak będzie lepiej.

Tu jest twój dom, zamierzała powiedzieć, jednak na zamiarze się skończyło. Podziękowała mu za wszystko i poprosiła, żeby dał znać, jak się czuje. Sama wróciła do kuchni. Usiadła przy stole i nalała sobie pół kieliszka wódki. Cały – to mogło być za dużo, a tyle to w sam raz, by umocnić radość, która ją ogarnęła. Bili się o nią. Czyż to nie cudowne?

Kiedy była młodą dziewczyną, skrycie marzyła, że będzie tak, jak w tych powieściach Makuszyńskiego, które pisał dla nastoletnich pensjonarek; dwóch chłopców pobije się o nią, Janinę. Była bardzo ładną dziewczyną i wiedziała, że wzbudza zainteresowanie kolegów, jednak nie tak gwałtowne, by doprowadzić do jakichkolwiek rękoczynów.

I właśnie teraz, gdy myślała, że już wszystko za nią, owo dziewczęce marzenie się ziściło. Poczła ogromną satysfakcję i moc. Oto dwóch wcale nieobojętnych jej mężczyzn darzyło ją, Janinę, takim uczuciem, że gotowi byli się wzajemnie pozabijać. Słów brak, by wyrazić radość z takiej, bądźmy szczerzy, głupiej sprawy.

Teraz, wyciągnięta na rattanowym szezlongu, wspominała tamten wieczór, a uczucie ogromnej satysfakcji wypełniało ją po brzegi. Patrzyła na ogród, pełen przekwitniętych kwiatów i zrudziałych łodyg. A jednak nie było szaro ani smutno. Liście sumaka, rozżarzone czerwienią, wyglądały jak języki ognia. Krzak berberysu z wolna tracił bordowe liście i dzięki temu można było podziwiać jego owoce, podobne do kropel krwi, spływających po brązowych gałązkach. Irgi i pigwy przywdziały żółte korale. A bluszcze, ostrokrzewy i jałowce dbały, by w tym obrazie zdominowanym przez mnogość ciepłych barw nie zabrakło zieleni.

„Camus powiedział, że jesień to druga wiosna, gdzie każdy kwiat jest liściem”, usłyszała kiedyś od Mateusza, gdy narzekała, że wszystko przekwita. Wtedy te słowa zupełnie do niej nie trafiły. Teraz było inaczej. Sama stała się jesienią i zrozumiała, że należy dostrzegać we wszystkim piękno i cieszyć się nim, bo jest ulotne i przemijające. Cóż z tego, że nie kwitnie, skoro wciąż jest kobietą, skoro wciąż się nią czuje. I to najważniejsze. To, czy jesteśmy atrakcyjni czy nie, wcale nie zależy od naszego ciała, tylko sposobu, w jaki siebie postrzegamy.

Dzień zaczął się dla Marii nie najlepiej. Wychodziła właśnie do pracy, gdy zauważyła, że na Różanej parkuje samochód Teodora. Nie chciała się z nim spotkać, rozmawiać, tłumaczyć, że nie mogą być razem, bo... Musiałaby coś wymyślić, przecież nie mogła powiedzieć szczerze, że uważa

go za niedouczonego abdyrytę. Ona, wysublimowana poetka, i on, prostak z przerośniętym ego, byli jak mieszkańcy dwóch odmiennych światów. Brak szans na jakiegokolwiek porozumienie, o związku nie wspominając. Dlatego też Maria, chcąc uniknąć konfrontacji, gotowa była uciec, schować się w domu i udawać, że jej nie ma. Okazało się jednak, że wcale nie musi tego robić, a obecność Teodora nie jest związana z nią, Marią, tylko z jej sąsiadką. Teresa wyskoczyła z samochodu Marciniaka, jakby miała szesnaście lat, i posłała w powietrze tysiąc całusków.

Maria poczuła się zraniona. Nie, żeby jej zależało na tym mężczyźnie, ale taka niestałość była po prostu okropna. Jak można jednego dnia nazywać Marię swoją żoną, a drugiego odwozić do domu inną kobietę. Przed ósmą rano, więc wiadomo, co się działo. I to jeszcze kogo! Teresę! Przecież ona ma tyłek szeroki jak samochód dostawczy, a twarz też nieszczególną. No może jedynie biust ładny. Gdzież tam ładny, po prostu duży, a faceci lubią duże.

Głupio było tak stać na ulicy i gapić się na sąsiadkę, Maria wróciła więc na moment do domu, wmawiając sobie, że zapomniała chusteczek. A wiadomo przecież, co się dzieje po takim powrocie – pech.

Furtka zamknęła się za nią dokładnie w chwili, gdy Tadeusz i Teresa się rozstawali, oboje tak wzburzeni, że nawet nie zauważyli Marii. Być może innego dnia owo gwałtowne rozstanie tych dwojga by ją zaintrygowało, dziś jednak poświęciła mu tyle uwagi, co oni jej.

Przez to, że wracała do domu, oczywiście spóźniła się do szkoły. Planowała, że wykorzysta okienka, by spokojnie napić się kawy, ale dostała zastępstwo. Na koniec okazało się, że właśnie dziś musi wypełnić stos papierologii, bo już, natychmiast, bo przepisy i w razie kontroli... Czemu nikt nie zauważa, że jest pewna różnica między nauczycielem a urzędnikiem biurowym? I jej ciężka praca powinna być oceniana osiągnięciami dzieciaków, a nie tym, co ona tam naskrobie w formularzu.

Na domiar złego zgubiła swój ulubiony długopis. Pech! Z radością wracała po południu do domu. Zrobię sobie herbatę, myślała, wezmę książkę i do wieczora się nie ruszę. Przeczekać.

Gdy mijiała dom Krupskich, przypomniała sobie, że miała zajrzeć do Janiny. Codziennie rano obiecywała sobie, że zrobi to właśnie dziś po pracy, i codziennie znajdowała masę wymówek.

– Raz kozie śmierć. – Pchnęła furtkę i szybko zadzwoniła do drzwi, zbyt późno przypominając sobie, że dziś nic nie ma prawa się udać. Już chciała zawrócić, gdy drzwi się otworzyły.

– Maria, jak miło, wejdz.

No to weszła. Tak jak wchodziła przez lata, prosto do kuchni, prosto do stojącego przy stole krzesła, na którym usiadła.

Tymczasem Janina, jak tysiące razy przedtem, zapytała, czy Maria napije się kawy, i nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po torebkę z kawą, by wsypać do młynka ziarna, podobne do brązowych, opalizujących kamieni. Janina stuknęła w dno młynka, wcisnęła włącznik i kuchnię wypełnił miarowy warkot, a po chwili uniósł się aromat świeżo zmielonej kawy. Zagwizdał czajnik i już po chwili na stole stały dwie szklanki z kawą i cukiernica.

– Bardzo mi przykro... – zaczęła Maria.

– Dlaczego?

– Dowiedziałam się, że... no, że jesteś chora.

– Wiesz, Marysiu, akurat z tego powodu najmniej powinno być ci przykro.

No masz, pomyślała Maria. Ani wyjść, ani zostać. Po co ja tu przylazłam? Wsypała do szklanki cukier i obserwowała, jak biała góra zmienia się w brązową, by w końcu runąć w dół, stopić się we wrzątku. Białe kryształki zmieniły się w słodycz. Trzeba coś powiedzieć, cokolwiek. Nie można

milczeć, tylko dlatego, że na myśl o złośliwej ripości ogarnia człowieka strach.

– Nie przyszedłam tu, żeby się z tobą kłócić. Zmartwiłam się, gdy Marta powiedziała mi o twojej chorobie. Nadal się martwię. Chciałabym jakoś ci pomóc.

– Możesz sprawić, bym znów miała ładny biust? Nie. To znaczy, że nic nie możesz zrobić.

– Jeśli chcesz się kłócić, to powiedz, żebym mogła wyjść. – Maria postanowiła być asertywna.

– Mówisz, jakbyśmy miały po pięć lat. Kłócić, nie kłócić. Czy ty nie rozumiesz, co mi zrobiłaś? Maria nie rozumiała.

– Zdradziłaś mnie, oszukałaś. Zraniłaś mocniej niż ktokolwiek w życiu. Kiedy na ciebie patrzę, czuję w sobie te wszystkie emocje i po prostu nie mogę spokojnie rozmawiać.

– Mam wyjść?

Janina parsknęła rozwścieczona.

– Masz zrozumieć, co mi zrobiłaś.

– Chodzi o Janusza?

– Nie, nie chodzi o Janusza.

– Bo jeśli chodzi o Janusza, to ty pierwsza zaczęłaś.

Westchnienie Janiny przypominało sapnięcie lokomotywy, która właśnie miała opuścić stację.

– Tak to wygląda z twojej perspektywy. Ja widzę to inaczej. Podobał nam się obu, ale to ja podjęłam jakąś inicjatywę.

– Podjęłam taką samą inicjatywę, tylko to ty zaszłaś w ciążę.

Janina zamarła w bezruchu, z lekko rozdziawionymi ustami.

– Jak to?

– Normalnie. Przed pójściem Janusza do wojska spaliśmy ze sobą.

– Nie wiedziałam.

– Nie było czym się chwalić. I niech to zostanie między nami. Nawet nie chcę myśleć, co by zrobiła mama, gdyby się dowiedziała.

Spojrzenie Janiny wyrażało zdziwienie taką postawą, więc Maria pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Tak, wiem, że jestem dorosła, ale znasz moją mamę. Potrafi zamienić słowa w sztylety. Nie rozumiem, jak twoja córka może się z nią dogadać.

– I to lepiej niż z własną matką. – W głosie Janiny słychać było żal. – Oczywiście, że nikomu nie powiem. Nie wiedziałam... Myślałam, że to nic poważnego, bo nigdy nie zdradziłaś mi, że to wielka miłość.

– Ale tak było.

– To dlaczego pozwoliłaś, żebym ci odebrała? Dlaczego nie walczyłaś? Dlaczego nie wyrwałaś mi włosów?

– Bo to ja, Marysia Jezierska. Zahukana córka despotycznej matki, od dziecka przyzwyczajona do życiowych porażek.

Zapadło milczenie. I dobrze. Maria była wdzięczna Janinie, że ta powstrzymała się od złotych rad i wygłaszania motywującego przemówienia. Bo przecież sama wiedziała, że każdy jest kowalem swego losu, a sposób ścielenia wpływa na jakość snu, szczęścia można się nauczyć, a dorosły człowiek powinien korzystać z prawa decydowania o własnym losie, zamiast pozwalać, by robił to za niego ktoś inny. Tylko co z tego, że wiedziała, skoro tak bardzo brakowało jej wiary w siebie.

– Najgorsze jest to, że przez te wszystkie lata udawałaś moją przyjaciółkę, by być blisko niego. Tego nie potrafisz ci wybaczyć.

– To nie tak.

– Kiedy się dowiedziałam, nie zabolalo mnie to, że Janusz cię kochał przez te wszystkie lata, tylko to, że bywałaś w moim domu ze względu na niego.

– To nie tak – powtórzyła Maria. – Byłaś w ciąży, więc co mogłam zrobić? Byłaś też zakochana tak jawnie, ekstrawertycznie. Sądziłam, że masz większe prawo.

– Skoro tak, to dlaczego tu przychodziłaś?

– Bo byłaś jedyną przyjaciółką, jaką w życiu miałam. Nie mogłam cię stracić.

– Oszukiwałaś mnie.

– To nieprawda. Przychodziłam tu tylko i wyłącznie ze względu na ciebie. Mogłam się pogodzić z utratą Janusza, ale ciebie stracić nie mogłam. Byłaś mi potrzebna. Tylko dzięki tobie wytrzymywałam z matką. Kiedy tak siedziałyśmy, pijąc kawę i gadając o pracy, było tak normalnie. Mogłam ci się poskarżyć na mamę, ale mogłam też nic nie mówić, bo samo twoje towarzystwo pomagało mi znieść to, przez co przechodziłam. Traktowałam ten dom jak swój, ciebie jak siostrę, dzieci jak własne.

– Podobnie jak męża.

– I tu się mylisz. Chciałabym ci to dobrze wytłumaczyć... Widzisz, można się zakochać, nie znając dobrze tej drugiej osoby. Poznajemy kogoś i w naszej wyobraźni powstaje pewna wizja tego człowieka. Gdy z czasem dowiadujemy się o nim nowych rzeczy, korygujemy ten obraz. Ponieważ nie miałam szansy poznać Janusza tak dobrze, jak bym chciała, w mojej głowie pozostała owa romantyczna wizja. Z czasem coraz bardziej rozmijająca się z rzeczywistością. Kiedy ty poznawałaś prawdziwego Janusza z jego wadami, ja tworzyłam coraz bardziej idealny jego obraz. I to właśnie ten ideał kochałam. A szczerze mówiąc, kocham nadal.

Widząc minę przyjaciółki, Maria zrozumiała, że jej wyjaśnienie nie trafiło do Janiny.

– Kochałam i zawsze będę kochać tego chłopca, z którym spacerowałam nad rzeką. Gruby facet w dresach, snujący się po twoim domu, nie ma z tamym nic wspólnego. Zrozumiałam to latem. Chyba oboje zrozumieliśmy. W końcu wrócił do ciebie.

– Nie tak do końca, to skomplikowane.

Siedziały w ciszy, próbując przetrwać to, co przed chwilą zostało powiedziane. Nie było łatwo uporać się z tymi wszystkimi emocjami. Obie były złe, czuły się zranione i oszukane. A jednocześnie łączyło je prawie pół wieku przyjaźni i tysiące dobrych, ciepłych wspomnień. Dzisiejsze emocje czy te z wczoraj – które teraz miały znaczenie?

– Powinnaś mi była powiedzieć, co czujesz do Janusza.

– Powinam. Ale, tak szczerze, przyznaj się, byłaś świadoma moich uczuć. Wiedziałaś. Tylko wolałaś udawać, że nic nie wiesz, bo chciałaś go dla siebie.

Milczenie Janiny mówiło samo za siebie.

– Wiesz, długo mi się wydawało, że poniosłam stratę – kontynuowała Maria. – Ale może być tak, że bilans okazał się dodatni. Nie dałabym rady żyć z Januszem takim, jaki jest naprawdę. To trudny człowiek, uparty i jakiś taki mroczny w środku. Nasza miłość umarłaby szybko i boleśnie. A tak, ty masz dwoje cudownych dzieci, a ja poezję.

– Nie powinnaś się pocieszać w ten sposób. Miałaś prawo do własnej szansy.

– No i przecież ją dostałam. Wprawdzie po trzydziestu latach, ale dostałam. Tylko... ja nie chcę być z facetem, który łażąc po domu, drapie się... no, wiesz. A na domiar złego gardzi poezją.

– Może cię to zaskoczy, Marysiu, ale wszyscy faceci są tacy.

– Wiesz, kiedy narzekalaś na Janusza, zawsze myślałam, że przesadzasz. Mówiłam sobie: oto trafił jej się czuły, wrażliwy mężczyzna, a ona nie potrafi tego docenić.

– Czasami naprawdę przesadzałam, ale były też sytuacje, kiedy już nie mogłam wytrzymać. Pracował, więc nie było go w domu przez kilka dni, a gdy wracał, to odreagowywał, pijąc w garażu. Wszystkie domowe kłopoty wydawały mu się nieistotne, bo na co dzień miał do czynienia z naprawdę ważnymi sprawami. Potrafił milczeć przez dłuższy czas, ignorował mnie i dzieci. Zawsze był gotów, by wyjść, gdy zadzwoni telefon, nawet jeśli akurat siadaliśmy do Wigilii. Starał się i ja to doceniam, ale życie z Januszem nie było łatwe. Masz rację, nie wiem, czy ty byś to wytrzymała. Ja na pewno nie weszłabym drugi raz do tej rzeki.

– Czy teraz będzie już między nami jak dawniej? – zapytała z nadzieją w głosie Maria.

Janina przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nie wybaczyłam ci. Oszukiwałaś mnie przez trzydzieści lat, tak to widzę. Rozumiem twoje tłumaczenia, ale nie mają one wpływu na to, co czuję. I wciąż chcę się z tobą kłócić, bo chciałabym cię zranić tak mocno, jak sama czuję się zraniona. I nie chcę, żeby było jak dawniej, chcę, żeby było po nowemu, żebyśmy były wobec siebie szczerze.

– Dziś byliśmy, prawda?

– Tak, byliśmy. W ogóle nie tknęłaś tej kawy. Zaparzę ci świeżą.

– Nie trzeba – powiedziała Maria, nim zdała sobie sprawę, że przyjaciółka chce wstać od stołu, by ona, Marysia, nie mogła zobaczyć łez Janiny. – To zrób – przyzwoliła, choć Janina już nastawiała wodę. Maria poczuła, że i jej się udziela wzruszenie, sięgnęła więc do torebki po chusteczki. – Taki ten dzień dzisiaj, od rana pech, w szkole koszmar i... jest! – Triumfalnym gestem wyciągnęła z torebki długopis. – Byłam pewna, że go zgubiłam.

– Myślałam, że już dawno go zgubiłaś, dałam ci go z dziesięć lat temu.

– Lubię go. I ciebie lubię. Nawet nie wiesz, jak się boję, że umrzesz. – Maria zalała się łzami. Janina podeszła i czule ją przytuliła.

– Wszyscy kiedyś umrzemy, ale ja jeszcze nie teraz. Jeszcze zamierzam coś z życia wycisnąć. I ty też powinnaś. Tylko musisz mi dać trochę czasu, żebym ci wybaczyła to, że kochałaś się w moim mężu.

– Poczekam. Bez ciebie czuję się taka samotna. Tyle razy chciałam do ciebie przyjść, ale nie miałam odwagi. Ty zawsze byłaś taka rozsądna.

Aromat świeżo zaparzonej kawy znów wypełnił kuchnię. Maria poczuła się bezpieczna jak dziecko w ramionach kochającej matki. I nagle, zupełnie nie wiedząc dlaczego, zaczęła opowiadać o Wandzie, alkoholu, o tym, że ona, Maria, nie była wystarczająco czujna i teraz czuje się winna.

– Głupstwa gadasz. To była dorosła kobieta i robiła, co chciała.

– Nie możesz tak mówić, to nałóg, choroba.

– Wiem, ale wiem też, że nie pomożesz komuś, kto sam sobie nie chce pomóc.

Mówisz całkiem jak moja matka – pomyślała Maria i łyknęła kawy. Dawno nie piła tak dobrej, mocnej i aromatycznej. Aż westchnęła, czując ten smak.

– Włożyłam jej do trumny ptaka.

– Słucham?

– W jej torebce był nieżywy ptak. Taki z żółtym brzuszkiem, sikorka chyba. Pomyślałam, że jest dla niej ważny. Nie trzymałaby czegoś takiego bez powodu, prawda?

Janina wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, a gdy do Marii dotarło, jak bardzo jest absurdalne

to, co zrobiła, również zaczęła się śmiać.

Będzie dobrze między nami. Teraz już będzie dobrze. I nie ma żadnego pecha. Mama ma rację – jesteśmy szczęśliwi, kiedy sami chcemy tacy być.

Aż trudno uwierzyć, jak złośliwi potrafią być ludzie. I to nie obcy, ale koledzy, z którymi pracowało się wiele lat. Janusz miał już po dziurki w nosie słuchania uszczypliwych uwag na temat swojej obitej twarzy. A te durne domysły, dociekania... I co najgorsze, nie skończy się to, nawet gdy ślady znikną, bo takie rzeczy na długo zostają w ludzkiej pamięci i teraz Krupski już na zawsze będzie tym gościem, który dostał po mordzie. I za to właśnie nienawidził Seweryna bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Nowak i Zawiślak, przechodząc obok biurka Janusza, zachichotali, ale udał, że tego nie słyszy. Miał co robić. Kilka dni temu Tadeusz poprosił go, by sprawdził, czy Wanda zostawiła jakichś żyjących krewnych.

– Ma ojca w Krakowie. Prosiła mnie, bym pomógł go odnaleźć.

– O ojcu wiem. Szukam męża i dzieci.

– Podobno mąż zmarł, a dzieci nie mieli.

– Między „podobno” a „na pewno” jest spora różnica. Możesz to dla mnie zrobić?

Dlaczego nie. Chciał od razu zabrać się do roboty, ale ciągle coś mu przeszkadzało i dopiero dziś rano rozpoczął poszukiwania. Bez problemów znalazł męża, zgodnie z tym, co mówiła Wanda, już nieżyjącego. Nie mieli też dzieci wspólnych własnych ani przysposobionych. Rodzice owego męża Wandy nie żyli, natomiast jego brat, siostra i druga żona mieli się dobrze. Nie stanowili oni zresztą obiektu poszukiwań, gdyż Tadeuszowi chodziło o krewnych, a ci byli dla Wandy... nikim już nie byli, bo rozwodząc się z mężem, rozwiodła się jednocześnie z całą tą czeredą. Należało więc wrócić do ojca i matki Wandy, ich braci i sióstr, jeśli tacy istnieli.

– To może już jutro – powiedział do siebie, spoglądając na zegarek.

Za stary był na siedzenie po godzinach. Po drodze wstąpi gdzieś na obiad, bo Tadeusz zapowiedział, że wróci wieczorem, a to oznaczało, że niczego nie ugotuje. Kawalerskie życie miało swoje plusy, ale miało też jeden wielki minus. Janusz, który nigdy nie nauczył się gotować, stracił prawo do domowych obiadków. Jezierski dobrze radził sobie w kuchni i chętnie gotował, niestety, nieregularnie. Gdy praca zatrzymywała go do późna w sędzie albo w kancelarii, Janusz był skazany na własną zaradność. A to oznaczało kanapki z kiełbasą i ogórkiem, bo nawet mrożonki nie potrafił dobrze przyrządzić. Pomocy szukał w dziale garmażeryjnym albo barze. Żadne z tych rozwiązań nie było idealne. Kotlety z garmażerki mógł zjeść w domu, przed telewizorem, ale należało je podgrzać, a to stanowiło wyzwanie. Dania barowe miały właściwą temperaturę i nawet zmywać nie musiał, jednak bar pozbawiony był intymnej atmosfery domowych pieleszy.

Darmowy seks i ciepły obiad, oto cała prawda o pożytkach z małżeństwa.

Do domu wracał syty i zadowolony. Schabowy z kapustą i ziemniakami, na którego ostatecznie zdecydował się Janusz, nie był co prawda tak dobry, jak ten Janiny, ale niewiele mu brakowało. Teraz najchętniej rozłożyłby się na kanapie z puszką zimnego piwa w jednej i pilotem od telewizora w drugiej ręce. Niestety, musiał jeszcze coś załatwić.

– Jestem na ciebie wściekły, łajzo – przywitał Seweryna, gdy ten otworzył drzwi.

– Jeśli będziesz czegoś próbował, wezwę policję.

– Policja już tu jest, ale nie przyszedłem wyrównywać rachunków. Choć powiem szczerze, łapa

mnie świerzbi.

Seweryn miał strach w oczach i widać było, jak bardzo brakuje mu pewności siebie. Co ta Janina widzi w tym mazgajowatym, maminsynkowatym chucherku? Wystarczy, że on, Janusz, teraz tupnie, a zwieracz tamtego puści.

– Musimy pogadać. No, wpuście mnie do środka. Nie będę się pchał na chama.

Po chwili wahania Starski odsunął się od drzwi.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiś wspólny temat do rozmowy.

Janusz się roześmiał.

– Teraz tak ci się wydaje? A niedawno sam zainicjowałeś dyskusję. – Zachichotał, ubawiony własnym dowcipem, i znaczącym gestem dotknął twarzy. – Masz może piwo?

– Tylko wino.

Janusz wyczuł, że znający jego gust Seweryn kłamie.

– Szkoda. No trudno, siadaj. – I dał przykład, zwalając się na fotel, jakby był u siebie. – Tak własnymi słowami możesz mi powiedzieć, czemuś na mnie napadł? W moim własnym domu?

– Już tam nie mieszkasz. Poza tym mieliśmy układ, dotyczący kobiet.

Serio? Seweryn wziął na poważnie te pijackie żarty? Skądże. Tylko naiwnie liczył, że Janusz tak zrobi.

– Wiesz, jak to mówią, układ był, ale się zmył.

– I co teraz? Wrócisz do Janeczki i dalej będziesz ją krzywdził?

– Może i wrócę, nie twój zwiotczały interes.

– Właśnie, że mój. W przeciwieństwie do ciebie... – Mimo złości, która go ogarnęła, Seweryn nie wypowiedział tego słowa na głos.

– Kochasz ją – dokończył za niego Janusz. – Może trudno ci w to uwierzyć, ale ja też ją kocham. Przeżyliśmy razem trzydzieści lat i to nie był zły czas. Zawsze mogłem na nią liczyć i starałem się, żeby ona też mogła liczyć na mnie. To nie zawsze wychodziło. Nie jestem łatwym facetem, a mój zawód wiele komplikuje.

Starski patrzył na niego zdziwiony. Widać było, że nie rozumie celu tej przemowy.

– No ale ja nie o tym chciałem. Ponieważ kocham Janinę, chciałbym, żeby była szczęśliwa. I dlatego sobie pomyślałem, że wpadnę do ciebie i pogadamy jak przyjaciele. Wiedziałaś, że jest chora?

– Chora? – jak echo powtórzył Seweryn.

– Miała guz w piersi, usunęli, ale z tym dziadostwem nigdy nic nie wiadomo. Zresztą dla Janki sam zabieg też stanowi problem, bo wiesz, trochę jej tam ubyło. Nie znam szczegółów – dorzucił pośpiesznie, żeby Sewerynowi nie przysłała do głowy jakaś głupia, choć niepozbawiona podstaw, myśl.

– Dlaczego mi nie powiedziała?

– Bała się, wstydziła, wiesz, jakie są kobiety. One nie myślą liniowo. – Dotknął ręką czoła. – U nich tam wszystko tak meandruje, że szok.

– Zająłbym się nią, pomógł. – Starski wciąż nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Nic straconego, stary. Masz jeszcze szansę. Tylko dobrze sobie wszystko przemyśl, bo to może nie być łatwe. A jak schrzanisz, jak ją skrzywdzisz, to wierz mi, zabiję. – Sam się zdziwił, jak poważnie to zabrzmiało. Mimo to Seweryn odpowiedział odważnie:

– Z nas dwóch to ty ją krzywdziłeś.

Janusz nie mógł nie przyznać mu racji. I dlatego właśnie zamierzał pozwolić Starskiemu, by zaopiekował się Janiną. Jeśli ten chce i czuje się na siłach, bo nie wiadomo, jak może się to dalej potoczyć, a opieka nad chorą na raka to wyzwanie.

– Mam doświadczenie. – Tamten jakby czytał w jego myślach. – Opiekowałem się mamą.

I zamilkli obaj, bo czasem trzeba uczcić czyjąś pamięć chwilą ciszy.

– Pójdę już – powiedział Janusz, podnosząc się z fotela. – Ty to sobie wszystko spokojnie poukładaj. Wiesz, wtedy, jak zastałeś mnie u Janiny, rozmawialiśmy o tobie i o tym, że powinna ci powiedzieć. Przyznała się, że brak jej odwagi, ale obiecała to zrobić. Tak sobie dziś rano pomyślałem, że nigdy się nie odważy i muszę jej pomóc. Szkoda, że nie masz piwa, bo mi w gardle zaschło od tego gadania.

I skierował się do wyjścia.

– A co będzie z tobą? Spróbujesz szczęścia z Marysią?

– Spróbowałem szczęścia w pojedynkę i to mi najbardziej pasuje. Ale jakbyście mnie czasem zaprosili na obiad, to nie odmówię.

I wyszedł, tak samo wściekły na Seweryna jak w chwili, gdy wchodził.

Była zimna, jesienna noc, a on stał bez kurtki.

– Dobry wieczór.

– Teraz już nie jest dobry.

– Dla mnie dobry.

– Nie wątpię. – Agata spojrzała na dom Brzozowskich. – Jak Michał się dowie, że po nocy spacerujesz z jego córką, to cię zabije.

– W takim razie dobrze by było, żeby się nie dowiedział. Musiałem się z nią spotkać i porozmawiać – wyjaśnił Mateusz najpoważniejszym tonem, na jaki było go stać. – Chyba się we mnie zakochała.

– To możliwe, nie odziedziczyła inteligencji po ojcu.

– Myślisz, że głupotą jest się zakochać?

– Myślę, że głupotą jest zakochać się w tobie.

Jesienne noce tym różnią się od wiosennych, że są nie tylko chłodne, ale i ciche. Ptaki, kulki nastroszonego pierza, siedzą skulone wśród gałęzi i martwią się nadchodzącą zimą. To odbiera im chęć do śpiewania.

– Idziesz z tym psem na spacer? Muszę się ruszać, inaczej zamarznę.

Agata skinęła głową i poszli w dół ulicy, nad rzekę, gdzie było zimno, ciemno, błotniście i całkiem nieromantycznie.

– Podobno wiosną zrobią tu porządek. Oczyszczą brzeg z krzaków i odbudują ścieżkę – powiedziała Agata.

– Szkoda. Podoba mi się tak, jak jest. Kiedy byłem mały, chowałem się w tych chaszczach, żeby czytać książki i palić papierosy. – Mateusz odruchowo dotknął piersi. Szlag, fajki wraz z kurtką podarował Julce.

– Michał rzucił, kiedy się poznaliśmy.

– To jakaś sugestia?

– Skądże. Nie interesuje mnie ani twój nałóg, ani ty sam.

– Chciałbym w to wierzyć, ale jakoś nie mogę.

– A ja myślałam, że opowieści o mizoginach z przerośniętym ego, którzy tracą kontakt z rzeczywistością, to bajki dla niegrzecznych dziewczynek.

– Więc ja jestem ten facet z bajki, a ty jesteś niegrzeczną dziewczynką?

– Tego nie powiedziałam.

– Umówmy się, grzeczna też nie jesteś.

W miejscu, do którego doszli, słychać było wyraźnie szum wody. Takie uspokajające szemranie, a jednocześnie sygnał, by nie iść dalej. Mateusz zawrócił.

– Julka powiedziała Michałowi o naszym spotkaniu.

– Powiedziałaś, że między nami nic nie było, żadnych spojrzeń, wyznań żadnych?

– Powiedziałam mu, że jest idiotą. To samo myślę o tobie.

– Ja też o tobie myślę, wciąż i wciąż. A to, że ty myślisz o mnie, jest bardzo miłe.

– Nie sądzę. Jestem zła, bo przez ciebie moje małżeństwo przechodzi kryzys.

– Myślałaś, że zawsze będzie cukierkowo, a tu taka niespodzianka.

– Nie byłoby jej, gdyby moja pasierbica nie powiedziała swojemu ojcu, że widziała, jak się całujemy.

– Skoro poniosłaś karę za grzech, którego nie popełniłaś, to co ty na to, żebyśmy się pocałowali?

– Wiesz, lubię myśleć, że jestem mądrą kobietą, a całowanie się z tobą byłoby głupotą.

– Dlatego, że jesteś mądra, tak mi się podobasz. Myślę jednak, że to nie rozsądek powstrzymuje cię przed pocałunkiem, tylko strach. Widzisz, jak bardzo jestem w tobie zakochany, i boisz się, że jak mnie dotkniesz, to uczucie spłynie na ciebie i wywoła wzajemność tak silną, że już jej nie okiełznasz.

Roześmiała się zbyt głośno, sztucznie.

– Nie boję się ciebie ani tego, że mogłabym się w tobie zakochać.

– Udowodnij.

– Nie będę się z tobą całować.

– Nie mówię o całowaniu ani niczym z seksualnym podtekstem. Spędź ze mną jeden dzień, wyjedźmy gdzieś i spacerujmy od rana do wieczora. Jeśli o zachodzie słońca wciąż będę ci obojętny, odpuszczę.

– Naprawdę odpuszczisz? – Czy usłyszał żal w jej głosie?

– Nie mówię, że przestanę cię kochać, to niemożliwe. Ale odpuszczę i nie będę ci się narzucał.

– To brzmi kusząco.

– Zgadzasz się?

– Tego nie powiedziałam, ale się zastanowię i dam ci znać.

– Będę czekał.

– Dobranoc.

Poszła do domu, a Mateusz stał i wcale nie było mu zimno.

Wspomnienie się skończyło. Przewinał je do początku, jak film. I znów obok jego nóg znalazł się pies.

Konrad Jezierski traktował Mateusza Krupskiego jak młodszego brata. Czasem w jego głowie pojawiała się myśl, że tamten był jak brat, którego on, Konrad, nigdy nie miał. Bo naprawdę tak to czuł. Olgierd, no cóż, to było skomplikowane.

Pierwszą sprawą, która bardzo dzieliła braci Jezierskich, była matka. Zmarła, kiedy Konrad miał niespełna trzy lata. Nie pozostało mu żadne konkretne wspomnienie. To, co miał, było sensualne.

Pamiętał dotyk moherowego swetra na swoim policzku. Delikatne łaskotanie błękitnych nitczek. I jeszcze ten przyjemny zapach, ale czy to matka pachniała, czy kwiaty w ogrodzie, nie wiedział. Czuł, że go kochała i on ją kochał, bardzo. A mimo to nie widział we wspomnieniach jej twarzy. Znał ją tylko ze zdjęć w rodzinnym albumie.

Olgierd cieszył się obecnością mamy przez siedem lat. Pamiętał jej twarz i głos, wiedział, jak się poruszała, co mówiła, co lubiła robić. Mówił do Konrada: „Co ty wiesz o mamie, nawet jej nie pamiętasz” – i w ten sposób ją zawłaszczwał, jakby była tylko jego, jakby tylko Olgierda kochała.

Pewnego razu, w wigilijny poranek, Konrad odważył się poprosić Olka, by opowiedział o mamie. Zadziwiająco, jak wiele brat miał tych wspomnień. Konrad był o to zazdrosny i wściekł się na niego. Wymknął się z domu babci, by nie łamać się z Olkiem opłatkiem. Chciał się ukryć w domu. Stał w drzwiach dokładnie w tej chwili, gdy ojciec podkładał prezenty pod choinkę. Święta zostały ostatecznie odarte z magii. Może dlatego Konrad nie pozwolił Karolinie na ten cyrk z Mikołajem. Powiedział, że nie zamierza okłamywać dzieci. Tak naprawdę chciał uchronić chłopców przed tym okropnym, bolesnym rozczarowaniem, którego sam doświadczył.

W tamten świąteczny wieczór to Konrad powiedział Olkowi, że nie ma Mikołaja. Brat miał dziesięć lat i choć zaczynał się domyślać, wolał wierzyć, bo to wprowadzało odrobinę niezwykłości w szare życie, a które dziecko za czymś takim nie tęskni. Konrad czuł satysfakcję, psując Olkowi święta.

Nie miał pretensji do mamy, że zachorowała i umarła. Czuł żal, a gdy dorósł, zrozumiał, że dla niej było to jeszcze boleśniej. Współczuł jej i kochał jeszcze bardziej. Pretensje miał do żywych, którzy nie uważali za słuszne, by osieroconemu dziecku okazać odrobinę więcej miłości. Zachowywali się, jakby Konrada nie było, jakby istniał tylko Olek. Babka i ojciec nie kryli faktu, że starszy z braci jest ich ulubieńcem. Cokolwiek zrobił, napawało ich dumą. Olek dostał piątkę i zaraz „ach, och, jak wspaniale się uczy”. Olek wdał się w bójkę i znów „och, ach, nie daje sobą pomiatać”. Konrad, by usłyszeć dobre słowo, musiał ciężko pracować, byle potknięcie zaś było karane niewspółmiernie do winy. Ta niesprawiedliwość bolała tym bardziej, że Konrad kochał ojca dużo bardziej niż brata.

Czasem sobie myślał, że skoro są braćmi, skoro obydwaj tak samo cierpią z powodu wspólnej straty, powinni być dla siebie wsparciem i powinni kochać się wzajemnie. Tak nie było. Olek nie chciał. Sporo czasu minęło, zanim Konrad zrozumiał, że skoro Olek nie traktuje go jak brata, on też może zachowywać się tak samo. To wiele ułatwiło. Były jednak w sercu Konrada pokłady niezagospodarowanej braterskiej miłości. Całą ją przelał na Mateusza Krupskiego. Kiedy? Nie wiadomo. Może stało się to w dniu, gdy tamten stawiał pierwsze, niepewne, chybotliwe kroki, a Konrad przyglądał się temu zaciekawiony. A może w dniu, gdy siedział na krawężniku i bawił się swoim resorakiem, a maluch przycupnął obok niego. „Chcesz pojeździć?” – zapytał wtedy, a chłopczyk, zamiast odpowiedzieć, spontanicznie się doń przytulił. Konrada nikt nie tulił od czasu... może od śmierci mamy... To było takie miłe, te ciepłe rączki na jego szyi. „Jak chcesz, możesz sobie wziąć ten samochód na zawsze” – powiedział. I chłopiec wziął samochód, a także całą miłość Konrada, tę, której Olgierd nie potrzebował.

A ponieważ przez tyle lat Konrad patrzył na Mateusza tak, jak patrzy starszy brat, z czułością i uwagą, nie umknęły mu zmiany, jakie ostatnio zachodziły w przyjacielu.

– Co tak naprawdę wydarzyło się w Rubiniu? – zapytał, gdy po powrocie Krupskiego z pracy siedli przy kuchennym stole, a właściwie stoliczku.

– Co masz na myśli?

– Sporo się uśmiechasz. Jakbyś był bardzo zadowolony z siebie. Opowiesz mi, co się wydarzyło?

– Ktoś tu chce słuchać! – zdziwił się tamten.

Fakt, od czasu swojej spontanicznej ucieczki Konrad zawsze przerywał rozmowę, gdy zbaczała w stronę spraw związanych z Rubiniem. Wystarczyło, że ciągle o tym wszystkim myślał, nie musiał rozmawiać. Teraz było inaczej. Uśmiech Mateusza świadczył, że przyjaciela spotkało coś miłego. To coś na pewno nie było związane z ojcem Konrada ani z Karoliną, ani z Domańską.

– Tylko pod warunkiem, że nie będziesz przynudzał.

Mateusz zaczął opowieść od swojej matki. Operacja przebiegła pomyślnie, czekają teraz na wyniki. Matka nie histeryzuje, tylko zapewnia, że wszystko będzie w porządku. Nawet Marta nie histeryzuje, a to do niej niepodobne. Chociaż teraz trudno orzec, co jest do niej podobne, a co nie. Zmieniła się. Gdyby zawsze taka była, mieliby o wiele lepsze relacje. Ponownie nie jest z Olkiem, po heroicznym skoku do wody i wyrwaniu ukochanego z objęć śmierci znowu się poprzytkali. Może to i lepiej. Mateusz zawiesił głos i wyczekująco patrzył na Konrada. Jakby czekał na jakiś znak z jego strony.

– Nie interesuje mnie życie uczuciowe mojego brata.

– A życie uczuciowe mojej siostry? – zapytał Mateusz z chytrym uśmieszkiem.

Konrad tylko wzruszył ramionami i zachęcił przyjaciela, by opowiadał dalej. Dowiedział się, że Zdunkowska nie żyje – wypadek samochodowy, będący skutkiem nadużycia alkoholu. Ciocia Marysia dość mocno to przeżyła, teraz mieszka sama w domu Wandy, co nie jest najlepszym pomysłem, bo pełno tam demonów przeszłości.

– Wiesz, że grzebałem w starych aktach, tych dotyczących śmierci twojego dziadka? Pojawiło się tam nazwisko „Zdunkowski”. Tak się bardziej domyślam, niż wiem, ale w tym domu nie działa się dobrze. Niby nie powinno mnie to dziwić, codziennie oglądam domy, w których źle się dzieje, i widuję ofiary takiego stanu rzeczy. Jednak zawsze sobie myślę, że to patologia, zła dzielnica, a prawda jest taka, że w domu obok też może się zdarzyć zbrodnia. No, w każdym razie dla twojej egzaltowanej ciotki lepiej by było, gdyby się stamtąd wyniosła.

– Myślę, że ona bardziej niż martwych boi się żywych. W zasadzie jednej żywej.

– Bez przesady, twoja babka jest bardzo fajna.

– Fajna? Mówisz tak, bo jej nie znasz.

– Może to ty jej nie znasz?

I Mateusz opowiedział, jak wpadł do Leokadii na herbatę, jak przyjemnie spędzili wieczór, rozmawiając na najróżniejsze tematy. To urocza osoba i nie tylko on, Mateusz, tak uważa. Marta mieszka z nią teraz. Wygląda na to, że bardzo się lubią.

– W ogóle wiesz, jaka rotacja? Moja matka mieszka sama, choć wiem, że ma słabość do Starskiego. Nie będę się wdawał w szczegóły, bo to dość traumatyczne wspomnienie. – Na przekór swoim słowom Mateusz roześmiał się głośno i Konrad zrozumiał, że to żart. – Mój ojciec mieszka z twoim, Marta z Leokadią, Agata z panią Teresą, a Karolina... – Urwał i popatrzył na Konrada, jakby czekał na zgodę, by dokończyć.

– Nie chcę słuchać o moim ojcu, mojej żonie, o Domańskiej.

– Kiedyś będziesz musiał.

– Kiedyś to nie dziś. Lepiej opowiedz, co się wydarzyło w Rubiniu. Bo nie sądzę, żeby herbatka z moją babką wprowadziła cię w tak dobry humor.

– I tu się mylisz. Ta herbata to też był element całego przyjemnego ciągu zdarzeń. Można

powiedzieć, że od niej się zaczęło, a skończyło... A, jeszcze z Julką się spotkałem. Rozmawialiśmy dość długo, to strasznie fajny dzieciak. Trochę jest skołowana, przeze mnie, przez swojego ojca, matkę.

Konrad chciał zapytać, co takiego złego własnej córce zrobiła Sylwia. Zawsze sprawiała na nim wrażenie kobiety, która, nie bez sukcesów, walczy o miano najlepszej matki. Nie wiedział jednak, jak sformułować to pytanie, by nie zabrzmiało jak zwykle wścibstwo. Przyjaciel zauważył jego wahanie.

– Wiesz, że według nastolatki matka w tym wieku to strasznie stara kobieta?

– Przesada.

– To przypomnij sobie, co myślałeś o własnym ojcu, jak miałeś szesnaście lat. A teraz pomyśl sobie, że twój ojciec mówi ci, że znów zostanie tatą.

– No ale przecież Sylwia nie zostanie matką.

– Podejrzany jest twój brat.

Konrad ucieszył się, że w tym momencie niczego nie pije.

– Olgierd?

– Masz jakichś innych braci? Chyba jednak muszę ci wszystko opowiedzieć.

I w ten sposób Konrad dowiedział się, jaka skomplikowana sieć wzajemnych relacji łączy Martę, Olgierda, Sylwię i Karolinę. No bo przecież były chłopak Marty, ten Tomek z domu kultury, spędza teraz z żoną Konrada więcej czasu, niż powinien.

– Musiałem ci powiedzieć, przepraszam. – Mateusz patrzył na Konrada oczyma podobnymi do filiżanek wypełnionych błaganiem o wybaczenie.

– Dobrze się stało. Chyba powinienem pojechać do Rubinia.

– Chyba tak.

Tak jak wiosną trudno uwierzyć, że istnieje tyle odcieni zielonego, tak jesienią trudno uwierzyć w te wszystkie żółcie, czerwienie i brązy. Przede wszystkim brązy. Niewielu ludzi je docenia, jeszcze mniej jest takich, którzy lubią. A przecież to taki elegancki kolor.

Chociaż w nadmiarze smutny, spuentowała swoje rozmyślania Leokadia.

Dlatego, gdy z drzew spadną już ostatnie złote liście, świat sprawia wrażenie szarego, choć tak naprawdę pełen jest ciemnych odcieni brązu. Nie takich jak skorupka włoskiego orzecha, tylko takich jak kasztan i mokra kora dębu. Później, gdy spadnie śnieg, wszystkim się będzie wydawać, że pnie drzew i gałęzie są czarne. Tak już funkcjonują te nasze ludzkie oczy – łudzą nas. Można by im wybaczyć owe kłamstwa, gdyby chodziło tylko o kolory. Problem polega na tym, że dajemy się oszukać wzrokowi, kiedy chodzi o sprawy istotne. Widzimy ośli upór w człowieku niepewnym, pychę w nieśmiałym. Gdy ktoś się śmieje, nie myślimy, że może w głębi duszy jest mu smutno. Nie oczyma, lecz, jak nakazywał ten mądry francuski pisarz, sercem trzeba patrzeć na ludzi. Na samego siebie również.

I z tą myślą stanęła na progu domu Janiny i zadzwoniła do drzwi.

– Co za niespodzianka. Marysia też u mnie była.

– Wiem, czekałam, aż wyjdzie. Mogę na chwilkę?

Janina, z miną „skoro musisz”, odsunęła się od drzwi.

No właśnie muszę, powiedziała sobie w myślach Leokadia i bez ceregieli ruszyła w stronę kuchni, bo tam zawsze najlepiej się rozmawia, nawet jeśli tematy są nieprzyjemne.

– Napijesz się czegoś?

Leokadia odmówiła. Niegdyś „czym chata bogata” w dzisiejszych czasach oznaczało kubek herbaty albo kawy. A potem człowiek musi w nocy wstawać.

– Jak twoje zdrowie?

– Nie umieram, jeśli o to pytasz.

– Umierasz. Każdego dnia po troszku, jak wszyscy.

– No to powiało optymizmem.

– Zawsze byłam realistką.

– Zawsze byłaś zgryźliwa.

I obie się roześmiały jak na komendę.

– No to skoro wymianę uprzejmości mamy już za sobą, może porozmawiamy o tym, z czym przyszedłam?

– Chodzi o moją córkę, prawda? Nie sądzisz, że twoje złe relacje z Marysią świadczą o tym, że nie masz kompetencji, by być ekspertem w sprawach matka – córka?

– Nigdy nie twierdziłam, że należy mi się tytuł matki roku. – Leokadia postanowiła być samokrytyczna i szczerą. – Wiele razy zawiodłam i popełniłam masę błędów w stosunku do swoich dzieci, mogę się do tego otwarcie przyznać. Stało się tak nie dlatego, że ich nie kochałam, wręcz przeciwnie, były najważniejsze i robiłam wszystko, żeby je chronić. Zwłaszcza Marysię. Ona zawsze była taka delikatna, taka wrażliwa.

Słyszając to, Janina parsknęła śmiechem.

– Tak, wiem. Mówię, jak wrażliwa jest moja córka, choć nie ma dnia, bym jej nie powiedziała jakiejś złośliwości. A przyszło ci do głowy, że robię to świadomie, gdyż nie chcę, by kochała mnie zbyt mocno, bo wiem, że jak odejdę, ona zostanie całkiem sama.

– Nie zostanie sama, ma mnie – powiedziała bardzo poważnie Janina.

– Nie układało wam się zbyt dobrze ostatnio.

– Czym są trzy miesiące wobec pięćdziesięciu lat? Marysia zajrzała dziś do mnie. Gdyby tego nie zrobiła, ja poszłabym do niej. Wyjaśniłyśmy sobie to, co było do wyjaśnienia.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie wiedziałam, że Marysia kocha Janusza.

Janina patrzyła na Leokadię tak, jakby chciała oszacować, ile szczerości jest w tych słowach.

– Wierzę. W końcu ja też niczego nie widziałam.

– Kiedy tu szłam, myślałam o tym, jak wielu spraw nie dostrzegamy, zwłaszcza gdy widzimy tylko to, co chcemy zobaczyć. Dlatego przyszedłam porozmawiać o Marcie. Nie patrz na nią przez pryzmat tego, co twoim zdaniem jest dla niej najlepsze. Pomyśl o tym, co twoją córkę naprawdę uszczęśliwia.

– Być może nie wiem, co ją uszczęśliwia, ale wiem, co ją unieszczęśliwia – Olgierd.

– Ale Marta go kocha.

– A czy on kocha ją? Ja nawet nie pytam, czy on potrafi ją uszczęśliwić, pytam, czy on jest w stanie jej nie unieszczęśliwiać. Zastanów się nad tym, jeśli naprawdę zależy ci na mojej córce.

Leokadia milczała. Oczywiście spodziewała się właśnie takiej reakcji ze strony Janiny i była przygotowana. Jednak nie chciała od razu podawać swoich argumentów. Trzeba poczekać, aż emocje opadną, i wtedy dopiero uderzyć. Zmieniła więc temat na ogrodniczy. Rozmawiały o tym, że był to dobry rok dla pomidorów, zastanawiały się, jak długo jeszcze czekać z przykrywaniem róż, obiecały sobie wiosną wymienić się nasionami nasturcji, aksamitek i orlików.

– Jestem przekonana, że Olgierd kocha Martę i gotów jest dla niej na wszystko. Ludzie się nie zmieniają, fakt, ale czas ich zmienia. Dorastają, mądrzeją i stają się lepszą wersją samych siebie.

Byli młodzi, głupi i zepsuli coś ważnego, lecz jeśli się postarają, jeżeli nie będziemy im przeszkadzać, naprawią to.

Janina popatrzyła na Leokadię z pewnym rozbawieniem.

– Jesteś bardziej romantyczna niż Marysia. I powiem szczerze, że w pewien sposób wzrusza mnie ta naiwna wiara w wielką nieskończoną miłość, która niby to łączy moją córkę i twojego wnuka. Wierz mi jednak, tylko ty tak to widzisz. Olgierd nie jest wspaniałym rycerzem na białym koniu. Był czas, kiedy myślałam, że jest. Wydawał się miłym chłopcem, który dobrze rokuje. Okazał się dupkiem, zmarnował Marcie kilka lat życia.

– Częściowo się z tobą zgadzam i wcale nie zamierzam bronić Olka. Wiem jednak, że dojrzał. Obydwoje dojrżeli i należy im się jeszcze jedna szansa. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, dam spokój, obiecuję.

– Nie masz czasem wrażenia, że traktujesz ich jak szczury doświadczalne w eksperymencie „Miłość”?

– Każdy z nas kogoś traktuje jak szczura i jest tak traktowany przez innego człowieka. Takie jest życie. Przecież o wiele cię nie proszę. Jeszcze jedna szansa, a ty się nie wtrącaj.

– Mam się nie wtrącać w życie swojej córki? A jakbym poprosiła ciebie o to samo?

Na to Leokadia nie była przygotowana. Gdyby chodziło o Tadeusza... On zawsze dawał sobie radę. Ale Marysia potrzebowała ochrony, zwłaszcza przed sobą samą.

– Właściwie już to zrobiłam. Pozwoliłam Marysi mieszkać z Wandą. Nie każę jej wracać do domu. Jest niezależna i może robić, co chce...

– Prawda jest taka, że tylko poluzowałaś smycz.

Tak. Właśnie taka była prawda. Maria wciąż mieszkała na Różanej i Leokadia ciągle miała ją na oku, gotowa interweniować, gdyby córka była bliska popełnienia jakiegoś głupstwa.

– Może masz rację. Takie już jesteśmy, my, matki, chronimy nasze dzieci. A ponieważ ja uparcie będę twierdzić, że Olgierd da w przyszłości szczęście Marcie, ty zaś jesteś przeciwnego zdania, to nie dojdziemy do porozumienia. I chyba już pójdę.

– Świetny pomysł. I oczywiście doceniam, że mnie odwiedziłaś.

– Oczywiście.

Leokadia pozwoliła odprowadzić się do drzwi. Nie byłaby sobą, gdyby przed opuszczeniem posesji Krupskich nie zlustrowała ogrodu. Żółte róże w pobliżu altany wciąż jeszcze kwitły. Ciepłe, osłonięte od wiatru miejsce im służyło. Nawłóć, posadzona w kącie ogrodu, podsychała, dolne liście były już całkiem brązowe, złocisty pióropusz kwiatostanu wyglądał, jakby zaczynała pokrywać go patyna. Natomiast złocienie i wrzosa udowodniały, że to ich pora. Przeplecione w pasach na przemian żółtych i niebieskich, pomarańczowych i fioletowych, przywodziły na myśl ludowy kilim.

Na grządce warzywnej pozostały już tylko pory. Ich białe łodygi stały równym rzędem, czekając na swoją kolej, by ruszyć do kuchni. „Żadna roślina, czy to róża, czy chryzantema, czy też grządka porów, nie pozostaje zaniedbana w tym ogrodzie”, Leokadia sparafrazowała słowa, którymi Odyseusz powitał Laertesą. Sama lubiła pory nie tylko ze względu na delikatny smak, uważała, że to bardzo ładne warzywo, zdecydowanie bardziej eleganckie niż jego krewniacy, cebula i czosnek. Podobno Neron miał bzika na punkcie porów. Wmówił sobie, że świetnie działają na głos, i zjadał ich ogromne ilości.

– Gdybym była Walijką, nosiłabym por jako ozdobę kapelusza, gdybym była Walijką w kapeluszu i gdyby nie wzruszały mnie żarty Szekspira – powiedziała do siebie, opuszczając ogród Janiny.

Może rozmowa nie potoczyła się dokładnie tak, jak by sobie tego Leokadia życzyła. Ale mało kiedy w życiu się zdarza, by wszystko poszło zgodnie z planem. Janina nie dała się przekonać, trudno. Trzeba się liczyć z tym, że zechce przeszkadzać. Najistotniejsze było jednak, że stan zdrowia Krupskiej nie jest tak tragiczny, jak przedstawiała to Marta. Wręcz przeciwnie, Janina wyglądała jak świeżo rozkwitnięty pączek piwonii. A skoro tamta jest zdrowa, to ona, Leokadia, która na jakiś czas przestała symulować, by nie martwić zbyt wiele Martusi, może się teraz znów poczuć odrobinę gorzej.

Powinny istnieć na świecie takie gumki, które pozwalałyby na wymazywanie z życia gorszych dni. Z życia, z pamięci. Człowiek wiedziałby wtedy, że obudzi się następnego ranka i nie popsuje go sobie myślą: „Jakiż ja miałem wczoraj zły dzień”. Na nieszczęście Olgierda taka gumka nie istniała. Jedyne rozwiązanie, jakie znał, na łagodzenie negatywnych skutków nieudanego dnia nazywał się alkohol.

Butelka stała w szafce, szklanka w zlewie. Brudna, jak wszystko w kawalerce. Do dzisiejszego popołudnia była to jego kawalerka. Niestety, krótko po powrocie Olgierda z pracy zadzwonił ojciec.

– Możesz do mnie wpaść na pięć minut?

Miał nadzieję, że rozmowa istotnie zajmie pięć minut, bo obiecał Sylwii, że do niej zajrzy. Nie miał ochoty, ale wchodziło to w zakres obowiązków poważnego faceta, który jest odpowiedzialny i interesuje się ciężarną kobietą. Chciał pomyśleć „ciężarną przyjaciółką”, jednak to słowo zupełnie nie pasowało do relacji łączącej go z Sylwią. Bądźmy szczerzy, żadne słowo nie pasowało.

Jeziński senior czekał na Olgierda w swojej kancelarii. Poważny, ubrany w jeden z tych szarych garniturów, które równym rzędem wisały w szafie. Do tego idealnie wyprasowana koszula i elegancki krawat w niebieskie wzory. To, jak ojcu udawało się być tak schludnym i zadbanym bez pomocy kobiecych rąk, pozostawało dla Olgierda tajemnicą. On sam nie dawał sobie z tymi sprawami rady. Najpierw pozwalał, by pomagały mu babcia i ciotka, później obowiązki domowe wzięła na siebie Marta. Może trzeba było brać przykład z ojca, który każdego wieczoru prał w umywalce swoje majtki i skarpetki?

Tadeusz spojrzał na Olgierda tak, jakby wiedział, o czym właśnie myśli syn. Uśmiechnął się i wskazał mu krzesło dla interesantów.

– Wiesz, kiedy pozwoliłem ci korzystać z kawalerki, myślałem, że twój pobyt w Rubiniu potrwa kilka dni. Tymczasem wygląda na to, że wróciłeś na stałe. Czy tak?

– Sam nie wiem – wyznał szczerze Olgierd. – Prawda jest taka, że trzyma mnie tu kilka spraw. Robimy z Michałem duży, fajny projekt. No i Sylwia... – urwał, bo głupio mu było mówić o jej ciąży.

– Po pierwsze, myślę, że praca przy komputerach nie jest odpowiednim zajęciem dla prawnika. Uważam, synu, że masz dużo wyższe kompetencje. Zdaję sobie sprawę, że potrzebowałeś chwili oddechu, ale jesteś dorosły i chyba masz świadomość, że wakacje nie mogą trwać wiecznie i w końcu trzeba się wziąć do pracy. Jakiejś uczciwej, porządnej pracy, która da ci pozycję i pieniądze. Po drugie, uważam, że niepozwanie pani Brzozowskiej było dużym błędem z naszej strony.

– Przecież nic złego nie zrobiła.

– Nie, mój drogi. Nic złego się nie stało. Dzięki interwencji Marty wyszedłeś z tego cało. Natomiast Sylwia Brzozowska zrobiła coś złego, mianowicie wepchnęła cię do rzeki. Chciała cię zabić. Powinna za to ponieść karę.

– Jest w ciąży.

– Rozumiem, że twoim zdaniem to wystarczająca kara?

Olgierd nie odpowiedział, bo nie miał pojęcia, czy ojciec mówi poważnie, czy żartuje.

– Jesteś pewien, że to twoje dziecko?

– Nie do końca – wyznał szczerze. – Trudno mi zaakceptować fakt, że zostanę ojcem, i pewnie z tego wynikają moje wątpliwości.

– Jest na to sposób. Nazywa się test na ojcostwo. Zrobimy go, gdy tylko dziecko przyjdzie na świat.

– Teraz można zrobić badania jeszcze w ciąży, Sylwia już je zleciła. To mnie przekonuje, że jestem ojcem.

– Przekona cię wynik. Chcę go zobaczyć.

Olgierd zapewnił, że oczywiście. I grzecznie wysłuchał planów ojca, snuty na wypadek, gdyby się okazało, że to jego dziecko. Wtedy będą walczyć w sądzie o pozbawienie Sylwii praw do niego. Jeśli okaże się, że dziecko nie jest Olgierda, wtedy wytoczą sprawę o zniesławienie. Wniosek, który wysnuł z tego Olgierd, był taki, że albo ojciec kocha swoją pracę, albo nienawidzi Sylwii.

– Skoro już mamy to ustalone, pozostaje sprawa kawalerki. Czy mógłbyś się stamtąd wyprowadzić?

– Pewnie mógłbym, tylko nie bardzo mam dokąd.

– Zamieszkasz ze mną?

– I z Januszem Krupskim?

– To duży dom.

– Jego niechęć do mnie też ma spore rozmiary.

– Posłuchaj, to tymczasowe. Marysia nie chce wracać do mamy. Ma ten dom po Wandzie, ale tam nie da się mieszkać zimą. W ogóle trudno tam mieszkać, potrzeba remontu, wstrzymamy się jednak do czasu uregulowania formalności spadkowych. Czy mówiłem ci już, że Wanda spisała u mnie testament, w którym czyni Marysię jedyną spadkobierczynią? Wiesz, ona nie miała bliskiej rodziny. Tylko nie mów na razie nic ciotce, wiesz, jaka ona jest. Sam się wszystkim zajmę. Czyli mamy ustalone, że wyniesiesz się z kawalerki, przynajmniej na jakiś czas?

Olgierd skinął głową. Już dawno powinien był coś sobie wynająć, zamiast mieszkać w kawalerce należącej do ojca, za którą tamten płacił. Taka finansowa pępowina nie była w stylu Olka. Nauczył się dawno temu, że ojciec zawsze chce czegoś w zamian. Najczęściej posłuszeństwa. Konrad, który nigdy nie powiedział Tadeuszowi „nie”, dostał dom na Różanej i pracę w rodzinnej firmie. Dostał też kaganiec i tak w kość, że w końcu nie wytrzymał i uciekł.

Biedak, pomyślał o bracie Olgierd, przekraczając próg już nie swojego mieszkania. Jakoś im obu nie układało się tak, jak powinno. Olek zrujnował własne małżeństwo dokumentnie, Konrad był tego bardzo bliski. Może trzeba do niego zadzwonić, pogadać, wesprzeć go, zrobić to, co starszy brat powinien. Problem polegał na tym, że Konrad zachowywał się jak jeź. Ilekroć Olgierd wyciągał rękę, tamten stroszył kolce. Marta mówiła, że poza wspólnym ojcem i wspólną matką braci Jezierskich nic nie łączy. Pytana, jak to jest z nią i Mateuszem, odpowiadała: „no, my przynajmniej się nienawidzimy”, takim tonem, jakby złe emocje były lepsze od braku jakichkolwiek uczuć. I może rzeczywiście tak było.

Po wizycie u ojca Olek pojechał na Różaną. Sylwia była w złym humorze. Zaproponował, że kupi lody, ale dowiedział się, że i tak jest gruba i nie potrzebuje zbędnych kalorii. Zapytał, czy pomasaż jej stopy, odparła, że nie życzy sobie mieć z nim jakiegokolwiek kontaktu intymnego, bo to źle się dla niej kończy. Postanowił o nic więcej nie pytać, zwłaszcza zaś o wyniki badań. Była w tak złym humorze, że nie wiadomo, jak to się mogło skończyć. W milczeniu posiedział jeszcze pół godziny na kanapie w salonie, sącząc kranówkę, którą go poczęstowała. Powrót Julki potraktował

jako pretekst do wyjścia.

Wrócił do kawalerki, opłukał brudną szklankę i nalał sobie wódki. Tak odrobinę więcej niż na dwa palce. Wypił, otarł usta. Zastanawiał się właśnie, czy potrzebuje jeszcze jednej porcji, gdy zadzwonił telefon.

– Oluś, musisz do mnie przyjechać. – Głos Leokadii brzmiał poważnie.

– Nie mogę, babciu.

– Kochanieńki, nie chciałabym cię martwić, ale strasznie słabo się czuję, a Martusi nie ma.

Bo pewnie Michał odpowiada na jej bardzo ważne pytania. Drań, kłamca, a ona wcale nie lepsza, jaszczurka, pomyślał.

– Właśnie wypiłem, nie mogę jechać.

– To przyjdź, ja poczekam.

– Nie może ktoś inny? – desperacko próbował zostać w domu.

– A kogo ja mam poza tobą?

Nie znalazł na to kontrargumentu, więc odpowiedział, że będzie za dwadzieścia minut. Potrzebował piętnastu, by dojść na Różaną i pięciu na wyszorowanie zębów i ogarnięcie się na tyle, by staruszka nie odniosła wrażenia, że jej wnuk to lump.

Przywitała go zbolalym uśmiechem i, prowadząc do salonu, wyjaśniła, że kłuje ją w mostku, i to bardzo. Może zawał się zbliża? A może tylko podskoczyło ciśnienie, gdyby zdołała znaleźć ciśnieniomierz, wszystko byłoby jasne, ale za nic nie wie, gdzie on jest. Pamięć już nie ta. A Martusia, ta jedyna życzliwa dusza na świecie, akurat wyszła.

– Nie mam do niej pretensji. Młoda jest, niech używa życia. I tak robi dla mnie więcej niż własne dzieci. Twój ojciec odwiedza mnie tylko w święta, Marysia się wyprowadziła i mieszka w domu Zdunkowskich.

Gdyby Olgierd wypił tej wódki odrobinę mniej niż na dwa palce, może byłby na tyle przytomny, by ugryźć się w język, zanim wypaplał, że Wanda zapisała ten dom Marii w testamencie.

– Skąd wiesz?

– Ojciec mi dzisiaj powiedział. Tylko prosił, żeby nie mówić cioci Marysi, dopóki nie załatwi wszystkich formalności.

– Ano to jej nie powiemy. Nikomu nie powiemy.

W tym momencie do Olgierda dotarło, że ojciec coś kombinuje. Z tym testamentem to musiało się wiązać jakieś kłamstwo. I jeszcze wygadał się Leokadii.

– Nie przyznasz się ojcu, że wiesz?

– Jeśli zamierza zrobić coś głupiego, powstrzymam go. Wystarczająco dużo wycierpieliśmy przez Zdunkowskich, nie trzeba niczego dokładać.

Olgierd był ciekaw, co wycierpieli, więc zapytał. W odpowiedzi usłyszał, że nie ma po co wracać do starych spraw. Leokadia kazała sobie naparzyć ziółek i dotrzymywać towarzystwa, dopóki nie przyjdzie Marta albo śmierć. Olgierd znał babkę na tyle, by wiedzieć, że cały ten dramatyzm jest udawany. Powiedział jej o tym.

– Uważasz, że nie jestem chora? – zaperzyła się staruszka.

– Uważam, że kłucie w mostku nie oznacza zbliżającej się śmierci. W twoim wieku to normalne.

– Specjalista się znalazł. Co ty wiesz o byciu w moim wieku?

– Jeszcze nic, ale to już długo nie potrwa.

Roześmiali się oboje. Zawsze miała do niego słabość. Cokolwiek zrobił, zawsze się nim

zachwycała. Nawet gdy wybił szybę w szkole. Jego chuligaństwo postrzegała jako waleczne czyny młodego rycerza. Opowiadała o nich z dumą, chwaliła wnuka za to, co inni by zganili. Broniała go przed zbytnim wpływem ojca. To Leokadia otworzyła Olkowi drzwi do niezależności.

– W kredensie jest nalewka z pigwy. I trochę żołądkowej, jeśli wolisz coś wytrawnego. Dla mnie naleweczki, ale tylko tak ciut, ciut.

Stuknęli się kryształowymi kieliszkami, które podobno pochodziły z rodzinnego domu rodziców dziadka Jezierskiego.

– Tylko Marcie nic nie powiedz, zamartwiałoby się biedactwo, ona tak do mnie przywiązana, jakby była moją wnuczką. No w końcu jest moją wnuczką, bo jesteście małżeństwem.

– Już nie jesteśmy. – Olgierd nalał sobie jeszcze jeden kieliszek. Szalenie dobra była ta nalewka.

– Człowiek nie może rozłączyć tego, co Bóg złączył. Jesteście jedną duszą i jednym ciałem.

– Jej to powiedz.

– Ona to dobrze wie. Mylisz się, jeśli myślisz, że Marta cię nie kocha. Jest wściekła z powodu Sylwii, ale wystarczy jedno twoje słowo, by ci wybaczyła.

– Zmieniłem się, teraz się nie zachowuję jak dupek. Dlatego będę przy Sylwii, skoro ona mnie potrzebuje.

– A jak to nie twoje dziecko?

– To bez znaczenia. Nie zostawię kobiety samej w takiej sytuacji. Będę dla niej wsparciem.

– Jesteś głupim dupkiem. Nic się nie zmieniłeś.

To nie była prawda. A może była? Alkohol nie pozwolił mu trzeźwo myśleć. Zastanowi się nad tym jutro. Tymczasem rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Miło tu. Ojciec dzisiaj poprosił, żebym wyniósł się z kawalerki.

– Oczywiście, że możesz u mnie zamieszkać.

– Nie o to pytałem. Ale może to niegłupia propozycja.

Mijać się z Martą, gdy będzie rano szła do łazienki, widzieć jej wściekłe spojrzenie, słuchać komentarzy na temat deski klozetowej. Fajnie by było.

Zamyślony nie zauważył, gdy do salonu weszła jego była żona. Wyglądała jak milion dolarów. Nigdy nie była taka piękna. I taka zła.

– Co ty tu robisz?

– Jakoś tak źle się poczułam i poprosiłam Olka, by ze mną posiedział.

– Przecież on jest pijany. Jak można być tak nieodpowiedzialnym?

Olek nie wiedział, czy ma odpowiedzieć, czy też lepiej milczeć, bo może to pytanie retoryczne.

– Nie miej do mnie pretensji. – Leokadia bezradnie rozłożyła ręce. – Przyszedł już w takim stanie.

Marta spojrzała na karafkę i kieliszek, które stały na stole. Gdzie podział się ten drugi, Olgierd nie miał pojęcia.

– No w prawie takim. Przybity był, bo ojciec wyrzucił go z mieszkania. I tak sobie pomyślałam, że miło byłoby, gdyby Oleś zamieszkał z nami.



Rozdział siódmy

Róża Red Eden

Róża Red Eden to zadziwiająco piękna odmiana parkowa o kwiatach w kolorze dojrzałych wiśni, zbudowanych z ponad stu płatków, zbitych mocno w kształt beczułki. Zebrane są po kilkanaście w duże, luźne kwiatostany. Kwitnie długo, wypełniając ogród wyrazistym zapachem świeżych owoców, najwyraźniej w ciągu dnia, a rano i wieczorem słabiej. Krzew silnie rozgałęziony, o pędach z dużą ilością kolców i liści, najlepiej ją sadzić w miejscach słonecznych. Należy też pamiętać, że deszcz wyjątkowo szkodzi kwiatom o tak dużej ilości płatków.

Jesień postanowiła, że nie będzie się składać z samych tylko pogodnych dni. Najpierw zawołała wiatr, by pokrył niebo chmurami podobnymi do szarej, owczej wełny. Ścisnęła je tak mocno, że zaczęły płakać. Wkrótce świat przypominał zdjęcie w sepii, smutną fotografię.

Karolina patrzyła przez zapłakane okno na swój ogród i rozpierała ją duma. Nie dlatego, że był wyjątkowo ładny, ale dlatego, że wszystko w nim zrobiła sama. Przypomniała sobie dzień, kiedy po raz pierwszy skopała ziemię. Nigdy wcześniej nie pracowała tak ciężko fizycznie. Całe ciało bolało ją przez następny tydzień, a mimo to się nie poddała. Kopała, sadziła, mężnie znosiła klęski, cieszyła się ze zwycięstw. Teraz przyszła jesień i zamieniła ogród w to, czym był na wiosnę – połacie brunatnej ziemi i przypadkowo wyrastające krzaki. Na pozór. Karolina wiedziała, że wystarczy kilka wiosennych dni, by to, co schowane przed mrozami, zaczęło żyć. Wyrosną przebiśniegi, krokusy, żonkile, narcyzy, miłki i tulipany. Później zakwitną piwonie i irysy. Ona sama zasieje aksamitki i nasturcje. Będzie podlewać trawnik, by ładnie się zielenił, bo teraz, poprzetykany suchymi źdźbłami, przypomina głowę siwiejącego mężczyzny. A za dwa, trzy lata, kiedy chłopcy będą tak rozsądni, by nie wkładać wszystkiego do buzi, zasadzi sobie konwalie, strzeliste nasturcje i zimowity. Może w tym roku nie zdobędzie trofeum, ale w przyszłym to na pewno. W pewnym sensie jest już zwyciężczynią. Ogród miał być dowodem, że Karolina ogarnia swoje życie, i tak się stało.

Dzwonek do drzwi wyrwał ją z zamyślenia. Pewnie listonoszka.

– Ja otworzę! – krzyknął Tomek. Karolina słyszała trzask zamka, po którym nastąpiła cisza.

– Kto to? – I nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszyła do przedpokoj.

Jej przeszłość i przyszłość spotkały się w drzwiach.

– Konrad? – Jakby istniała możliwość, że to ktoś inny.

Ich troje i konsternacja. Co mówić, co myśleć, co robić? Pierwszy odezwał się Konrad:

– Nie wierzyłem, kiedy Mateusz mi powiedział...

– On by cię nigdy nie okłamał.

I cisza towarzysząca rozpaczliwemu poszukiwaniu słów, które powinny paść. Tylko po czym je rozpoznać? Czy należy mieć pretensje, czy przeprosić? Wyrzucić za drzwi czy zaprosić na kawę? Jak należy się zachować w chwili, gdy kochanek otwiera drzwi mężowi?

Tomek, jak zwykle, otrząsnął się pierwszy.

– Wróciłeś czy wpadłeś przejazdem?

– Co to za pytanie? – obruszył się Konrad.

– Chłopcy bardzo źle znieśli twoje zniknięcie. Nie chcemy, by przechodzili przez to po raz drugi.

Więc muszę wiedzieć, jakie masz plany, zanim wpuszczę cię do środka.

– To moi synowie.

Jakże Karolina nie znosiła u Konrada tego tonu. Ale na Tomku nie zrobił żadnego wrażenia.

– Wiem. I wiem również, że nie chcesz ich krzywdy. Tylko mogłeś nie mieć świadomości, że budzili się w nocy z krzykiem. Kacper zaczął moczyć łóżko. Więc jeśli przejazdem...

– Na stałe. Wróciłem do Rubinia na stałe.

– Chłopcy bawią się na górze. – Przepuścił Konrada w drzwiach. – Ucieszą się. Ja idę do pracy, pogadamy wieczorem. – Powiedział to tak, jakby nie stało się nic niezwykłego.

Karolina patrzyła na Tomka i nie mogła uwierzyć, że jest taki spokojny, gdy wali się ich świat.

– Wrócił – szepnęła, gdy mąż szedł na górę.

– Tego należało się spodziewać – odpowiedział Tomek, spokojnie wiążąc sznurowadła.

– I co teraz będzie?

– Myślenie, że przestanę cię kochać, bo zjawił się twój mąż, jest głupie.

Wstał i pocałował ją w czubek głowy. No i wyszedł na ten jesienny deszcz, zostawiając ją samą z wciąż jeszcze mężem i takim zamętem w sercu i głowie, że aż od tego dygotała.

Konrad wszedł już do pokoju chłopców, poznała to po radosnych piskach i krzykach. Nie wiedziała, czy do nich dołączyć. Zastanowiwszy się, doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zostawi ich samych.

Włożyła wiatrówkę i wyszła do ogrodu. Tam, nawet w taki smutny, deszczowy dzień, znajdzie się coś do roboty. Wiedziała, że gdy ręce są zajęte robieniem czegoś pożytecznego, łatwiej zebrać myśli. Łatwiej odzyskać spokój.

Pochyliła się nad grządką i wygrzebywała z ziemi nie większe od paznokcia siewki chwastu, zwanego albo zimowym, albo ogrodowym, teraz nie mogła sobie przypomnieć. To zresztą nieistotne, ważne, żeby go usunąć, inaczej w przyszłym roku ta okropna roślina dokona ekspansji na każdy, nawet najmniejszy kawałek ziemi.

Albo wiatrówka nie chroniła dobrze przed deszczem, albo ten miał swoje sposoby, by dotrzeć do gołego ciała, bo Karolina czuła krople spływające po karku, plecach, ramionach. Początkowo były nieprzyjemnie chłodne, później na chwilę się ogrzewały, by po wsiąknięciu w ubranie znów stać się zimnymi.

Tomek by na to nie pozwolił, pomyślała. Kazałby jej natychmiast wracać do domu, jak małemu dziecku tłumaczyłby, że to nieodpowiedzialne, bo przecież mogłaby się przeziębnić. Może nawet natarłby jej plecy kamforą i zaparzyłby herbatkę z kwiatu lipowego. Bo Tomek właśnie taki jest, troskliwy i opiekuńczy. Oczywiście miał wady, jak każdy. Zbyt idealistycznie podchodził do życia i ludzi, nie zależało mu na pieniądzach, był mołem książkowym, a zaczytany zapominał o otaczającym go świecie. Jednak wszystkie te wady traciły na znaczeniu wobec tej jednej zalety, opiekuńczości.

Karolina nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że pragnie właśnie tego, by ktoś się o nią troszczył. Myślała, że chce małżeństwa, domu i wysokiego statusu materialnego, tymczasem jedyną rzeczą, jakiej naprawdę potrzebowała, była ta odrobina troski, wyrażona pytaniami: „Zrobić ci herbaty?”, „Nie będzie ci za chłodno, może weź sweter?”, „Jesteś zmęczona, może ja to zrobię?”.

Gdyby Konrad jej to dał, byłaby z nim szczęśliwa. On jednak nie potrafił okazać żonie ani odrobiny opiekuńczości i to wyglądało tak, jakby mu na niej w ogóle nie zależało. Dlatego jej przestało zależeć na nim i dlatego przestała go kochać.

To nie zdarzyło się w chwili, gdy ją zostawił, ani wtedy, gdy Tomek pojawił się w jej domu. To zaczęło się dawno temu, gdy na trzeci dzień po porodzie sama musiała iść po pieluchy, bo Konrad nie miał czasu. A na braku czasu dla partnera nie da się budować związku. Jeśli chce się być dobrym mężem, trzeba przebywać w towarzystwie żony, jeśli chce się być dobrym ojcem, trzeba być z dziećmi.

Dłuższe pozostawanie w ogrodzie było już nie tylko nierozsądne, ale całkiem głupie, bo przemokła do suchej nitki. Karolina niechętnie wróciła do domu. Wcisnęła do pralki kłęb mokrych ubrań, a sama weszła pod prysznic. Stała pod strumieniami wody tak gorącej, że aż piekła skórę.

Nie śpieszyła się z opuszczaniem łazienki, wypełniając czas tymi wszystkimi drobnymi czynnościami, na które zwykle brakowało jej czasu. Usunęła skórki wokół paznokci, nałożyła krem na pękające pięty, starannie wmasowała balsam. Robiła to dlatego, że miała wolną chwilę dla siebie, nie dlatego, że unikała Konrada. Wręcz przeciwnie, była gotowa na rozmowę z nim, bo teraz już wiedziała, że to, czego on chce, nie ma znaczenia. Ważne, czego pragnie ona, Karolina.

– No żeż kurwa! – wykrzyknęła Sylwia nie wiadomo który już raz. Klęła, bo był to jedyny sposób na rozładowanie emocji, jaki w tej chwili wchodził w grę. Wolałaby kieliszek wódki, ale nie mogła pić alkoholu z powodu ciąży. Ponownie zalała ją fala wściekłości. – Kurwa, kurwa, kurwa!

Od chwili, gdy opuściła gabinet swojego ginekologa, klęła. W myśli, gdy szła korytarzem przychodni, pod nosem na ulicy, a gdy wsiadła do samochodu, to już całkiem głośno. W domu, świadoma nieobecności córki, wrzeszczała i złorzeczyła całemu podłemu światu.

A dzień zaczął się tak uroczo, tak niewinnie. Przygotowała śniadanie, usiadły z Julką przy stole i chrupiąc płatki kukurydziane, rozmawiały o zupełnie nieistotnych sprawach. Mark Hunter mówił, że życie nastolatka to kanał. Głównie dlatego, że nie wiedział, jak wygląda życie matki nastolatka. A jest ono jakby skrzyżowaniem kolejki górskiej z szambem. W jednej chwili znajdujesz się na samym czarnym dnie, by w następnej ruszyć w ekscytującą podróż ku górze. Ten ranek należał do tych cudownie miłych, gdy córka zachowywała się jak dorosła, rozmawiała otwarcie, śmiała się i żartowała. Sylwia cieszyła się każdą minutą, świadoma, że to może się skończyć w każdej chwili. Ukryta w Julce Pani Hyde wyskoczy nagle, by siał destrukcję.

Tymczasem śniadanie minęło, dziewczyna złapała plecak, narzuciła na siebie skórzaną kurtkę, o której mówiła, że wyhaczyła ją na ciuchach, w co matka zupełnie nie dawała wiary, i wybiegła z domu.

Sylwia sprzątnęła ze stołu, zrobiła makijaż i wcisnęła się w najobszerniejszy żakiet, jaki miała. Pół godziny później była w pracy, sporo przed czasem, zależało jej jednak, by pokazać wszystkim, że można dobrze pracować nawet w tym stanie. Wymaga od innych, bo sama jest skrupulatna i obowiązkowa.

Na pierwszą miała umówioną wizytę u lekarza. Odległość dzielącą ją od przychodni przeszła pieszo. Usiadła w poczekalni i z uprzejmym uśmiechem na ustach wertowała czasopismo dla matek, w którym więcej było obrazków niż tekstu.

Nie rozstawała się z tym wyuczonym uprzejmym uśmiechem, gdy wchodziła do gabinetu, obnażała swój brzuch przed lekarzem i pytała o badania, a on się zdziwił, że nie odebrała ich z recepcji.

– Zaraz to naprawimy – powiedział. Kilka minut później z poważnym wyrazem twarzy studiował wyniki, przyniesione przez ładną recepcjonistkę. – Żadnych wad genetycznych. Dziecko zdrowe. Proszę spojrzeć i mi oddać, to dołączymy do karty. A to dla pani. – Wręczył jej zaklejoną kopertę.

– Co to?

– Wyniki testu na ojcostwo.

– A, moja głupota. Pokłóciliśmy się z partnerem. O tym, co hormony mogą zrobić z człowiekiem, wie tylko ten, kto ma w domu nastolatkę albo jest w ciąży – zażartowała. I żeby pokazać, jak bardzo to nieistotne, rozerwała kopertę, rzuciła okiem i... poczuła się, jakby ktoś potraktował ją paralizatorem.

– Wszystko w porządku? – zapytał lekarz.

– Dziecko – skłamała. – To chyba będzie piłkarz.

Lekarz uśmiechnął się promiennie.

– Nie przeczytała pani zbyt dokładnie? Tam jest płeć dziecka.

Sięgnęła po torebkę, by wyjąć kopertę. Nie przeczytała dokładnie.

– Nie o tamtych mówię. Tu u mnie. – Wskazał na kartę. – Jeśli jest pani ciekawa...

– Oczywiście.

– To dziewczynka.

– Cudownie. – Wciąż miała na ustach uśmiech, gdy mówiła „do widzenia” i gdy, idąc ulicą, plugawiła mowę ojczystą.

– Wcale, kurwa, nie jest cudownie. Kolejne majtki do pilnowania. – Wróciła pod bank, ale nie weszła do środka, tylko wsiadła do samochodu. Wyjęła z torebki wyniki testu. Może tego też nie przeczytała zbyt dokładnie. Spojrzała jeszcze raz. „Nie jest ojcem dziecka”. Nie jest!

Wróciła do domu. Klęła i powstrzymywała się, by nie rzucać ciężkimi przedmiotami. Wściekłość minie, a straty pozostaną.

Olgierd miał rację, wypierając się dziecka. Czuł, że nie ma z nim nic wspólnego. Ale jeśli nie on, to kto? Kto jest ojcem jej dziecka?

Nieważne. Przecież nie będzie go szukać. Olgierd świetnie się sprawdzi w tej roli.

Jakoś tak się złożyło, że Teresa nie miała okazji zobaczyć zamku Chojnik. Nie uważała tego za karygodne niedopatrzenie, do czasu rozmowy o urokach Dolnego Śląska, którą prowadziła kilka dni wcześniej z Teodorem. Ten nadziwić się nie mógł, że Teresa nigdy się tam nie wybrała.

– Natychmiast musimy to naprawić, moja droga.

– Natychmiast? – Teresa spojrzała na świat, który szarzał w jesiennym zmierzchu.

– Najszybciej, jak to tylko możliwe, jutro rano?

Czemu nie? Teresa jakby przeczuwała, że to ostatnie dni ładnej pogody, że wkrótce się zasłoci.

Poznała już Teodora na tyle, by wiedzieć, że jest niesamowicie punktualny. Dlatego następnego ranka wstała odpowiednio wcześnie. Tym razem nie musiał na nią czekać. Stała przy furtce dokładnie w chwili, kiedy zaparkował przed domem.

– Wzięłaś sobie ciepły sweter? – zapytał, gdy wsiadła.

Ten przejaw troski dziwnie rozczulił Teresę. Zbyszek zawsze o nią dbał, czasem bardziej, niż to było potrzebne. Jednak od dnia, gdy go aresztowano, została zdana tylko na siebie. Przyjemnie było znów przebywać w towarzystwie mężczyzny, który się o nią troszczył.

Wiele osób twierdzi, że góry są najpiękniejsze jesienią. Teresa uwielbiała je zimą. Biel śniegu,

zieleń drzew iglastych i czerń skał stanowiły eleganckie w swej prostocie zestawienie, trochę mroczne, trochę baśniowe. Jednak szczerze trzeba było przyznać, że stoki pokryte złotem i szkarłatem też są piękne. Tak przyjemnie się na nie patrzyło, że Teresa zapomniała o rozmowie. Teodor uszanował jej milczenie, co rzadko mu się zdarzało, był bowiem gadułą. Raz tylko zapytał, czy nie miałyby ochoty napić się kawy. Po jej odmowie aż do czasu, gdy zatrzymali się na parkingu w Sobieszowie, nie padły już żadne słowa.

– Wygląda, jakby wyrastał ze skały – zauważyła Teresa, gdy wchodzili na szlak.

Szli powoli, bo przecież nigdzie im się nie śpieszyło, a pogoda była idealna, by cieszyć się spacerem, słońcem, górami i towarzystwem.

Teodor, zmęczony milczeniem w samochodzie, teraz mówił bez przerwy. Opowiedział Teresie historię zamku, początkowo grodu warownego plemienia Bobrzan. W trzynastym wieku Bolesław Łysy-Rogatka wzniósł na Chojniku dwór o charakterze obronnym, rozbudowany przez Bolka I Surowego. W tysiąc trzysta pięćdziesiątym piątym roku zastąpiono dwór zamkiem. Stało się to za panowania Bolka II, który wzmacniał granice Księstwa Jaworsko-Świdnickiego. Twierdza Chojnik nie była zbyt wielka, ale ze względu na położenie bardzo trudna do zdobycia.

– Dlatego też nie człowiek przyczynił się do jej upadku, tylko siły przyrody. Trzydziestego pierwszego sierpnia tysiąc sześćset siedemdziesiątego piątego uderzył piorun, od którego cały zamek stanął w płomieniach. Nie naprawiono tych zniszczeń, a opuszczona budowla popadła w ruinę – zakończył swą opowieść.

Zasłuchana Teresa nawet nie zauważyła, że byli już u podnóża warowni.

– Musisz lubić historię, Teodorze.

– Wszyscy musimy.

Weszli na dziedziniec, zatrzymali się przy pręgierzu na chwilę potrzebną, by Teodor mógł objaśnić, kiedy i dlaczego został on postawiony, a następnie ruszyli wzdłuż murów.

– Chojnik to nie tylko historia, moja droga, to też legendy. Znasz tę o pięknej córce kasztelana, Kunegundzie?

Teresa zaprzeczyła ruchem głowy. Nie było tak, by zupełnie nie znała tej opowieści, ale czas zatarł szczegóły. Pozwoliła Teodorowi przypomnieć ową historię.

– Podobno po matce była piękna, po ojcu szalona i uparta. A po kim okrutna, nie wiadomo. Może to jeden z diabłów, zamieszkujących Piekielną Dolinę, dał jej w prezencie to zimne serce? W każdym razie złożyła śluby, że wyjdzie tylko za śmiałka, który konno objedzie zamek. Rzecz niemożliwa, a jednak znaleźli się śmiałkowie, otumanieni urodą pięknej kasztelanówny. Wszyscy oni spadali w przepaść i tam umierali. Aż w końcu zjawił się rycerz, podobno spod Krakowa, młodzieniec tak piękny, że gdy podnosił przyłbicę, patrzącym dech zapierało. Kunegunda nie pozostała obojętna na jego urodę. Gotowa była złamać swe postanowienie, płakała i błagała. A młodzieniec nic, tylko ukłuk konia ostrogą i wolno ruszył wzdłuż zamkowego muru. I cały i zdrowy wjechał na dziedziniec. Kunegunda rzuciła się ku niemu szczęśliwa. A historię tę zakończę słowami Schillera:

„Pani, twych wdzięków nie trzeba mi wcale.

To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił...”.

– A z nią co się stało?

– Wzgardzona i ośmieszona rzuciła się z murów zamkowych i skończyła żywot tam, gdzie posyłani przez nią na śmierć rycerze. Najbardziej to znana legenda, nic dziwnego, że zainspirowała wielkiego poetę. Choć tej o paziu Chyli także nie można odmówić uroku.

I Teresa wysłuchiwała następnej opowieści, jak to pewnego razu księżę kazał napełnić kielich winem i postawić na wysokiej baszcie. Powiedział, że kto się po zewnętrznym murze wespnie do kielicha, ten będzie mógł wznieść toast za zdrowie wybranki, a z rąk księcia otrzyma nagrodę. Rycerze i szlachta na próżno próbowali sił. W końcu wystąpił młody paż, prosząc, by mógł wziąć udział w konkursie. Udało mu się, a gdy stanął na szczycie wieży, wznosił toast za zdrowie księżnej, którą kochał potajemnie. Później rzucił się w przepaść.

– Smutne te legendy. Same nieszczęśliwe miłości – zauważyła Teresa.

– Może czas to zmienić, Teresko? Może napiszemy własną, szczęśliwą?

I zanim zdążyła zapytać, o co Teodorowi chodzi, ten klęczał już przed nią, nerwowo gmerając w kieszeni. Wyjął z niej czerwone pudełeczko. Otwierając je, zapytał:

– Czy uczynisz mi ten zaszczyt i wyjdiesz za mnie?

Cóż można w takiej sytuacji powiedzieć?

– Przecież my się znamy dopiero miesiąc.

– Dzień, miesiąc, rok, jakież to ma znaczenie, gdy czuję, jakbym znał cię całe życie?

Teresa była oszołomiona, zdziwiona i skrępowana tą sytuacją. To oczywiste, że lubiła Teodora, a romantyczna sytuacja zrobiła na niej wrażenie. Nie była jednak w wieku, gdy traci się głowę i podąży za szalonym porywem serca. A może była? Może to właśnie czyni nas nieszczęśliwymi, że gdy przybywa nam lat, narzucamy sobie coraz więcej ograniczeń? Nie wypada nosić krótkich sukienek, nie wypada jeść lodów, nie wypada być na rauszu, zakochać się nie wypada, nawet tak lekko, a o szaleństwie z miłości nawet nie ma co wspominać.

– Tereso? – ponaglił ją Teodor; klęczenie na kamieniach najprzyjemniejsze nie było.

– Wybacz. Zaskoczyłeś mnie.

– Nie musisz odpowiadać. Wziąłem to pod uwagę. Powiedziałem sobie: Teodorze, nawet jeśli powie nie, nic to między wami nie zmieni. Potraktujecie to jako deklarację z twojej strony, niech kobieta wie, że masz szczerze zamiary, zwłaszcza że doszło między wami, to znaczy między nami, do tego, do czego doszło.

Jakiż był zabawnie zdenerwowany. Zależało mu na niej. Dobry z niego człowiek. I zamożny. To oczywiście bez znaczenia, lubiłaby go tak samo, gdyby nie był właścicielem świetnie prosperującego warsztatu samochodowego. Miło jednak mieć świadomość finansowej stabilności.

– Oczywiście, że się zgadzam – powiedziała w końcu.

Teodor zerwał się z kolan. Wcisnął jej na palec pierścionek z wielkim ametystem, pocałował ją i w końcu się rozszlochał.

– Taki jestem szczęśliwy, Teresko, taki szczęśliwy. Całe życie wszystko mi się tak dobrze układało. Wszystko, poza związkami z kobietami. Myślałem, że coś ze mną nie w porządku. Tymczasem prawda jest taka, że nie czekałem na tę jedyną. A gdy się wreszcie zjawiała, wszystko poszło jak po maśle. Proszę, już po zrękowinach.

– Ty o mnie mówisz?

– A o kimże by innym, skarbenku? Musimy to uczcić kolacją przy świecach. Znam miejsce, gdzie mają przepyszne wino.

Wino? Spojrzała pytająco na Teodora. Zaczerwienił się jak sztubak.

– Hotelik taki uroczy, kameralny. Chyba że wolisz pojechać do mnie?

Spędziła kilka nocy u Teodora. Miał elegancko urządzonego dom, zadziwiająco schludny jak na samotnego mężczyznę. Jednak Teresa nie do końca dobrze się tam czuła, a myśl o wspólnej nocy

w hotelu była kusząca, pozwalała bowiem myśleć o zaręczynach tak, jakby to był element gry, zabawy.

– Uroczy hotelik, w którym mnie zbałamucisz, czy tak? – zaśmiała się.

– Nie ma mowy o bałamuceniu, skoro niedługo zostaniesz moją żoną – wyszeptał w jej szyję.

Zjedli przepyszną kolację, wypili odrobinę zbyt wiele wina, kochali się leniwie i czule. Nazajutrz zjedli razem śniadanie, trochę spacerowali, zachwycając się górami, a Teresa kupiła Teodorowi magnes na lodówkę z napisem „I love Chojnik”, tłumacząc, że powinien to rozumieć „I love Teodor”.

Był już wieczór, gdy wróciła do domu.

– A o której to się wraca do domu, moja panno? – zapytała ze śmiechem Agata.

– Wiem, wiem. Ale to ostatnia szansa, by trochę zaszaleć. Niedługo się ustatkuję. – Teresa wyciągnęła rękę z pierścionkiem.

Jej lokatorkę zamurowało.

– Nie żartujesz? – zapytała, gdy wreszcie mogła mówić.

– Teodor mi się oświadczył. – Teresa opowiedziała wszystko z radością, bo wtedy wydawało jej się, że to dobry pomysł.

A dziś rano obudziła się z myślą, że robi coś straszliwie głupiego. Czowała się jak idiotka. Stała w salonie, gapiąc się przez zapłakane okno na mokry świat, i myślała, jak z tego wybrnąć.

– Cały dzień będziesz tak stała? – spytała Agata.

– Muszę to jakoś odkręcić. Muszę porozmawiać z Teodore.

– Boisz się, że związek oparty tylko na seksie nie przetrwa? – zażartowała tamta. – Ty mówisz poważnie! Ale dlaczego chcesz to odkręcić?

– Bo to głupie.

– A co jest głupiego w byciu szczęśliwą?

– Wszystko. Nie mam prawa. Jestem wdową, Zbyszek nie żyje...

Agata odstawiła kubek z kawą, który trzymała w dłoniach, i podeszła, by objąć Teresę.

– Nie chcę cię martwić, ale nas też to czeka. Więc jeśli masz w planach cieszyć się życiem, to właśnie jest najlepsza okazja. Wiesz, co byłoby naprawdę głupie? – kontynuowała po chwili. – To, o czym teraz myślisz. Jeśli zaczniesz to odkręcać, tylko zranisz Teodora. Nie jest idealny, a to jego pozowanie na intelektualistę naprawdę bywa wkurzające. Gdy zamiast „spróbuję”, mówi „zdegustuję” albo zamiast „poszedłem tam” to „przemieściłem się w owym kierunku”, mam ochotę go palnąć. No ale to największa jego wada, poza tym przyzwoity z niego facet. On cię lubi, to widać, i zależy mu na tobie, więc nie rób niczego głupiego. We wspólnym spędzaniu czasu nie ma nic niewłaściwego. Nawet jeśli to określony sposób wspólnego spędzania czasu. – Zachichotała. – Ślub może być za rok, za dwa, a może nie być go wcale, bo przecież nie masz dwudziestu lat i nie chodzi tu o suknię z welonem, tylko o to, by być z kimś szczęśliwą.

Teresa długo zastanawiała się nad słowami Agaty, lecz choć w końcu przyznała jej rację, wciąż miała wątpliwości.

To, że być może nawalił, przyszło Konradowi na myśl, gdy wszedł do pokoju Kubusia. Synowie wydali serię dzikich pisków, przywarli do niego i nie chcieli puścić, jakby się obawiali, że ojciec znów zniknie. Nie spodziewał się, że mogą tęsknić. Myślał, że takich malców, zainteresowanych tylko zabawą i oglądaniem kreskówek, nie obejdzie nieobecność ojca. Karolina powie im, że Konrad wyjechał, i to wystarczy. Teraz wiedział, że nie wystarczyło. Widział w ich dziecięcych oczach

strach. Jego wyjazd zaburzył spokój panujący w bezpiecznym świecie chłopców. Konrad zagryzł zęby, żeby się nie rozpłakać. Idiota, pomyślał o sobie. Wydawało mu się, że ratuje siebie, załatwia sprawę z żoną i porządkuje własne życie. To, że przy okazji krzywdzi dzieci, nie przyszło mu do głowy.

Usiadł na podłodze i zamknął w mocnym uścisku dwie najdroższe mu na świecie istoty.

– Dlaczego tak długo cię nie było? – zapytał Kuba.

– Mama wam nie mówiła?

– Powiedziała, że wyjechałeś w ważnej sprawie. I wrócisz, kiedy ją załatwisz.

Lojalność żony zrobiła wrażenie na Konradzie. Zrozumiałby, gdyby w złości nastawiała synów przeciwko niemu. Nawet się tego spodziewał, tymczasem Karolina postąpiła inaczej.

– Mama mówiła prawdę.

– Myślałem, że umarłeś – wyznał Kacper.

Konrad przytulił synka jeszcze mocniej i głaszcząc jego delikatne włoski, tłumaczył, że nie umarł, tylko był u wujka Mateusza i załatwiał pewną poważną sprawę dorosłych. Na koniec zapewnił, że nie ma zamiaru umierać.

– Wszyscy umrzemy. Jedna pani z naszej ulicy umarła.

– Wiecie, ile to jest wiek? To sto lat. Bardzo, bardzo dużo. A ja właśnie tyle będę żył, bo pochodzę z długowiecznej rodziny. A wiecie, co to dla was znaczy? To znaczy, że wcale nie musicie się o mnie martwić. – I po chwili dodał: – Gdyby jeszcze kiedyś się zdarzyło, że będę musiał wyjechać, zabiorę was ze sobą.

Te ostatnie słowa wyraźnie uspokoiły chłopców. Ich uściski osłabły i w końcu odkleili się od niego. Zaczęli pokazywać nowe zabawki, opowiadać o lecie, zabawie w ogrodzie i budowaniu domku. Imię „Tomek” pojawiało się często i za każdym razem dźgało Konrada w serce. Złościł się na siebie, a jeszcze bardziej na faceta, który zajął jego miejsce. A już najbardziej zły był na Karolinę.

Postanowił jednak, że nie pozwoli, by zawładnęły nim negatywne emocje, bo to był czas przeznaczony dla synów. Siedział więc przy chłopcach, wśród klocków, samochodzików i plastikowych figurek dziwnych postaci z kreskówek, których nigdy nie oglądał, i cieszył się z bycia ojcem.

Czas upływał, a Konrad zupełnie tego nie zauważył. Dopiero gdy w drzwiach stanęła Karolina i zapytała, czy zje z nimi obiad, zdał sobie sprawę, że minęło południe.

– Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

– Nie sprawisz – powiedziały usta Karoliny. Jej oczy zaś dodały: „Jesteś jednym, wielkim kłopotem”.

Zeszli do kuchni, wypełnionej zapachem zupy pomidorowej, lekko słodkawym i kwaśnym jednocześnie, przypominającym zarówno lato i dom, jak i szkolną stołówkę.

– Pomidorowa – szczerze ucieszył się Konrad, była to bowiem jedyna zupa, która w wydaniu Karoliny naprawdę mu smakowała.

– Przypadek. Nie planowałam uczyty powitalnej. – Skrzypnęła jak dawno nieoliwiony zawias.

– Nawet bym tego nie oczekiwał.

Trzasnęła pokrywką, bo wcale nie kryła złości. Konrad też był zły i mógł jej to okazać. Mogli sobie powiedzieć wiele przykrych słów i w ich efekcie zapalać do siebie nienawiścią. Mogli, ale przecież nie musieli.

– Przepraszam – powiedział. – Możemy spokojnie porozmawiać? – I spojrzał na chłopców.

Żona skinęła głową i zaproponowała malcom, by zjedli przed telewizorem. Przyjęli to z entuzjazmem i chwilę później Konrad i Karolina zostali w kuchni sami.

– Przepraszam. Nie chciałem być dla ciebie niemiły.

– Niemiły! Czy to słowo trafnie oddaje twoje zachowanie? Zostawiłeś mnie samą z dwójką dzieci w chwili, gdy wylewała rzeka. Wyjechałeś i nie dawałeś znaku życia. Martwiłam się, myślałam, że zginąłeś w powodzi... – W jej oczach zakręciły się łzy. Konrad wiedział, że nie są to łzy żalu, tylko wściekłości.

– Rozumiem, że jesteś zła. Przepraszam.

– Nie rozumiesz. Choćby nie wiem co, nie jesteś w stanie zrozumieć emocji, jakie przeżywałam od czasu twojego zniknięcia. Sama ledwo za nimi nadążam. Mówisz o złości. Ja czułam strach, rozżalenie, smutek, rozpacz, bezsilność, wściekłość. Byłam twoją żoną, a ostatnia dowiedziałam się, gdzie jesteś. Zrozumiałam wtedy, jak bardzo można stać się nikim.

– Zdajesz sobie sprawę, że miałaś wpływ na to, co zrobiłem? To twoje naciski wpłynęły na moje decyzje.

Spojrzała na niego z pełnym sarkazmu uśmiechem.

– No, gdyby mi to powiedział Kuba... Tak trudno przyznać, że robiłeś, co chciałeś, a kiedy się rypló, zacząłeś szukać winnych wokół siebie. Zwalić wszystko na Karolinę, jakież to łatwe.

– Nie zwalam na ciebie winy. Chcę ci uświadomić, że wywierałaś na mnie presję, być może nieświadomie, ale tak było. Zgłaszałaś potrzeby, a ja czułem się w obowiązku je zaspokajać.

– Masz rację, nie zwalam na mnie winy, tylko próbujesz we mnie wywołać jej poczucie. Świetna metoda, panie mecenasie, ale się nie uda. Jestem niewinna. Pamiętasz naszą rozmowę o domu? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie powiedziałaś, że go nie chcesz ani że nas nie stać.

Skinął głową. Mylił się, myśląc, że da się przeprowadzić tę rozmowę bez wzbudzania negatywnych emocji. Byli zbyt rozżaleni i zirytowani. To nie jest właściwy moment.

– Nie chcę się z tobą kłócić, ale nie umiem się powstrzymać. Chyba zbyt wcześnie na tę rozmowę.

– Niewątpliwie. – Karolina przyznała mu rację.

Konrad skończył zupę. Chciał poprosić o dokładkę, ale się wstydził.

– Wyjdę na trochę. Przewietrzę się, zajrzę do ojca. Wrócę wieczorem, może wcześniej... – Chwilę się wahał. – Mogę, prawda?

Karolina zastanawiała się, co mu odpowiedzieć.

– Złożyłam wniosek rozwodowy, bo uważam, że skończyło się to, co było między nami. Ale to wciąż twój dom i twoje dzieci.

Podziękował, pożegnał się z synami zapewnieniem, że wróci przed kolacją, i wyszedł. W głowie wciąż dźwięczały mu ostatnie słowa Karoliny, wypowiedziane tak spokojnie, z taką pewnością siebie. Zmieniła się, zauważył.

Właściwie nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Chciał zakończyć tę rozmowę, tylko tyle. Stał na ulicy i rozglądał się, jakby nie był na Różanej od wieków. Szukał zmian, które tu zaszły, tak jak dziecko szuka szczegółów różniących dwa obrazki. Z ogrodu Teresy Domańskiej zniknęło drzewo, takie niezbyt wysokie, kuliste, rosnące niedaleko willi. To chyba był klon. Dom na skraju ulicy nie stał w chaszczach, tylko na pustym placu. Po ścianie segmentów biegła linia, znacząca miejsce, do którego sięgnęła woda. Niewiarygodne, jak dużo musiało jej być.

Konrad, nie mogąc sobie wyobrazić ogromu tragedii, ruszył w stronę Młynówki. W tej chwili na ulicę wyszła Sylwia i dosłownie wpadli na siebie.

- Konrad? Gdybym nie była taka wściekła, powiedziałabym, że miło cię widzieć.
- Ja też się cieszę. – Uśmiechnął się, jak umiał najuprzejmiej. Starał się nie patrzeć na jej brzuch.
- Dawno cię nie widziałam. Co słychać?
- Chcesz słuchać nudnej historii o sprawach zawodowych?
- Kto by nie chciał? Ale może nie dziś? – Dała mu znać, że to żart.
- Jasne. Kiedy indziej zaproszę cię na drinka.
- To minie jeszcze sporo czasu. – Pokazała na brzuch. – Jeśli chcesz być miły, daj sobie spokój z gratulacjami.

Posłuchał jej, a ponieważ nie przychodziło mu do głowy nic sensownego, co mógłby powiedzieć, stał bez słowa.

- Będziesz tak tkwić na deszczu i milczeć?
- Zamierzałem iść nad rzekę, zobaczyć, jak wygląda, ale straciłem na to ochotę i teraz nie wiem, co mógłbym robić – wyznał szczerze.

Sylwia wyglądała tak, jakby chciała powiedzieć: „Na mnie nie licz, nie pomogę ci”. A jednak, ku swojemu zaskoczeniu, usłyszał coś innego:

- Jestem wściekła na wszystkich facetów. Czy jako przedstawiciel gorszej połowy ludzkiego gatunku chcesz posłuchać, jak wam złorzeczę?
- Mówisz poważnie?
- Poniekąd. Jestem wściekła, a podobno nic tak nie poprawia humoru, jak zakupy. Niestety, najbliższy sklep z odpowiednią dla mnie odzieżą jest w dużym centrum handlowym. Problem polega na tym, że ostatnio nie lubię prowadzić. Szofer mile widziany.

Czy to aby dobry pomysł? Nie wiedział, o czym i jak miałyby rozmawiać z Sylwią. Z drugiej strony nie było go w domu szmat czasu, a nie przywiózł nic chłopcom. Fajnie byłoby wejść wieczorem do domu z prezentami i zobaczyć podniecenie w oczach synów. Przy okazji pomoże Sylwii.

- Zaparkowałem przed domem.
- Pojedziemy moim, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – I wręczyła mu kluczyki.

Centrum handlowe mieściło się na przeciwległym krańcu miasta, w dzielnicy zwanej przemysłową, dawniej bowiem mieściły się tu zakłady przemysłu bawełnianego. Przed wojną produkowane w nich materiały podbijały zachodnią Europę, po wojnie, wiadomo, wschodnią. Nie wytrzymałszy zmiany ustrojowej, zakłady upadły, a wielkie tkalnie opustoszały. Kilka lat temu powstał śmiały projekt przywrócenia życia w tej części Rubinia. Powstało tu centrum konferencyjne, mały hotel i SPA. Największą radość mieszkańców wzbudziła wszakże wieść o adaptacji jednego z budynków na galerię handlową, bo oznaczało to, że nie trzeba będzie już jeździć na zakupy do Zgorzelca czy Jeleniej Góry. Galerię szczególnie polubili emeryci i dzieciaki, które, urwawszy się z lekcji, mogły posiedzieć w ciepłym, suchym miejscu, nie narażając się na spotkanie z nauczycielami czy rodzicami.

- Konrad zaparkował możliwie najbliżej wejścia i widząc nieporadność Sylwii, pomógł jej wysiąść.
- To dokąd idziemy?
- Do sklepu z odzieżą. Ciężową. Ledwo wbiłam się dziś w żakiet.
- Dziwne, wcale nie widać, że jesteś w ciąży. – Chciał być miły, lecz po jej spojrzeniu poznał, że nie wyszło.

- Sugerujesz, że już wcześniej byłam gruba?
- Skądże! Moim zdaniem bardzo ładnie wyglądasz. – Wysunął ramię, żeby mogła się oprzeć, ale udała, że nie zauważyła tego gestu, i ruszyła ku wejściu.

Bez słowa podążył za nią.

W witrynach butików, które mijali, stały anorektyczne manekiny ubrane w odzież w najmniejszym możliwym rozmiarze. Wystawa w sklepie dla ciężarnych różniła się znacznie. Konrad od razu się zorientował, że dotarli na miejsce.

Ekspedientka, na oko pięćdziesięcioletnia, powitała ich pytaniem, czy może pomóc, a gdy Sylwia odpowiedziała, że na razie tylko się rozgląda, tamta, uśmiechnąwszy się przyjaźnie, przyjęła pozę grzecznego oczekiwania. Podobnie jak Konrad, który nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić, stanął więc w kącie z miną, która miała mówić, że jest gotów do pomocy, gdy tylko zajdzie taka potrzeba.

Tak naprawdę był zmęczony. Całonocna jazda pociągiem, poranek spędzony z synami. A teraz, gdy powinien być ze swoimi dziećmi albo odsypiać zarwaną noc, patrzył na Sylwię, która z irytacją w oczach przesuwiała wieszaki.

– Jak nazywała się ta konstrukcja na grzbiecie wielbłąda, w której podróżowała Nel? – zapytała nagle. – Palankin? Te wszystkie rzeczy wyglądają jak palankiny.

Roześmiał się, choć to wcale nie był żart, i zaproponował, by coś przymierzyła, a sprzedawczyni natychmiast przyznała mu rację. Sylwia wybrała niechętnie trzy bluzki i ruszyła do przebieralni.

– Pokażesz się? – zapytał.

– Nie. Ale rzeczywiście ta jedna jest niezła.

– Szycie inne. – Ekspedientka stanęła obok Konrada. – I to dlatego na wieszaku nie wygląda dobrze. Dopiero jak wypełni się brzuszkiem, widać, jak ładnie leży.

Po chwili Sylwia wyszła z przebieralni w swoim starym stroju i oświadczyła, że potrzebuje jeszcze spódnicy. Rozkręciła się, pomyślał Konrad. Znał ten scenariusz. Szli z Karoliną tylko do jednego sklepu i tylko po jedne skarpetki. Początkowo nie było nic ładnego, ale wystarczyło, że na chwilę weszła do przymierzalni. Ogarniało ją szaleństwo, biegała po sklepie albo wysyłała Konrada, bo „jeszcze ta różowa albo zielona, rozmiar większa, rozmiar mniejsza i spytaj, czy nie mają do tego sweterka w tym samym odcieniu. I jeszcze spodnie, ale inny krój, bo te mnie pogrubiają, no ale to nie o tę bluzkę mi chodziło, tylko o tamtą”.

Gdy chwilę później Sylwia poprosiła go, by zapytał, czy nie ma takiej spódnicy w większym rozmiarze, doszedł do bardzo filozoficznego wniosku, że wszystkie kobiety są ulepione z tej samej, zakupoholiczkowej, gliny.

– Jest rozmiar większa? – Podał ekspedientce spódnicę.

– Takiej nie mam, ale znajdziemy dla żony coś innego.

– To nie jest moja żona. – Konrad postanowił wyjaśnić pomyłkę.

Uśmiech sprzedawczyni był pełen matczynego zrozumienia dla młodych, niedoświadczonych ludzi.

– Proszę pana, ja wiem, jakie teraz są czasy. Ale ja się nie będę zastanawiać za każdym razem, gdy wchodzącej do sklepu kobiecie w ciąży towarzyszy mężczyzna, czy on jest jej partnerem, konkubentem, narzeczonym czy chłopakiem. Ja jestem staromodna i dla mnie ojciec dziecka to mąż. – Kolejnym uśmiechem usprawiedliwiła swoje przedpotopowe poglądy.

Konrad uznał, że nie będzie brnął w tłumaczenia. Wziął naręczne ubrań i zaniósł je Sylwii. Pół godziny później ona zapłaciła za zakupy, a on pozwolił się objuczyć torbami.

– Mierzenie ubrań w moim stanie to wyczerpujące zajęcie – sapnęła. Humor wyraźnie jej się poprawił. Wiadomo, kupiła nowe ciuchy. – Teraz zabawkowy?

– Jeśli jesteś zbyt zmęczona, mogę cię odwieźć i wrócić później.

– No co ty? – Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. – Chodź, kupimy coś fajnego twoim chłopakom.

Weszli do sklepu, gdzie półki dosłownie ugięły się pod zwałami pluszu i plastiku. Jakże inaczej niż w czasach jego dzieciństwa. „Och, co ty możesz wiedzieć o siermiężnych latach Peerelu”, śmiała się Sylwia, gdy Konrad podzielił się z nią spostrzeżeniem. Nie protestował, by rozważania o ułomnościach poprzedniego systemu nie zmieniły się w rozmowę o dzielącej ich różnicy wieku. Według Konrada nie miała ona znaczenia, ale Sylwia mogła to odczuwać inaczej. Kobiety są jakoś dziwnie wyczulone na tym punkcie. Dlatego, by zmienić temat, zapytał:

– Wiadomo już, jakiej płci będzie dziecko?

– Dziewczynka.

– To cudownie! – wykrzyknął.

– Twój entuzjazm jest miły, ale wołałabym chłopca.

– Dziewczynki są słodkie.

– A później dorastają i uświadamiają sobie, że świat jest pełen fajnych facetów, a ty uświadamiasz sobie, że każdy z nich ma siusiaka i prawdopodobnie nieczne zamiary. – Westchnęła. – Miałyśmy z Julką trochę gorszych dni. Twój przyjaciel był ich przyczyną.

– Mateusz? – Konrad udął, że nic nie wie.

– Zakochała się w nim jak głupia.

– Pewnie nawet nie zauważył. Traktuje ją jak dziecko z sąsiedztwa. – Konrad celowo użył słowa „dziecko”.

– Tak myślisz? – zapytała z nadzieją w głosie Sylwia.

– Oczywiście. Gdyby cokolwiek się między nimi wydarzyło, Mateusz powiedziałby mi o tym.

– To dobrze – ucieszyła się. – Wiesz, złamane serce się zagoi, a stracona cnota nie. Jestem raczej nowoczesna, ale wołałabym, żeby pierwszy raz zrobiła to z kimś, dla kogo będzie to miało znaczenie. Rozumiesz?

Skinął głową, myśląc, że gdyby w rozmowach z Karoliną rezygnował z wygłaszania własnej opinii, by nie psuć żonie humoru, ich małżeństwo nie byłoby pasmem sprzeczek o drobiazgi. Teraz jednak dojrzałe uznał, że zamiast roztrząsać znaczenie „pierwszego razu”, lepiej skupić się na zakupach.

W końcu zdecydowali się na klocki Lego – ciężarówkę i samochód strażacki. Gdy Sylwia od siebie dorzuciła zestaw resoraków z rampą, poczuł się w obowiązku kupić coś dla jej córeczki. Miś wydawał się oczywisty, ale żaden nie był, zdaniem Konrada, odpowiedni. I wtedy wpadła mu w ręce pluszowa kaczuska. Gdy pokazał ją Sylwii, ta aż pisnęła.

– Przesłodka. Mała będzie ją uwielbiać.

– Jeszcze nie masz dla niej imienia?

– Nie miałam czasu o tym pomyśleć. Masz jakieś propozycje?

– Tylko jedną. Klara.

– Ładnie. Skąd ci to przyszło do głowy?

Wzruszył ramionami, jakby nie wiedział. Nie chciał mówić, że to drugie imię jego matki, wpisane tylko w akcie chrztu. Dowiedział się o tym przypadku, gdy w czasach studenckich badał historię rodziny. Mamę ochrzczono jedenastego sierpnia i pewnie na cześć patronki tego dnia dostała drugie imię, które nie miało już szans znaleźć się w oficjalnych dokumentach.

Gdy wsiadali do samochodu, byli w diametralnie innych nastrojach niż wtedy, gdy z niego wysiadali. Sylwia śmiała się i żartowała. Konrad był zadowolony, że zgodził się z nią jechać.

Ruszyli już, gdy odezwał się jej telefon. Czar natychmiast prysł.

– Tak, dzisiaj... Nie, nie dostałam wyników testu – warczała w słuchawkę. – Nie wszystkie mają ten sam czas realizacji. Tak myślę. Przyjdź, to porozmawiamy... Jak to, na weekend do Poznania? Po co?... To po niedzieli... Nie, nie będę z tobą rozmawiać przez telefon.

Uderzyła w ekran dotykowy z taką gwałtownością, jakby chciała, by rozmówca usłyszał trzask rzucanej słuchawki.

– Twój brat – poinformowała.

– Wszystko w porządku? – spytał Konrad.

– Oczywiście, że wszystko w porządku. – I łąza stoczyła się po jej policzku.

Na zapleczu kwaciarni Aldony Tarach siedzieli pan Henryk, Joaśka i Grażynka. Pili kawę i rozmawiali o Różanej. Mieli się spotkać w kawiarni, ale Aldona nie chciała zamykać sklepu, bo a nuż trafi się klient, który zapomniał o jakiejś Teresie czy Danucie. Ogrody przestały już robić jej konkurencję, a storczyki i fiołki, ozdabiające witrynę, wyglądały szczególnie w taki deszczowy, szary dzień. Joaśka trochę marudziła, w końcu skapitulowała.

– W tym roku wszystko jest inaczej. Inny skład komisji, inne terminy, inne miejsce spotkania. To przez tę powódź. W zasadzie powinniśmy zrezygnować z konkursu, ale jakoś głupio odbierać tym kobietom jeszcze to. Zwłaszcza że w przyszłym roku zmienią się zasady. Do rywalizacji stanie cała dzielnica – powiedziała.

Aldonie zrobiło się przykro. Poczuli się tak, jakby pozbawiono ją czegoś ważnego. No bo dlaczego nagle cała dzielnica? Przyszłoroczny konkurs już w tej chwili stracił w jej oczach prestiż. I choć początkowo zamierzała kupić pączki na obrady, zrezygnowała z tego pomysłu. Kawa nam wystarczy, zdecydowała.

Obrady były burzliwe. Grażynka obstawała przy tym, by dać nagrodę Agacie Brzozowskiej, bo nie tylko miała pomysł na ogród, ale też wykazała się niesamowitą konsekwencją w jego realizacji. To, że woda zniszczyła dzieło, nie jest powodem, by karać ogrodniczkę.

Pan Henryk był innego zdania. Uważał, że to Leokadii Jezierskiej należy się nagroda za całokształt pracy. Przez te wszystkie lata Leokadia zwyciężała częściej niż którakolwiek z mieszkanek Różanej. A zważywszy, że przyszły rok przyniesie zmiany, warto nagrodzić najlepszą.

– Nawet jeśli dopuści pan do konkursu całe miasto, to i tak Leokadia Jezierska będzie najlepsza. A uważam, że jeśli już dawać jej nagrodę za całokształt, to właśnie w przyszłym roku, przy większej konkurencji – zaoponowała Grażynka.

Joaśka najpierw zasugerowała Teresę Domańską, ale natychmiast przypomniano niechlubną historię jej męża. Wtedy zasugerowała Janinę Krupską. Uznano jednak, że ogród Krupskiej jest trochę nudny. Od lat tylko niebieski i pomarańczowy, ileż można patrzeć na takie zestawienie kolorów?

Aldona słuchała ich, od czasu do czasu spoglądając na zegar. Wyglądało na to, że obrady przeciągną się do wieczora. Czemuż ci dwoje są tacy uparci? Wszystkie ogrody były piękne i wyjątkowe. Ich właścicielki poświęciły im mnóstwo pracy. Widać było, jakie znaczenie mają dla nich te małe skrawki ziemi. Gdyby każdy tak dbał o przestrzeń wokół siebie, świat byłby niesamowicie piękny. Według Aldony ogrody różniły się niuansami i ona sama, gdyby miała wybierać, zdecydowałaby się na ślepy los, bo uznać któryś z nich za najpiękniejszy było niemożliwością. Wiedziała jednak, że taka propozycja wzbudzi oburzenie, a miała nadzieję, że w przyszłym roku zaproponują jej udział w komisji, a nie tylko zastępstwo. Dlatego też podsunęła pewien pomysł, a tamci oboje się zgodzili.

Deszcz, kropla za kroplą, zmywał kolory z jesiennego świata. W słońcu widać było czerwienie, żółcie, brązy, a nawet biel. Teraz wszystko stało się bure. Tak jakby na dziecięcy malunek ktoś wylał kubek wody, pomyślała Agata. Bez względu na to, jak kolorowy był obrazek, stanie się moką, szarą plamą. Cóż, taka właśnie jest jesień w swojej drugiej połowie; niebo jak ołów, chmury odlane z rtęci, zimny wiatr wciska odrobiny wilgoci w najmniejsze zakamarki. I wtedy nie ma się już nadziei na pogodne dni, wówczas wyczekuje się mrozu i śniegu, bo jest w nich więcej optymizmu niż w tym świecie z czerni, szarości i deszczu.

– Powinno się jeszcze wypogodzić na kilka dni. – Teresa jakby słyszała jej myśli. Agata odsunęła się od okna.

– Deszcz działa na mnie przygnębiająco.

– Nic dwa razy się nie zdarza. Już nas zalało, więc to się nie powtórzy.

– Porozmawiaj z mieszkańcami Kozanowa.

Teresa podeszła do Agaty, położyła ręce na jej ramionach i patrząc swojej lokatorce głęboko w oczy, zapewniła, że wszystko będzie dobrze i nie ma się czego bać. W zapewnienie, że tamta niczego się nie boi, nie uwierzyła.

– Tak? To dlaczego zatrzymałaś swoje życie?

– O czym ty mówisz?

– Od czasu powodzi tkwisz w miejscu. Nie rozstałaś się z mężem, ale też do niego nie wróciłaś. Przyczaiłaś się jak takie zwierzątko, co mieszka w norce i nie wystawi nosa, póki nie minie zagrożenie. Problem polega na tym, że twój strach nie minie.

Agata objęła Teresę i powtórzyła, że niczego się nie boi, niczego też nie zatrzymała. Po prostu daje Michałowi nauczkę – to wszystko. W odpowiednim momencie wróci do męża.

– Może właśnie w tej chwili jest ów moment. – Tamta ruchem głowy wskazała na alejkę, którą szedł Michał. – Porozmawiajcie sobie spokojnie, ja idę na górę.

No dobra, może Agata naprawdę trochę się bała, bo kiedy otwierała drzwi, serce jej biło z niesamowitą gwałtownością. I cieszyła się, że obok jest Freddy, który obskakiwał dawno niewidzianego pana, absorbując całą uwagę Michała. Agata miała czas, by uspokoić oszalałe serce.

Zapytał, czy może wejść, a ona odpowiedziała, że owszem. Zaproponowała herbatę, bo pogoda paskudna. Opowiedziała trochę o Freddy. W końcu zapytała, co słysząc, i z uwagą wysłuchiwała opowieści o projekcie, nad którym pracują teraz z Olgierdem.

– Musimy porozmawiać – rzucił nagle Michał stanowczym tonem.

– Przecież rozmawiamy.

– Nie o pierdołach. O nas.

Nie wiedząc, co powinna odpowiedzieć, Agata nie mówiła nic.

– Kochasz mnie jeszcze?

– Oczywiście, że cię kocham. Równie mocno, jak na początku.

– Więc dlaczego to robisz?

Kusiło ją, by zapytać: „Co?”, i w ten sposób zmienić rozmowę w przepychankę słowną, która przerodzi się w sprzeczkę. Wtedy Michał wyjdzie wzburzony, a ona, Agata, będzie mogła zwalić na niego całą winę i dzięki temu stan, w którym trwają, pozostanie niezmienny.

– Bo zraniłeś mnie swoją zazdrością i fałszywym oskarżeniem.

– Przeprosiłem.

– Wybaczenie nie następuje automatycznie po usłyszeniu słowa „przepraszam”.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Chciałbym jednak, żeby już nadeszło. Tęsknię za tobą, brakuje mi twojego towarzystwa. Z niczym sobie nie radzę. Czuję się tak, jakby mi uciekało coś ważnego, i to mnie przygnębia. – W tej chwili sięgnął do kieszeni, wyjął pęk kluczy i podał je Agacie. – Skończyli remont. Możemy...

W tym momencie ukląkł, co ją zupełnie zaskoczyło. Powiedział, że jest kobietą jego życia i kocha ją nad wszystko na świecie. Wie, że był idiotą, ale już więcej tego nie zrobi. Miłość czyni niektórych mężczyzn niewiarygodnymi głupcami. Jednak za błędy młodości i miłości nie powinno się człowieka karać, bo zarówno jedno, jak i drugie odbiera rozum.

Gdy on tak klęczał i mówił, ona myślała o tym, że choć jest wzruszona, w głębi serca wciąż ma poczucie krzywdy, jak człowiek, który został niewinnie skazany. Chciała wrócić do Michała, a jednocześnie miała świadomość, że tak naprawdę nigdy mu nie wybaczy. Chyba że... To, co wymyśliła, było głupie i nierozsądne. Z drugiej zaś strony logiczne i sensowne. Zrobi to, o co Michał ją oskarżył. Jeśli temat kiedyś wróci, a miejmy nadzieję, że nie, ale nawet gdyby, nie zrani, nie wywoła gniewu. Będą kwita.

– I jaka jest twoja decyzja?

– Jeden warunek. Ja wybieram meble do sypialni.

Michał wykrzyknął, że co tylko zechce, zerwał się i zamknął ją w ramionach, tuląc jak mógł najmocniej.

– Możemy to zrobić w ten weekend – powiedział.

– Umówiłam się z dziewczynami – skłamała. – Meble kupimy w przyszłym tygodniu.

– Nie bierze się rozwodu po to, by na każdym kroku potykać się o gacie byłego męża! – wykrzykiwała Marta, zła jak burza z piorunami, a Leokadia chichotała cichutko.

Nie wyobrażała sobie, że na stare lata będzie miała okazję patrzeć na coś równie zabawnego, jak utarczki tych dwojga. Jeśli siłę uczucia oceniać według „Kto się lubi, ten się czubi”, tych dwoje lubiło się niezmiernie. Nie przepuścili okazji, by sobie dokuczyć.

Na przykład Marta zamieniła zawartość cukiernicy na sól. W odwecie Olgierd włożył do pralki swoje czarne skarpetki, gdy Marta prała białe bluzki. Śmiał się z zadanych strat, ale tylko do chwili, gdy przyszło rzeczony skarpetki włożyć. Okazało się bowiem, że każda ma wycięcie akurat na paluch.

– Jak ci źle, to się wyprowadź – odpowiedziała Marta na jego oskarżenia.

– Mowy nie ma – oświadczył, czym uradował Leokadię. Bała się bowiem, że któreś z nich podda się zbyt wcześnie, a nie taki był plan.

Ci dwoje wiele razem przeszli i kochali się miłością jedną na milion. Niestety, nie potrafili ze sobą rozmawiać, zamieniać przykrości w żarty, przebaczać przewin, przeproszać w odpowiedniej chwili. Słowem, nie potrafili ze sobą normalnie żyć.

A przecież można się tego nauczyć. Leokadia miała jedno takie wspomnienie z zamierzchłej przeszłości, ze świata, który już nie istniał, a w którym ona sama była małą Leosią. To musiało być latem, bo herbatę pito w ogrodzie. Przy stoliku siedziały babka i matka. Ta, przekonana, że zajęta zabawą dziewczynka nie słyszy rozmowy, zaczęła się skarżyć na męża.

– Nie będę tego słuchać, moja droga – ucięła babka.

– Ależ mam, on...

– Niczym nie różni się od innych mężów.

– To nieprawda. Jest okropny.

– Owszem. Tacy właśnie są wszyscy mężczyźni. I bądź uprzejma przypomnieć sobie, że ci o tym wspominałam. Skoro jednak postanowiłaś nie wytrwać w panińskim stanie, musisz pogodzić się z rzeczywistością. Teraz, gdy z oczu spada zasłona wielkiej miłości, jest najtrudniej. Potrzebujesz czasu, żeby się przyzwyczaić. Z małżeństwem jest jak z nowym pantoflem, początkowo uwiera, jednak im dłużej go nosisz, tym staje się wygodniejszy.

Matka, nieprzekonana tymi słowami, zaczęła coś mówić, ale babka uciszyła ją gestem.

– Zapamiętaj sobie, moja droga, że małżeństwo to ciągłe ustępstwa.

– Kiedy on nie chce ustępować.

– On? Cóż on ma do tego? Mówię o tobie.

Leokadia uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Kiedy była mała, nie przepadała za babką, bała się jej. Dziwne, bo to była bardzo mądra kobieta. Gdyby dziś dane im było się spotkać, niewątpliwie zaprzyjaźniłyby się serdecznie, a babka udzieliłaby wnuczce kilku rad, jak uczyć życia tę dwójkę młodych ludzi.

Na razie trwała między nimi wojna, ale przyjdzie dzień rozejmu. A potem nastąpi pokój, zwany „długo i szczęśliwie”.

Janusz zdziwił się, widząc Konrada stojącego na progu. Czy jest ojciec? Nie, jeszcze go nie ma, za wcześnie na niego, ale wejdź, poczekaj. Piwa może? Nie, dziękuję. Ostatnio sporo piłem, brzuch mi urósł. To fakt, jesteś za młody na taki brzuch.

Siedli w kuchni, Janusz na swoim ulubionym krześle z widokiem jednocześnie na ogród i drzwi wejściowe. Za skarby świata nie usiadłby do nich tyłem. Konrad nie miał takich zahamowań, bo wybrał miejsce naprzeciwko niego. Milczeli, nie bardzo wiedząc, o czym rozmawiać. Krupskiemu przychodziło do głowy sporo pytań, ale bał się, że urazi czymś młodego Jezierskiego. Czas mijał.

– Już po dziewiątej – zauważył Konrad.

– Nie spodziewaj się ojca przed jedenastą. To coś pilnego?

– Chciałem się przywitać. Dziś przyjechałem.

Janusz wiedział, rozmawiał już z synem, udał jednak, że to dla niego pewne zaskoczenie.

– Tak właściwie nie chodzi mi o to, żeby się przywitać z ojcem – kontynuował Konrad. – Chciałem, żeby mnie przenocował. Między mną a Karoliną...

– Nie musisz kończyć. To krótka ulica, z jednego końca widać drugi. Wiem, co się dzieje.

– Nie mam do niej żalu. Tylko tak jakoś niezręcznie. Ani się kłaść w sypialni, ani na kanapie.

– Miałem ten sam problem. I tak samo go rozwiązałem. Nocuję u twojego ojca i prawie wszystkim to pasuje.

– Prawie?

– Tadeusz nie jest zbyt szczęśliwy.

Konrad się roześmiał i opowiedział Januszowi o tym, jak Mateusz, nie mogąc już znieść towarzystwa przyjaciela, zaczął przesiadywać w pracy po godzinach.

– No a ponieważ nie miałem gdzie się podziać, nadużywałem jego przyjaźni i gościnności.

– Sporo nas łączy – zauważył Janusz.

– Nie sądzę, by robił pan takie rzeczy jak ja.

– Mógłbym powiedzieć, że masz rację, że zawsze byłem uczciwym człowiekiem. Ale to nieprawda. Zdarzało mi się bywać w życiu bydlakiem. Są takie sytuacje, kiedy się wydaje, że nie można postąpić

inaczej.

– Zawsze można.

– A myślałeś tak, kiedy to wszystko się działo? No widzisz. Czasem brak nam doświadczenia, czasem odwagi, a czasem po prostu chcemy postąpić po świńsku, takie życie.

Wstał i wyjął z lodówki dwie butelki piwa. Jedną dla siebie, drugą dla Konrada. Stawiając ją przed nim na stole, powiedział:

– Zaczynj biegać. Od tego szybko się chudnie.

– Ojciec musi pana bardzo lubić – zauważył Konrad. I widząc pytające spojrzenie Janusza, wyjaśnił: – On nie znosi piwa.

– Możliwe, że mnie lubi. Możliwe, że tylko toleruje, bo nie ma nikogo innego. Takie sprawy trudno rozgryźć.

– Moim zdaniem lubi. Pan jest podobny do Mateusza...

Janusz prychnął śmiechem.

– No toś mi powiedział komplement, że tylko w mordę dać.

– Kiedy to prawda. Mateusz też udaje kogoś innego. Całkiem dobrze mu to zresztą wychodzi. Ludzie, którzy go nie znają, widzą w nim twardziela, podrywacza, cynika. To wszystko płaszcz uszyty z kłamstwa, by ukryć to, co pod spodem. Nie znam lepszego człowieka i, poza moimi chłopakami, nikogo nie kocham tak, jak Mateusza. Mam nadzieję, że spotka go w życiu samo szczęście, bo on, kurczę, zasłużył sobie na to.

Janusz szybko zamrugał. Jakoś go ta lojalność Konrada wobec przyjaciela wzruszyła. Było mu też wstyd, bo od czasu, gdy nakrył ich w dziwnej sytuacji, podejrzewał seksualny kontekst tego związku. Sam, w młodości nie doświadczywszy prawdziwej przyjaźni, nie był w stanie zrozumieć ich relacji. Mateusz miał szczęście, że trafił na Konrada.

– Mateusz ma szczęście, że na ciebie trafił.

– Nie. To ja mam szczęście, że trafiłem na niego.

I zaczęły się opowieści o tym, jak chodzili nad rzekę, by czytać współczesnych filozofów, jak Mateusz pomagał Konradowi przygotowywać się do matury, jak pierwszy raz palili papierosy i pili ukradzioną Januszowi wódkę. Były wspomnienia nocnych włóczęg po Rubiniu, podrywania dziewczyn, studenckich imprez, w których nieletni Mateusz nie powinien był uczestniczyć.

– Karolina kazała mi wybierać. A Mateusz wybaczył mi mój wybór – zakończył Konrad.

Janusz rozumiał, jak wiele tamten ma żalu do siebie i żony.

– Nie ma tego złego... masz fajnych synów, a zrozumiałeś swój błąd trzydzieści lat wcześniej niż ja. Masz wystarczająco czasu, by zacząć od nowa.

– Tak pan myśli?

– Jasne. Nawet ja próbowałem. Z twoją ciotką. Wiesz, mieliśmy się ku sobie w młodości...

– Pamiętam ten jej wieczór poezji. – Konrad roześmiał się ciut za głośno. Oczy mu się już trochę szklily, widać nie miał mocnej głowy. – Mateusz mnie zaciągnął, inaczej bym nie poszedł. To na pewno jedna z tych rzeczy, których nie żałuję.

– To trochę inaczej niż ja. Wyszedłem na idiotę na oczach całego miasta.

– Kto o tym teraz pamięta?

– Ja!

– No to powiedziałbym, że mało osób.

Wybuchnęli tak gromkim śmiechem, że Januszowi aż łzy popłynęły z oczu. Ocierał je otwarcie,

przecież takich łez od śmiechu facet nie musi się wstydzić.

– A wracając do pana i mojej ciotki?

– Okazało się, że miłość z czasów młodości nie przetrwała próby czasu.

– Szkoda.

– Warto było spróbować. I tego akurat nie żałuję, czegoś się nauczyłem. – A gdy Konrad posłał mu pytające spojrzenie, wyjaśnił: – Widzisz, życie jest jak rzeka, płynie tylko w jedną stronę. Nie da się go zawrócić, choćby nie wiem co, więc jeśli czegoś nie zrobisz w odpowiednim momencie, możesz nie mieć drugiej szansy. Zwłaszcza że czasu coraz mniej, a człowiek coraz starszy.

– Co z tego wynika?

– Dla mnie już nic. Ale ty jesteś jeszcze wystarczająco młody, by iść za głosem serca, zamiast tkwić w nieudanym małżeństwie. Chyba że się mylę, a ty kochasz żonę. Jeśli tak, to idź, zerwij z łóżka jej kochasia i obij mu mordę.

Konrad milczał długą chwilę.

– Nie. Raczej nie będę go budził.

Janusz z aprobatą skinął głową; jego zdaniem to była mądra decyzja. Wstał, sprzątnął ze stołu i przetarł go papierowym ręcznikiem, bo Tadek nie lubił, gdy blat był upačkany. Potem zaproponował, by poszli spać. Nie ma sensu siedzieć i czekać. Konrad może przywitać się z ojcem rano.



Rozdział ósmy

Róża Papa Meilland

Dotąd nie wyhodowano róży o czysto czarnej barwie płatków. Odmiany zaliczane do czarnych mają w rzeczywistości tylko większe ilości czerwonego barwnika, antocyjanu. Róża Papa Meilland jest jedną z takich odmian. Jest to jedna z trudniejszych w uprawie róż, jednak gdy zakwitnie, rekompensuje ogrodnikowi wszystkie starania. Kwiaty jej mają barwę głębokiego bordo z aksamitnym czarnym połyskiem, są duże, eleganckie w formie, pojedyncze na końcach długich zielonooliwkowych pędów, niezbyt gęsto pokrytych zarówno kolcami, jak i liśćmi. Świetnie nadają się na kwiat cięty.

Po niedzieli powinna następować kilkugodzinna luka, która pozwoliłaby na oswojenie się z myślą, że wolne się skończyło. Ponieważ nikt na to nie wpadł, poniedziałkowe ranki są fatalne. Jeszcze zaspani mamy nadzieję, że wciąż trwa weekend, a gdy dociera do nas smutna prawda, jesteśmy źli. Źli na wszystko – na pogodę, pracę, na ludzi i świat.

Zdarza się jednak, że niedziela dostarcza tak pięknych wspomnień, że humoru nie potrafi nam zepsuć nawet najpaskudniejszy poniedziałkowy ranek.

Agata już nie spała. Leżała z wciąż zamkniętymi oczyma i starała się miarowo oddychać, by oszukać Freddy'ego. Tak przyjemnie było leżeć w ciepłej pościeli i wspominać to, co wydarzyło się kilkanaście godzin wcześniej.

Siedzieli z Mateuszem przy drewnianym stole w górskim schronisku i pili herbatę, gorącą tylko z nazwy. Ulewny deszcz zgonił ich ze szlaku. Agata nie narzekała. Wystarczyło, że przeszła sto metrów szlakiem, by przypomniał jej się Grześ Geolog i wszystko, co z nim związane – pęcherze na stopach, pot lejący się wzdłuż kręgosłupa i wsiąkający w majtki, otarcia na ramionach od plecaka. Niestety, zapomniała już, jak bardzo nie lubi gór, bo inaczej nigdy nie zgodziłaby się na tę wyprawę. Ten deszcz był wybawieniem.

Mateusz miał minę markotną, jak dziecko, któremu popsuto zabawę.

– Nie przejmuj się – pocieszyła go Agata. – Pogoda w górach jest jak kobieta.

– Ładna?

– Zmienna.

– Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że kobiety są zmienne.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Serio. Kobiety są ładne, zabawne, dowcipne, czasem złośliwe. Ale w uczuciach są bardziej stałe niż mężczyźni.

– Masz o nas dobre zdanie. Skoro jednak jesteśmy tak stałe w uczuciach, jak mówisz, to co robię tu ja, męzatka?

– Sprawdzasz – odpowiedział, patrząc jej w oczy. Z trudem wytrzymała jego spojrzenie.

Powinna usiąść obok Mateusza, łatwiej byłoby rozmawiać i widziałyby góry. Nie, lepiej nie

patrzyć, nic szczególnego, tylko denerwują swoim widokiem. Zapytała więc, co niby takiego mogłaby sprawdzać.

- Sprawdzasz, czy naprawdę kochasz swojego męża, czy tylko tak ci się wydawało.
- A ty masz mi pomóc znaleźć odpowiedź na to pytanie.
- Nie, ja jestem tu dlatego, żeby się przekonać, jak bardzo jestem w tobie zakochany.
- Nie wiedziałam, że jesteś.
- Nie udawaj.

Poprosili o dwie kolejne herbaty. Nad kubkami unosiły się smużki pary, ale tylko dlatego, że w pomieszczeniu było zimno. Wodzie, którą wiano do kubków, daleko było do wrzątku. Agata łyknęła napoju.

– Jak w dowcipie o bacy. „Baco, macie wrzątek?”. „Mam, ino zimny”. – Ale gdy Mateusz zaproponował, że pójdzie do kuchni po naprawdę gorącą herbatę, powstrzymała go. – Tak tylko narzekam. To co będziemy robić? – zapytała po chwili.

- Porozmawiamy?
- O czym?
- O książkach, filmach, filozofii.
- A nie o nas?

– „Nas” jeszcze, moja droga, nie ma. Nie ma więc o czym rozmawiać. Dlatego filmy są dużo ciekawszym tematem. Gdybym chciał ci zaimponować, mogłem wynająć pokój w jakimś drogim hotelu i teraz, leżąc na szerokim łóżku, mogliśmy oglądać jakiś film, najlepiej szwedzki.

- Dlaczego?
- Szwedzkie kino jest jednocześnie najbardziej ambitne i najnudniejsze.
- Dlaczego więc nie zabrałeś mnie do drogiego hotelu?
- Ponieważ nie jesteś typem dziewczyny, której tego rodzaju powierzchowność mogłaby zaimponować.

– No co ty? Widziałeś mój samochód? Mój dom? Moje ciuchy? Uwielbiam tego rodzaju powierzchowność.

– Między tym, jak my sami siebie widzimy, i tym, jak chcemy, żeby widzieli nas inni, a tym, jak oni nas widzą, jest zawsze pewna różnica. Czasem mała, a czasem bardzo duża. To, że ty postrzegasz siebie jako osobę, dla której markowe ciuchy mają znaczenie, wcale nie znaczy, że naprawdę taka jesteś. Wmówiłaś to sobie albo pozwoliłaś, by ktoś to zrobił.

Agata chciała coś odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie. W końcu to miłe, że Mateusz nie uważa jej za płytką. I to prawda, że akurat z ciuchów najłatwiej byłoby jej zrezygnować.

- Widzisz, mówiłem, że porozmawiamy o filozofii.

Roześmiała się, a on wyglądał tak, jakby chciał wchłonąć w siebie cały jej śmiech. Był zatrwająco przystojnym facetem, a w tej chwili wyglądał zjawiskowo ładnie. Magicznie niemal. Chcąc się obronić przed jego czarem, zapytała o kobiety w jego życiu.

- Wiesz, Rubiń to małe miasteczko, słyszałam, że były ich setki.
- Uśmiechnął się i leniwym ruchem odgarnął włosy wpadające do oczu.
- W małych miasteczkach dużo się plotkuje, a plotki wyolbrzymiają prawdę.
 - No, pochwal się, ile ich było – zachęciła.

Popatrzył na nią z naganą.

- Za kogo ty mnie masz, sądzisz, że liczyłem albo że będę się chwalił? Nie robiłem niczego

z rozmysłem, nie jestem uwodzicielem. Zawsze postępuję jak dżentelmen.

Poczuła się urażona jego spojrzeniem i tonem.

– Doprawdy?

– Oczywiście. Wszystko się dzieje za obopólną zgodą. Jeśli mogę, zostaję na śniadaniu, jeśli nie, prawie zawsze zostawiam numer telefonu.

– Prawie zawsze?

– Czasem, gdy dziewczyna jest pijana, rano nic nie pamięta albo udaje, że nie pamięta. Nie chcę wtedy nachalnie narzucać się ze wspomnieniami.

– Jaki dżentelmen! – powtórzyła po nim z ironią.

– A czy powiedziałem, że ja byłem wtedy trzeźwy? – I uśmiechnął się jak mały łobuziak. Powinna była mu wybaczyć, ale chciała, by jej było na wierzchu. Wypomniała mu Julkę.

– Kobiety na ogół zaniżają swój wiek. Istnieje jednak taki krótki, niebezpieczny dla facetów czas, gdy wyglądają na więcej lat i mówią, że mają tyle, na ile wyglądają, choć w istocie są dużo młodsze. Julka mnie oszukała, na szczęście Konrad ostrzegł w porę i nic złego się nie stało.

– Nie stało się? Zakochała się w tobie, poczuła zdradzona i namieszała w moim małżeństwie tak, że z trudem to naprawiam – wybuchnęła.

Mateusz przechylił głowę i popatrzył na Agatę, a w jego spojrzeniu ciekawość mieszała się z rozbawieniem. Wiedziała, co sobie myślał. Sytuacja, w której się znajdowali, daleka była od „z trudem naprawiam swoje małżeństwo”. W końcu okłamała Michała, mówiąc, dokąd jedzie i z kim. Gdyby się dowiedział, byłby wściekły i zazdrosny. Przede wszystkim zazdrosny. No i podejrzeniami o coś, czego Agata w życiu by nie zrobiła, ostatecznie byłby ją do tego pchnął. Teraz są kwita. Jutro poniedziałek, nowy tydzień, nowy start. Początek reszty życia z Michałem. A dziś po prostu będzie siedzieć z Mateuszem i rozmawiać o czymkolwiek. To tylko rozmowa. Nie pójda do łóżka.

– Twój cyniczny uśmiech jest nie na miejscu. To wszystko przez ciebie – wytknęła mu, a wtedy, zamiast się bronić, opowiedział zupełnie szczerze o tym, co się zdarzyło między nim a Julką, jak rozmawiali ze sobą latem, jak jej unikał i jak w końcu zdał sobie sprawę, że to okrutne. Na koniec streścił ich ostatnią rozmowę.

– To miłe – powiedziała Agata, gdy skończył.

– Bo ja jestem miłym facetem. Jeśli chcesz, porozmawiam również z twoim mężem i wszystko mu wyjaśnię.

– Lepiej nie! – krzyknęła Agata, zanim zdała sobie sprawę, że to żart.

Patrząc na rozbawionego Mateusza, myślała o tym, co powinna powiedzieć Michałowi. Zacznie od tego, że go kocha, że wiele dla niej znaczy i nie powinien być zazdrosny, bo ona nie zamierza zrobić nic głupiego. Jest zbyt mądra na robienie głupstw.

– Przestało padać – zauważył Mateusz.

– I cóż z tego? W zasadzie nie mam zamiaru się stąd ruszać.

– Przyjechaliśmy tu tylko po to, by pić herbatę w schronisku?

– Masz coś przeciwko temu?

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Widzisz, zapomniałam ci powiedzieć, że nie znoszę gór.

I uraczyła Mateusza opowieścią o Grzesiu Grzecznym Geologu, przedstawioną tak, by była stokroć zabawniejsza niż rzeczywistość.

– Tchnęłaś w moje serce nadzieję – powiedział Mateusz, gdy skończyła, i podniósłszy dłoń Agaty do ust, delikatnie ją pocałował. – No bo skoro wydawało ci się, że kochałaś Grzegorza, a tak naprawdę go nie kochałaś, co rozumiałaś, gdy pojawił się Michał...

– Nie rób sobie nadziei. – Niechętnie cofnęła rękę. – Jestem szczęśliwą mężatką. Mogłam ci podarować jeden dzień, ale moje życie należy do Michała.

Droczyli się tak jeszcze przez jakiś czas. Było to przyjemne i zabawne, Agata czuła się jak postać z jednego z tych dziwnych, przegadanych filmów, w których dwoje ludzi prowadzi ze sobą grę, a tak naprawdę to scenarzysta prowadzi grę z widzami, bo zaraz potem, jak pojawia się nadzieja, że coś z tego wyniknie, widać napisy końcowe.

A dziś był poniedziałek i wczorajsza rozmowa nabrała pozoru czegoś nierzeczywistego, we wspomnieniach niczym nie różniła się od filmu obejrzanego przed tygodniem. Odniosła jednak skutek. Po pierwsze, Agata czuła się silna. Owszem, wciąż bała się myśli o powodzi, wiedziała jednak, że jest gotowa stawić jej czoło. Tak jak gotowa była stawić czoło małżeńskiej codzienności.

Zaraz wstanie, wyjdzie z psem, a potem spakuje rzeczy i wróci do Michała. Bo tam, gdzie Michał, tam jest dom.

Tadeusz wstał najwcześniej, jak to było możliwe, i teraz, siedząc przy swoim biurku w kancelarii, cieszył się ciszą i porządkiem, których nie miał w domu, bo zjawił się syn marnotrawny. Jakby jeden współlokator nie był wystarczającą karą za wszystkie grzechy, które Jezierski senior w życiu popełnił.

Gdyby nie Janusz, pewnie sytuacja wyglądałaby inaczej. Tadeusz nie pozwoliłby synowi zamieszkać u siebie, skoro tamten ma własny dom po drugiej stronie ulicy. Kiedy jednak wrócił do domu, w kuchni czekał na niego Janusz. Siedział po ciemku i Tadeusz w pierwszej chwili się przestraszył.

– Twój dzieciak wrócił. Czekał na ciebie, ale był tak zmęczony, że kazałem mu iść spać. Położył się w swoim dawnym pokoju. Słuchaj, on jest totalnie pogubiony, więc nie próbuj wywierać na niego presji. Daj mu czas, niech sobie wszystko poukłada.

– Wydaje mi się, że miał wystarczająco dużo czasu na przemyślenia.

– Niewątpliwie. Sądzę jednak, że sytuacja, którą zastał w domu, nieco go zaskoczyła.

Tadeusz poczuł ciepło na policzkach. Jawne wiarołomstwo synowej wprawiało go w zawstydzenie i złość.

– Powinien załatwić to jak mężczyzna.

– Czyli jak? Sprać obydwójce czy też spokojnie to przemyśleć?

Tadeusz, złapany w pułapkę własnych słów, nic nie odpowiedział. Poszedł się położyć, a rano zachowywał się o tyle naturalnie, o ile pozwalały mu emocje. Przywitał Konrada serdecznie i oświadczył, że ten może czuć się w dawnym domu jak u siebie. Zwrot „czuć się jak u siebie” jest grzecznościową formułką, która ma wyrazić życzliwe nastawienie gospodarza i Tadeusz nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy traktowali ją dosłownie. Musiał zagryzać zęby za każdym razem, gdy syn nie użył podkładki pod kubek. Widać nie tylko Karolina była odpowiedzialna za syf, który panował w ich domu. A przecież Tadeusz nie tak wychował chłopców.

W sobotni wieczór Konrad zapytał ojca, czy od poniedziałku może wrócić do pracy. Ten udawał, że się zastanawia, waha, w końcu się zgodził. Prawda była taka, że potrzebował pomocnika, bo sam sobie nie radził, pracy było zbyt wiele. A dochodziła jeszcze sprawa spadku, którą należało

przeprowadzić, jak to się mówi, „w białych rękawiczkach”. Konrad dużo lepiej się nadawał na wykonawcę ostatniej woli Wandy Zdunkowskiej, bo gdyby coś poszło nie tak, cała wina spadnie na niego. Oczywiście było mało prawdopodobne, żeby coś poszło nie tak. Przede wszystkim dlatego, że Tadeusz bardzo dobrze wszystko przemyślał w najdrobniejszych szczegółach. Wanda była rozwiedziona, nie miała dzieci, a jej najbliżsi krewni nie żyli. Nie znajdzie się więc nikt, kto, łaszcząc się na łatwy pieniądź, mógłby założyć sprawę o spadek. A nawet gdyby się tak stało, to Tadeusz miał dokument z datą i podpisem Wandy. Data wskazywała na trzy dni przed śmiercią, ale podpis złożono kilka dni po, lecz o tym wiedział tylko Tadeusz, który ów testament spisał. W końcu nie było powodu, by wątpić w wiarygodność zarówno papieru, jak i człowieka. A gdyby nawet trafił się ktoś taki, niech idzie z tym do sądu.

Oczywiście z przeprowadzeniem całej sprawy nie należało się śpieszyć. Jakie ma znaczenie, czy to za rok, czy za pięć dom Zdunkowskich stanie się własnością Jezierskich? Istotne jest, że go dostaną i rachunki między rodzinami zostaną wyrównane.

Tadeusz pomyślał o sobie z pewną dumą. Zrobi to, na co jego matce zabrakło odwagi. Pomści ojca.

Marta uważała, że nordic walking jest odrobinę żenujący. Kiedy szła Różaną, a kijki lekko postukiwały, czuła się jak emerytowany sportowiec. Bieganie dawało sprawność i siłę, pewność siebie i niesamowitą radość. Targanie kijków nie miało nic wspólnego ze swobodą. I wcale nie dawało radości komuś, kto niedawno rozstał się z kulą. Lekarz był jednak nieprzejednany, nawet słyszeć nie chciał o bieganiu. Na wiosnę, mówił, na wiosnę. Przecież to już niedługo.

Może dla kogoś niedługo, dla Marty wszakże była to cała wieczność. Tęskniła nie tylko za bieganiem, ale też za owym uporządkowaniem, które wprowadza w codzienność regularny trening. Bez niego wszystko się sypało.

Doszła prawie do rzeki. Dalej nie było sensu iść. Powódź rozmyła brzeg i zniszczyła ścieżkę, która prowadziła wzdłuż wody. Burmistrz obiecał, że wiosną ruszą prace remontowe, nie wspomniał jednak, w którym roku będzie ta wiosna. Na razie walały się tu grudy zaschniętego błota, trawa jak skołtuniona zwierzęca sierść i to, co początkowo wygląda jak wetknięty w ziemię patyk, by chwilę później być już kłębowiskiem gałęzi – dzikich bzów, wierzby, tarniny.

Marta zawróciła. Na wysokości domu Zdunkowskich spotkała Agatę. Nie widziały się jakiś czas, a ponieważ na Różanej nad wyraz łatwo o przypadkowe spotkania, Marta nabrała przekonania, że Agata jej unika. Co też natychmiast wytknęła przyjaciółce. Z gwałtownej reakcji, którą wywołały jej słowa, wywnioskowała, że było w nich ziarno prawdy. Ponieważ jednak Agata swój brak zainteresowania sprawami towarzyskimi usprawiedliwiła kłopotami małżeńskimi, nie wypadało czynić wyrzutów. Marta przypomniała jednak tamtej, że miały plan, którego celem było ratowanie Karoliny przed życiowym błędem. Przyjaciółka zrobiła głupią minę.

– Próbowałam się zbliżyć do Sylwii – tłumaczyła – ale ta cwaniara od razu mnie przejrzała. Co prawda spotkałyśmy się kilka razy, lecz tylko po to, by wspólnie ponarzekać na Michała. Żeby wydusić z niej jakąś informację, musiałabym ją spić, a to obecnie jest raczej niewykonalne. Zagadywałam o Olgerda i okoliczności zajścia, a ona nie powiedziała nic ponad to, co wiemy. Mieli romans i się stało. Powiem ci, że Sylwia jest tak pewna ojcostwa Olka, jak bereciara radosnego powitania w raj.

Marta czuła, że jej twarz wykrzywił grymas rozczarowania. Próbowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło to zbyt dobrze, bo Agata od razu rzuciła się, by ją przytulić.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

– Ja mam się nie martwić? Mnie już w zasadzie wszystko jedno, czy Olgierd jest ojcem tego dziecka, czy nie, bo mu wybaczyłam. Ale jeśli, tak jak podejrzewamy, nie jest, to wyjdzie okropne zamieszanie. Olek będzie z Sylwią, której na nim nie zależy, ona po prostu chce mieć jakiegoś faceta. Wtedy on będzie nieszczęśliwy i ja będę nieszczęśliwa. Tymczasem Karolina o niczym nie wie i zacieśnia relacje z Tomkiem...

– Nie powiedziałaś nic Karolinie?

– Nie było okazji.

– To trzeba było ją stworzyć.

– Łatwo ci mówić. Byłam z Tomkiem, więc Karolina traktuje mnie jak rywalkę i nie chce się ze mną widywać, a gdy mimo to zjawię się u niej w domu, nie chce ze mną rozmawiać.

Agata przerwała jej ruchem ręki.

– Ona musi się natychmiast dowiedzieć. Konrad wrócił.

Marta poczuła, jak dopadają ją wyrzuty sumienia.

– Dziś z nią porozmawiam.

Kot Konstanty napawał się samotnością. Miał teraz do dyspozycji wszystkie kanapy i fotele, wszystkie płamy światła na podłodze, wszystkie zaciszne schowki w szafach. Współlokator bywał w domu gościem. Większość czasu spędzał u kobiety z przeciwka, którą pieszczotliwie nazywał swoją Janeczką.

Konstanty miał otwarte zaproszenie do jej domu i nawet kilka razy skorzystał, kobiece mieszkania bowiem mają w sobie takie przyjemne wewnętrzne ciepło, którego pozbawione są mieszkania mężczyzn. Gdyby nie ciągła obecność współlokatora, Konstanty spędzałby u tej kobiety więcej czasu. Wiadomo jednak, jak irytujący potrafi być współlokator sam, a co dopiero w towarzystwie samicy. W takich momentach kot wątpił, by ludzkie mózgi w jakiś szczególny sposób różniły się konsystencją od karmy w puszkach – przemielone, bezużyteczne białko.

Kobieta była Konstantemu absolutnie obojętna, choć widział, że się starała, by ją polubił. Zawsze miała w zanadrzu odrobinę świeżego mięsa i częstowała Konstantego, gdy ten składał jej wizytę. Była miła, odrobinę smutna i chora. Nic zaraźliwego, ale też nic, co wróżyłoby współlokatorowi długi, szczęśliwy związek. Na szczęście pożyje jeszcze wystarczająco długo, by Konstanty mógł dokonać żywota jako jedyny mieszkaniec tego pięknego, wygodnego i pustego teraz domu. Trzeba korzystać z uroków życia, nigdy nie wiadomo, co przyniesie następne.

Coś na zewnątrz zadzwoniło i Konstanty podniósł głowę. Czyżby klucze współlokatora? Wciąż miał zwyczaj wpadać kilka razy w ciągu dnia, jak do siebie. Ale to na szczęście tylko wiatr. Oczywiście, że Konstanty nie miał nic przeciwko tym wizytom, w końcu ktoś musiał myć jego miski i napełniać je świeżym jedzeniem. Trzeba też było zadbać o kuwetę, a od zawsze była to robota współlokatora. Gdyby to wszystko odbywało się w ciszy, byłoby wspaniale. Niestety, współlokator uwielbiał mówić. Okazało się, aż trudno w to uwierzyć, że szczęśliwy mówił więcej niż nieszczęśliwy i był bardziej irytujący, niż gdy cały czas marudził.

Konstanty na pamięć już znał historię tego wieczoru, gdy współlokator postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i przywalił Krupskiemu. Dzięki temu Janeczka z „tylko Janeczki” stała się „jego Janeczką”.

– Trzeba było już wiele lat temu tak sprawę załatwić, ale zawsze byłem przekonany, że przemoc do

niczego nie prowadzi – niezmiennie kończył współlokator swoją historię, a Konstanty się zastanawiał, dlaczego ludzie są tacy głupi.

Każdej wiosny on i cała masa innych kotów spotykała się nocami, by walczyć. Drapali i gryźli, a kłaki leciały na wszystkie strony. Przegranii szli lizać rany, zwycięzcy odchodzili w noc ze swoimi pięknymi towarzyszkami. Bo tak to właśnie wygląda. Kot, który powiedziałby, że przemoc do niczego nie prowadzi, nie miałby po co pokazywać się innym na oczy.

Początkowo Tomek miał zamiar udawać, że jego spotkanie z Konradem to kwestia przypadku. Ot, wpadli na siebie na ulicy, jak to się niekiedy zdarza. Z czasem doszedł jednak do wniosku, że intrygowanie nie leży w jego naturze. Poza tym nie byłoby mądrze rozpoczynać szczerzej rozmowy od nieszczerzego zagrania. Dlatego też poszedł do kancelarii i otwarcie umówił się z młodym Jezierskim na spotkanie.

Teraz czekał na niego w kawiarni, bawiąc się papierową tutką z cukrem. W końcu cienki papier nie wytrzymał i drobne kryształki rozsypały się na stół. Tomek, upewniwszy się, że nikt nie patrzy, zgarnął je na podłogę.

Spojrzał na zegarek. Jezierski się spóźniał. Czekać, nie czekać, oto jest pytanie. Jeśli czekać, to na pewno nie dłużej niż kwadrans. Zaczął się rozglądać za kelnerką, której mógłby zapłacić za kawę, gdy w drzwiach kawiarni stanął mąż Karoliny.

– Przepraszam, ojciec zawałił mnie masą papierkowej roboty – usprawiedliwiał się, siadając.

Tomek zapewnił, że nic nie szkodzi. Choć tak naprawdę miał problem z osobami, które się spóźniają. Uważał, że traktują go jak gorszego od siebie. Uznał jednak, że nie pozwoli, by kompleksy wzięły w nim górę nad rozsądkiem, bo to nie o niego, ale o Karolinę chodziło.

– Kocham twoją żonę – wyznał bez ogródek.

Konrad patrzył na niego zaskoczony.

– Nie żartuję.

– Wiem. Tylko... Ta sytuacja jest strasznie idiotyczna. Powinienem dać ci w mordę, a siedzę i patrzę, jak pijesz kawę i mówisz o miłości do mojej żony.

– To jest zbożowe macchiato z mlekiem sojowym – powiedział Tomek, jakby ów fakt miał jakiegokolwiek znaczenie. – A jeśli chodzi o bójkę, to chyba nie najlepszy pomysł. Bo widzisz, z jednej strony noszę okulary, a z drugiej trenuję sporty walki.

– No tak, a ja z jednej strony jestem prawnikiem, z drugiej mam wielki brzuch. – I Konrad się roześmiał. Szczerze. – Wygląda na to, że rozmowa może się okazać lepszym wyjściem. Mówisz, że kochasz moją żonę?

Tomek skinął głową.

– Tak wyszło. Nie planowałem tego. Pomogłem jej uruchomić kosiarkę i ani się obejrzałem, a już byłem zakochany.

„A już wylądowałem z nią w łóżku” – wyczytał w oczach Jezierskiego.

– Nie powinieneś mieć pretensji do Karoliny. Była samotna, zagubiona. Jeśli chcesz kogoś winić, to mnie. W pewien sposób wykorzystałem okazję.

– Którą ja stworzyłem. Jeśli chciałbym mieć do kogoś pretensje, to do siebie. – Konrad umilkł, zamyślił się, a po chwili znów zaczął mówić. – Nie jest tak, żebym nie miał żalu do mojej żony. Jest tak samo jak ja odpowiedzialna za rozpad naszego małżeństwa.

I opowiedział Tomkowi o zupełnie niewzbudzającej jego zainteresowania dziewczynie, która

przychodziła na ich ulicę do przyjaciółki, o tym, jak na studiach stanowili jedną paczkę, jak zaczęli chodzić ze sobą i wzięli ślub. Mówił o ciężarach, które zmieniły Karolinę, o stresach, kolkach i braku czasu. Przyznał, że w pewnym momencie się pogubił i uznał, że odpoczynek od tego wszystkiego dobrze mu zrobi. Nie spodziewał się, że gdy wróci, okaże się, że nie ma do czego.

Tomek słuchał uważnie. Wiedział, że tamten nie mówi wszystkiego, trudno jednak, by spowiadał się obcemu facetowi ze wszystkich swoich grzechów.

– Wiesz, że twój ojciec zagroził Karolinie, że jeśli złoży wniosek rozwodowy, to straci prawo do opieki nad dziećmi?

– Co, jak wiem, jej nie powstrzymało.

– Przekonałem ją, żeby walczyła.

– Słusznie. Mój ojciec to nie ja. Nie jestem tego typu facetem, co to porachunki z żoną wyrównuje kosztem własnych dzieci. Kocham swoich synów.

– Oto jedyna rzecz, za którą cię nienawidzę – twoi synowie.

– Postaraj się o własnych. – Konrad nie próbował nawet ukrywać, że przywiązanie Tomka do chłopców trochę go wzruszyło. – A tymczasem sprawa wygląda tak, że nie będę z wami walczył, ale i zaprzyjaźniać się nie zamierzam.

– Mnie to pasuje. – Tomek się zawahał. Są słowa, które ciężko wyartykułować. – Mam jeszcze prośbę. Pogadaj z Karoliną. Ona ciężko to wszystko znosi, boi się twojego ojca...

– Ty ją naprawdę kochasz – powiedział Konrad.

I co to niby za odpowiedź? Tak? Nie?

Kiedy Olgierd otworzył oczy, wiedział, że to będzie najgorszy dzień w jego życiu. Nie dlatego, że spodziewał się czegoś złego, ale dlatego, że jeszcze nigdy nie odczuwał tak okropnego bólu. Jakby ktoś go podniósł, wciągnął na wysoką górę, a potem zepchnął w dół, na kamienie, tak to bolało. Każdy miesiąc, każdy centymetr skóry, każdy narząd ciała rozpaczliwym krzykiem informowały, że wyrządzono im straszną krzywdę.

Podniesienie się z łóżka stanowiło wyzwanie, a droga do łazienki była daleką wyprawą. Kto by pomyślał, że nie da rady na stojąco włożyć skarpetek? A Marta, która w pewnym sensie była przyczyną jego cierpienia, popatrzyła na niego z ironicznym uśmiechem, wzięła kijki i wyszła, zanim Olgierd zdążył jej powiedzieć, co zrobił. Pewnie myśli, że zabalował, mylnie tłumacząc sobie jego bladość i zmęczenie. Wyprowadzenie jej z błędu sprawi mu sporą satysfakcję.

Wczoraj nie pił, tylko robił coś dla niej. Coś wielkiego i zdecydowanie ponad siły, o czym zawczasu nie wiedział, ale to dobrze, bo wtedy by stchórzył.

Decyzję podjął latem, kiedy między nim a Martą cudownie się układało. Był jej wdzięczny, że uratowała mu życie, był szczęśliwy, bo go kochała. Ale czuł też, że zaciągnął wobec niej dług wdzięczności, i szukał sposobu, by go spłacić. I kiedy Marta płakała, że nie ziszczy jej marzenie o starcie w maratonie, Olgierdowi przyszedł do głowy pomysł, który wydawał się świetny. Skoro ona nie pobiegnie, on zrobi to dla niej. Zdobędzie medal i dając go Marcie, zachęci, by nie rezygnowała z marzeń i z ich miłości.

Miało być pięknie i romantycznie. Olgierd zapisał się na maraton w Poznaniu, bo późny termin dawał mu sporo czasu na treningi. Kupił nawet buty. Potem Marta dowiedziała się o dziecku i znów z przyjaciół stali się wrogami. Buty do biegania wylądowały na dnie szafy.

Tydzień temu Olgierd dostał newsletter dla uczestników poznańskiego maratonu. W tej jednej

chwili, jakiej potrzebował na skasowanie wiadomości, przyszła mu do głowy myśl, że mimo wszystko powinien to zrobić. Zobaczyć minę Marty, gdy pokaże jej medal – to bezcenne. Zemsta ma słodki smak.

Nie zrobię tego dla niej, tylko dla siebie. W końcu co to jest czterdzieści kilometrów? – myślał.

A dziś już wiedział, jak bardzo się mylił. Dziś wiedział wiele rzeczy. Ale jeszcze wczoraj stał w wielotysięcznym tłumie pełen optymizmu. Zdenerwowany jak nastolatek przed imprezą, na której będzie alkohol. Był pewny siebie, rozkoszował się myślą, jak ukarze Martę za wszystkie złośliwości. A jeszcze za to, że po raz kolejny złamała mu serce i odeszła, choć on tak bardzo pragnął z nią być.

Tłum zafalował i powoli ruszył. Olgierd także. Nie spodziewał się, że to początek największej przygody jego życia. Nie podejrzewał, że to nie będzie podróż po ulicach Poznania. Tak naprawdę odbył podróż w głąb siebie.

Na początku biegł, nie myśląc o niczym. Zostawiał w tyle mnóstwo osób i to dodawało mu wiary. W końcu był od nich lepszy. Po dwóch kilometrach sytuacja się zmieniła. Wszyscy uczestnicy zaczęli wyprzedzać Olgierda. Czuł, że traci siły i nie darady. Gdyby nie kibice, zszedłby z trasy. Było mu jednak głupio i uznał, że będzie szedł, bo w końcu musi być takie miejsce, gdzie na chodniku nie stoją tłumy.

Osamotniony, przeżywając gorycz porażki, szedł i myślał, jakie to wszystko jest do dupy. Wszystko, znaczy on, Olgierd, jego życie i ten bieg, w którym w ogóle nie powinien był wystartować. Ludzie, przecież to czterdzieści dwa kilometry! To niewykonalne! I wtedy minęły go dwie dziewczyny o rubensowskich kształtach, pogrążone w rozmowie. Biegły, rozmawiały i nie były zmęczone! No, może nie do końca biegły, tylko truchtały, ale skoro one mogły, to on też. Trzymał się kilka kroków za nimi i łowił strzępy rozmowy. Narzekały na facetów, typowe. Czterdzieści minut i pięć kilometrów później Olgierd uznał, że może zbyt wcześnie chciał się poddać.

Wrócił wspomnieniami do lat dzieciństwa i młodości, kiedy Marta marzyła o karierze sportowej, a on marzył o Marcie. Wspominał pierwsze randki, pocałunki i rozmowy o przyszłości. Nie tak miała wyglądać. Dlaczego bywa tak, że choć planujemy coś dokładnie, sprawy układają się nie po naszej myśli? Które z nich – on czy Marta – bardziej nawaliło? Dlaczego tak uparcie psuli własne szczęście? Przypominali w tym dziecko, które, choć bardzo marzyło o jakiejś zabawce, chwilę po tym, jak już wzięło ją w ręce, niszczy, psuje i łamie przedmiot swoich pragnień.

Może to ogrom radości ze spełnienia marzeń nas przytłacza? A może po prostu nie umiemy być szczęśliwi? Może negatywne uczucia są nam lepiej znane? To smutne, ale może tak właśnie jest. Olgierd stracił matkę, ojciec zaś nie był zbyt wylewny, częściej upominał, niż chwalił. Szkoła, wiadomo, jak dostaniesz piątkę, śmieją się z ciebie, bo jesteś kujonem, a kiedy dostaniesz pałę, śmieją się, bo jesteś nieukiem. Żadnego pozytywnego wsparcia. Nic dziwnego, że gdy się człowiekowi ziści marzenie o szczęściu, czuje strach i w napięciu oczekuje na moment, gdy wszystko straci. Łatwiej jest być przegranym.

– Dojdę do mety, choćbym miał się czołgać – postanowił na głos.

– Właściwa postawa, drogi chłopcze – powiedział przebiegający obok staruszek. – Pierwszy start? – zgadł. A później udzielił Olgierdowi kilku rad, jak przetrwać na polu walki.

Do dwunastego kilometra szło mu nieźle i naiwnie uwierzył, że tak już będzie do końca. Niestety, trzynastka nie była szczęśliwa. Tu zaczęła się droga pod górę. Po półmetku można było mówić o wspinaczce. Olgierd jednocześnie chciał się poddać i czuł żal, bo wiedział, jak wiele zdobył. Zaciskał więc zęby i na zmianę szedł i biegł. A gdy podnosił głowę, okazywało się, że stoi

w miejscu.

Na trzydziestym kilometrze poczuł się jak zwycięzca, ale szybko się okazało, że była to przedwczesna radość. Kiedy próbował biec, tracił oddech i czuł się tak, jak wtedy, gdy tonął. To było okropne wspomnienie i okropne uczucie. Gdyby nie Marta... I wtedy zdał sobie sprawę, że ona też walczyła z wodą, zalewającą jej usta, a mimo to się nie poddała. Dlaczego?

W nagłym przeblasku zrozumiał.

Jej miłość była silniejsza niż wszystko inne – strach, wola przetrwania, instynkt samozachowawczy. Marta wiedziała, że nie potrafi żyć bez niego, i dlatego ryzykowała. A to znaczyło, że kochała jego, Olka, mocniej, niż on kochał ją. I ta myśl była idealnym wytłumaczeniem wszystkiego, co się między nimi działo. Kochając mocniej, nie tylko więcej oczekiwała, ale również mocniej odczuwała, gdy ją ranił. Miłość Marty do niego była silniejsza niż jej miłość do własnego życia.

A on?

Między trzydziestym a czterdziestym kilometrem, gdy ciało odmówiło posłuszeństwa, a ból stóp stał się niemożliwy do wytrzymania, Olgierd Jezierski dokonał rozrachunku z własnymi uczuciami. Zajrzał tak głęboko w swoje serce, jak jeszcze nigdy w życiu, i zrozumiał, że tym, co powstrzymuje go przed absolutnym zatraceniem się w miłości do żony, jest strach. Ponieważ stracił już jedną kobietę, którą kochał, bał się kolejnej straty. Czy można mieć do niego o to żal?

To odkrycie było wyzwalające. Poczł się tak, jakby ktoś nie tylko zdjął mu wielki ciężar z pleców, ale też przypiął skrzydła. Teraz mógł lecieć. Biegł do mety, choć nogi, jak ulepione z plasteliny, wykręcały się na wszystkie strony, plątały i zahaczały o siebie.

Był jednym z ostatnich na mecie, ledwo zmieścił się w limicie czasowym. Potrzebował sześciu godzin, by przebiec czterdzieści dwa kilometry i sto dziewięćdziesiąt pięć metrów (nigdy nie zapomni tego dystansu). Niewiarygodne, że w ogóle mu się udało. Tyle razy chciał się poddać i zrezygnować. Jak dobrze, że tego nie zrobił. Był teraz psychicznie silniejszy niż kiedykolwiek. Mógł wszystko!

To było wczoraj. Dziś cudowną radość zwycięstwa zakłócał niewyobrażalny ból całego ciała. Nie było pozycji, w której czułby się lepiej, bo czy stał, czy leżał, i tak wszystko go bolało.

Mimo to zdecydował, że pójdzie do Sylwii. Chciał z nią spokojnie porozmawiać i jeszcze raz zapytać o wyniki testu na ojcostwo. Coś mu mówiło, że matka jego dziecka nie jest z nim szczerą.

Pół godziny później, gdy praktycznie został wyrzucony, wiedział dwie rzeczy. Po pierwsze, nie należy siadać w niskim, miękkim fotelu, bo podniesienie się z niego nastęrcza wiele trudności. Po drugie – z Sylwią nie dało się spokojnie rozmawiać.

Był tak zły, że nie zauważył idącej z przeciwka Marty. Gdyby nie był tak zmordowany, pewnie by się odsunął, ale nie panował dobrze nad obolałym ciałem. Wpadli na siebie.

– Zrobiłeś to specjalnie!

Konrad postanowił spełnić prośbę Tomka i omówić z Karoliną kwestię rozwodu i opieki nad dziećmi. To nawet rozsądne, by załatwili sprawę między sobą – jak przyjaciele, którymi byli, zanim przerosła ich dorosłość.

Dzieci ucieszyły się na jego widok. Ich obawa przed powtórny zniknięciem ojca powoli ustępowała. Mimo to wciąż chcieli się tulić, a polecenie, że muszą iść do swojego pokoju, bo rodzice chcą porozmawiać, przyjęli niechętnie i zgodzili się, dopiero gdy Konrad obiecał spędzić z nimi cały wieczór i zostać, dopóki nie zasną.

Początkowo Karolina była nieufna. Chyba w pamięci obydwójga pozostała ich rozmowa sprzed weekendu. I wszystkie wcześniejsze, które zaczynały się niewinnie, a kończyły awanturą.

– Nie chcę z tobą walczyć – oświadczył w końcu Konrad. – Nie chcę się kłócić. Nie mam też zamiaru cię zatrzymywać. Rozwód wydaje mi się najsensowniejszym wyjściem.

Patrzyła na niego przenikliwie, doszukując się podstępu w jego słowach.

– Wiele nas łączy. Mamy cudowne dzieci i tak naprawdę nie byłem z tobą nieszczęśliwy. Ale widocznie nie kochałem cię wystarczająco mocno, by nasze małżeństwo mogło przetrwać kryzysy.

– Masz kogoś?

– No skądże. Skąd ten pomysł?

– Jakoś zbyt łatwo to wszystko idzie.

– To dlatego, że jestem dorosły i zamierzam tak właśnie się zachowywać. Chłopcy są dla mnie najważniejsi, a prawda jest taka, że każda krzywda wyrządzona tobie ostatecznie uderzy również w nich.

Karolina przyjęła te słowa, ale widać było, że myśli o czymś innym.

– Kiedy byliśmy młodszy, wiesz, w liceum i później, byłem przekonana, że jesteś zakochany w Marcie.

– To zabawne, bo Mateusz myśli podobnie. Ale mylicie się obydwójce. Prawda jest taka, że jej nie znoszę. Ten cały sportowy styl życia, jedzenie sałatek, to wszystko wybitnie działa mi na nerwy. Poza tym Olgierd ją kocha, a mnie jest wrogię wszystko, co drogie mojemu bratu.

Karolina nie wyglądała na przekonaną.

– Ja i Marta? Wyobrażasz to sobie? – dodał.

– Nie bardzo. – Roześmiała się. – Twoja miłość do mięsa, smalcu i zalegania na kanapie kontra jej wegaześwirowanie. Kłócilibyście się częściej niż my.

– Nie przesadzaj, nie kłóciliśmy się tak często.

– Nie mieliśmy okazji, bo nie było cię w domu.

– Nie zaczynaj – upomniał ją, choć wiedział, że tym razem są to po prostu żarty. I kiedy kwadrans później wychodził, by wpaść jeszcze na chwilę do kancelarii, oboje czuli, że są na dobrej drodze do porozumienia.

Gdy kładł dłoń na klamce, odezwał się dzwonek u drzwi. Kobiety, stojące na progu, uśmiechały się tak szeroko, że z wielkim prawdopodobieństwem groził im skurcz policzków. Pewnie czymś handlują, pomyślał. Zastanowiła go jednak obecność mężczyzny w dzianinowym pulowerku.

– Pani Karolina Jezierska? – zapytała jedna z nich i rozbawiony Konrad musiał odpowiedzieć, że niestety, nie.

– Ale czy jest w domu?

Krzyknął w kierunku kuchni. Nie chciał wpuszczać domokrażców do środka. Jednak kiedy Karolina weszła do przedpokoju, natychmiast okazało się, że popełnił pomyłkę. Nieznajomi okazali się członkami słynnej komisji ogródkowej i przynieśli wiadomość, która wprawiła jego, wkrótce będą, żonę w stan ekstazy.

– Konrad, słyszałeś?! Najładniejszy ogród! – piszcziała. – Mam najładniejszy ogród! A przecież powódź trochę go zniszczyła i musiałam w lipcu poprawiać grządki przy ogrodzeniu. Może państwo wejdą na kawę? Innym razem? Dobrze, będzie mi bardzo miło. Jestem taka szczęśliwa!

Też się cieszył. Pogratulował szczerze Karolinie i ucałował ją serdecznie. Powiedział, że wpadnie po pracy. Pomyślał, że po drodze kupi jej jakiś kwiatek.

Zamknął za sobą drzwi, odcinając się w ten sposób od pisków podekscytowanej Karoliny. Spojrzał na ulicę. Przed domem Leokadii Marta i Olgierd całowali się namiętnie. Kilka metrów od nich, oparta o drzwi swojego samochodu, stała Sylwia.

„Podśluchiwanie jest niewłaściwe i dobrze wychowane panienki tak nie postępują” – powiedziała niegdyś matka do Leokadii, przyłapawszy ją pod drzwiami. To była ważna lekcja i Leokadia wyciągnęła z niej wnioski – nigdy więcej nie dała się przyłapać.

Stała teraz nie dalej niż pięć metrów od Marty i Olgierda, ukryta między rozłożystym krzewem tamaryszku a rzędem berberysów, i łowiła każde słowo z rozmowy tych dwojga, która zaczęła się od tego, że na siebie wpadli.

- Zrobiłeś to specjalnie! – wykrzyknęła wtedy oburzona Marta.
- Nie zauważyłem cię.
- Właśnie na tym polega problem. Nie zauważasz mnie.
- Super. Zróbmy z tego alegorię całego naszego życia!
- A nie jest tak?
- Nie!!! – ryknął Olgierd.
- Miło, że zaprzeczasz, bo wydaje się, że właśnie tak jest. Nie zauważasz moich potrzeb, mnie nie zauważasz, lekceważysz, zdradzasz.
- Już o tym rozmawialiśmy.
- Nigdy zbyt wiele rozmów, zwłaszcza na istotne tematy.
- Moje błędy uważasz za istotne?
- Zważywszy na to, że jeden z nich niedługo przyjdzie na świat, to owszem, uważam to za istotne.
- A to akuratnie, moja droga, nie była zdrada. Byliśmy po rozwodzie i każde z nas układało sobie nowy związek. Ja ci okularnika z domu kultury nie wypominam.

Marta syknęła, jakby to nie były słowa, tylko rozpalone do białości żelazo.

- Jesteś gnidą! Podłą, wredną gnidą!
- Wiesz, że gnida to postać larwalna wszy? Wisi sobie przyczepiona do włosa i nic nie robi.
- Bawi cię to? Cała nasza rozmowa cię bawi, tak?
- Nie nazwałbym rozmową wymiany zdań, kiedy głównie na mnie krzyczysz, ale to prawda, bawi mnie.
- Sugerujesz, że się kłócimy?
- Ty się kłócisz. Ja staram się zachować spokój.
- Nie kłócę się. Po prostu z tobą nie sposób normalnie rozmawiać.
- Był czas, że nam się to udawało. Pamiętasz lipiec?
- To było wtedy, jak zapomniałeś mi powiedzieć, że jesteś ojcem dziecka Sylwii?
- Spotykałem się z Sylwią, bo byłem wolnym facetem. I wiesz co? Nadal jestem. A ty się zachowujesz jak moja żona, chociaż sama złożyłaś wniosek rozwodowy. I spotykałaś się z panem Mięśniem, gdy ja spotykałem się z Sylwią. I jeszcze ci powiem, że gdybyś ty była teraz z nim w ciąży, to ja nie miałbym żalu.

Zapadła cisza. Minusem podśluchiwania jest brak obrazu. Leokadia usiłowała dostrzec cokolwiek, ale gałęzie, w których się ukryła, zasłaniały widok.

- Naprawdę sądzisz, że to nie twoje dziecko? – Głos Marty był bardzo spokojny.
- Sylwia twierdzi, że kochaliśmy się w domu kultury, wiesz, tego wieczoru, kiedy moja ciotka

prezentowała tam swoje poezje. Ale wtedy się nie kochaliśmy. Ja z Sylwią wtedy nie byłem. Miesiąc wcześniej, owszem, mieliśmy erotyczny epizod. Tamtego dnia nie. Moja teoria jest taka, że Sylwia albo ześwirowała, albo coś ukrywa.

– Ukrywa, że była z kimś innym. Próbuje cię wrobić.

– Tak pani sądzi, droga Sherlock Holmes? Czy ja przypadkiem już wcześniej tego nie mówiłem? Czy nie przekonywałem cię o swojej niewinności? Za bardzo przywykłaś, by widzieć we mnie wszystko, co złe.

– To nieprawda. Wtedy poczułam się oszukana, pomyślałam, że nic się nie zmieniło.

– Ale się zmieniło. To dla ciebie.

Co też on jej dał? Leokadia wspięła się na palce. Niestety, mogła tylko słuchać pełnych niedowierzania westchnień Marty.

– Skąd go masz?

– Dostałem od ładnej wolontariuszki. Nie przespałem się z nią, jeśli to cię interesuje. Byłem zbyt zmęczony i otaczał nas tłum ludzi.

– I tak bez niczego ci to dali?

– Dawali wszystkim, ale nie powiedziałbym, że tak całkiem bez niczego. Najpierw trzeba było ten maraton przebiec.

Znowu cisza.

– Nie wierzę. Przebiegłeś cały maraton? Ale jak?

– Na nogach. Bolą mnie teraz strasznie. Wszystko mnie boli.

– Przecież ty nie trenowałeś!

– Pewnie dlatego było mi trudniej.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie dlatego, tylko dla kogo. Zrobiłem to dla ciebie. Bo ratując mi życie, straciłaś swoją szansę na zrealizowanie tego marzenia. Bądźmy szczerzy, wiele szans przeze mnie straciłaś. Chciałem ci to wynagrodzić. Chciałem też zrobić na tobie wrażenie. I był taki moment, kiedy chciałem cię wkurzyć, ale mi przeszło. Dużo o nas myślałem. Strasznie cię kocham.

I cisza. Coś jakby młaśnięcie, coś jakby „ja ciebie też” i westchnienie.

– Musimy o wszystkim spokojnie porozmawiać – odezwał się w końcu Olgierd.

– Najpierw zmierzę babci ciśnienie.

Słyszając to, Leokadia natychmiast opuściła swoją kryjówkę i podreptała w głąb ogrodu, gdzie, pochylona nad różami, udawała, że nic nie słyszała, nic nie widziała i nic nie wie. Gdy usłyszała ich kroki, odwróciła się, udając zaskoczoną.

– Tak patrzę na te róże, czy aby zbyt słabo ich nie otuliłyśmy. Zima może być ostra w tym roku. Tarniny wiosną krótko kwitły, a to zawsze wróży mrozy.

– Możemy potem się tym zająć. Teraz muszę ci zmierzyć ciśnienie.

– Ani mi się waż. Nie potrzebuję tych medycznych czarów-marów.

– Przecież jesteś chora.

– Nie chora, tylko stara. W moim wieku gorsze samopoczucie przez dzień czy dwa to normalna sprawa. W mojej rodzinie wszyscy żyli długo i do późnych lat cieszyli się dobrym zdrowiem. To, czego teraz potrzebuję, to kubek herbaty i szczęście najbliższych.

Marta wyglądała na osobę dwakroć przegraną. Patrzyła to na Leokadię, to na Olgierda i widać było, że chce coś powiedzieć. Milczała jednak, a na jej twarzy pojawiał się na zmianę uśmiech

i wyraz zdziwienia.

– Wstawcie wodę. Za chwilę do was dołączę. Muszę wpaść do Karoliny.

Czyżby to był dzień niezamykających się drzwi? – pomyślała Karolina, zwabiona do przedpokoju dźwiękiem dzwonka. Chwilę później, gdy Marta siedziała już przy stole, Karolina, przygotowując herbatę, zastanawiała się, dlaczego nie pochwaliła się przyjaciółce wygraną w konkursie.

Bo to Tomek powinien się dowiedzieć pierwszy, odpowiedziała sama sobie i postawiła przed Martą kubek.

– Musimy porozmawiać.

O! To nigdy nie wróży nic dobrego, westchnęła w duchu i dała tamtej znak, by mówiła.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć, ale rozmawiałam dziś z Agatą i uznałyśmy, że dla twojego dobra musimy ci powiedzieć o naszych podejrzeniach.

No, skoro musicie. Karolina usiadła naprzeciwko Marty, która zaczęła długą i skomplikowaną opowieść o sobie, Tomku, Olgierdzie i Sylwii. O ciąży, której jej były mąż się wypiera, a przez którą skończyło się ich love story, bo Marta poczuła się zraniona. Streściła rozmowy z Agatą. Pierwszą – po wieczorze poetyckim, z której wynioskowała, że Tomek lekceważył słowo „wierność”. Drugą – z ostatnich dni lata, w której nowa pani Brzozowska zapewniała, że widziała Olgierda w tym czasie, gdy Sylwia uprawiała z kimś seks w ciemni fotograficznej. Agata próbowała dowiedzieć się czegoś od pierwszej żony swojego męża, ale ta uparcie twierdzi, że ojcem jest Olgierd. Tymczasem co najmniej dwie osoby mają na ten temat inne zdanie.

– Dwie osoby? Czyli ty i Olgierd? Złość ci przeszła i znowu pozwalasz, by cię oszukiwał.

– Wiem, co słyszałam. Agata też nie ma powodu, by kłamać.

– Tylko Sylwia ma?

– Karolina, wiesz, jaka ona jest. To kłamliwa intrygantka.

– Taka jak wy wszystkie na tej ulicy, od Leokadii poczynając, a na Julce kończąc. Ktokolwiek by był ojcem, mnie w to nie mieszaj. To nie moja sprawa.

– Ależ oczywiście, że twoja. Nie rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć? Moim zdaniem... i zdaniem Agaty – dodała – to Tomek jest ojcem dziecka Sylwii.

– Bzdura.

– Umówił się ze mną w ciemni. Powiedział, że coś mi pokaże. A później dokładnie te słowa usłyszała Agata. To nie mógł być przypadek. Może się pomylił, a może zapraszał tam wszystkie...

Karolina cieszyła się, że ze względu na dzieci usunęła z blatów wszystkie niebezpieczne przedmioty. W innym wypadku Marta by już krwawiła.

– Wiesz co, Marta? Idź sobie. Nie jesteś moją przyjaciółką, nigdy nią nie byłaś. Więc idź opowiadać swoje wyssane z palca bzdury gdzie indziej.

– Jestem twoją przyjaciółką i dlatego ci to mówię. Wiem, jak Tomek potrafi zawrócić w głowie. Ale teraz musisz myśleć trzeźwo. Zwłaszcza że wrócił Konrad. Musisz podjąć właściwą decyzję.

– Właśnie podjęłam. Już nigdy w życiu nie będę z tobą rozmawiała. A teraz wyjdź, zanim cię wyrzucę.

Poczekwała, aż za Martą zamknęły się drzwi, i pobiegła do łazienki. Chciało jej się płakać i wymiotować jednocześnie, serce waliło jak oszalałe. Usiadła na brzegu wanny. Cholera! A mógł to być taki piękny dzień. Konrad rozwiał wszystkie jej obawy związane z rozwodem i jeszcze wygrała konkurs. Nigdy dotąd niczego nie wygrała. Nawet na loterii fantowej szło jej fatalnie, a tu taka

niespodzianka. Zapracowała na to. Cały rok walczyła z przyrodą i własnym niedoświadczeniem. Agacie pomagała Teresa, Marta uczyła się od Leokadii, a ona, Karolina, wszystko musiała sama. Dała radę, mimo że mąż ją zostawił i miała wodę w ogrodzie.

Marta jest po prostu zazdrosna – Karolina próbowała zlekceważyć sprawę. Na próżno. Rozgorączkowany umysł wciąż analizował słowa tamtej.

– Długo jeszcze? – rozległ się pod drzwiami cieniutki głos Kubusia. – Bo ja już bardzo chcę.

– Mogłeś iść na górę – powiedziała, wychodząc z łazienki.

Dobrze, że się nie rozplakała. Syn mógłby pomyśleć, że znowu coś się stało. Po tym całym cyrku z Konradem malcy potrzebowali stabilizacji. Dobrze, że w ich życiu pojawił się Tomek. Tomek! A jeśli naprawdę to on jest ojcem dziecka Sylwii?

– Trudno – powiedziała twardo. – Ja nie zachowam się jak Marta. Nie będę miała pretensji o coś, co zaszło, zanim się poznaliśmy. Poza tym ja mam dwoje dzieci, a Tomkowi to nie przeszkadza.

I kiedy dwie godziny później stawiała przed nim talerz zupy, rzuciła mimochodem.

– Była u mnie Marta Krupska z wiadomością, że możesz być ojcem dziecka Sylwii Brzozowskiej.

– To jakaś totalna bzdura.

– Dokładnie to samo jej powiedziałam. Był też Konrad i udało nam się normalnie porozmawiać. Ach i najważniejsze! Zgadnij, czyj ogród zdobył w tym roku miano najpiękniejszego?

Konrad patrzył na płowe główki swoich synów. Czytał im tak długo, aż zasnęli, i teraz będzie musiał zanieść obu do łóżek. Ale to za chwilę, jeszcze nacieszy się widokiem pogrążonych we śnie malców. Kiedy bawili się, biegali i krzyczeli, sprawiali wrażenie dużych, ale w takim momencie jak ten ich buzie wydawały się niemowlęce i sprawiały, że serce ojca tonęło w morzu bezwarunkowej miłości.

Cicho zamknął książkę i zanim ją odłożył, popatrzył na okładkę. Nie była to bajka z jego dzieciństwa, tylko jedna z tych nowych, które Karolina wciąż zamawiała, twierdząc, że są świetne i dobrze wpływają na rozwój dzieci. Nie wszystkie podobały się Konradowi, ale ta była naprawdę świetna. Gdy czytał chłopcom o przygodach kota Findusa i staruszka Pettsona, czuł się tak, jakby opowiadał im historię o nich samych w ogrodzie dziadka Tadeusza. Tak, jego ojciec był dokładnie takim typem marudy. Tylko kalesonów nie nosił.

Dziwny dzień, pomyślał. Rozmowy z ojcem, Tomkiem, Karoliną. I jeszcze to krótkie spotkanie z Sylwią. Po prostu nie mógł do niej nie podejść. Smutek na jej twarzy, wywołany widokiem całujących się Marty i Olgierda, podziałał na Konrada jak magnes.

– Wygląda na to, że znów się pogodzili – powiedział.

– Co ty nie powiesz? – Była nie tylko smutna, ale i zła.

– Właśnie tak wygląda ich miłość. Kłócą się, rozstają, godzą, schodzą i rozchodzą. Widocznie tak lubią.

– Przed chwilą Olgierd był u mnie...

– Jeśli myślałaś, że uda ci się go zdobyć, byłaś w błędzie. Można nam, Jezierskim, wiele zarzucić, ale jeśli już kogoś kochamy, to na zawsze. Dlatego wchodzić między Olka i Martę – to jak wkładać palec w drzwi. Oni nawet nie zauważą, a ciebie będzie bolało.

– Ale on jest ojcem mojego dziecka.

– Chcesz mojej rady? Poszukaj dla swojego dziecka prawdziwego ojca.

Teraz, gdy wspominał tę rozmowę, uznał, że zachował się niewłaściwie. Jego słowa były

dwuznaczne i nie niosły pocieszenia. Powinien powiedzieć coś innego. Coś, dzięki czemu Sylwia by zrozumiała, że ma w nim przyjaciela.

Sylwia nie spodziewała się powtórnej wizyty Olgierda. Wyglądał jak bezksiężycowa noc i choćby dlatego nie powinna była go wpuszczać.

– Chcę zobaczyć wyniki testu.

Sylwia nienawidziła go w tej chwili.

– Jeszcze ich nie mam.

– Nie kłam.

A on nienawidził jej.

– Czemu miałabym kłamać?

– Pewnie dlatego, że leży to w twojej naturze. Jakbyś była owocem związku Lokiego z Dolosem. –

Patrzając jej prosto w oczy, zapytał: – Dlaczego nie powiesz mi prawdy?

Jakiej prawdy ty ode mnie oczekujesz, chciała zapytać, ale nie zdążyła.

– Dzwoniłem do przychodni, powiedzieli mi, że odebrałaś.

– Odebrałam te dotyczące zdrowia dziecka...

Przeciągnął ręką po twarzy, jakby chciał coś zetrzeć. A potem dziwnie spokojnym tonem, takim, jakim mówi się do dziecka, poprosił, żeby w to nie brnęła, bo on już wie. Cały czas miał wątpliwości, jak się okazało, uzasadnione.

– To nie moje dziecko. Ja to wiem i ty też. Mogłaś sobie wmawiać, że jest inaczej, ale teraz masz dowód na piśmie. Dlatego nie chcesz mi pokazać wyników testu.

Potem zarzucił jej wykorzystywanie jego szlachetnych pobudek, manipulowanie nim i Michałem. Mówił o kłamstwach, na których nie można nic budować. I o tym, że gdyby powiedziała prawdę, wsparłby ją, bo przez moment nie miało znaczenia, czy jest, czy nie jest ojcem dziecka, chciał bowiem postąpić właściwie.

W całym tym wywodzie Sylwia słyszała tylko jedno – tak naprawdę kocham Martę, więc wybacz, ale nie będę tracił na ciebie czasu.

I kto tu kłamie? Kazała mu się wynosić.



Rozdział dziewiąty

Róża Souvenir de Gilles Villeneuve

Róża Souvenir de Gilles Villeneuve to dzieło włoskiego hodowcy Marca Albericiego. Jest to krzew o pokroju kompaktowym, dorastający do dziewięćdziesięciu centymetrów, pokryty ładnymi, ciemnozielonymi liśćmi bez połysku. Kwiaty są pojedyncze, niewielkie, do pięciu centymetrów średnicy, z żółtym środkiem. Na płatkach czerwonej barwy występują nieregularne żółte paski. Kwiaty wydzielają przyjemny, mocno korzenny zapach i pojawiają się nieprzerwanie przez cały sezon.

Róża ta została nazwana na cześć kierowcy Formuły Pierwszej, który w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim zginął na torze.

Jesień nie pozostawiała wątpliwości, kto teraz rządzi. Ranki były zimne i mgliste, pachniały mokrą ziemią i wilgocią jak z dna mulistego stawu. Nic już nie kwitło, a zielone były jedynie tuje, bluszcz i naciowa pietruszka, ukryta w zacisznym kącie ogrodu. Ptaki zbierały się w gromady, wspólnie szukały jedzenia, a później siadały na gałązkach, tuląc się do siebie i popiskując żałośnie. Wiedziały, że zbliża się dla nich najgorszy czas. Wiedziały również, że ogrodniczki z Różanej nie opuszczą swoich małych sprzymierzeńców w potrzebie i karmniki wypełnią się ziarnem. Cóż jednak z tego, gdy nie będzie słońca? Ptaki lubią jego ciepło i wczesne słoneczne poranki, wtedy są szczęśliwe.

Tego ranka temperatura spadła poniżej zera i świat pokryła cieniutka warstwa szronu. Trawa wyglądała tak, jakby ktoś wylał na nią mleko. Kryształki bieli wisiały na dawno już poszarzałych pióropuszech nawłoci, na karminowych owocach dzikiej róży, na gałązkach irgi. Był to widok niewypowiedzianie piękny i zasmucający swoją nietrwałością. Zniknie, nie pozostanie nic, bo obraz w pamięci zaraz się zatrze, tak jak zatarło się wiele podobnych – zimowy wieczór, gdy pada śnieg, letni wschód słońca, tęcza czy też kwiaty z mrozu na oknie. Nie jesteśmy w stanie zapamiętać ich na zawsze. Może po to, by za każdym razem równie mocno nas zachwycaly?

Maria cieszyła się, że wstała wystarczająco wcześnie, by móc sobie pozwolić na krótki spacer przed pracą. Pozwoliła, by piękno świata przeniknęło do jej duszy, wypełniło ją spokojem i radością. Potrzebowała tego, postanowiła bowiem, że pójdzie dziś do matki, by porozmawiać o przeszłości. Miała nadzieję, że dzięki temu lepiej zrozumie to, co spotkało Wandę. Klucz do naszej teraźniejszości zawsze kryje się w przeszłości.

Zapukała do drzwi swojego rodzinnego domu, a chwilę później siedziały z matką w salonie i były już po wymianie powitalnych nieuprzejmości. Leokadia zarzuciła córce całkowity brak zainteresowania i to, że opuściła matkę w chorobie. Maria odpowiedziała, że jej zdaniem matka symulowała. W końcu nie byłby to pierwszy raz, kiedy udawała chorą, by coś uzyskać. W odpowiedzi usłyszała, że jest niesprawiedliwa i niewdzięczna. Już miała pozwolić, by te słowa ją zraniły, zdała sobie jednak sprawę, że to tylko słowa. Kiedyś, dawno temu, obydwie przyjęły pewne

role, które przez kolejne lata bezmyślnie odtwarzały. Jedna udawała surową rodzicielkę, a druga słamszoną córkę. Oczywiście po trosze nimi były, jednak nie tak bardzo, by nie mogły raz wyjść z ról i normalnie porozmawiać. Przełamując własną nieśmiałość, Maria podzieliła się z matką tą myślą.

– Masz słuszość – odparła tamba. O Leokadii dużo można było powiedzieć zarówno złego, jak i dobrego, nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że to niezwykle mądra kobieta. A jeśli udawała, że jest inaczej, to tylko wtedy, gdy miała w tym jakiś cel. – Powiedz, co cię sprowadza.

– To skomplikowane, nie wiem, od czego zacząć.

– Znasz najprostszy sposób.

– Tylko sama nie wiem, gdzie jest początek. – Maria się zamyśliła, a matka cierpliwie czekała. – Bardzo przeżyłam śmierć Wandy. Nie potrafiłam tego wszystkiego zrozumieć...

– Nie powinnaś się obwiniać. Naprawdę dużo dla niej zrobiłaś.

– Nigdy nie chodzi o to, co się zrobiło, ale o to, czego się nie zrobiło. Koniec końców nie uratowałam jej.

– Zadałaś sobie pytanie, czy to w ogóle było możliwe?

Maria wstała i podeszła do okna. Patrzyła na ogród, usiłując przywołać jego wspomnienie z tych czasów, gdy drzewa jeszcze były niskie, a krzewy małe. Nadaremnie. We wspomnieniach, nawet tych najdalszych, widziała ogród taki, jaki był teraz.

– Gdy sprzątałyśmy po powodzi, znalazłam listy do Wandy.

– Od ojca.

Maria gwałtownie się odwróciła.

– Skąd wiesz?

– Przyszła z nimi do mnie.

– Powiedziałaś jej wtedy coś, co mogło sprawić, że wróciła do nałogu?

– Byłam delikatna, jeśli o to pytasz. Niemniej Wanda dowiedziała się wielu rzeczy, które mogły mieć wpływ na jej stan ducha. Wiesz, dowiedzieć się, że najbliżsi okłamywali cię całe życie, to nic miłego.

– Ona odnalazła swojego ojca i pojechała się z nim spotkać.

Widać było, jakie wrażenie wywarły te słowa na Leokadii. Maria dawno nie widziała matki tak zaintrygowanej. Opowiedziała więc o wyjeździe Wandy do Krakowa.

– I co mówiła po tym spotkaniu?

– Nawet mi nie powiedziała, gdzie i po co jedzie. Dowiedziałam się po jej śmierci, że szukała ojca, znalazła go, ale że tak naprawdę to nie był jej ojciec.

I ze wszystkimi szczegółami opowiedziała matce o wizycie młodej kobiety z Krakowa.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Jeśli ty, mamó, nie rozumiesz, to co ja mam powiedzieć? Gubię się w tym wszystkim i nie potrafię poskładać całości. W końcu uznałam, że najsensowniej będzie przyjść do ciebie i zapytać o przeszłość. Co powiedziałaś Wandzie?

Początkowo Leokadia się ociągała, w końcu opowiedziała o czasach swojej młodości, o Józku Grabowskim, Konradzie Jezierskim i Irencie Zdunkowskiej. Gdy skończyła, długo siedziały pogrążone w milczeniu. Przerwała je Maria.

– Byłaś przekonana, że Józek jest ojcem Wandy, prawda? – Uzyskawszy potwierdzenie, pytała dalej: – Dlaczego jej o nim nie powiedziałaś? Przychodziła do nas dość często, miałaś okazję.

Wiesz, to do ciebie niepodobne, by nie dążyć do takiego obrotu spraw, który uważasz za właściwy. Widzę tylko jeden powód, dla którego tego nie zrobiłaś. Wiedziałaś, że prawda jest inna.

– Był jeszcze jeden powód. Bałam się.

– Bałaś się jej powiedzieć? – Maria nie rozumiała.

– Bałam się piekła, które mogłoby się rozpętać, gdybym jej powiedziała. Dziadek Wandy, stary Zdunkowski, to nie był dobry człowiek. On... on zabił twojego ojca.

– Co ty mówisz? Ojciec miał wypadek. Tu, w tym domu, kiedy go budował, spadł...

– Albo został zepchnięty.

Maria czuła się jak wyrzucona na brzeg przez gwałtowną falę ryba, która, choć rozpaczliwie łapie powietrze, dusi się na piasku.

– Mówiłam ci, że odgrzebywanie przeszłości nie przynosi nic dobrego. Było, minęło, po co do tego wracać?

– Dlaczego nie poszedł do więzienia? Co zrobiła policja?

– Wtedy to była milicja. Nie znaleźli świadków. Tylko jedna osoba złożyła obciążające Zdunkowskiego zeznania, ale później je odwołała. Zresztą nie była wiarygodna, sąd by jej nie uwierzył.

– Kto to był?

– Ja.

Maria podeszła do matki najbliżej, jak to było możliwe, i patrząc jej w oczy, poprosiła, by skończyła z tajemnicami i opowiedziała, co się wtedy wydarzyło.

– Twój ojciec był cudownym człowiekiem. W całym swoim życiu nie poznałam drugiego tak dobrego mężczyzny. Oboje wiele wycierpieliśmy, straciliśmy najbliższych i nadzieję. I nagle się spotkaliśmy, zakochaliśmy w sobie i życie wróciło na właściwe tory. Mieliśmy siebie nawzajem, przyjaciół, Konrad miał pracę. Kochał mnie nade wszystko, a jego miłość była jak promień słońca po deszczu, taka czysta i jasna. Ten dom to było marzenie twojego ojca. Takie nasze miejsce na ziemi, piękny ogród dla mnie i pełen książek gabinet dla niego. Problemem była realizacja. To były inne czasy, dużo trudniejsze. Dlatego wiele rzeczy Konrad robił sam. Każdą wolną chwilę spędzał na budowie.

Leokadia zamilkła. Widać było, jak bardzo niechętnie mówi o przeszłości; smutek sprawił, że wyglądała na dużo starszą. Maria poczuła bolesny skurcz w sercu, bo w tej chwili uzmysłowiła sobie, że matka nie jest nieśmiertelna.

– Konrad bardziej niż ja zaangażował się w sprawy między Józkiem a Irenką. Był u starego Zdunkowskiego, rozmawiał, przekonywał go, ale wszystko na nic. Stary się uparł, a młodzi cierpieli. Tak sobie myślę, że Józek bardziej. Irena nie miała tak silnej woli, by się sprzeciwić ojcu. Ja bym się nie zastanawiała, tylko uciekała. Tak wtedy myślałam. Dziś ty mówisz, że to nie było dziecko Józka, i to może tłumaczyć jej zachowanie. Choć kto tam wie, jaka była prawda. Ze strzępów wiadomości nigdy nie ułożymy obrazu tego, co się stało naprawdę. Możemy tylko gdybać, a to bardzo denerwujące.

Kiedy kupiliśmy tę działkę, zarówno ty, jak i Wanda byliście już na świecie. Konrad przychodził tu i pewnie dokonywał porównań. Myślał o naszej rodzinie, naszym szczęściu i tym, jakie życie będą mieli Józek i Irenka.

To było jesienią, pora jak teraz, Wanda zachorowała i trafiła do szpitala. Konrad akurat był na dyżurze. Wrócił bardzo zmartwiony. Bał się, że mała umrze. Pamiętam, jak trzymał cię wtedy

w ramionach, jakby samą siłą woli chciał cię ochronić przed wszelkim złem na świecie. Wandzia była w szpitalu prawie miesiąc, w końcu wyzdrowiała. Myślę, że wtedy twój ojciec uznał, że czas wyprostować ludzkie losy. Po cóż się wtrącał?

Po pracy jak zawsze poszedł na budowę. Jakoś tak nie mogłam znieść myśli, że on może tam być głodny. Zostawiłam cię i Tadzia pod okiem sąsiadki, bo było już ciemno, zimno na dworze. Poszłam do Konrada. Zobaczyłam Zdunkowskiego, jak biegł w stronę swojego domu. Tknęło mnie złe przeczucie. Pognałam co sił w nogach, wołałam twojego ojca. Nigdy nie zapomnę tego echa, co się odbijało od pustych ścian. Leżał na ziemi... Nie mogę... – Urwała. – Wiele śmierci w młodości widziałam i wiedziałam, kiedy już nie ma ratunku. Pobiegłam do Janickich, Tadeusz był naszym przyjacielem. Nie pamiętam, co mu powiedziałam. Przyjechała milicja. Złożyłam zeznania. Wypytywali Zdunkowskiego, ale ten twierdził, że nie ruszał się z domu. Żona i córka poświadczyły. Jak mi to powtórzyli, zaczęłam go przeklinać. „Żebyś nigdy nie zaznał miłości, żebyś zdychał sam, opuszczony przez wszystkich i znienawidzony, żeby ci się rozum pomieszał” – tak krzyczałam. A on przyszedł do mnie następnego dnia i kazał wycofać fałszywe oskarżenia. „Jedno nieszczęście wystarczy”, powiedział. Przestraszyłam się i zrobiłam, jak mówił. Tadek Janicki się na mnie o to obraził, na całą ulicę się obraził, odgrodził się od nas murem i bramę zrobił od strony Wałbrzyskiej. Ludzie zaczęli plotkować. Opowiadali, że Janicki znalazł ciało, a ja go za to przeklełam, że całą ulicę przeklełam. A ja tylko jednego człowieka przeklełam i los go pokarał. Dostał wszystko to, czego mu życzyłam. Ale nie dlatego, że moje słowa miały siłę sprawczą. Był złym człowiekiem, a źli ludzie zawsze źle kończą. Prawda jest taka, że tylko jemu złorzeczyłam. Reszta wymyśliła sobie historię o kłątwie, by mieć na kogo zrzucać winę za swoje błędy. Tacy właśnie są ludzie, wszędzie szukają przyczyny niepowodzeń, tylko nie w sobie.

– Dlaczego zabił ojca?

– Taki był. Teraz na takich mówi się „psychopata”.

Maria wciąż nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytała w końcu.

– A chciałybyś żyć z takim mrokiem w sercu? I tak jesteś nadwrażliwa. Musiałam cię chronić. Was oboje. Byliście z Tadeuszem całym moim światem.

– Tadeuszowi też nie powiedziałaś?

– Nie. Choć mam wrażenie, że on wie. Wiele lat temu zmienił się jego stosunek do mnie. Myślałam, że to miało związek ze śmiercią Eweliny, i nie drażyłam. Jakiś czas temu przyszło mi do głowy, że mógł badać akta sprawy. Jeśli tak, trafił na notatkę z moim oskarżeniem. To pismo wciąż jest w aktach, Mateusz Krupski mi je pokazał.

– Powiedziałaś mu?

– Na tym zawsze polegał twój problem, moja droga. Mówisz coś, nie zastanawiając się wcześniej. Twoje pytanie powinno brzmieć: „A dlaczego Mateusz zainteresował się tą sprawą?”. Bo oczywiste jest, że ja mu nie powiedziałam. Zainteresował się nią przez te plotki o kłątwie. Agata ubzdurzyła sobie, że pozna prawdę, i poprosiła go o pomoc. Chłopak okazał się mądrzejszy, niż można by sądzić, i najpierw przyszedł do mnie.

Maria zaczęła chodzić po pokoju, jakby rytm kroków miał pomóc uregulować rytm rozdygotanego serca. Próbowwała nie dopuścić do siebie tych wszystkich informacji, powtarzała sobie, że matka nie mówi prawdy. „Znasz ją, wiesz, kiedy kłamie” – mówił inny głos w jej głowie. I co teraz zrobić? I co ona ma teraz zrobić?

– I co ja mam teraz zrobić?

– Zapomnieć.

– Niemożliwe.

– Musisz, jeśli nie chcesz, bym żałowała, że powiedziałam ci całą prawdę. Prawdę, przed którą chroniałam cię tyle lat, bo nie chciałam, aby tamten zły człowiek miał wpływ na twoje życie. Widzisz, tak już jest, że od zła trzeba się odgradzać wysokim murem. Jeśli podejdziesz zbyt blisko, skazi cię. To właśnie się stało z babką Wandy, jej matką i nią samą. Były zbyt blisko tego okropnego człowieka i on je zniszczył. Nie mogłaś nic zrobić, nie miej wyrzutów sumienia. A teraz idź do kuchni i przynieś nam obu krople na uspokojenie.

Maria posłusznie wypełniła polecenie matki.

Sylwia Brzozowska wróciła z pracy zmęczona bardziej niż zazwyczaj. Miała ciężki dzień, a bycie w ciąży nie ułatwiało życia.

Zdjęła żakiet i przewiesiwszy go przez oparcie fotela, położyła się na kanapie. Zaraz zajmie się domem, przygotuje obiad, aby Julka zjadła coś pożywnego po powrocie z zajęć, zaraz... Teraz musi poleżeć, bo nie ma siły. Jeszcze cztery miesiące. Potem będzie... trudniej. Tak naprawdę będzie trudniej, bo choć przestanie już być inkubatorem dla dziecka i jej organizm odzyska własny rytm, zacznie się nocne wstawanie, przewijanie, karmienie. Będzie tak źle, że lepiej nawet o tym nie myśleć. A najgorsze, że zostanie z tym wszystkim sama, bo na Olgierda nie może już liczyć.

Poczuła piekące łzy wściekłości pod powiekami. Olgierd nie mógł być ojcem dziecka, tak wykazały badania. Początkowo postanowiła to zignorować. W końcu była tylko z nim, a w laboratoriach błędy się zdarzają. Zdarzają się również błędy w życiu. Zwłaszcza gdy wchodzi się do ciemni i uprawia seks z facetem, którego twarzy się nie widzi. Ona była przekonana, że to Olek, tamten mógł myśleć, że Sylwia jest kimś innym. Przypadek ich ze sobą wtedy zetknął i nie było szansy, by zdarzyło się to powtórnie.

Gdyby zachowała się rozsądnie i nie odpuściła Michałowi, teraz miałyby wsparcie. Poszła jednak za głosem serca, głupim głosem, i wybrała Olgierda. Postawiłam na złego konia, wyrzucała sobie. Jak mogła być tak głupia, by myśleć, że on jest do wzięcia. Wspomnienie Olka całującego się z Martą zabolowało tak, jakby dotknęła palcem rozgrzanego garnka. Skurcz, który przechodzi przez całe ciało, a na końcu ściska serce.

I nawet nie chodziło o to, że czuła się zazdrosna o Olgierda. Nie. To był żal, smutek, jakieś takie rozgoryczenie, bo oni bardzo się kochali, a jej, Sylwii, nie kochał nikt. Przyczyną wojny o Michała i starań o Olgierda była tęsknota za miłością. Taką, która nie minie, tylko przetrwa do późnej starości. Sylwia chciała wracać z pracy i rozmawiać w domu z kimś o tym, jak bardzo denerwują ją przełożeni, a jeszcze bardziej podwładni. Chciała komuś gotować obiady, robić pranie i awantury o brudne skarpety, niewrzucone do kosza na bieliznę. To wcale nie musiała być szaleńcza miłość, wystarczy, żeby przetrwała codzienność.

Co takiego ma Marta, czego ja nie mam? – zadawała sobie pytanie. Jest młodsza, ale dużo brzydsza. I z całą pewnością o wiele bardziej irytująca. A jednak on nie może przestać jej kochać. A Michał przestał mnie kochać i z najbliższej osoby stałam mu się najbardziej obca. To nie jest sprawiedliwe.

Tyle się w niej zebrało żalu, że już nie potrafiła go pohamować. Łzy płynęły po policzkach i skapywały na bluzkę, znacząc ją ciemnymi plamkami. Nie potrafiła się powstrzymać; płakała coraz

głośniej, coraz bardziej rozpaczliwie.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Pewnie Julka znów zapomniała kluczy. Sylwia rozejrzała się za chusteczkami i pośpiesznie wytarła twarz. Będzie musiała skłamać, powie, że w pracy coś, coś... coś wymyśli.

– Wszystko w porządku? – zapytał Konrad Jezierski, bo to on, a nie Julka, dzwonił.

– Coś w pracy i hormony.

– Przepraszam, nie chciałbym ci przeszkadzać, ale musimy porozmawiać.

– To nie jest odpowiedni moment.

– Trudno.

I wszedł.

Pewne rozmowy bardzo trudno zacząć. Jest zbyt wiele rzeczy, o których chce się powiedzieć. W głowie mętlik, w sercu zamęt, kolana drżą, dłonie się pocą.

Konrad usiadł na kanapie i wytarł ręce w nogawki spodni. Czuł się jak uczeń. Może gdyby Sylwia nie płakała, byłoby łatwiej. Jej smutek odbierał mu odwagę.

– Przyszedłeś, żeby posiedzieć na mojej kanapie?

– Przyszedłem, żeby coś ci opowiedzieć.

To zdarzyło się dawno, dawno temu. Konrad nie pamiętał, ile miał lat, nie pamiętał nawet, czy mama jeszcze wtedy żyła. Był letni dzień, nie upalny, tylko przyjemnie ciepły, może niedziela, bo wspomnieniu towarzyszyła świąteczna aura. Bawił się na dworze, sam. Nagle usłyszał dziecięce głosy na ulicy i podbiegł do furtki w nadziei, że znajdzie towarzystwo.

Ulicą kroczyło zjawisko tak piękne, że Konrad rozdziawił buzię z zachwyty. Nigdy w życiu nie widział tak pięknej dziewczynki. Była szczupła, wysoka, miała długie, jasne włosy, związane w kucyki dwiema wielkimi kokardami, podobnymi do niebieskich motyli. Spod długich ciemnych rzęs słała światu zaciekawione spojrzenia. Wokół niej, jak wierny piesek, biegała Martusia Krupska.

To mózg człowieka ma wiek, nie serce. Dlatego możemy się zakochać, gdy mamy lat szesnaście i gdy mamy trzydzieści, siedemdziesiąt, a nawet cztery. Tego dnia Konrad Jezierski oddał swoje serce Sylwii Ruczajównie, choć pewnie nawet nie wiedział, co oznacza słowo „zakochać się”.

Przez wiele lat żył w przekonaniu, że gdy będzie duży, ożeni się z Sylwią. Do głowy mu nie przyszło, że zanim on dorośnie, ona wyjdzie za innego i nawet urodzi dziecko. Pogodzić się z tym zdołał tym łatwiej, że był młody. A jednak myślał o niej wyjątkowo często, przeklinając los, który nie pozwolił im przyjść na świat w tym samym czasie.

Ułożył sobie życie, a wtedy ona się rozwiodła. Siedem dzielących ich lat nie wyglądało już tak źle, jak dwie dekady wcześniej, i Konrad zaczął żałować, że wziął ślub z Karoliną. Gdyby był wolny, mógłby chociaż spróbować. To, a także wszystkie frustracje, jakie towarzyszyły mu w pracy i w domu, spowodowało, że w końcu nie wytrzymał i wyjechał.

Przedtem jednak stało się coś, co było jednym z najpiękniejszych momentów w jego życiu. To właśnie sprawiło, że wrócił. I dlatego mówi jej o tym wszystkim.

– Możesz mówić jaśniej? Nie rozumiem nic ponad to, że byłam obiektem twoich dziecięcych fantazji.

– Bo widzisz, przypadkiem udało mi się je zrealizować.

– Co ty mówisz? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była z tobą.

Jej zaskoczenie było szczere. Czas skończyć tę historię.

Konrad wcale się nie wybierał na wieczór poetycki ciotki Marysi, ale zjawił się Mateusz, a przy kumplu zawsze dostawał małego rozumu. Kiedy zamknął drzwi domu, poczuł się wolny jak ptak, a przyjaciel dodatkowo go podkręcał. Palili papierosy, pili piwo i zachowywali się, jakby mieli po piętnaście lat. Poezja była nudna, ale Mateusz chciał się gapić na cycki ładnych dziewczyn, więc Konrad wyszedł sam. Włóczył się po korytarzach i przypominał sobie czasy, gdy jako nastolatek chodził do domu kultury na zajęcia kółka fotograficznego. Gdy wszedł do ciemni, zaskoczyło go, że było tam tak, jak zapamiętał. Obejrzał wszystko, a potem zgasił światło i wychodził na korytarz, gdy...

– Zobaczyłem ciebie. Pomyślałem, że to może być okazja do rozmowy. Wiesz, pokażę ci powiększalniki, opowiem, jak robi się odbitki. Tymczasem ty rzuciłaś się na mnie. Zbyt długo czekałem, by nie wykorzystać takiej okazji.

– Myślałam, że to Olgierd.

– Zrozumiałem nazajutrz, gdy minęłaś mnie na ulicy absolutnie obojętna. Przyszło mi do głowy, że gdybyś wiedziała, że to ja, byłabyś wściekła, prosiłabyś o dyskrecję, szantażowała. A przynajmniej byś się zarumieniła. Tymczasem tobie nawet powieka nie drgnęła. Uznałem więc, że będę milczał i zobaczę, co z tego wyniknie...

– Cięża wynikła.

– Wiem. Kiedy Mateusz mi powiedział, od razu wróciłem, żeby być przy tobie i dziecku.

Jej oczy zamigotały, jakby tęczówki były błękitnym brokatem. Jeszcze przed chwilą smutne, teraz skrzyły się złością.

– Nie powiem, historia twojej miłości mile połechtala moje ego. I na tym koniec. Dla mnie jesteś i pozostaniesz gówniarzem. Może to i z tobą kochałam się w tej cholerniej ciemni, ale to był błąd. Nie oprę mojej przyszłości na cikliwej historyjce i jednej chwili zapomnienia. Poza tym ty masz żonę i dzieci.

– Mam dzieci. Dwóch chłopców, trzecie w drodze. Jeśli zechcesz mnie od niego odsunąć, spotkamy się w sądzie.

Wstał. Po raz nie wiadomo który wytarł dłonie o nogawki.

– Inaczej wyobrażałem sobie ten moment. Nie oczekiwałem, że padniesz mi w ramiona, ale myślałem, że będzie jakoś serdeczniej. Naprawdę jestem w tobie zakochany od dziecka. A znając stałość Jezierskich, myślę, że tak mi zostanie, więc przemyśl to jeszcze. Może będzie to miało dla ciebie znaczenie, że Karolina złożyła pozew rozwodowy i niedługo stanę się wolnym człowiekiem.

– Nie będzie miało znaczenia. – Od jej głosu zrobiło się zimno w pokoju. Nie, to nie pokój, stał już na zewnątrz, nie zauważył, kiedy wyszedł. Chciał się obrócić, ale wtedy drzwi trzasnęły jak wieko trumny.

Agata nie mogła zasnąć. Usiadła na łóżku i patrzyła na Michała. Spał twardo, a odgłos jego równego oddechu wypełniał sypialnię. W pustych wciąż jeszcze pomieszczeniach każdy dźwięk wydawał się głośniejszy. Agata miała wrażenie, że ktoś cofnął czas do ich pierwszego tygodnia na Różanej. Jacy byli wtedy szczęśliwi!

– Teraz też jesteśmy – szepnęła.

Znów się śmiali, rozważali wzięcie drugiego psa, Michał wspominał raz o dziecku, a ona nie dostała hysterii. Kryzys został zażegnany i ich małżeństwo miało się dobrze.

Powinna powiedzieć o tym Mateuszowi. Nie może pozwolić, by trwał w niepewności i czekał.

Agata nigdy nie odejdzie od męża, nie porzuci swojego wygodnego, trochę nudnego życia. Dobrze jej. To właśnie powie Mateuszowi jutro. Jutro. Tylko po co czekać do jutra? Być może rano zabraknie jej odwagi. I tak nie mogła spać, a myśl o rozmowie będzie przeszkadzać jak fałda na prześcieradle i uniemożliwi zaśnięcie. Taka rozmowa jest jak wyciąganie drzazgi – trzeba to zrobić od razu, bo później zaczyna jątrzyć i coraz bardziej boli.

Wstała, wzięła komórkę z krzesła, które zastępowało nocny stolik, i poszła do kuchni. Wybrała numer z listy. Mateusz długo nie odpowiadał. Pewnie spał. Postanowiła, że go obudzi. Spróbowała jeszcze raz. I jeszcze. W końcu usłyszała jego szept.

– Nie mogę rozmawiać, jestem w pracy.

– To zajmie tylko chwilę.

– Zrozum, nie mogę...

Ktoś krzyknął w tle, coś trzasnęło, a później rozległ się dźwięk podobny do huków fajerwerków. Agata struchlała.

– Mateusz, jesteś tam? Co się stało? Mateusz!

– Mówiłem, że jestem w pracy. – Mówił z trudem, ledwo go było słycać. – Cóż, zakochani idioci popełniają największe błędy. Bardzo cię... Kocham... kochałem... chyba jestem już czasem przeszłym... – I zamilkł.

– Co się stało? – Jakby krzykiem można było zmusić go do odpowiedzi. – Mateusz, słyszysz mnie? Co się stało?

Cisza. Przeróżająca, martwa cisza.

– Co się stało? – To Michał. Stał oparty o framugę i patrzył na Agatę zaspanymi oczyma.

Nie wiem, co się stało. Jestem idiotką. Możliwe, że Mateusz właśnie umiera. Ja go zabiłam. Nie powiedziała tego. Po prostu zaczęła płakać.

Leokadia pracowała w ogrodzie. Tylko ten, kto zna to zajęcie, wie, jakie może być satysfakcjonujące, gdy brunatna wiosną ziemia zazielenia się i zakwita latem, by w końcu jesienią zaowocować. Choć wcale nie było łatwo to osiągnąć. Praca w ogrodzie jest trudna. Trzeba znać wymagania roślin i jakość gleby, w którą się je sadi. Jak we wszystkich działaniach, tak i w ogrodnictwie najważniejsze jest doświadczenie, które zdobywa się pracą.

Uderzyła motyczką w ziemię, by ją spulchnić, trzeba bowiem pozwolić powietrzu docierać do korzeni, każdy żywy organizm musi oddychać. Szło jej zadziwiająco łatwo, narzędzie było lekkie, a ziemia nie stawiała oporu. Zdziwiona tym wsparła się na narzędziu i patrzyła na grządkę, wcześniej pustą, teraz poprzecinaną cieniutkimi paseczkami zieleni. Coś wschodziło. Co tu siała? Marchewkę może. Nie mogła sobie przypomnieć. Ech, starość.

Bardziej wyczuła, niż usłyszała, że ktoś nadchodzi. Odwróciła się; stał przed nią Mateusz Krupski.

– Spodziewałam się kogoś innego – powiedziała, a on uśmiechnął się tym swoim zawadiackim uśmiechem nad wiek mądrego chłopca.

– Mnie wysłali.

– Lepszy rydz...

– Myślałem, że mnie pani lubi.

– Bo to prawda. Lubię cię tym bardziej, że się co do ciebie pomyliłam. Przez lata myślałam, że jesteś rozpuszczonym bachorem, ty zaś jesteś mądrym młodym człowiekiem.

– Byłem mądry, dopóki się nie zakochałem. Miłość czyni z nas głupców i popełniamy błędy.

– Od lat obserwuję to na naszej ulicy. A przecież żeby być szczęśliwym, wystarczy chcieć.

– To chyba nie jest takie łatwe.

– Czy ja mówiłam, że łatwe? Ale możliwe. Popatrz na mnie. Kiedy zmarł mój mąż, mogłam pogрузić się w żałobie i zgorzknieć, a zamiast tego postanowiłam być szczęśliwa.

– I złośliwa.

– Nie złośliwa, tylko cyniczna. Poznanie praw rządzących światem czyni nas cynikami, czyż nie?

– Z tym trudno się nie zgodzić. Ładnie kwitnie, co to?

Leokadia spojrzała w kierunku, który wskazał. Spośród zielonych i brązowych liści wystawały kwiaty, które z daleka można było wziąć za wzniesione na długich szyjach głowy żurawi.

– To kanny – wyjaśniła. – Dziwne, że już zakwitły, to nie ich pora.

Nagle zdała sobie sprawę, że wszystko wokół kwitnie. Białe dzwoneczki konwalii roztaczały cudowny zapach, pędy róż uginały się pod ciężarem kwiatów, z których najjaśniejsze miały kolor mgły o poranku, najciemniejsze zaś były prawie czarne. Kwitły fiołki, lewkonie, bratki i astry, dalie, maki, naparstnice, malwy i chryzantemy, piwonie, onętki, nawłocie, stokrotki, złoczenie, słoneczniki i lilie, wrzosa, tulipany, przetaczniki, orliki, cynie, zawilce i goździki, kocanki, niecierpki i omiegi. Słowem, kwitło wszystko, co kwitnąć mogło, choć była jesień i tych roślin nie powinno być w ogrodzie.

– Jak w raju – zachwyciła się.

– Nie do końca. Raj jest trochę zapuszczony. Przyda mu się odrobina zainteresowania kogoś z taką wiedzą jak pani. – A widząc, że Leokadia nie rozumie jego słów, kontynuował. – Pamięta pani taki film *Cztery wesela i pogrzeb*? Na Różanej będzie odwrotnie.

– Ślub? – ucieszyła się. – Czyj? Marty i Olgierda?

– To się nazywa niepoprawny optymizm. Nie o nich chodzi. Już byli małżeństwem, nie popełnią tego błędu po raz drugi. Dla ułatwienia powiem, że nikt z młodych. Nie domyśla się pani? Teresa. Kto by pomyślał. Maria po raz drugi pozwala, by inna kobieta sprzątnęła jej mężczyznę sprzed nosa.

– Z całym szacunkiem do ciebie, ale nie uważałam ani twojego ojca, ani tym bardziej Marciniaka, za dobrą partię. Lepiej Marysi samej.

– Niewątpliwie. Nie chodzi jednak o męża. Chodzi o to, by przestać trwać w letargu i zachłannie zapragnąć życia. Każdy na Różanej dostał gorzką lekcję. Niestety, niektórzy wciąż i wciąż będą popełniali te same błędy, goniąc za szczęściem, jakby ono było daleko, a tymczasem jest na wyciągnięcie ręki.

Gdy to mówił, Leokadii przysłała do głowy straszna myśl.

– Mateusz, czy ja umarłam? – zapytała, a serce waliło jej jak oszałałe.

– Skąd ten pomysł? To tylko sen.

Miał rację. To był sen. Przerazona Leokadia usiadła na brzegu łóżka. Serce wciąż biło niespokojnie. Głupi, głupi sen! Tak się wystraszyła. Nie chciała umierać. Choć była stara, a jej życie nie ułożyło się tak, jak powinno, nie chciała się z nim rozstawać.

Wstała i zeszła do kuchni, by zażyć krople. Przy stole siedziała Marta. Kiedy Leokadia zapaliła światło, zobaczyła, że oczy młodej kobiety są zaczerwienione.

– Płaczesz, co się stało? Olgierd coś ci zrobił?

Marta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Czekam na wiadomość. Mateusz został postrzelony na służbie.

Gdyby ktoś obserwował dom Krupskich, zobaczyłby w kuchennym oknie światło, rozświetlające

szarugę poranka. Miasto jednak spało.

W jesienne poranki najtrudniej było wcześniej wstać. Latem, gdy słońce wschodziło o czwartej, oczy same się otwierały. Zimą w niedogrzanym mieszkaniu budził chłód. Wiosną, kiedy śpiewały ptaki, człowiek wiedział, że żyje. Jesienią było najgorzej, mimo to nigdy nie narzekał. Lubił swoją pracę. Konrad Jezierski wiedział jedno – urodził się, by być lekarzem. Dlatego też delikatnie, żeby jej nie obudzić, pocałował swoją żonę Leokadię i wstał cicho. Dzieci spały w łóżeczkach, twardym snem młodych organizmów, nic ich nie było w stanie obudzić. Inaczej było z Leokadią, byle szmer, byle skrzypnięcie wystarczyło, żeby wyrwać ją z najgłębszego snu.

Tyle lat, pomyślał Konrad, a my wciąż śpimy, jakby za chwilę miał być nalot. Wyjdzie z nas kiedyś ta cholerna wojna czy też nie? Na wszystko rzuca cień. I przywołał w pamięci ów moment, gdy żona powiedziała mu o pierwszej ciąży. Zanim zaczęli się cieszyć, musieli opanować strach, co też będzie, gdyby... Z Marysią było podobnie. Udawał, że się cieszy, ale w głębi serca czuł strach. Zwłaszcza po skomplikowanym porodzie Irenki. To był okropny dzień.

Przyszły wtedy do szpitala dwie kobiety. Obie na porodówkę. Jedna, dojrzała i doświadczona, miała już trzech synów i wierzyła, że tym razem urodzi upragnioną córkę. Drugą była Irenka Zdunkowska, młoda, niezamężna, choć ojciec dziecka, Józek Grabowski, kuzyn Konrada, palił się, by ją zaciągnąć do ołtarza. Rodzice Irenki nie zgadzali się na ślub, a dziewczyna nie potrafiła się sprzeciwić ich woli.

Położna sobie nie radziła, wezwano więc Konrada, by pomógł. Wczesnym rankiem przyszły na świat dwie dziewczynki. Jedna, ta wyczekiwana, z łatwością wypłynęła z ciała matki.

– Tom się doczekała – sapnęła uradowana kobieta. – To będzie mój skarb. Aldona jej dam na imię, bo to królowa moja będzie.

A Konradowi się wydało, że promień wschodzącego słońca padł na twarzączkę dziecka i ją ozłocił.

Druga dziewczynka rodziła się z trudem. Pępowina zaplątała się wokół jej ciała jak macka ośmiornicy, która nie pozwala nurkowi opuścić odmętów. Lekarze walczyli, by wyrwać na świat dziecko. Czy wiedziało, że nie będzie serdecznie witane, i chciało pozostać w jedynym bezpiecznym miejscu?

Choć minęło już sporo czasu od tamtych wydarzeń, Konrad wciąż do nich wracał. Najmocniej burzyły jego spokój tuż przed narodzinami Marysi. Ale i później przychodziły. Bo jakże miały nie wracać, skoro poznał tak okropną tajemnicę. Wanda wcale nie była córką Józka. Gdy dziecko trafiło do szpitala, lekarze w pewnym momencie rozważali transfuzję. Najpierw zbadano matkę, ale okazało się, że ma inną grupę...

– Nie martw się, Irenko – pocieszył ją wtedy Konrad. – Jeśli nie nadaje się krew matki, krew ojca będzie odpowiednia. Porozmawiam z Józkiem, przecież nie odmówi.

Wtedy dziewczyna zbladła, zalała się łzami i wyznała swój sekret.

Konrad potem trzy noce spać nie mógł, w końcu poszedł do gospody i upił się do nieprzytomności, co trochę złagodziło szok, wciąż jednak nie mógł uwierzyć. Myślał, że podczas wojny był świadkiem najgorszych zbrodni. Okazuje się jednak, że nawet w okresie pokoju trafiają się ludzie źli, okrutni, potwory w ludzkich ciałach.

Wyszedł z domu kwadrans przed szóstą i ruszył rubińskimi ulicami do szpitala. Mijał prądki z zakładu bawełnianego. Jedne z nich szły do pracy, inne wracały z nocnej zmiany. Kilka, podobnie

jak Konrad, wstąpiło do piekarni, bo trudno było się oprzeć zapachowi chleba, świeżo wyciągniętego z pieca.

Zajęty pracą Konrad nawet nie zauważył, kiedy minął mu dzień. Wyszedł ze szpitala po czwartej i ruszył na budowę. Po drodze wstąpił do gospody na setkę, bo dzień był zimny. Mógł zająć do domu, bał się jednak, że ciepło tak go rozleniwi, że już nie wyjdzie. Teraz szybko robiło się ciemno, trzeba było wykorzystać ostatnie promienie słońca. Tak bardzo chciał, by Leokadia miała wreszcie dom. Ładny będzie, piętrowy. Konrad zamierzał dokończyć ścianę działową na piętrze. Cegły miał już wniesione, przygotował wiadro zaprawy i gdy wspinał się na górę po drabinie, w wyobraźni widział szerokie schody z ładną, drewnianą balustradą.

Wizyty Zdunkowskiego się nie spodziewał.

– Pochwalony, panie doktorze. A jak tam praca idzie?

– Dobrze, dziękuję bardzo. – Konrad nawet oczu nie podniósł znad wiadra z zaprawą. Kielnia zgrzytnęła o cegłę.

– A pan doktor to wszystko sam robi.

– No tak wyszło, że sam. Będą pieniądze, znajdą się pomocnicy. Tymczasem pomalutku, cegła po cegle.

– Ano, pomalutku – przytaknął tamten i sięgnął po papierosa. – Pomówić chciałem.

– Ja z panem, panie Zdunkowski, nie mam o czym rozmawiać.

– Kiedy mnie się wydaje inaczej – odparł ojciec Ireki, chrząknął i splunął. – Moja dziewczucha mówiła, że głupot jakichś panu doktorowi nagadała. To wszystko nieprawda.

– To sąd orzeknie.

Zdunkowski rzucił się ku Konradowi.

– Sądem mnie będziesz straszył, gówniarzu?

– Boski sąd, panie Zdunkowski, nikogo nie minie.

Słyszac to, mężczyzna odstąpił.

– Ja w Boga nie wierzę.

– W to nie wątpię.

Stali teraz naprzeciw siebie, z pozoru spokojni.

– Jak to ma być tylko taki sąd, to nie bardzo się boję. Ale gdyby panu doktorowi przyszło co innego do głowy, to nie radzę. Moja to sprawa, rodzinna, i obcym wara.

– Spać z własną córką? Dziecko jej zrobić to sprawa rodzinna? – Jeziński poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Nerwy puściły i rzucił się ku Zdunkowskiemu.

Tamten, wystraszony, uskoczył i Konrad całym impetem runął w dziurę, gdzie kiedyś miały być schody. Pół metra w prawo, a trafiłby w drabinę, której mógłby się chwycić.

Nogi połamię jak nic. I kto mi je poskłada? – pomyślał, nim zapadł w ciemność.



Rozdział dziesiąty

Róża Navoika

Róża Navoika jest pochodzącym z polskiej hodowli wielkokwiatowym mieszańcem herbatnim. Ze względu na zwartą budowę krzaka doskonale się sprawdza na kwietniku. Błyszczące liście są początkowo brązowe, z czasem zielenieją. Kwiaty, o szlachetnej budowie, są duże i pełne, osiągają średnicę dziesięciu centymetrów, a ponieważ wyrastają pojedynczo na pędzie, róża ta sprawdza się doskonale jako kwiat cięty. Płatki mają barwę ciepłej żółci, a różowoczerwony nałot nadaje im charakter. Róża ta napełnia rabatę przyjemnym, owocowym zapachem i nie jest trudna w uprawie, choć wymaga kopczykowania.

To był jeden z tych poranków, za które kochamy zimę – biały, jasny, mroźny. Całą noc padał śnieg. Jego delikatne płateczki wirowały w świetle ulicznych latarni jak baletnice w niezwykłym przedstawieniu. Teraz wschodziło słońce, jego promienie były zimne, ale jasne. Odbijały się od bieli śniegu w tysiącach oślepiających refleksów.

Konrad Jezierski z czułością patrzył na zmęczoną twarz Sylwii. W tej chwili była mu droższa niż kiedykolwiek. Ale wiedział już, że nie jest największą miłością jego życia. Kobieta, dla której zupełnie stracił serce i głowę, leżała obok Sylwii. Miała pięćdziesiąt sześć centymetrów długości, ważyła niespełna cztery kilo i przyszła na świat zaledwie godzinę wcześniej. Konrad pochylił się, by po raz tysięczny pocałować prześliczny malutki nosek swojej córki. Dziecko otworzyło oczy i patrzyło na niego, jakby widziało i nie widziało jednocześnie. Podniósł je delikatnie.

– Uważaj na główkę – upomniała go Sylwia.

Skwitował to uśmiechem. Miał większą praktykę rodzicielską – to było jego trzecie dziecko – i nie miał siedemnastu lat przerwy. Nie był to jednak moment na podważanie kompetencji Sylwii, nawet jeśli to tylko przekomarzania. Miała za sobą wielogodzinne trudy porodu. Konrad nawet nie zdawał sobie sprawy, jak to wygląda. Karolina owszem, wspominała o porodzie rodzinnym, ale jemu wydawało się to bzdurą, modą wykreowaną przez media. Przez tysiąclecia kobiety rodziły same, a nagle, w dwudziestym pierwszym wieku, niezbędny jest im do tego mężczyzna? Jednak z Sylwią było inaczej. Gdy przywiózł ją do szpitala, kazała mu zostać. „Jeśli coś pójdzie nie tak? Jeśli będę nieprzytomna, to kto podejmie decyzję? Musisz tu być”. Na szczęście wszystko poszło dobrze.

– Lepszego dnia nie mogła sobie wybrać, prawda? – Znów pocałował małą. Jej główka pachniała tak, jakby świeżość suszonego na słońcu prania mieszać z zapachem słodkiej śmietanki. Cudnie. Nie mógł się oprzeć. – Dziecko miłości przyszło na świat w walentynki. Witaj na świecie, Klaro Walentyno Jezierska.

Sylwia położyła mu rękę na kolanie.

– Dziękuję, że ze mną byłeś.

Konrad przesunął dziecko tak, by mógł je trzymać jedną ręką, drugą zaś ścisnął dłoń Sylwii.

– Nie robiłem tego, by zasłużyć na twoją wdzięczność. Byłem tu, bo kocham ciebie i nasze dziecko. Powinnaś w to wreszcie uwierzyć.

– Wierzę. Tylko... – chwila wahania – ...tylko się boję.

– Czy ty masz świadomość, że jesteś starsza od żony, którą dla ciebie zostawiłem? – próbował żartować, ale Sylwia nie pozwoliła się rozśmieszyć. – Ja też się boję – wyznał w końcu. – A mimo to chcę spróbować. Może nam nie wyjść. Może się też okazać, że jesteśmy najszczęśliwszą parą na świecie. Moim zdaniem warto zaryzykować. – Delikatnie pogładził jej dłoń. – Kocham cię.

I wtedy Sylwia powiedziała to, na co czekał całe życie.

– Ja ciebie też.

– Jesteś idiotą.

– W twoich ustach brzmi to jak komplement.

– Innego nigdy nie usłyszysz.

– Mimo to będę cię kochał.

– Gdybyś kochał mnie naprawdę, nie rujnowałbyś mi życia.

– Teraz będziesz mi wypominać, że dałem się postrzelić?

– Myślę, że to była część twojego planu. Dać się zabić, żebym do końca życia miała wyrzuty sumienia. Niestety, nie wyszło. A teraz wstawaj. Spóźnię się do pracy, a muszę jeszcze wyprowadzić psa.

Mateusz niechętnie podniósł się z łóżka. Ramię wciąż go bolało. To miała być rutynowa interwencja. Sąsiad skarżył się na hałas i dziwny zapach na korytarzu. Przyjechali, sądząc, że to sprawka małolatów, którzy w pięciu dorwali jednego jointa i teraz myślą, że mają odlot. Całkiem zlekceważyli sytuację, a on, Mateusz, najbardziej. Nigdy, przenigdy nie gadaj przez telefon w czasie pracy, nawet jeśli wypisujesz mandat. Tymczasem to nie byli gówniarze, towaru mieli więcej i gdy usłyszeli słowo „policja”, spanikowali.

Przyłożył palec w miejscu, gdzie kula weszła w ciało, drugi zaś do serca. Pięć centymetrów, tyle właśnie dzieliło go od śmierci. Wciąż nie mógł uwierzyć, jak niewiele. Czasem kula trafia w sam środek serca, czasem o włos je omija. Zawsze jednak los daje nam szansę jej uniknięcia, pomyślał Mateusz.

Wydawało mu się, że umarł. Kiedy otworzył oczy, na brzegu jego łóżka siedział anioł.

– Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, oszczędzę trudu lekarzom i cię dobiję – powiedział.

Wtedy Mateusz zrozumiał, że żyje i to Agata nad nim czuwa.

– Było warto. Bolało jak cholera, ale było warto. Przyjechałaś.

– Następnym razem mnie zaproś.

– Nie będę cię zapraszał, bo nie wyjedziesz.

– Akurat. Zaraz jutro wracam do męża.

Ale tak tylko mówiła.

Przez następne tygodnie nie było dnia, by nie robiła Mateuszowi wymówek. Miałam uporządkowane życie, wyrzucała mu, ładny dom z ogródkiem i męża, którego praca nie polegała na narażaniu życia. Wtedy pojawiłeś się ty i przewróciłeś wszystko do góry nogami.

Była jednak taka noc, tuż po powrocie Mateusza ze szpitala, gdy leżeli przytuleni do siebie, a Agata z płaczem mówiła, jak bardzo go kocha, jak sobie to uświadomiła i jak bardzo się bała, że on umrze, nie wiedząc o tym.

– Niczego nie żałuję. Poza Michałem, bo jego też kocham, ale nie tak bardzo, jak ciebie. Pamiętasz, jak opowiadałam o Grzesiu? Byłam z nim i bałam się przyszłości. Wtedy zjawił się Michał i to było jak otwarcie okien w dusznym pomieszczeniu. Romans z żonatym, seks w hotelowych pokojach, ale fajnie. I ani się obejrzałam, a moje życie stało się uporządkowane i przewidywalne. Nawet nie wiesz, jak mnie to przerażało.

– Postaram się ustawicznie dostarczać ci mocnych wrażeń.

– Jak ty nic nie rozumiesz. Jesteś tym facetem, z którym właśnie chcę mieć uporządkowane życie.

To prawda, nie rozumiał. Ale czy koniecznie trzeba rozumieć? Wystarczy kochać najbardziej na świecie.

Kot Konstanty usłyszał skrzypnięcie klucza w drzwiach i podniósł się powoli. Współlokator zachowywał się dziś rano tak, jakby utracił tę odrobinę rozumu, którą do tej pory posiadał. Wstał, gdy jeszcze było ciemno i biegał po domu ze strzępkami materiałów w rękach. Wciąż powtarzał, że Janeczka wraca, że wszystko musi lśnić i że dziś walentynki. Konstanty lubił, gdy było czysto, krztusił się od kurzu, był więc nawet gotów docenić działania współlokatora.

Niestety, temu ostatniemu ręczne wycieranie nie wystarczyło, musiał jeszcze wyciągnąć tę warcząca maszynę. Konstanty jej nie znosił. Wydawała niepokojący dźwięk, dmuchała śmierdzącym powietrzem i wciągała wszystko do swojego rozgrzanego brzucha. By uniknąć konfrontacji z potworem, kot ukrył się w szafie. Oczywiście, że walczyłby, gdyby zaszła taka potrzeba, wolał jednak uniknąć rozlewu krwi. Zwłaszcza jeśli miałyby to być jego własna krew. W ciemności zasnął, a gdy się obudził, nie było ani potwora, ani Seweryna.

Teraz wracał i Konstanty postanowił być czujny. Nigdy nie wiadomo, co może przyjść do głowy człowiekowi.

– Tu jesteś. A ja mam już prezent dla Janeczki. Chodź bliżej, zobaczysz.

Konstanty, oczywiście, zrobił na odwrót. Wskoczył na parapet, wyciągnął się i zamknął oczy. Właściwie tylko przymknął. Chciał widzieć, cóż to za prezent.

Współlokator wyciągnął coś spod kurtki i postawił na podłodze. To coś się poruszyło. Niezdarnie się zachwiało i ruszyło troszkę przed siebie. Konstanty wciągnął powietrze, by wychwycić zapach, bo nie dowierzał własnym oczom. A jednak! To był kociak.

– Cieszysz się? Janeczka będzie miała własnego kota, a ty będziesz miał przyjaciela.

Przyjaciela? Konstanty nie chciał mieć nawet współlokatora. Jacyż głupi są ludzie, jakże łatwo niszczą czyjeś szczęście.

– Myślisz, że wszyscy wiedzą, że to mój drugi lot w życiu? – zapytała Marysia.

– Ponieważ jesteś jedyną osobą na pokładzie, która wciąż robi zdjęcia, mogą coś podejrzewać.

– Kiedy zostało mi jeszcze trochę miejsca na karcie.

Aparat, zdjęcia i karty pamięci były słowami najczęściej używanymi przez Marię w czasie ostatnich dwóch tygodni. Chciała wszystko utrwalić.

Janina przymknęła oczy. Jej wystarczyło to, co zapamiętała. Wróciła myślami do dnia, gdy przyjaciółka zaproponowała, by wyjechały gdzieś razem na ferie.

– Do Włoch? – zasugerowała Janina.

– Nie. Najładniejsze góry świata widać z naszych okien. A Rzymu nie jestem ciekawa, bo nie jestem własną matką.

- To dokąd chcesz jechać?
- Gdzieś, gdzie teraz ciepło.
- Do Hiszpanii?
- Trochę dalej. – Maria odczekała chwilę, by napięcie wzrosło. – Na Karaiby!
- Oszalałaś? Wiesz, ile to kosztuje?
- Wiem i mam pieniądze. Brakuje mi tylko towarzystwa.
- Nie stać mnie na taki wyjazd.

– Mnie stać. Zapłacę za nas obie. Mam pieniądze z nagrody, którą dostałam za wiersze. Czy sądzisz, że mogłabym je wydać na coś lepszego niż wakacje z przyjaciółką?

Janina zgodziła się wtedy tylko dlatego, że ta wyprawa wydawała się abstrakcyjna. Przypuszczała, że Maria się rozmyśli, że przerosną ją problemy organizacyjne. Wszak taki wyjazd to nie wycieczka do Pragi. Później, kiedy tamta już wszystko opłaciła, Janina nie mogła się wycofać. I dobrze się stało, to były dwa najpiękniejsze tygodnie w jej życiu. Spacerowała po rajskiej plaży, widziała motyle wielkie jak ludzkie dłonie i piękniejsze od klejnotów, podziwiała rośliny, które знаła tylko z kart encyklopedii. Jadła mięso kraba, zanurzone w roztopionym maśle, i piła litrami rum.

– Myślisz, że James się odezwie? – Maria wyrwała ją z zamyślenia.

James Eliot, którego poznały dwa dni po przyjeździe, był uroczym Anglikiem. Zanim Janina zdążyła odpowiedzieć, przyjaciółka sama to zrobiła.

– Jeśli on nie napisze, ja to zrobię. W końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek. Skoro odważyłam się polecieć na Karaiby, to na wszystko się odważę. A najważniejsze, że znowu zaczęłam pisać. – Poklepała torebkę, w której nosiła gruby zeszyt. Nie rozstawała się z nim przez cały pobyt i ciągle coś gryzmoliła. – Przeczytać ci?

*W moim kraju jest mróz, jak tasak
Błyszczą srebrem i może obciąć palce
W twoim kraju jest deszcz, jak konewka
Wlewa wilgoć aż do przelania
Uciekamy do kraju, gdzie raj jest codziennością
Której niczego nie można zarzucić
Ty, jak Adam, idziesz brzegiem morza
Ja, jak Ewa, kładę na stole owoce
W naszych ustach obce języki
Ustawicznie szukają porozumienia.*

Maria odczekała chwilę i zapytała Janinę o opinię.

– Bardzo ładny. Widać, że pracowałaś nad frazą. – Zwrotem, który Janina zapamiętała z ciągłej paplaniny Marii o warsztacie poety, była owa praca nad frazą. A także jeszcze coś o epitecie i metaforze dopełnieniowej albo dopełniaczowej. Gdyby Janina wiedziała, co to takiego, na pewno by pochwaliła. Nie miała jednak pojęcia, uznała więc, że skomplementowanie frazy wystarczy.

– Cieszę się, że tak mówisz. – A po chwili, lekko zażenowana dodała: – Z wiersza może wynikać, że całowałam się z Jamesem, ale nic takiego nie miało miejsca. To tylko wiersz.

Janina dała znać, że rozumie, na czym polega *licentia poetica*. Wiedziała, że owo całowanie nie mogło mieć miejsca, bo atencja, którą Anglik okazywał Marii, wynikała z grzeczności, nie

z zainteresowania. Jamesa kobiety obchodziły tyle, ile Janinę zeszłoroczny śnieg. Uznała, że nie powie tego przyjaciółce, bo ta potrzebowała do szczęścia takiej romantycznej, niemożliwej miłości.

– W przyszłym roku też gdzieś pojedziemy – postanowiła Maria.

– Jasne – potwierdziła Janina i odruchowo dotknęła piersi. Tuż przed sylwestrem znalazła tam małe zgrubienie. Dobrze wiedziała, czym ono jest. Postanowiła pójść do lekarza już po powrocie. Wtedy się dowie, co i jak. Dowie się, czy będzie dla niej jakiś przyszły rok.

Karolina odłożyła komórkę na kuchenny stół i z paniką w oczach spojrzała na Tomka. Zbierał się do pracy, właściwie powinien już wychodzić, ale zatrzymał się i zapytał:

– Coś się stało?

– Dzwonił Konrad. Sylwia nad ranem urodziła dziewczynkę.

– I wszystko w porządku?

Odrzekła, że tak, matka i dziecko czują się dobrze. Roześmiał się.

– Pytałem, czy z tobą wszystko w porządku. Wyglądasz jak Oskar, kiedy się przestraszy.

– Zupełnie nie wiem, co mam teraz zrobić. Chyba powinnam to zignorować, prawda?

Było wiele rzeczy, które Tomek lubił w Karolinie, ale największą przyjemność sprawiało mu, gdy pytała go o zdanie. Oczywiście nie zawsze się z nim liczyła, ale pytała i to było miłe.

– Już dawno mówiłem, że chłopcy powinni wiedzieć, co się dzieje. To mądre dzieciaki. Zaakceptowali innego mężczyznę w życiu swojej matki, zaakceptują inną kobietę w życiu ojca.

– Mam im powiedzieć?

Podszedł i przytulił Karolinę, by okazać, jak bardzo ją wspiera.

– Myślę, że to zadanie Konrada. Zadzwoń do niego, żeby przyjechał po chłopców i zabrał ich do szpitala. Niech pokaże im dziecko i powie, jak sprawy wyglądają. Ty możesz kupić jakąś grzechotkę, żeby dali małej prezent. Myślę, że Sylwia to doceni.

– A co ona ma do tego?

– Jest matką siostry twoich synów.

– To wszystko głupie i skomplikowane.

– Takie właśnie jest życie. Nic na to nie poradzisz, możesz tylko się starać, żeby być szczęśliwa i nie niszczyć szczęścia innych. – Pocałował ją w czubek głowy. Zapach jej skóry zmieszał się z zapachem szamponu z czarnej rzepy. – Bądź dobra i dzielna. A wieczorem postaramy się o więcej sióstr.

Dwie rzeczy zawsze przerażały Janusza Krupskiego – złość Janiny i formularze, które trzeba było wypełniać. Cholerna biurokracja. Czy człowiek nie może odejść na emeryturę bez wypełniania tony papierów?

Właściwie nie musiał teraz odchodzić. Mógł przepracować jeszcze dwa, trzy lata. Uznał jednak, że wcześniejsza emerytura to dobry pomysł. Przyszło mu to do głowy, kiedy został postrzelony Mateusz. Zaraz po myśli, że skoro tamten, młody, popełnił błąd, to co dopiero taki zgrzybiały staruch jak on...

Przerwał, gdy obok jego biurka stanął Nowak. Pośpiesznie schował wniosek do szuflady, nie chciał, żeby ktoś wiedział.

– Stary cię wzywa.

– Czego chce?

– Jego zapytaj.

Janusz podniósł się z krzesła. Kiedy szef wzywa, człowiek zawsze spodziewa się najgorszego. Zapukał do drzwi i wszedł, usłyszawszy krótkie „wejść”. Mówi, jakby czekał, pomyślał o przełożonym.

– No Janusz, fajnie że wpadłeś. Ktoś chciałby cię poznać. – Miły głos.

Nic dziwnego, w gabinecie, poza nimi, była kobieta. Po czterdziestce, wysoka i szeroka w biodrach, z małym biustem. Miała krótkie włosy, duże, ciemne oczy podkreślone czarną kredką i naturalnie ciemnoczerwone usta. Bardzo ładna, bardzo w typie Janusza.

– Pani sierżant Dorota Wolińska. Dołączy do naszego zespołu. Strata dla Jeleniej Góry, nasz zysk, że tak powiem.

Gdyby Janusz mógł, toby się roześmiał. Znał poglądy szefa na temat kobiet pracujących w policji. Nie były one liberalne i feministyczne. Jedyny, który można by powtórzyć, to ten, że przy babie wszyscy faceci robią z siebie idiotów. I to akurat prawda, pomyślał, patrząc na szefa.

– Pani Dorota chciała pana... to znaczy ciebie poznać.

Janusz wyciągnął rękę, nie bacząc na to, co nakazuje grzeczność.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał.

– Morderca z nożyczkami, osiemdziesiąty szósty, pamięta pan?

– Trudno zapomnieć, jedna z brutalniejszych spraw w mojej karierze zawodowej.

– Pan go złapał. Tylu ludzi nad tym pracowało, a tylko pan poszedł właściwym tropem.

– Przypadek.

– Doceniam pana skromność. W każdym razie był pan wtedy moim bohaterem. Dlatego wybrałam taką drogę zawodową. No i ogromnie się cieszę, że będziemy razem pracować.

Janusz stuknął obcasami, ukłonił się nisko i wyszedł. Wrócił do biurka i od razu przedarł wniosek na dwie części. Przecież lubi swoją pracę, dlaczego miałyby odchodzić? Już samo słowo „emerytura” brzmi nudnie.

Na progu stał chłopak w niebieskim uniformie. Wyglądał na piętnaście lat i szczerzył mlecznobiałe zęby w uśmiechu.

– Przywieźliśmy pańskie zamówienie.

Który to już raz w tym tygodniu? Michał zaklął. Przecież na każdym z tych cholernych segmentów jest numer. Tymczasem wszyscy kurierzy, listonosze i inni dostarczyciele dzwoniли do niego. Tyle było spokoju, gdy w pozostałych nikt nie mieszkał. Niestety, deweloper uczynił cenę tak atrakcyjną, że ludzie natychmiast zapomnieli o powodzi. I tym sposobem Michał sąsadował teraz z małżeństwem pięćdziesięciolatków – on uczył w technikum, ona prowadziła kwiaciarnię – oraz samotnym mężczyzną, który miał syna na studiach doktoranckich. Wiele można się dowiedzieć o ludziach, gdy prawie co dzień odbiera się ich pocztę.

– Niczego nie zamawiałem. To pewnie do sąsiadów.

– Pan Michał Brzozowski? No to jest pańskie łóżko.

– Łóżko? Nie zamawiałem żadnego... Cholera. Przecież dzwoniłem, żeby anulować.

– Przed świętami był straszny bałagan. – Chłopak nie wyglądał na przejętego sytuacją.

– Anulowałem zamówienie długo przed świętami. Mieliście mi zwrócić pieniądze.

– A tu taka niespodzianka. No nic. Proszę podpisać, bo mnie czas goni.

– Ale ja nie chcę tego łóżka.

– Spokojnie, ma pan czternaście dni na odstąpienie od umowy bez podania przyczyny. Formularz

jest na naszej stronie internetowej.

– Mogę odstąpić od razu i pan je zabierze? – Michał czuł, że jest nadzieja, by wybrnąć z tej idiotycznej sytuacji.

– Niestety, ja tylko dostarczam. – I krzyknął w stronę furgonetki, żeby chłopaki wyładowały.

Chwilę później na podjeździe Michała stały kartony z ramą łóżka w kolorze kości słoniowej i materac w królewskim rozmiarze, bowiem opłata za transport nie obejmowała usługi wniesienia. Michał zebrał się w sobie i chwycił niewinnie wyglądający karton. Ciężkie cholerstwo. W krzyżu mu łupnęło.

– Może pomóc?

Odwrócił się. Na podjeździe stała drobna szatynka. Najbardziej rzucały się w oczy jej okulary w rogowych oprawkach. Gdyby była ładna, trzeba by powiedzieć, że te oprawki ją szpecą. Nie była, nie miały więc znaczenia.

Michał uprzejmie podziękował za propozycję.

– Pomogę. I tak nie mam nic innego do roboty. Brat jeszcze w pracy, mówił, żebym poczekała u pana.

– Brat?

Wskazała głową na ostatni segment. Super, pomyślał Michał. Nie dość, że odbieram pocztę, to jeszcze mam pilnować siostr.

– Duży ten materac – powiedziała. Widocznie chciała nawiązać przyjacielską pogawędkę, ale Michał nie był w nastroju. – Mogę pomóc przy składaniu łóżka.

Nie patrzył na nią. Szarpał wielki i ciężki materac, usiłując przepchnąć go przez drzwi. Czuł się jak jeden z tych psów, bohaterów śmiesznych filmików z YouTube'a, które usiłują przenieść dużą kość przez małą dziurę w drzwiach.

– Sama kupuję meble w IKEA i zawsze mam przy tym dużo zabawy.

– Niczego nie będę składał. – W końcu nie wytrzymał. – Muszę oddać to cholerne łóżko, nie mam na nim z kim spać. Odeszła ode mnie żona, bo byłem idiotą. Druga żona. Zdradzałem z nią tę pierwszą i los ze mnie zakpił. Teraz jestem sam.

Wyglądało na to, że jego wybuch nie zrobił na niej wrażenia. Poprawiła okulary i założyła za ucho kosmyk włosów.

– Ja nie mam zbyt dobrej opinii o mężczyznach. Większość z was to idioci.

Michał podziękował wylewnie za te słowa.

– Kiedy to prawda. Rozumiem, że nie jest fajnie źle o sobie myśleć, ale okłamywanie samego siebie też nie jest rozsądne. Kiedy człowiek racjonalnie podchodzi do pewnych spraw, jest mu łatwiej.

– Dziękuję za dobrą radę. Teraz może już pani iść.

– Kiedy nie mogę. Brat nie wrócił, a ja nie mam zamiaru sterczeć na mrozie. Zrobię sobie herbaty, można?

Widać było, że to pytanie retoryczne, bo nie czekając na odpowiedź, pomaszerowała do kuchni. Michał wniósł do domu ostatni karton. Nienawidził tej kobiety. Wszystkich ich nienawidził.

– Panu też zalałam, tylko nie wsypałam cukru, bo nie wiem, czy pan słodzi. Ja klasycznie, dwie łyżeczki. Na pana miejscu zostawiłabym sobie to łóżko. Zawsze to wygodniej spać na szerokim.

– Nie jest pani na moim miejscu.

– To prawda. Właściwie bliżej mi do miejsca, w którym była pana pierwsza żona, kiedy pan ją

zostawił. Powiedziałam „bliżej”, bo nie jest to dokładnie to samo miejsce. Chyba że pan bił swoją żonę, ale podejrzewam, że nie. Mój mąż bił mnie regularnie. Bez przerwy mówił o facetach, którzy się za mną oglądają na ulicy. Ironia polega na tym, że jestem brzydka, więc nikt się nie oglądał. Nie. Ironia polega na tym, że znosiłam to przez piętnaście lat, przekonana, że owa zazdrość jest manifestacją wielkiego uczucia. Tymczasem znalazł sobie nowy worek treningowy i wtedy zrozumiałam, że wcale mnie nie kochał. Wszystko przez to, że mam zaniżoną samoocenę.

Michałowi zrobiło się głupio. Chciał coś powiedzieć, ale kobieta dojrzała coś przez okno, a chwilę później wychodziła z jego domu, bo brat już przyjechał.

– Miło było pana poznać – rzuciła w drzwiach.

– Proszę mnie jeszcze odwiedzić. – Nie wiedział, czy usłyszała.

– Uważam, że najrozsądniej będzie, jeśli się do mnie przeprowadzisz – powiedziała Teresa, zbierając naczynia ze stołu. Teodor chciał jej pomóc, ale odrzuciła propozycję. Lubiła się koło niego krzątać.

– No ale jak to będzie wyglądało?

– Tak jak teraz.

– Nie o to mi chodzi. Jak to przed ludźmi będzie wyglądało? Teraz zachowujemy jakieś pozory.

– Wydaje mi się, że w naszych czasach nie potrzebujemy już pozorów. Powiem szczerze, że brakuje mi towarzystwa Agaty i chciałabym, żeby ktoś był ze mną cały czas.

– Ktoś?

– Żebyś ty był ze mną cały czas. Masz ochotę na deser?

– Może później. Obiadek był czystą poezją, kochanie.

– Zamieszkać ze mną, a takie obiadki będą codziennie.

Teodor uśmiechnął się i pogładził po wydętym brzuchu.

– Zamieszkać, Tereniu. Jest tylko jeden warunek. Musimy wziąć ślub.

Początkowo się broniła. Co innego zaręczyny, z których łatwo się wyplątać, a co innego ślub. Na stare lata pakować się w coś, co może nie wyjść, to nierozsądne. Mijały jednak dni, a ona coraz bardziej przyzwyczajała się do Teodora. Przyjemnie było mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy. Przyjemnie było troszczyć się o kogoś. Samotność nie jest dobra dla człowieka. Wszyscy potrzebujemy towarzystwa.

A co mi tam, pomyślała w końcu.

Olgierd i Marta szli przez zasypany śniegiem las. Nikogo tu przed nimi nie było, zostawiali pierwsze ślady w dziewiczej bieli.

– Rok temu postanowiłam wrócić do domu – wyznała Marta. – Były walentynki, wszędzie serca, a ja tuż po rozwodzie. Całkiem się załamalam. Ty pewnie balowałeś.

– Też nie było mi łatwo. Odreagowywałem w jedyny znany mi sposób. Teraz poszedłbym biegać.

Marta uśmiechnęła się z ironią. Olgierd zachowywał się tak, jakby to on wynalazł bieganie. Bardziej jednak niż treningi kręciły go gadzety. Miał już samobiegające buty, pulsometr i zegarek, teraz rozważał zakup bieżni. Typowy zapał neofity. Postanowiła jednak, że nie będzie tego komentować. Chciała, by jak najwięcej ich łączyło. To może dobrze wpłynąć na ich związek.

– Nie myślałaś o powrocie do Wrocławia? – zapytał Olek.

Marta zakręciła się w miejscu. Las był tak piękny, że aż bolało serce.

– I miałabym to zostawić? W życiu. Mam pracę, dom. Leokadia mnie potrzebuje. Wiesz, co ona mówi o decyzjach? Że czy była dobra, czy zła, dowiadujemy się dopiero wtedy, gdy nie mamy już szansy niczego zmienić i możemy tylko ponosić konsekwencje. Dziś widzę, że wyjazd to była dobra decyzja, i nie mam zamiaru wracać. A ty?

– Gdzie ty Gaja, tam ja Gajus.

Brnęli przez śnieg, który miejscami sięgał im do kolan. Szkoda było wracać, nie wiadomo, czy jutro nie przyniesie odwilży.

– Rozmawiałem z Konradem – oznajmił Olgierd. – Zaproponował, żebym zaczął pracować w kancelarii. Powiedziałem, że najpierw muszę porozmawiać z tobą.

– Wydawało mi się, że nie znosisz prawa.

– Bo to prawda. Ale u Michała nie zarobię tyle, by utrzymać rodzinę.

– Nie masz jeszcze rodziny. – Spojrzała na niego zalotnie.

– Ale chciałbym mieć. Wyobrażasz sobie, jak byłaby szczęśliwa Leokadia, gdybyśmy jej dali prawnuka?

– Wiesz, że ona ma już prawnuki? Trójkę dokładnie?

– To byłoby coś innego. Leokadia widzi w tobie siebie samą, a we mnie dziadka. Jesteśmy spełnieniem jej marzenia o miłości i szczęściu.

– Też mi spełnienie. – Marta zgarnęła śnieg i po chwili biała kula rozbiła się na piersi Olgierda.

Nie pozostał dłużny i grad śnieżek posypał się w obie strony. Walczyli, aż ich twarze poczerwieniały z wysiłku, a oddechy zawisły w powietrzu mleczną mgiełką.

– Nie chcę, żebyś robił cokolwiek ze względu na mnie. Chcesz pracować w kancelarii, proszę bardzo. Postanowisz zostać z Michałem, też to zaakceptuję. Ja robię to, co lubię, i zależy mi, żebyś ty też tak miał – powiedziała, gdy już wracali do domu.

– Troszczysz się.

– Bo mi zależy.

– Mnie też. Przemyślę to jeszcze. – Położył rękę na ramieniu Marty i objęci wrócili do domu.

luty 2014 – luty 2016 Sulejówek/Nadolce

Spis treści

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)